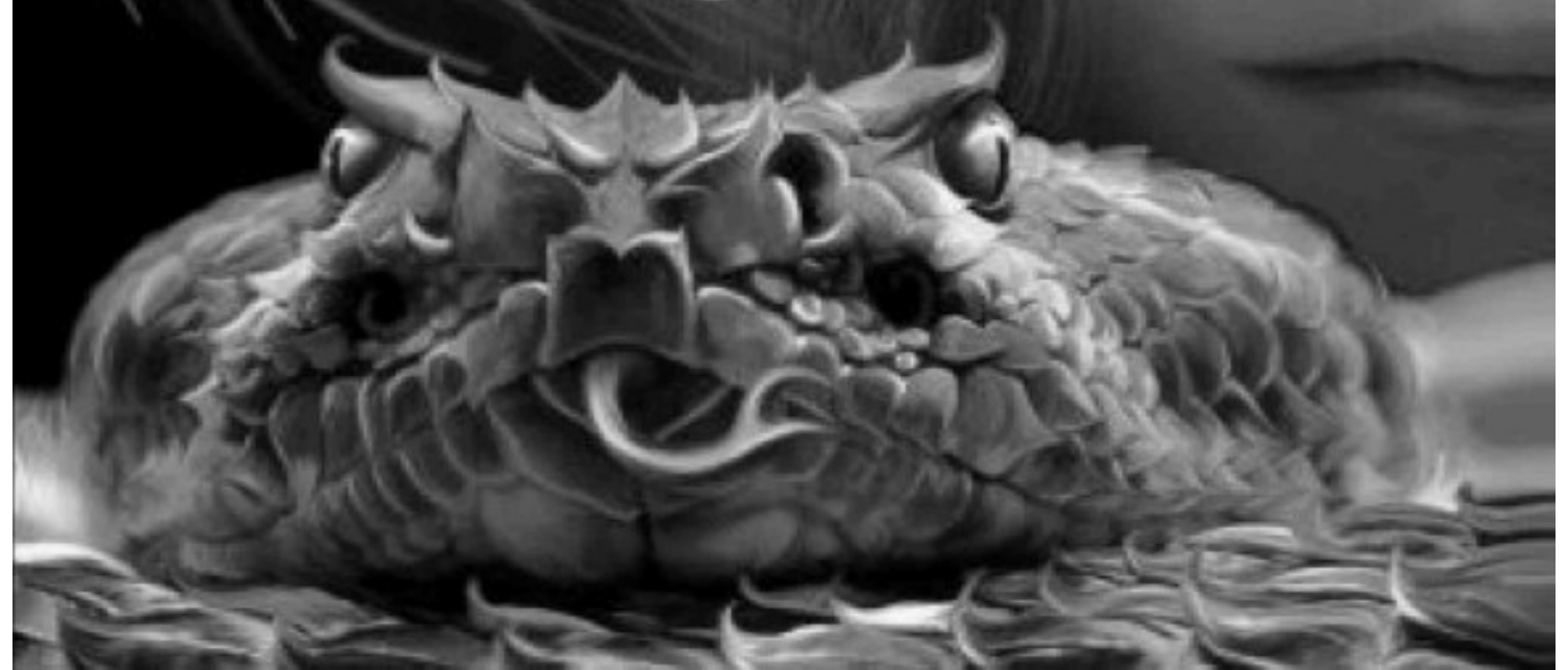


MAITE CARRANZA  
WOJNA CZAROWNIC

PRZEKLEŃSTWO  
ODI





**CARRANZA MAITE**

**Wojna Czarownic #3**

**Przekleństwo Odi**

**MAITE CARRANZA**

**Wojna czarownic 3**

**Część pierwsza**

**UCZUCIA**

**PROROCTWO TRÉBORY**

*Kruszec szlachetny, z mądrych słów*

*powstały,*

*wskazany dłoniom wciąż nienarodzonym,*

*smętny wygnaniec z woli matki O.*

*Ona tak chciała,*

*tak zdecydowała.*

**Przyjdzie mu zatem długo trwać w  
ukryciu,  
w głębinach ziemskich. Aż nadejdzie  
czas,  
w którym i niebo rozbłyśnie, i  
gwiazdy,  
ruszając wreszcie w pochód obopólny.**

**Wtedy, i tylko wtedy, głębia ziemi  
na świat wyłuska cię ze swych  
wnętrzości,  
abyś podążył ku jej białej dłoni  
i byś namaścił ją barwą czerwoną.**

**Ogień i krew, niepodzielone, w  
berle, lecz berłem włada matka O.**

**Ogień i krew otrzyma wybranka,**

*ta, która berło dla siebie posiadzie.*

**Ogień i krew otrzyma wybranka,**

*ta, która odda się potędze berła.*

# Rozdział I Ponowne spotkanie

Wysoki mężczyzna o jasnych włosach, niebieskich oczach i dużych dłoniach przygarnął ją do siebie tak mocno, że omal jej nie udusił.

Anaíd nie potrafiłaby powiedzieć, czy brak jej tchu od tego uścisku, czy z emocji. Marzyła o tej chwili od piętnastu lat. Mężczyzna nazywał się Gunnar i był jej ojcem. Nigdy wcześniej go nie widziała.

Przytulając się do niego z całych sił, poczuła nagle taką błogość, że chętnie zamruczałaby jak kot Apollo. Przymknęła oczy i bez ruchu rozkoszowała się tym stanem, wsłuchana w rytm, w jakim bilo serce Gunnara, zupełnie jej jeszcze nieznany, podobnie jak jego zapach z dominującą nutą saletry i zabawny islandzki akcent. Rytmiczne tik-tak, tik-tak kojarzyło jej się z gigantycznym budzikiem w kolorze zielonego jabłuszka. Pomyślała, że obecność ojca podzielała bardzo uspokajająco, zupełnie jak kapcie przy łóżku, zaraz po przebudzeniu, albo parasol nad głową czasie deszczu.

Natychmiast zawstydziała się tych porównań. Chyba nie powinna zestawiać ojca z parasolem, a już na pewno nie z kapciami. Nie zdążyła się jednak poprawić i wyszukać trafniejszej metafory, ponieważ magię chwili zakłócił nagle głos Selene.

–Anaíd!

Pobrzmiwająca w tym okrzyku wymówka nie wróżyła niczego dobrego. Anaíd pamiętała, że takim właśnie tonem matka upominała ją w dzieciństwie za jedzenie frytek palcami czy niezamykanie drzwi. Najlepiej byłoby udać, że się nic nie słyszało, ale niestety Gunnar podniósł wzrok i zwolnił uścisk.

–Selene – powiedział.

Anaíd niechętnie oderwała się od jego boku.

Matka natomiast wyraźnie nie podzielała jej ciepłych uczuć.

–Stój, gdzie stoisz – warknęła do Gunnara, wymierzając w niego *atame*.

–Witaj, Selene – szepnął Gunnar głosem równie pieszczotliwym jak spojrzenie, którym ją właśnie obejmował.

Na Selene nie zrobiło to jednak większego wrażenia.

–Czego chcesz?

Nie wyglądali na szczególnie dobraną parę. Ani w ogóle – na parę. A przecież, wbrew pozorom, kiedyś nią byli. Jakie to wszystko skomplikowane, pomyślała Anaíd ze smutkiem. Jak wiele zdarzyło się od czasu, gdy jej matka szaleńczo i od pierwszego wejrzenia zakochała się w jej ojcu.

–Sądziłem, że żadna z was nie żyje...

–Mylłeś się, jak widzisz. A teraz zjeżdżaj – rzuciła agresywnie Selene.

–Sądziłem, że pożarła was niedźwiedzica – ciągnął Gunnar.

–Nie wszyscy mają wobec twojej córki tak krwiożercze zamiary jak ty -odparowała Selene. Anaíd aż się wzdrygnęła. Czy matka mówiła to serio? Na szczęście Gunnar nie podjął rękawicy.

Anaíd wygląda dokładnie tak samo jak w moich snach...

–W twoich snach? – prychnęła Selene. – Odkąd to Odish potrafią śnić? Nic mi o tym nie wiadomo.

–Mamo! Starczy! – przerwała jej Anaíd.

Czy matka musiała się tak ciskać? I jakim prawem i odbierała jej miejsce w snach ojca? Czyżby była zazdrosna?

–Nic ci nie wiadomo o wielu rzeczach, Selene. Na przykład o tym, jak się czułem przez te wszystkie miesiące i lata. Ile o was myślałem...

Z gardła Anaíd do jej żołądka spłynęła fala ciepła.

–To dlatego zabiłeś niedźwiedzicę, prawda? Żeby nas pomścić?

Gunnar ze smutkiem pokiwał głową.

–Nie macie pojęcia, jak tego żałowałem, kiedy pojąłem, że właśnie dzięki niej udało się wam przeżyć. Może się ucieszysz, Selene, gdy powiem, że jej skóra, zamiast trofeum, stała się dla mnie nieustannym wyrzutem sumienia.

Selene wzruszyła ramionami. Jednakże jej obraźliwy śmiech wydał się Anaíd wymuszony.

–Wyrzutem sumienia? Nie rozśmieszaj mnie! Przecież ty nawet nie wiesz,

**co to znaczy! Odish i wyrzuty sumienia! To dopiero nowość!**

**Anaíd miała tego naprawdę dosyć. Selene wymawiała słowo „Odish” ze specjalnym naciskiem, przeciągając ostatnią głoskę, jak gdyby tym syczącym dźwiękiem zaznaczała granicę między dwoma światami. Traktowała Gunnara niby trędowatego, bo jej manichejska wizja rzeczywistości zakładała istnienie dobrych Omar i złych Odish, między którymi nie był możliwy żaden dialog.**

**Ale jak w takim razie miała się czuć Anaíd, należąca do obu zwaśnionych światów i zarazem do żadnego?**

**Teraz najważniejsze było jednak to, by nie pozwolić ojcu odejść, przeszkodzić matce w wyrzuceniu go z ich życia. Dlatego zapytała: – Zostaniesz na kolacji?**

**Po tych słowach zapadła cisza tak gęsta, że można by ją krajać nożem.**

**–Czy to zaproszenie? – spytał ostrożnie Gunnar.**

**–Oczywiście – pospieszyła z odpowiedzią Anaíd, nie dopuszczając Selene do słowa. – Zostań, proszę.**

**Gunnar nie wahał się dłużej.**

**–Dziękuję, zostanę z przyjemnością.**

**–Na noc też?**

**Selene pobladła. Prawa gościnności uchodziły wśród Omar za święte i nawet ona nie miałaby odwagi ich złamać. Gunnar, świadom chyba jej rozterek, wykazał się taktem.**

**–Mogę spać w samochodzie albo pojechać do Benicarló. To zaledwie kilka kilometrów.**

**Selene zirytowała się jeszcze bardziej.**

**–Lepiej trzymałbyś język za zębami!**

**–Nie bardzo rozumiem.**

**–Anaíd nie wie, gdzie jesteśmy.**

**–Oczywiście, że wiem – zaprotestowała Anaíd.**



**Wiedziała doskonale.**

**Niewielką przyczepę kempingową, w której się znajdowali, zaparkowały w szczerym polu, kilka kilometrów od autostrady. Rozciągające się wokół płaskie pola poprzecinane kanałami irygacyjnymi i porośnięte gdzieś migdałowcami, obecność mew, daleki szum fal i słodkawy, mocny zapach kwitnących drzew pomarańczowych – wszystko to pozwalało się domyślać, że są gdzieś na wschodnim wybrzeżu.**

**Selene próbowała taić przed córką trasę, którą obrała po wyjeździe z położonego w sercu Pirenejów Urt. Uciekały przed fenicką Odish Baalat, zacierając za sobą ślady.**

**Jednakże Anaíd od wczesnego dzieciństwa doskonale orientowała się w terenie. Od babci, Demeter, nauczyła się zwracać uwagę na położenie słońca i intensywność jego promieni. Krystalicznie czyste górskie noce sprzyjały podglądaniu gwiazdozbiorów. Dlatego obecnie jedno spojrzenie przez brudne okno wystarczało jej, by stwierdzić, że kierują się na południe, a parę kilometrów na wschód musi leżeć Morze Śródziemne.**

**Selene, która wyraźnie postanowiła nie drążyć na razie tego tematu, szperała właśnie w jakiejś szufladzie, z której po chwili wyciągnęła coś, co pełnym wzgardy gestem podała Gunnarowi.**

**–Masz, zabieraj to. Nie potrzebujemy twoich prezentów.**

**Anaíd przyskoczyła do niej z okrzykiem oburzenia, wrywając jej z rąk niewielkie pudełeczko.**

**–Zostaw! To moje!**

**W pudełeczku leżały rubinowe kolczyki, które Gunnar przysłał jej na piętnaste urodziny. Selene spiorunowała ją wzrokiem.**

**–Zwróć je.**

**Anaíd wolałaby nadal zajmować neutralną pozycję w ich sporze, ale nie bardzo wiedziała jak. Oddając kolczyki Gunnarowi, opowiedziały się po stronie Selene, zachowując je zaś – zadeklarowałyby poparcie dla ojca.**

**–Mamo, proszę... Selene wyglądała, jakby za moment miała przestać nad sobą panować.**

**–Natychmiast mu je zwróć! Zresztą, już to za ciebie zrobiłam.**

**Anaíd odetchnęła głęboko, zbierając się w sobie. Zachowanie Selene przeważało**

szalę na stronę Gunnara.

–Nie możesz zwrócić mojego prezentu. A ja wcale nie zamierzam tego zrobić.

To powiedziawszy – nie wiedząc, skąd czerpie tyle śmiałości – ostentacyjnie ujęła w palce jeden z kolczyków, drugą dłonią przytrzymała płatek lewego ucha i wbiła ostry koniec w zarośniętą już dziurkę. Poczula kłujący ból, ale nawet się nie skrzywiła, przez cały czas mierząc matkę wyzywającym spojrzeniem.

Ciepła kropla skapnęła na koszulkę. Krew. Krew czerwona jak połyskujący kilka centymetrów wyżej, oprawiony w złoto rubin. Selene z otwartymi ustami wpatrywała się w krwistą plamkę. Gunnar tymczasem sięgnął po drugi kolczyk i ostrożnie wpiął go w prawe ucho córki. Czy sprawiła to jego zręczność, czy jakiś rodzaj magii – dość, że tym razem Anaíd prawie nic nie poczuła.

Potem przytrzymał ją za ramiona, oglądając jak dzieło sztuki, a na koniec uśmiechnął się szeroko, z zadowoleniem. Jego uśmiech był tak samo ciepły jak jego dłonie.

–Wyglądasz prześlicznie.

Tego było dla Selene zbyt wiele. Strącając rękę Gunnara z ramion córki, gwałtownie obróciła ją ku sobie i z pasją spytała:

–Wiesz, skąd pochodzą te kolczyki? Anaíd odparta bez wahania:

–Z kufra Lodowej Damy. Sama mi o tym powiedziałaś.

–Z kufra Odish uważanej za najpotężniejszą na północnej półkuli! –

syknęła Selene.

Anaíd przekrzywiła głowę, rubiny zaśniły.

–I mojej babki – stwierdziła spokojnie.

Selene wypadła na zewnątrz, trzaskając drzwiami.

–Poczekaj! – zawołał Gunnar. – Nie powinnaś wychodzić sama, to niebezpieczne...

I już chciał za nią biec, lecz Anaíd przytrzymała go za ramię.

**–Zostaw ją. I tak cię nie posłucha.**

**Miała słuszność: Selene należała do uparciuchów. Choć oczywiście znajomość jej charakteru nie była jedynym powodem, dla którego Anaíd uznała za stosowne powstrzymać Gunnara przed pogonią: po prostu chciała zostać z nim sam na sam, by napawać się swoim pyrrusowym zwycięstwem w pierwszej poważniejszej konfrontacji z matką.**

**–Lubisz jajecznicę?**

**–Uwielbiam – uśmiechnął się Gunnar.**

**–Niczego więcej nie potrafię przyrzadzić – wyznała, dochodząc do**

**wniosku, że komu jak komu, ale ojcu można się do tego przyznać bez ryzyka, że wpłynie to druzgocąco na ich przyszłe stosunki.**

**Okazało się jednak, że jest tylko jedno jajko, które w dodatku źle zniosło zetknięcie z niewprawnymi dłońmi kucharki i zamiast na patelni wylądowało na podłodze. Wola ugoszczenia ojca została więc wystawiona na ciężką próbę, tym bardziej że wnętrze małej lodówki Selene przypominało raczej pustkowiec Arizony.**

**Skończyło się na zaimprovizowanej dzięki odrobinie inwencji sałatce z pomidorów i tuńczyka, rozmrożonych naprędce drobiowych krokietach oraz jabłku, obranym i pokrojonym na artystyczne cząstki, polaną następnie miodem.**

**Anaíd właśnie przenosiła te pyszności na laminowany stolik, kiedy pozostawiona przez Selene na krześle komórka hałaśliwie zawibrowała. SMS. Anaíd odebrała bez namysłu. Sądziła, że to wiadomość od Eleny i pewnie dlatego, spragniona informacji o Rocu i w ogóle kontaktu ze światem zewnętrznym, od którego odgradziła ją Selene, data się ponieść ciekawości. Cokolwiek nią kierowało, przeczytawszy wiadomość, zastygła w zdumieniu, upuszczając na ziemię trzymaną w dłoni szklankę, która rozbita się w drobny mak.**

**–Co się dzieje? – spytał zaniepokojony Gunnar. – Uważaj, nie skalecz się. Anaíd z trudem wydusiła z siebie odpowiedź:**

**–Baalat. To ona. Nie odpuszcza. Gunnar wziął od córki komórkę i ze zmarszczonym czołem przeczytał:**

***Anaíd, szukam Cię, przebyłam długą drogę, by Cię zobaczyć, uwielbiam Cię i chciałabym Cię wreszcie spotkać. Zadzwoń do mnie, żebym chociaż mogła usłyszeć Twój głos, proszę. Dácil***

Zaniepokojony nie mniej niż jego córka, Gunnar przejrzał pozostałe wiadomości w skrzynce i rzucił:

Są też inne. Cała masa.

Selene nic mi nie mówiła – wyszeptała zdeorientowana Anaíd.

–Pewnie nie chciała cię straszyć – mruknął.

–Dlaczego jej bronisz? Mam chyba prawo wiedzieć o sprawach, które mnie dotyczą.

Gunnar wykasował ostatniego SMS-a, czemu towarzyszyło suche kliknięcie, po czym odłożył telefon na krzesło.

–Proponuję, żebyśmy zapomnieli dziś o tym, co czyha na zewnątrz, i

spędzili we troje przyjemny wieczór. Twoja mama, ty i ja. Zgoda?

Anaíd skinęła głową. Miło było mieć ojca, który promieniował udzielającym się spokojem i pewnością siebie. Liczyła na to, że wprowadzi nieco porządku do jej życia, stanowiąc przeciwwagę dla chaotycznej Selene.

–Idź, powiedz mamie, że czekamy z kolacją... Może przyjdzie. Jeśli

tylko sama nie posłużyła tymczasem za kolację Baalat...

Anaíd rzuciła okiem na efekt swoich gastronomicznych wysiłków i posmutniała. Jabłko, jeszcze niedawno tak białe i piękne, utleniło się i poczerniało, jakby dopasowując się do nastroju Selene, która w tej właśnie chwili stanęła w progu, wyraźnie zdecydowana do reszty zepsuć wszystkim humor.

Pierwsza w życiu Anaíd rodzinna kolacja zaczęła się nieszczególnie. W przeciwieństwie do Gunnara, który próbował minimalizować niedogodności, Selene dokładała wszelkich starań, by je wyolbrzymiać. Nie doprawiłaś sałatki. Nie było octu. I tak jest pyszna.

–Sałatka bez octu to jak gazpacho bez pomidorów.

–Mamo, proszę, ostatecznie to ty robiłaś zakupy.

–Ja nie zapraszałam gości.

–Mnie tam smakuje. Spisałaś się, Anaíd.

–No, proszę. Będzie się tak przymilał, aż zdobędzie i twoje zaufanie. A wtedy zrobi z tobą, co zechce.

**–Powiedział tylko, że lubi moją kuchnię.**

**–Mnie mówił, że lubi moje oczy.**

**–To co innego.**

**–Anaíd, nie zapominaj, że masz przed sobą czarownika Odish, syna Lodowej Damy.**

**–To mój ojciec.**

**–Przez przypadek.**

**–Nieprawda! Zakochałaś się w nim. Jestem tak samo jego córką jak twoją.**

**–Mogłam się zakochać w kimkolwiek innym.**

**–Kłamiesz!**

**–Już ci przecież tłumaczyłam, co nam zrobił. Jeszcze ci mało?**

**–Chcę się po prostu dowiedzieć, co on myśli.**

**–O czym?**

**–O tym, co się stało.**

**–Wykluczone. Okłamię cię.**

**–Dlaczego miałby mnie okłamywać?**

**–Bo taki już jest. Nie rozumiesz? Okłamał Meritxell, okłamał mnie, a teraz okłamię ciebie.**

**–A ty chcesz mnie zapewne chronić?**

**–Owszem.**

**Gunnar – nieco oszołomiony tą prędką wymianą zdań, którą matka i córka prowadziły między sobą, ignorując jego obecność – chrząknął znacząco. Mogę coś powiedzieć? – zapyta! uprzejmie.**

**–Nie – warknęła Selene.**

**–Tak – rzuciła w tej samej chwili Anaíd.**

**–Chciałbym przedstawić swoją wersję.**

**–To tak się teraz mówi na stek łgarstw? – prychnęła Selene.**

**Twarz Gunnara stwardniała i Anaíd uświadomiła sobie nagle, że jego gładkie maniery skrywają żelazną wolę.**

**–Wysłuchasz mnie, czy sobie tego życzysz, czy nie – oświadczył z naciskiem.**

**Bijąca z tych słów moc chwilowo odebrała Selene zdolność do riposty. Anaíd, zafascynowana stanowczym wyrazem stalowoniebieskich oczu ojca, takich samych jak jej własne, zwróciła uwagę na coś, co początkowo jej umknęło: na znaczące twarz Gunnara zmarszczki. Opaloną, kanciastą twarz przecinały dwie głębokie, biegnące od nosa do kącików ust bruzdy, które przydawały jej**

**surowości. Pionowa kreska między brwiami, kurze łapki wokół oczu a zwłaszcza siwiejące lekko skronie – wszystko to sprawiało, że Gunnar wyglądał dojrzalej, niż przedstawiała go w swych opowieściach Selene.**

**Dziwne. Gunnar ze wspomnień matki zatrzymał się na dwudziestym piątym roku życia. Był młodym królem Olavem, zdobywcą nowych ziem i pięknych poetek. I młodym marynarzem Ingarem, który zawracał w głowach dziewczynom i zębami otwierał butelki z piwem, zawsze w towarzystwie swego przyjaciela awanturnika Kristiana Mo. A mężczyzna, który siedział teraz przy stoliku w przyczepie, mimo całej swojej siły i energii musiał się zbliżyć do czterdziestki.**

**–Co z twoją wieczną młodością? Słyszałam, że jesteś nieśmiertelny... – wyrwało się zdumionej Anaíd.**

**Gunnar odpowiedział, wpatrując się w Selene.**

**–Zrezygnowałem z nieśmiertelności już jakiś czas temu.**

**Selene zagryzła wargi. Od razu zauważyła, jak się zmienił, dotąd jednak nie zająknęła się o tym ani słowem. – To wszystko pozory, Anaíd – powiedziała teraz. – Uważaj, czarownik taki jak on może w nas wmówić, co zechce.**

**Anaíd nie słuchała.**

**–Kiedy postanowiłeś zostać śmiertelnikiem?**

**–Przed piętnastu laty – odparł z powagą Gunnar.**

**–Po naszej rzekomej śmierci? Oczy Gunnara zaszły mgłą, jakby spoglądał w przeszłość.**

**–Jeszcze przed twoim urodzeniem. Pamiętasz, Selene?**

**Selene, jakby posłuszna jego wezwaniu, powoli uniosła głowę. Ale nie dała za wygraną.**

**–Nic nie pamiętam.**

**–Szkoda. Bo ja pamiętam wszystko. Gdy cię poznałem, byłaś prześliczną czarownicą Omar. Zresztą nadal nią jesteś. Zielone oczy, długie nogi, rozwichrzone włosy i zamiłowanie do ekstrawaganckich strojów. Moją uwagę zwróciła jednak przede wszystkim twoja buntownicza natura. Byłaś cudownie impulsywna, zdolna wznieść rewolucję, rzucić się z motyką na słońce i przysiąc wieczną miłość tym swoim szczerym, rozedrganym głosem, od którego najrozsądniejszy mężczyzna tracił głowę. Nic dziwnego, że twoi rówieśnicy nie mieli odwagi startować do takiej dziewczyny. A ja, choć pewnie mi nie wierzysz, zakochałem się w tobie jak wariat.**

**Selene nie wyglądała na poruszoną. Anaíd nie potrafiła zrozumieć, jak można wykazywać taką obojętność wobec podobnej deklaracji. Słowa Gunnara poruszyły w niej najczulsze struny. Gdyby Roc powiedział jej cokolwiek z**

**tego, co przed chwilą ojciec wyznał matce, zemdlałaby z pewnością. Selene natomiast syknęła:**

**–Oszukałeś mnie! Zataiłeś przede mną, że należysz do Odish, że jesteś synem Białej Damy!**

**–To ty mnie oszukałaś. Jakoś zapomniałaś napomknąć, że jesteś czarownicą Omar, córką wielkiej Demeter, przywódczyni plemion Zachodu.**

**Selene poruszyła się niespokojnie.**

**–Ja nie zamierzałam cię wykorzystywać do swoich celów.**

**–Ja ciebie też nie.**

**–Kłamiesz! Potrzebowałeś mnie tylko po to, żeby począć Anaíd, wybrankę.**

**–Selene, może byś mnie jednak wysłuchała?**

**Tu znowu wtrąciła się Anaíd, po raz drugi tego wieczoru stając po stronie ojca.**

**–Mamo, proszę. Wiem już, jak to wszystko wyglądało z twojej perspektywy, a teraz chciałabym poznać jego wersję.**

**Ulegając perswazjom córki albo może naleganiom Gunnara, Selene zamilkła.**

**Gunnar nalał sobie trochę wina i zaczął mówić głosem tak drżącym, że jeśli tylko udawał wzruszenie, musiał być bardzo dobrym aktorem. Anaíd słuchała w napięciu.**

**–Nawet sobie nie wyobrażacie, co znaczy żyć ponad tysiąc lat... Czas mija nieubłaganie, krajobrazy, przedmioty, a przede wszystkim ludzie, kolejno odchodzą w przeszłość. Wszystko zmienia się i przepada. Dawno temu, w młodości, chciałem zrobić coś dla świata, w którym żyłem, starałem się, by moja magia służyła mojemu ludowi. Kazałem wznosić kamienne domy, konstruować wielkie okręty i organizować zamorskie wyprawy, dzięki którym poszerzały się granice mojego północnego królestwa. Z dumą patrzyłem na powracające statki, wyładowane belami tkanin, skrzyniami przypraw, ziarnem i klejnotami, które przysparzały szczęścia moim poddanym. Ja, Olav, władca wikingów zamieszkujących norweskie fiordy, przewodziłem ekspedycjom, układałem pieśni, a w końcu pozwoliłem sobie na miłość do pięknej poetki imieniem Helga. Po jej śmierci, gdy zestarzeliby się i pomarli również nasi synowie, straciłem dawny zapał. Zrezygnowawszy ze wszystkiego, zamieszkałem w odludnym zamku i tam spędziłem kilka kolejnych stuleci, obserwując z najeżonej blankami wieży, jak obce ludy pustoszą moje królestwo i zamieniają moich poddanych w niewolników, jak pejzaże, które kiedyś tak kochałem, znikają z powierzchni ziemi, strawione wojenną pożogą. I przysiągłem sobie, że nigdy więcej nie będę tak cierpiał. Dlatego od tamtej pory błąkałem się z miejsca na miejsce, nigdzie nie zapuszczając korzeni, zamknięty w obojętności jak w pancerzu, pozbawiony uczuć, skupiony na życiu z dnia na dzień. Byłem najemnikiem, odkrywcą i żeglarzem. Czasem zatrzymywałem się na kilka lat w jakimś odległym miejscu, uczyłem się lokalnego języka i takiego bądź innego zawodu, który wykonywałem potem, dopóki nie postanowiłem ruszyć dalej.**



Anaíd aż się wzdrygnęła. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że nieczułość bywa strategią na uniknięcie bólu. Może ci, których uważała za niewrażliwych, zostali po prostu zbyt głęboko zranieni? Czy oznaczałoby to, że również Odish mają uczucia? Trudne pytanie. Ostatecznie Gunnar był synem jednej z nich.

–Aż w końcu upomniała się o mnie matka, żądając, bym spłodził wybrankę. To było moje przeznaczenie. Czekałem na tę chwilę od tysiąca lat. Jako islandzki student zamieszkałem w Barcelonie. Przed piętnastu laty było to nadmorskie miasto, gdzie o dowolnej porze można się było przechadzać po ocienionych platanami, kwitnących Ramblas, po których przetaczały się ekscentryczne tłumy. W upalne letnie noce upijaliśmy się winem i muzyką, by o świcie zajadać maczane w czekoladzie *churros*, kontemplując niewiarygodną architekturę genialnego szaleńca Gaudiego. W tych okolicznościach miałem spełnić swoją misję i wreszcie się oswobodzić, by po raz pierwszy w pełni samodzielnie móc decydować o swoim życiu.

–Od kiedy wiedziałeś? – rzuciła nagle Selene.

–O czym?

–O swoim przeznaczeniu.

–Od zawsze. Cristine powtarzała mi do znudzenia, że urodziłem się wyłącznie po to, by zostać ojcem wybranej. Odish nie miewają synów.

Anaíd poczuła ciarki na plecach. A więc nie ona jedna ugięła się pod ciężarem przeznaczenia. Jej rodzice też przez to przeszli.

–Biedactwo – zakpiła Selene. – Jakże ci współczuję! Musiałeś uwieść naiwne dziewczątko w rodzaju Meritxell. Prawdziwe wyzwanie.

–Wiesz przecież, że to nie tak.

–A jak?

–Gdy tylko cię poznałem, odmówiłem dalszego odgrywania tamtej roli. Selene zamrugła. Jej wahanie nie trwało jednak długo. Zaraz potem rzuciła:

–Nieprawda. Zostałeś z Meritxell.

–Świadomie wszystko przeinaczasz. – Gunnar mówił teraz bardzo powoli.

–Wiesz, że tego samego wieczoru, gdy cię spotkałem, pocałowałem na trawniku przed uniwersytetem i odprowadziłem do domu, związałem się z tobą

**na dobre i na złe. Pamiętasz tamten wieczór?**

**Selene przełknęła ślinę i pokręciła głową.**

**–Nie bardzo.**

**–Co ci wtedy powiedziałem, Selene?**

**–Zapomniałam.**

**–Nie zapomniałaś. I nie zapomniałaś też, że obiecałaś wtedy kochać mnie zawsze, bez względu na to, co się zdarzy.**

**–Nie pamiętam.**

**Anaíd zagotowała się w duchu. Przecież matka osobiście opowiedziała jej epizod z włosami i znakami, ba, przyznała się nawet, że podała Gunnarowi miłosny eliksir.**

**–Tak jej zależało, że postanowiła cię zdobyć za pomocą magii Omar!**

**Niepotrzebnie. Ja od razu podjąłem decyzję... – rzekł Gunnar, nie odrywając wzroku od spuszczonej teraz powiek Selene.**

**–Zostałeś z Meritxell...**

**–Bo mnie o to poprosiłaś.**

**–Ale potem...**

**–Potem chciałem być uczciwy, sądziłem, że Meritxell naprawdę jest w ciąży.**

**Selene zerwała się na równe nogi i oskarżycielskim gestem wycelowwała w niego palec.**

**–Tak czy owak zdradziłeś mnie! Zabrałeś do swojej matki, żeby oddać**

**jej Anaíd! I tak byś mnie opuścił. Nigdy ci tego nie wybaczę. Nigdy! Nigdy!**

**Po czym rozplakała się i wypadła z przyczepy jak burza, trzaskając drzwiami z taką mocą, że wszystko zadygotało. Musiało minąć kilka chwil, zanim przedmioty, jak też nerwy, odzyskały równowagę.**

**Anaíd poczuła się w obowiązku przeprosić za to zachowanie, zupełnie jakby była**

**matką Selene, a nie jej córką.**

**–Wybacz, taka już jest.**

**–Wiem – zaśmiał się Gunnar. – Znałem ją, zanim się urodziłaś.**

**–I dla niej zrezygnowałeś z nieśmiertelności?**

**–Poniekąd.**

**–Jak to?**

**Zerknęła przez okno na majaczącą kawalek dalej sylwetkę. Selene najwyraźniej nie potrafiła przyjąć do wiadomości, że istnieją inne wersje jej historii. Tyle razy ją sobie powtarzała, że w końcu uczyniła z niej rodzaj ewangelii, stając się fanatyczną wyznawczynią mitu o własnej krzywdzie.**

**Gunnar sprawiał wrażenie rozsądniejszego, może dlatego, że potrafił przyznać się do błędu.**

**–Wiesz już, jak się to wszystko zaczęło. Meritxell zgodnie z**

**proroctwem miała zostać matką wybranki, a ja byłem z nią związany. Wtedy,**

**na jakiejś karnawałowej imprezie, poznałem Selene i zakochałem się w niej od**

**pierwszego wejrzenia. Oczywiście, mogłem stłumić to uczucie. Ale nie**

**chciałem. Od razu pojąłem, że na tę kobietę czekam od tysiąca lat. Dlatego**

**sprzeciwiłem się Cristine, swojej matce. Nie miałem ochoty ciągnąć tamtej farsy**

**z Meritxell i nic mnie nie obchodziło przeznaczenie.**

**Anaíd pokiwała głową.**

**–Tyle że Meritxell została zamordowana, a twoją matkę uznano za główną podejrzaną. Musieliśmy uciekać. Udaliśmy się na Północ, ponieważ myślałem, że tam będziemy bezpieczni. Myliłem się. Im bardziej zbliżaliśmy się do królestwa mojej matki, tym potężniejsza stawała się jej moc. A ja nie miałem siły, żeby się jej opierać, bo, o czym Selene nie miała pojęcia, w czasie podróży zrezygnowałem z nieśmiertelności i dostępu do magii.**

**–Kiedy dokładnie? – spytała Anaíd.**

**–W noc przesilenia, na górze Domen. Tam, na szczycie przeklętej góry**

Omar, po raz ostatni wykorzystałem swoje magiczne zdolności, zaklinając się przed duchami, że od tej pory będę zwykłym śmiertelnikiem. I opuściłem to miejsce jako zwykły śmiertelnik. Oczywiście Cristine kiepsko to zniosła. Zaczęła nalegać, bym się przed nią stawił i wytłumaczył. Kiedy Selene powiedziała mi, że jest w ciąży i że chce jechać ze mną na Północ, wszystko się skomplikowało. Wtedy jeszcze nawet nie podejrzewałem, że to właśnie ty, moja córka, okażesz się wybranką. W owym czasie w ogóle nie myślałem o przeznaczeniu, przekonany, że tamten epizod mam już za sobą. Kolejny z serii moich błędów.

Anaíd poczuła, że zalewa ją fala współczucia dla tego człowieka, który mylił się tak wiele razy.

–Pragnąłem przeżyć zwyczajne ludzkie życie u boku Selene, razem z nią się zestarzeć, razem z nią wychować dzieci... I nie musieć patrzeć na ich śmierć.

Niestety, rezygnacja z magii miała swoje złe strony. Na przykład odkryłem ze zgrozą, że nie jestem w stanie bronić twojej matki przed atakami Baalat.

No i bałem się, że jeśli zginę w podróży, zginie również Selene. Nie wierzyłem, że zdołałaby przetrwać na własną rękę. Chciałem oddzielić to, co wiązało się z moim nowym życiem, rodziną i uczuciami, od przeszłości i obowiązków, jakie nakładała na mnie przynależność do Odish, ale szybko wyszło na jaw, że wszystko się ze wszystkim łączy. Selene uparła się, jak to ona, że nie odstąpi mego boku, zresztą, i tak nie miałbym serca zostawić jej na pastwę Baalat, samej, do tego w takim stanie, na Islandii. Moją ostatnią nadzieją były Omar

z Klanu Klaczy, lecz Selene nie zgodziła się schronić pod ich opieką. Nie pozostało mi więc nic innego, jak tylko prosić o pomoc Białą Damę, twoją babkę. Rozumiesz? Gdyby Cristine nie ochroniła nas przed Baalat, ty w ogóle byś się nie urodziła. Ale i tak postawiłem warunki: nie zamierzałem cię oddawać.

**–To dlaczego rozbroiłeś Selene i udawałeś, że ją więzisz? – spytała z**

**wyrzutem Anaíd.**

**–Selene mogła dzięki twojej krwi rozmawiać z duchami i kiedy dowiedziała się od nich, czym jestem synem, Oddaliła się ode mnie, zaczęła mnie uważać za wroga. Zauważyłem, że zamyka się w sobie. Musiałem jej pilnować. Me ona odebrała to jako napaść i uciekła. A chodziło mi przecież tylko o to, by was bronić. Zabrałbym was z powrotem do cywilizowanego świata, żylibyśmy jak normalna rodzina...**

**–No a niedźwiedzica? Jeśli nie należałeś już do Odish i nie służyłeś Cristine, dlaczego tak się obawiałeś niedźwiedzicy? Dlaczego jej nienawidziłeś? – drążyła Anaíd.**

**–Nigdy nie łączyła nas przyjaźń. Wiele lat wcześniej stoczyliśmy walkę i sądziłem, że bestia mści się teraz na tych, których kocham.**

**Anaíd wierzyła mu bez zastrzeżeń. W głosie ojca brzmiała szczerłość, a cała opowieść wydawała się prawdopodobna.**

**–Co zrobiłeś, kiedy doszedłeś do wniosku, że już po nas?**

**–Zabiłem niedźwiedzicę. Gniew mnie zaślepił, więc gdy tylko zagoiły się moje rany, zacząłem ją tropić. Zresztą bez pomocy magii zdrowiałem dłużej niż zwykle, wdała się jakaś infekcja i przez całe tygodnie walczyłem ze śmiercią.**

**–I ani razu nie przyszło ci do głowy, że może jednak nie umarliśmy?**

**–Uznałem, że to absolutnie niemożliwe.**

**Anaíd z nagłym podziwem pomyślała o matce, osiemnastoletniej wówczas dziewczynie, która urodziła dziecko bez niczyjej pomocy, pośród wiecznych lodów, żywiła się surową wątrową foki i w towarzystwie niedźwiedzicy oraz suki pokonała niewyobrażalne przestrzenie.**

**–Ocalałyśmy dzięki odwadze i determinacji Selene.**

**–I dzięki magii Omar. Gdyby nie matka niedźwiedzica i duch Aruk, zginęłybyście z pewnością. Wykończyłby was mróz, głód albo drapieżniki. Dobrze znam Arktykę, jest bezlitosna.**

**–A Cristine? Nie powiedziała ci, że żyjemy?**

**Gunnar zasępiony pokręcił głową.**

**–Nie chciałem mieć z nią dłużej nic wspólnego. Po zabiciu niedźwiedzicy**

**zaciągnąłem się na statek handlowy w porcie Gothab i przez czternaście lat pływałem po morzach, powoli się starzejąc. Wspaniałe doznanie, smutne, ale wspaniałe. Pocieszała mnie myśl, że mój ból nie będzie trwał wiecznie, że skończy się wraz ze śmiercią.**

**–No, ale w końcu się o nas dowiedziałeś. W jaki sposób?**

**–Moja matka, Cristine, obudziła się z letargu tej nocy, gdy umarła Demeter. Czar, który twoja babka Omar rzuciła na twoją babkę Odish, przestał wtedy działać. Cristine wróciła do życia, zaczęła cię szukać i znalazła. Była jedyną Odish świadomą prawdy o tobie. Pozostałe dały się zwieść Selenie i jej rudym włosom.**

**–A ty?**

**–Początkowo ignorowałem wiadomości od Cristine, ale znasz ją, nie spocznie, póki nie postawi na swoim. Przesłała mi mewę z kosmykiem rudych, delikatnych włosków niemowlęcia. Wtedy zrozumiałem, że żyjesz i zszedłem na ląd w pierwszym porcie, na jednej z indonezyjskich wysp. Dotarcie stamtąd do Urt zajęło mi jednak trochę czasu, zbyt wiele, jak się okazało. Selene i ty zdążyłyście zniknąć bez śladu.**

**–Byłeś w Urt?**

**–Owszem.**

**Anaíd przycisnęła rękę do piersi. Jej ojciec był w Urt! Jak szkoda, że mama tego nie słyszy!**

**W tej samej chwili, jakby odpowiadając na nieme wezwanie, w progu stanęła Selene, czerwona od płaczu i chłodu, ale jakby spokojniejsza. Gunnar milczał, obserwując, jak zamyka drzwi i siada przy stole. Anaíd pomyślała, że może to on wysłał Selene telepatyczny sygnał. Ostatecznie kiedyś rozumieli się bez słów, a ludzie, których łączyła laka zażyłość, potrafią odzyskać dawny kontakt ot tak, po prostu, nawet o tym nie wiedząc.**

**Odczekawszy jeszcze chwilę, Gunnar zwrócił się do Selene:**

**–Byłem w Urt, pytałem o was i skierowano mnie do człowieka imieniem**

**Max. Złożyłem mu wizytę.**

**Anaíd zastygła w zdumieniu, podczas gdy Selene znowu się najeżyła.**

**–Co ci powiedział?**

**–Że planujecie ślub. Selene sztywno skinęła głową.**

**–Więc już wiesz. Anaíd nie wierzyła własnym uszom.**

**–Nic mi nie mówiłaś... Nawet go nie znam! Selene przeniosła na nią spojrzenie.**

**–Nie chciałam ryzykować.**

**–Nie, to niemożliwe – wymamrotała Anaíd, wspominając swoje krótkie zetknięcie z Maksem, z którym nie przypadli sobie wzajemnie do gustu z tej prostej przyczyny, że żadne nie zostało poinformowane o istnieniu drugiego. – Ten facet to... to... to idiota.**

**–Pozwolisz, że przy wyborze męża będę się jednak kierowała własnym osądem – rzuciła lodowato Selene.**

**Gunnar wziął ją za ręce i choć próbowała się wyrwać, nie puścił. Nie tak łatwo było się wyswobodzić z uścisku jego dużych, silnych dłoni.**

**–Kochasz go? – spytał. Selene zaczerpnęła powietrza.**

**–Co to? Przesłuchanie?**

**Gunnar jednak jeszcze mocniej zacisnął palce na jej rękach, zmuszając ją do podniesienia wzroku.**

**–Nie mogę powiedzieć, że przez cały ten czas na ciebie czekałem, bo przecież sądziłem, że nie żyjesz. Ale śniłaś mi się każdej nocy. Kocham cię, Selene.**

**A ty? Kochasz mnie jeszcze?**

**Selene wytrzymała spojrzenie jego stalowych oczu, odetchnęła głęboko i zebrała się w sobie, by wypluć mu w twarz tych kilka gniewnych słów:**

**–Kocham Maksa. I wyjdę za niego za mąż.**

**–Mówisz tak tylko po to, żeby zranić tatę – wybuchnęła oburzona Anaíd. – Nie kochasz Maksa, to bezwartościowy głupek i...**

**Lecz Gunnar cofnął już dłonie i podniósł je w geście poddania.**

**–Ty decydujesz, Selene – rzeki ze smutkiem. – Jesteś wolną kobietą.**

**Anaíd czuła, że nie może pozwolić, by zrezygnował tak łatwo.**

**–Ale przecież czekałeś na nas tak długo, marzyłeś o nas, i chciałeś mieć**

**wreszcie rodzinę... To niesprawiedliwe!**

**Gunnar przyciągnął ją do siebie i przytulił.**

**–Teraz, gdy cię znalazłem, już cię nie opuszczę.**

**Selene cmoknęła zniecierpliwiona.**

**–Doprawdy wzruszające. Cóż za spektakl: znużony wędrowiec pada w ramiona odnalezionnej po latach córki! Zaraz się chyba znowu popłaczę.**

**Jej sarkazm dotknął Anaíd do żywego.**

**–To mój tata i nic tego nie zmieni. Skąd w tobie tyle zaciekłości? Nie umiesz wybaczać?**

**Selene z ironią zwróciła się do Gunnara.**

**–Pięknie! Już ją masz po swojej stronie. Przez piętnaście lat nie dajesz znaku życia, a potem w kilka godzin owijasz sobie córeczkę wokół palca i sprawiasz, że zaczyna kwestionować wszystkie moje decyzje. Fantastycznie!**

**Anaíd nie chciała tego słuchać. Selene wydawała jej się teraz zaciętą, niesprawiedliwą egoistką. Jak mogła tak po prostu odmawiać córce tego, na czym jej w tej chwili najbardziej zależało: prawdziwej rodziny?**

**–Scenka jak z bajki – ciągnęła jadowicie Selene. – Ojciec wraca do domu, prosi o kolację i dach nad głową, w zamian oferując miłość i bezpieczeństwo.**

**Ale życie to nie jest jedna z tych opowiastek, którymi zabawiała cię w dzieciństwie Demeter. Anaíd, twoja babcia zginęła z rąk Odish, a Gunnar był, jest i będzie jednym z nich. Stoimy po dwóch stronach barykady. Naszych interesów nie da się pogodzić. Rozumiesz? Zresztą nie obchodzi mnie, czy rozumiesz.**

**Każdym z tych słów – skądinąd szczerych i sensownych – nieświadomie popychała swoją półkrwi córkę ku Gunnarowi, budząc w niej coraz głębsze wątpliwości. Jako czysta Omar nie była w stanie zrozumieć, co znaczy odkryć w sobie załóżek**



ciemności.

–A ciebie żegnam – syknęła w stronę Gunnara.

–Nigdzie się nie wybieram – oświadczył w odpowiedzi.

–Chyba wyraziłam się jasno? – zdenerwowała się Selene. – Moja odpowiedź brzmi: nie. Nie Kocham cię i nie chcę cię więcej widzieć.

–Przyjechałem tu nie tylko ze względu na ciebie. Nie zamierzam zostawić Anaíd na łasce Baalat.

–Wymówki! – zachnęła się Selene. – Wynoś się!

–Żadne wymówki. Baalat depta wam po piętach i chwilowo ani ty, ani Anaíd nie potraficie jej powstrzymać.

Anaíd nie mogła dłużej milczeć.

–Wysyłała do mnie wiadomości, a ty nic mi nie powiedziałaś!

Selene pobladła.

–Zaglądaliście do mojej skrzynki?

–Przed chwilą przyszedł SMS. Od Baalat do mnie. Jak długo próbuje się ze mną skontaktować? – naciskała Anaíd.

–Nie chciałam, żebyś to czytała – szepnęła Selene. – To by mogło ściągnąć nam ją na głowę.

–Więc dlaczego nie skasowałaś tych SMS-ów?

–Na wypadek gdyby zawierały jakiś ślad, jakąś wskazówkę... Zamierzałam przesiać je Elenie, poradzić się jej...

–Nie zauważyłaś czegoś podejrzanego, jak byłaś na zewnątrz? – spytał z niepokojem Gunnar, po czym podszedł do drzwi, otworzył je i wyjrzał w ciemność.

Rozgwieżdżone wcześniej niebo zakryły chmury. Anaíd poczuła dreszcz. Miała wrażenie, że dziwny cień kładzie się na pobliskich migdałowcach. Czy jej się tylko zdawało, czy rzeczywiście coś się zmieniało w otaczającym ją krajobrazie? Jej oczy ledwie wyławiały z mroku żółte kwiaty rosnącego nieopodal janowca. Spacerując wcześniej z Selene, zwróciła na nie uwagę, bo skąpane w księżycowym blasku połyskiwały jak złotawe perły. Teraz coś się działo i tylko obecność Gunnara pozwalała jej zachować spokój.

**Selene natomiast postanowiła chyba nie przyjmować do wiadomości faktów.**

**–Do czego niby miałbyś nam się przydać? Przecież zrezygnowałeś z magicznej mocy.**

**–Zrezygnowałem. Co nie zmienia faktu, że umiem walczyć. Byłem bokserem.**

**Selene klasnęła w dłonie.**

**–Wiesz co? Ale my już mamy obrońcę. Jusufa ibn Tashfina,**

**almorawidzkiego wojownika, gotowego wezwać nam na odsiecz swoją widmową armię.**

**–Mamo, w naszej sytuacji powinniśmy być wdzięczne za każdą pomoc –**

**wtrąciła zdecydowanie Anaíd. Choć powiedziała „mamo”, w jej słowach**

**brzmiał rozkaz, który tak sprawił, że Selene opadła na krzesło, zgadzając się tym samym na chwilowe zawieszenie broni.**

**–Jak sobie chcesz. Tylko nie mów potem, że cię nie ostrzegłam. Anaíd chwyciła Gunnara za rękę i pociągnęła go w głąb przyczepy.**

**–Zostań, proszę. Nie zwracaj na mamę uwagi.**

**Przyczepa, choć niewielka, okazała się jednak wystarczająca dla trzech osób. Choć słyszeli nawzajem swoje oddechy, a nawet wyczuwali ciepło, każde bez przeszkód pograżyło się we własnych myślach.**

**Anaíd potarła swój pierścionek ze szmaragdem i natychmiast zmaterializował się przed nią Jusuf ibn Taszfin, usłużny jak zawsze i schylony w głębokim ukłonie.**

**–Będę nad wami czuwał, pani. Spijcie spokojnie. Selene i Gunnar nawet**

**nie drgnęli: nie widzieli ani nie słyszeli ducha. Świadomość, że ma większą**

**moc niż jej rodzice, bynajmniej nie poprawiła Anaíd nastroju.**

**Zresztą cóż z nich była za rodzina? Omar, Odish i... ich córka. Trzy wierzchołki wykrzywionego trójkąta.**

**Dziwna rodzina.**

## Rozdział II Przymierza

Najpierw błysnęło, a kilka sekund później rozległ się grzmot. Anaíd poderwała się gwałtownie, zapominając, że znajduje się na piętrowym łóżku w przyczepie kempingowej, tuż pod metalowym sufitem. Natychmiast uderzyła się w głowę i krzyknęła. Zamiast głosu Selene usłyszała głos męczyzny, miękki jak irlandzka ballada, kojący.

–Śpij, Anaíd, to tylko burza. Śpij, córeczko.

Opadła na poduszkę i zdrzemnęła się znowu, ukołysana łagodną, nuconą przez ów męski głos melodią. A może uspokajały ją tak czyjeś ręce? Pogrążona w półśnie czuła, jak duża dłoń czule gładzi ją po twarzy i odgarnia grzywkę z czoła. Dłoń była naprawdę duża – zakrywała niemal całą jej twarz – szorstka, ciepła i trochę niezgrabna, jakby dawno nikogo nie dotykała.

Ta dłoń, stwardniała od pracy i pokryta bliznami, nawykła do zaciskania się na grubych linach i rękojeściach mieczy, należała do Gunnara, który czuwał, pogrążony w milczącej i pełnej zachwyty kontemplacji uśpionej córki.

Selene też nie zmrużyła oka. Nieruchoma na swoim łóżku, zwinięta w kłębek, starała się odganiać cisnące się do głowy myśli, by Gunnar przypadkiem ich nie podsłuchał albo nie wyczuł.

Oboje byli tak zasłuchani w siebie, że nie zwracali uwagi na to, co działo się za oknem, dopóki wichura nie zaczęła niebezpiecznie kołysać przyczepą. Kiedy w dodatku deszcz, smagający dach milionem kropel, zamienił się w grad, także Anaíd rozbudziła się ostatecznie. Coś jej mówiło, że ta burza nie wróży niczego dobrego.

Gunnar najwyraźniej podzielał jej obawy.

–To Baalat. Selene – czy to z przekory, czy z przekonania – natychmiast zaprotestowała:

–To zwyczajna burza.

Burza – i owszem, ale na pewno nie zwyczajna. We wściekłym porywie, jakby urażona lekceważeniem Selene, wichura uderzyła w lewy bok wozu,

wpychając do środka szybę okienka w malutkiej kuchni. Kawałki lodu, wielkości skowrończych jaj, zaczęły wpadać do środka.

–Odsuń się! – krzyknął Gunnar do Selene, która instynktownie rzuciła się

**naprawiać szkody.**

**Gdy przycupnęła w kącie, złapał przymocowany do podłogi laminowany stolik i pociągnął. Mięśnie karku i ramion napięły mu się jak postronki. Stolik ustąpił i Gunnar zasłonił nim puste okno, powstrzymując ostrzał lodowych pocisków.**

**–Szybko! Pomóżcie mi! Trzeba to podeprzeć. Anaíd skoczyła na równe nogi i na bosaka podbiegła w jego stronę.**

**–Uważaj na szkło!**

**Czuła na stopach zimne ukłucia lodu, a może potłuczonej szyby – wszystko jedno, i tak nie miała czasu szukać butów.**

**Kilka minut później Selene zgarniała szufelką grad z podłogi, Gunnar zabijał pechowe okno, używając w tym celu stolika, którego nogi podpierała ramionami Anaíd, przytrzymując go na odpowiedniej wysokości. Kiedy Gunnar odłożył młotek i wytarł pot z czoła, wiatr i deszcz nagle zelżały.**

**Anaíd była oczywiście zadowolona, że przyczepa nie zostanie rozniesiona w puch, ale odczuwała zarazem rodzaj zniechęcenia na myśl, że cała ich praca okazała się właściwie niepotrzebna.**

**Selene nie omieszkała, rzecz jasna, wyrazić podobnej opinii na głos.**

**–Świetnie. Niszczysz stolik, dziurawisz podłogę i ściany, a wszystko to bez sensu. Popatrz, ledwie mży.**

**Gunnar wszakże nie zwrócił na nią większej uwagi.**

**–Ciii... Nie czujesz?**

**Owszem, czulą. Już od dłuższej chwili czulą, jakby czyjaś lodowata ręka obmacywała ją, próbując sięgnąć do wnętrza. Selene starała się to ignorować, ale Gunnar miał rację. Nie chciała jednak tego przyznać.**

**–Czuję głównie irytację. Już się przejaśnia.**

**–To cisza przed burzą.**

**–Burza już była, jakbyś nie zauważył.**

**–Mylisz się. To był dopiero wstęp.**

**Anaíd, przyznając mu w duchu rację, skupiła się na tym, by WIDZIEĆ poprzez**

**ciemność. I wkrótce zobaczyła na niebie cień, który – niby magnes -przyciągał do siebie chmury, piętrząc je i niebezpiecznie rozdymając. Były to**

**prawdziwe monstra przybyłe z najodleglejszych zakątków ziemi, posłuszne potężnemu zaklęciu, które koncentrowało w nich moc tysiąca nawałnic.**

**Jednakże próbę WSŁUCHANIA SIĘ w zagrożenie udaremniła córce Selene, otwierając z rozmachem drzwi i wykazując się wyjątkową nawet jak na siebie nadpobudliwością.**

**–Widzicie? To deszcz, zwykły deszcz. Może co najwyżej przemoczyć.**

**Po tych słowach wyskoczyła z przyczepy i uniósłszy ramiona, zaczęła wirować, śmiejąc się i wykrzykując: Woda, chłodna, przepyszna woda!**

**Krople spływały jej po twarzy i kapały na język, który wystawiła jakby w nagłym ataku pragnienia. Chodź, Anaíd, potańczymy jak zwykle!**

**Anaíd przypatrywała się temu w osłupieniu. Ubranie kleiło się Selene do ciała, włosy ociekały wodą. W całej tej swojej ekstrawagancji matka wyglądała jeszcze piękniej niż zwykle. Widoczne za jej plecami migdałowce białeły w ciemności, nie od kwiatów jednak, lecz od bryłek lodu, które tkwiły gdzieś między ogołoconymi przez wichry gałęziami. Pnie, smagane przez przybierające znów na sile podmuchy, zdawały się skręcać jak ciała w agonii.**

**–Mamo, wracaj! To niebezpieczne!**

**–Chodź, Anaíd, porozkoszuj się wiosenną burzą!**

**Nie, to nie była wiosenna burza. Anaíd, obdarzona mocą potężniejszą od mocy matki, WIDZIAŁA, jak w polśniewajacych na ziemi kryształkach lodu, niczym w zwierciadłach, odbijają się szpony Baalat.**

**–Mamo! To ona! Jest tutaj! Pamiętasz, co się stało? Sama ją wezwałam!**

**Selene przystanęła. Cała przemoczona, dysząc, wzięła się pod boki i oświadczyła z mocą:**

**–To wszystko sztuczki twojego ojca. To on nas tropił i zaatakował, abyśmy się przestraszyły i pomyślały, że jesteśmy w niebezpieczeństwie.**

**W tym samym momencie Gunnar przeskoczył ponad córką – rzecz niełatwa, jako że Anaíd była już dość wysoka – można by właściwie rzec, iż przefrunął, wylądował koło Selene i bez słowa mocno uderzył ją w głowę. Następnie przerzucił sobie**

nieprzytomną przez ramię jak szmacianą lalkę i rzucił się pędem w stronę migdałowców. Ręce i nogi Selene kołysały się w rytm jego susów.

Wszystko trwało ledwie parę sekund. Wstrząśnięta Anaíd dopiero po chwili wyciągnęła *atame* i ruszyła ratować matkę z rąk tego, kogo jeszcze parę minut wcześniej uważała za najwspanialszego ojca na świecie.

Jak mogła być aż tak ślepa? Jak mogła dać się w ten sposób podejść? Biegając, krzyczała: „Puść ją”, albo może tak jej się tylko zdawało, nie miała pewności, bo nie słyszała swego głosu. Skupiona na pościgu za zdrajcą, któremu

pochopnie zaufała, nie zauważyła nawet, że powietrze rozbrzmiało nagle potwornym szumem spiętrzonych mas wody, zagłuszającym wszystkie inne dźwięki. Zorientowała się zbyt późno.

I obejrzawszy się, zmartwiała.

Z tyłu błyskawicznie zbliżała się gigantyczna fala, zmiatając wszystko, co znajdowało się na jej drodze. Jak inne powodzie, nadeszła nagle, choć bynajmniej nie wzięła się znikąd. Głębokie, wyschłe koryto strumienia wypełniło się wodą górskich potoków, które w mgnieniu oka zamieniły się w rozszalałą rzekę, żarłocznymi liźnięciami porywającą drzewa, skały i zwierzęta.

Anaíd stała jak skamieniała na samym środku koryta, które już za chwilę wypełnić się miało wodą. Ryk żywiołu paraliżował ją tak, jak jej przodków musiał niegdyś paraliżować ryk lwa. Zahipnotyzowana niszczycielską mocą kataklizmu, nie była zdolna się ruszyć. Nawet gdy poczuła obejmujące ją ramiona, nie ocknęła się z transu. To Gunnar, ułożywszy Selene na porośniętym sosnami pagórku, przybiegł na pomoc córce, podniósł ją jak piórko i bezceremonialnie wyrzucił na brzeg. Zaraz potem rozpędzona woda uderzyła w mężczyznę z całą siłą i porwała go niby wiotką gałązkę.

–Nie! – krzyknęła Anaíd, zrywając się z pokrytej sosnowymi igłami i żywicą

ziemi, wpatrzona w migającą wśród wściekłych fal postać ojca.

Widziała, jak Gunnar próbuje się chwytać przepływających obok gałęzi, żadna z nich nie była jednak dość mocna, by utrzymać taki ciężar.

Selene leżała nieprzytomna, a Gunnar coraz rzadziej wypływał na powierzchnię. Anaíd zrozumiała, że jeśli mu nie pomoże, ojciec za chwilę utonie. Miała naprawdę mało czasu, by zebrać się w sobie.

Skupiła całą uwagę na wodzie. Nigdy wcześniej nie próbowała się z nią mierzyć i przewidywała trudności, ale jeśli wodne Omar potrafiły uśmierzać oceany, ona,

wtajemniczona przez Klan Delfinicy, mogła chyba powstrzymać powódź. Uniosła ręce dłońmi do góry i zaintonowała w starym języku:

*–Osneted semenditlor!*

Wydobywające się z jej ust słowa emanowały mocą, która ogarnęła jej umysł i ciało, by po chwili objąć też przetaczającą się w dole rzekę. Anaíd siłowała się z nią przez długą chwilę, odnosząc wrażenie, że trwa to już całą wieczność. Prąd był potężny i siła przywoływanej w pojedynkę magii nie wystarczała, by go ujarzmić. Anaíd zaczynała słabnąć, czuła sztywnienie palców i bolesne skurcze we wzniesionych ramionach. Nie poddawała się jednak – chodziło przecież o życie Gunnara. Stała wyprostowana, nieustępliwie mierząc się z chaosem, aż wreszcie napięcie powoli zelżało, rzeka zwolniła i opadła, by w końcu przemienić się w nieszkodliwy potok.

Anaíd, całkowicie wyczerpana, opuściła ręce i przymknęła powieki, ale zaraz potem, odetchnąwszy głęboko, rzuciła się tam, gdzie, jak sądziła, należało szukać Gunnara.

I rzeczywiście, znalazła go kilkaset metrów dalej: był siny i nie oddychał. Nie tracąc głowy, uklękła, przyłożyła dłonie do jego piersi i nacisnęła, by resztką sił spróbować wypompować z niego wodę, blokującą mu płuca i tchawicę. Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy – pracowała wytrwale w końcu z ust nieprzytomnego wypłynął cienki strumyczek. Potem Gunnar zakrztusił się i zacharczał. Ale nie odzyskiwał świadomości. Anaíd pochyliła się nad nim, zatkała mu nos i zrobiła sztuczne oddychanie, nie zapominając o masażu serca. Kiedy poczuła, że życie zaczyna powoli wracać w to ogromne ciało, wzruszyła się jeszcze bardziej niż wtedy, gdy zobaczyła ojca po raz pierwszy, stojącego w progu przyczepy kempingowej. Było tak, jakby asystowała przy jego powtórnych narodzinach.

Gunnar zamrugął i otworzył oczy, jednym spojrzeniem oceniając sytuację. Był szybki, bardzo szybki. Pierwszy zrozumiał, co się święci, i uznał, że lepiej Selene znokautować niż wdawać się z nią w kłótnie i pozwolić, by się utopiła.

–Co z twoją mamą? – wyszeptał, wpatrując się w Anaíd.

–Nic jej nie jest, leży tam, gdzie ją zostawiłeś. Gunnar dźwignął się na nogi i sam, bez pomocy córki, zrobił kilka chwiejnych kroków. Potem przykucnął, zwymiotował wodę, której się opił, i już minutę później sprawiał wrażenie, jakby przed chwilą wcale nie otarł się o śmierć, lecz jedynie zanurkował dla przyjemności.

–To ty zatrzymałaś wodę? – spytał, ujmując Anaíd za rękę.

–Inaczej byś się utopił.

— Musisz być bardzo zmęczona. To straszny wysiłek. W tym momencie Anaíd uświadomiła sobie, że faktycznie ledwie stoi.

**–Najważniejsze, że już po wszystkim – westchnęła. Gunnar wziął ją naręce i dopiero wtedy sprostował:**

**–Przykro mi, ale to dopiero początek.**

**Błyskawica oświetliła okoliczne pola jak raca poprzedzająca wybuch petardy. Potem niebo rozprysło się na tysiące kawałków. Potężne wyładowania następowały jedno po drugim, pioruny uderzały wszędzie wokół, błyski oślepiały, huk omal nie rozrywał bębenków. Jednak Gunnar, chcąc ratować Selene, uparcie dążył ku sosnowemu zagajnikowi, który z bezpiecznej kryjówki zmienił się nagle w śmiertelną pułapkę. Rażone piorunami drzewa padały teraz jedno po drugim.**

**Anaíd pomyślała półprzytomnie, że to chyba koniec świata. Nie było gdzie się schronić. Ogień i elektryczność siały prawdziwe spustoszenie. Baalat znajdowała się tuż-tuż, a ona, Anaíd, nie miała siły ruszyć palcem.**

**Dotarli wreszcie do miejsca, gdzie Gunnar zostawił Selene, ale znaleźli tam jedynie opaskę, którą zwykła przytrzymywać włosy.**

**Gunnar postawił Anaíd na ziemi, krzycząc rozpaczliwie:**

**–Selene!**

**A w następnej chwili już pędził jej szukać.**

**Przerażona Anaíd chciała zawołać, żeby nie zostawiał jej samej, lecz nie potrafiła wydobyć z gardła żadnego dźwięku. Wkrótce głos i postać ojca rozplynęły się w oddali. Z tego właśnie momentu skorzystała Baalat.**

**Anaíd poczuła – tym razem bardzo wyraźnie – jak wilgotna, lepka macka sunie po jej twarzy, usiłując wpełznąć do ucha. Wstręt okazał się silniejszy niż strach i Anaíd jednym ruchem straciła niewidzialne obrzydlistwo. Na skórze rąk pozostała jej jednak kleista, podobna do miodu substancja, od której zesztywniały i straciły czucie obie dłonie. Palce, nagle jakby obumarłe, stwardniały – na jednym z nich tkwił bezużyteczny w takiej sytuacji pierścionek ze szmaragdem.**

**Nie mogła wezwać Jusufa ibn Taszfina. Była całkiem sama, zdana na własne siły.**

**Stwierdziła ze zgrozą, że odrażająca, zimna macka wpycha jej się teraz do jednej z dziurek w nosie. Anaíd zacisnęła zęby, opanowując mdłości i nagłą chęć, by zacząć się wyrwać. Pomna, że chaotyczna samotanina w niczym jej nie pomoże, zebrała siły: należało użyć magii, zablokować umysł przed obcym wpływem.**

**Udało jej się to kosztem ogromnego wysiłku woli.**



**I podczas gdy ziemia dygotała pod uderzeniami gromów, krzaki płonęły, potrzaskane drzewa przewracały się z suchym trzaskiem, a Gunnar desperacko poszukiwał Selene, Anaíd, leżąc na warstwie sosnowych igieł, z gaikami ocznymi uciekającymi pod powieki, toczyła milczącą walkę z Baalat.**

**Jednakże magia nekromantki powoli pokonywała stawiany przez dziewczynkę opór. Umysł Anaíd pozostawał zablokowany, lecz jej ciało słabło od kolejnych miotających nim spazmów, które stopniowo zaczynały przypominać agonalne drgawki. Zęby zaciskały się aż do bólu, każda komórka, każdy mięsień i każdy nerw napinały się do ostatecznych granic. Nie mogła już dłużej. Wreszcie była tylko człowiekiem, jej serce mogło stanąć w każdej chwili. A to oznaczało śmierć.**

**Śmierć?**

**Anaíd zawahała się i ta chwilowa dekoncentracja wystarczyła Baalat w zupełności.**

**Straszna Odish wdarła się do wnętrza dziewczynki przez usta, uszy i nos, zajęła jej ciało i mózg, co wywołało potworny ból głowy.**

**Anaíd krzyknęła, ale nikt jej nie usłyszał.**

**Baalat opanowywała kolejne połączenia nerwowe, owijała się jak wąż wokół najtajniejszych myśli.**

**Anaíd miała okropne wrażenie, że lodowata dłoń bezlitośnie miażdży jej wspomnienia z dzieciństwa, wytacza krew z jej pamięci, grzebie w uczuciach. Baalat szukała jakiegoś śladu po berle i w końcu dopięła swego: wiedziała już teraz, że upragnione insygnium leży w przyczepie, owinięte w ręczniki i schowane w walizce.**

**Anaíd wciąż jeszcze udawało się zachowywać własną świadomość, nie ulegało jednak wątpliwości, że wkrótce ją utraci, a wtedy jej ciało zostanie zdane na łaskę prześladowcy.**

**–Nie poddawaj się – szepnął jakiś zimny głos tuż obok.**

**Odwoływał się do tej drobnej cząstki jej umysłu, która pozostawała jeszcze niezależna – maleńkiego przyczółka wolności na terytorium zajęтым przez wroga. Anaíd próbowała zastosować się do tej rady, ale jej pamięć wypełniały i ci aż budzące grozę sceny składania ofiar, dziwne obrazy rzymskich legionów maszerujących w chmurze pyłu...**

**–Anaíd, broń się! – syknął znowu głos.**

**Zebrała resztki energii, przekonując samą siebie, że ów dziesiętnik, który wraz ze swą lancą stoi jej przed oczami, ID nie jej własne, lecz cudze wspomnienie.**

Odepchnęła je więc i Rzymianin zniknął.

–Doskonale. A teraz wyrzuć z siebie Baalat. Zamknij swój umysł –  
zdecydowanie nakazał głos.

I Anaíd usłuchała.

Powoli, lecz konsekwentnie wypierała z siebie tę masę obrazów, których nie widziała na oczy, okruchów życia, którego nie przeżyła, potworności, z którymi na szczęście nie miała nic wspólnego. I czuła, jak Baalat się waha, a potem wycofuje. A raczej pozwala się wywlekać na zewnątrz. Anaíd zrozumiała: pomagał jej tamten głos.

–Teraz, Anaíd, teraz! – zawołał w pewnej chwili.

Nie zmarnowała okazji. I oto znowu była wolna.

Z trudem łapiąc powietrze, podniosła drżące, lecz sprawne ręce do twarzy. Dygotała jak listek osiki.

W każdej chwili spodziewała się nowego ataku. Ten jednak nie nastąpił.

Między drzewami snuła się lepka mgła. Anaíd rozglądała się w zdumieniu. Gdzie się podziała Baalat? Co z głosem, który tak jej pomógł? Cisza, pustka. Nikogo.

Przesunęła dłońmi po nogach, uzdrawiając poszarpane tkanki. Dzięki magii zmaltretowane ciało wkrótce odzyskało poprzedni wygląd. Anaíd dźwignęła się na nogi, lecz kiedy, niepokojąc się o pozostawione w przyczepie berło, chciała podbiec, zawrót głowy natychmiast powalił ją na ziemię. I I całe szczęście, bo w tej samej chwili trafiony piorunem pojazd wyleciał w powietrze: pojemniki z benzyną zadziały jak bomba, a płomienie, które wystrzeliły z resztek przyczepy, były tak wysokie, że osmaliły czubki nielicznych oszczędzonych przez burzę drzew.

Anaíd, ogłuszona wybuchem, skuliła się, usiłując osłonić głowę przed deszczem odłamków i popiołu, I wtedy, kątem oka, zobaczyła berło: lśniąco, szybowało w powietrzu jak ognisty ptak, by po doskonałym łuku opaść ulegle do stóp Anaíd.

–Nie dotykaj go! Nie dotykaj! – dobiegł ją z oddali głos pędzącej między sosnami Seline.

Anaíd była oszołomiona. Wokół działo się tyle dziwnych rzeczy... Potrzebowała rady. Potarła więc pierścionek ze szmaragdem i natychmiast stanął przed nią Jusuf, dzierżąc w dłoni wzniesiony miecz.

–O pani, jeśli pytacie, co zrobić z berłem, odpowiem: należy do was.

**–Czy powinnam go użyć?**

**–Wszak upadło do waszych stóp. Pozwólcie jednak, że pierwaj wezwę swoich wojowników.**

**Tak też uczynił. Milczący, niewidzialni, zahartowani w bojach rycerze otoczyli Anaíd kręgiem. Ale ona nawet w ich obecności nie śmiała dotknąć berła, od którego bił żar.**

**–Anaíd, to pułapka! – wydyszała, nadbiegając, Selene, z trwogą**

**wymalowaną na twarzy. – Uważaj! Nie jesteś gotowa, by nad nim zapanować,**

**Baalat natychmiast skorzysta z okazji!**

**Za Selene podążał Gunnar. Oboje odetchnęli z ulgą, widząc, że Anaíd nic się nie stało, i – jakby rzeczywiście potrafili porozumiewać się bez słów -przedarli się przez milczących almorawidzkich rycerzy, wzięli się za ręce i otoczyli dziewczynkę magicznym kręgiem utworzonym z wyciągniętych ramion: Omar i Odish – zjednoczeni, by chronić wspólne dziecko. Za nimi zaś tłoczyli się wojownicy Jusufa, przytrzymując wodze niespokojnych wierzchowców. Wewnątrz tych dwóch okręgów Anaíd poczuła się chroniona, bezpieczna.**

**–Tak czy owak berło jest twoje – szepnął Gunnar.**

**–Weź je, Anaíd – rzekł ów zimny głos, który obronił ją przed Baalat.**

**–Nie ruszaj go – powtarzała Selene.**

**Gdzieś za plecami rodziców i niewidzialnych rycerzy Anaíd wyczuwała wściekłość Baalat. Potężna Odish pragnęła berła jak niczego w świecie. A zatem ten, kto dostałby je przed nią, byłby górą. Kogo należało usłuchać? Szalę przeważył tajemniczy głos, mówiąc:**

**–Anaíd, masz szansę pokonać Baalat, weź berło, nie czekaj, aż ona zrobi to przed tobą!**

**I Anaíd, ulegając jego namowom, wyciągnęła rękę po złote insygnium matki O.**

**Nie oparzyła się ani nie pożałowała swojej śmiałości. Z magicznego metalu trysnęła natychmiast fala energii, ciepły strumień popłynął wraz z krwią Anaíd, wzmacniając ją od stóp do głów.**

**Berło było piękne, pulsowało między jej palcami, wywołując w nich mrowienie.**

**Anaíd powoli stawała się coraz lżejsza, wręcz nieważka, iż w końcu zaczęła wznosić**

się w powietrze jak porwane przez wiatr piórko. Potem, zdumiona, zobaczyła samą siebie z góry. Nie rozumiała, co się dzieje. Frunęła? Lewitowała? Co się z nią stało?

A stało się ni mniej, ni więcej, tylko to, że jej duch oddzielił się od ciała i ulegając zaklętej w berle woli, szybował ku jakimś spektralnym wymiarom.

Przyjrzała się sobie z ciekawością. A więc ta smukła, wyższa i szczuplejsza od Selene dziewczyna o niebieskich, przejrzystych, chłodnych jak góra lodowa oczach i białej, niemal przezroczystej skórze – to była ona? Przypominała Lodową Damę, Cristine, swoją babkę. Czy tak widzieli ją inni? Im dłużej patrzyła, tym bardziej się zdumiewała i tym większą odczuwała fascynację tą delikatną siłą, która z niej biła.

W tym momencie zewnętrzny krąg złożony z wojowników Jusufa zaatakowała horda dzikich bestii. Anaíd nie potrafiła stwierdzić, czy były to pantery, hieny czy szakale. Niebaczne na miecze widmowych rycerzy, z obnażonymi kłami skakały na końskie grzbiety.

Anaíd pragnęła teraz opaść na ziemię, połączyć się z powrotem ze swoim ciałem i pomóc rodzicom, ale niespodziewanie usłyszała trzask, poczuła gwałtowny ból i coś jakby szarpnięcie. Co się znowu działo?

Nagle odkryła, że nic nie widzi, otoczona przez gęstą ciemność. W dole, niby gigantyczna, zakrywająca ziemię opończa, rozciągała się mgła. Nić łącząca Anaíd ze światem pękła, jej duch dryfował bez celu w innym wymiarze.

Ale nie była sama.

Tuż przed sobą miała Baalat. Rozpoznała ją od razu, choć straszna Odish kryła się teraz w ciele śliskiego węża o wielu ramionach, rozdwojonym języku i podobnych do szparek oczach. Potężna i błyszcząca jak kometa, zachłannie wyciągała macki po berło. Anaíd zrozumiała, że o to chodziło: oddzielona od ciała, stanowiła łatwy tup. Dała się schwytać w pułapkę, ściągnąć na teren swojej przeciwniczki.

Zaczęła zaciekle walczyć. Berło należało do niej. Przez mgłę dobiegł ją słaby głos Selene:

–Nie pozwól mu sobą zawładnąć, Anaíd!

Lecz ona słuchała jedynie zimnego głosu, który kazał jej zmierzać wprost w lśniące sploty węża.

–Chodź tu do mnie, Anaíd, no, chodź – szeptała. Odish. Te słowa

rozbrzmiewały wyraźnie. Anaíd nie upadła jednak na duchu. Zamierzała,

**udowodnić, kto tu jest silniejszy i komu należy się berło.**

**Wisiała w próżni, tuż przed swą przeciwniczką, szacując jej i własne sity. Głos Selene ponownie przedarł się przez zasłonę mgły:**

**–Uciekaj, Anaíd, uciekaj!**

**Jednakże Anaíd nie uciekła. Berło ciągnęło ją ku Baalat, aż w końcu znalazły się tak blisko, że trudno byłoby odróżnić jedną od drugiej.**

**Mając berło, nie bała się wcale. To była jej magiczna broń, zdolna zniszczyć Baalat. I Anaíd powoli uniosła ramię, chcąc roztrzaskać czaszkę węża. Ale nie potrafiła zrealizować zamiaru. Choć wyteżała wolę, berło odmawiało jej posłuszeństwa.**

**–Zniszcz ją! Rozkazuję ci zniszczyć Baalat, Ciemną Damę – wyszeptała w starym języku.**

**Szyderczy śmiech zbił ją z tropu. Nie wierzyła własnym oczom. Oto berło, śliskie jak węgorz, wysuwało się z jej dłoni i opadało wprost w wyciągniętą mackę tamtej. I nic nie dało się na to poradzić. Niczemu nie służyły magiczne zaklęcia, cały młodzieńczy upór, napięta do ostatnich granic wola ani nagły gniew. A potem złote insygnium znalazło się tam, gdzie nie powinno i pośród ciemności zagrzemiał głos Baalat:**

**–Wybrało mnie! Teraz jest moje!**

**Z tymi słowami straszliwa Odish wycelowwała berło w Anaíd, która poczuła, że się dusi, i w rozpaczliwej próbie zaczerpnięcia powietrza otworzyła szeroko usta. Podniosła dłonie do szyi, jakby chciała zerwać zaciskającą się na niej obręcz. Baalat nie musiała się nawet ruszać z miejsca – wystarczyło, że przekazywała swoją morderczą wolę berłu.**

**W umyśle Anaíd zaroilo się od fragmentów wspomnień. Ujrzała swoją babcię, Demeter, z siwym warkoczem i szarymi oczyma, prowadzącą ją za rękę przez dębowy las i pokazującą jej przykryte zeschniętymi liśćmi trujące grzyby *Amanita muscaria*. Ujrzała śniadego, czarnookiego Roca z. dołeczkami w policzkach, śmiejącego się z niej, bo w czarnej wodzie sadzawki pomyliła własną rękę z rzeczną żmiją. Ujrzała stateczną ze swym wielkim brzuchem Elenę, podającą jej książkę z obrazkiem małej Chinki w okrągłym kapeluszu, i Karen, badającą ją i ważącą z wyrazem niezadowolenia na twarzy. Ujrzała wreszcie Selene, tulącą ją do piersi i okrywającą pocałunkami. Wszystko to migalo jej przed oczyma, podczas gdy krew rozprowadzała po jej komórkach resztki tlenu, oczy zaś zachodziły bielmem śmierci.**

**I kiedy sądziła już, że przekracza właśnie bramy królestwa umarłych, do jej gardła wdarł się haust świeżego powietrza i życie powróciło w jej żyły, napęlniając je**

**pulsującą krwią. Co się stało? Co się działo?**

**Natychmiast zrozumiała. Nie były już z Baalat same. Między nimi stała jaśniejąca zimnym światłem kobieta o zasłoniętej twarzy, zajadle walcząc z potwornym wężem.**

**Anaíd przetarła oczy. Nieznajoma wyglądała jak wróżka – milcząca, mściwa i zwycięska wróżka rozsyłająca śmiertelne białe promienie. Baalat nie miała z nią szans.**

**Kim była ta osoba?**

**I co z berłem?**

**Anaíd odszukała je wzrokiem: dryfowało w przestrzeni, ponownie wzywając ją ku sobie. Chciała je złapać, ale przeszkadzała jej własna nieważkość. A potem nagle poczuła ziemskie przyciąganie i pojęła, że zaraz spadnie.**

**–Berło! – krzyknęła rozpaczliwie, wyciągając ku niemu ramię.**

**Jednakże tajemnicza osoba, właścicielka zimnego głosu, zwyciężczyni Baalat, była szybsza: chwyciła berło w swoje świetliste dłonie i znikła.**

**–Moje berło! – jęknęła Anaíd, lecąc w dół.**

**Obok niej spadał bezgłowy wąż, chwilę wcześniej ugodzony zaklęciem, które trysnęło z *atame* Gunnara – jeśli oczywiście ten toczący pianę z ust i ciskający gromy z oczu berserker naprawdę był Gunnarem.**

**Stojąca za nim Selene posiała zaklęcie w samo serce bezwładnego monstrum. Czar przestał działać.**

**Waleczni rycerze Jusufa ibn Taszfina, pokryci krwią pokonanych bestii, poranieni, z porozrywanym odzieniem, też grupowali się już wokół swego wodza.**

**Selene przyklękła nad córką i przytuliła ją z całej siły. Anaíd słyszała szloch matki, gorące łzy spływały jej po karku jak uzdrawiający prysznic dobrych emocji.**

**–Anaíd, córeczko, malutka...**

**I Anaíd pozwoliła się ukołysać, czując się znowu małą dziewczynką, dzieckiem w ramionach matki.**

**Rozdział III**

**Zdrady**

**Gdy samochód stanął, Anaíd przebudziła się. Miała wrażenie, że jest malutka jak ziarenko soczewicy leżące na czyjejś dłoni – może dlatego, że spała z głową na kolanach matki, na tylnym siedzeniu, a teraz czuła dotyk**

**długich palców, rysujących jej na plecach tajemnicze litery, których sens należało odgadnąć. Dzięki tej zabawie ona i Selene wymykały się niegdyś surowej dyscyplinie wprowadzonej przez Demeter. Anaíd zaśmiała się, wspominając, jak matka kusiała ją czekoladowymi pralinkami, które zjadały po kryjomu w ptaszarni służącej czasem za garaż. W ciemności, skulone w samochodzie jak dwie psotne dziewczynki, rozkoszowały się zakazanymi słodyczami. Potem ona układała się na zakurzonej tapicerce, a Selene pisała jej na plecach, zupełnie jak teraz.**

**Anaíd skupiła się na kreślonych przez matkę literach, które układały się, o ile dobrze rozumiała, w słowa: „Moja malutka”.**

**Szczególnie jej się podobało, gdy Selene głaskała ją po włosach i rysowała kółeczka na karku, co było tak przyjemne, że pragnąc, by trwało jak najdłużej, Anaíd postanowiła udawać, że jeszcze śpi.**

**Niestety, Selene już wkrótce szepnęła:**

**–Anaíd, Anaíd... Obudź się, jesteśmy na miejscu.**

**Nawet nie zapytała – gdzie. Nie miała już domu, a jej ostatnie schronienie, wynajęta przyczepa kempingowa, wyleciało w powietrze po ataku Baalat. Zamieniły się z matką w koczowniczkę, uciekinierkę bez bagażu, bez' niczego, co by do nich należało. Dziwna była świadomość, że się nic nie posiada. Dziwna, a zarazem uspokajająca. Bo każdą z utraconych rzeczy dało się zastąpić i Anaíd zaczynała rozumieć, że ważni są jedynie ludzie oraz**

**wspomnienia – czyli życie. Do domu w Urt mogła wrócić myślą w każdej chwili, a tam czekały na nią jej zabawki, książki, fotografie, zapachy i dźwięki zapamiętane z dzieciństwa.**

**Zanim otworzyła oczy, zgodnie z zaleceniami Demeter kilkakrotnie wciągnęła nosem powietrze. Jak wilczyca. Zapach saletry skojarzył jej się z Gunnarem. Oczywiście, znajdowała się przecież w jego samochodzie. Natychmiast przypomniała sobie dzikiego wojownika, który pozbawił głowy węża Baalat. Otworzyła oczy i gwałtownie usiadła, by przekonać się, że był to rzeczywiście Gunnar, ale ujrzała przed sobą zrównoważonego, przystojnego ojca rodziny, który uśmiechał się łagodnie do żony i córki, nieco zmęczony długą podróżą.**

**–Jak się spało? – spytał.**

**–Świetnie. Posapywała jak niemowlę – odpowiedziała za córkę Selene.**

Po raz pierwszy od spotkania z Gunnarem Anaíd nie wyczuła w jej głosie cienia wrogości. Może się pogodzili? Może im w tym pomogła ta okropna walka? Może miłość do niej, Anaíd, połączyła ich znowu mimo dawnych nieporozumień i ciężącego nad górą Domen przekleństwa czarownicy Bridget? Pełna nowej, być może przedwczesnej nadziei, Anaíd bała się przerwać panujące w samochodzie magiczne milczenie. W końcu Gunnar zatrzymał auto, wyjął kluczyk ze stacyjki i wysiadł.

–Pójdę spytać, czy mają wolne pokoje. Zaczekacie tutaj?

–Dobrze – skinęła głową Selene, nagle pełna dobrej "li, chętna do współpracy, zgodna.

Anaíd o mało nie podskoczyła z radości. Mama nabrała wreszcie rozumu! Widoczny za oknem Gunnar szybkim, zdecydowanym krokiem szedł w stronę hotelu. Anaíd poczuła nieprzewartą ochotę, by powiedzieć ojcu, że go kocha, że podziwia jego odwagę. Złapała za uchwyt drzwiach i... krzyknęła z bólu. Rękę miała gorącą i hiperwrażliwą. Obrzuciła ją zdumionym spojrzeniem. Cała dłoń była poparzona, czerwona i pozbawiona skóry.

–Co mi się stało? Selene popatrzyła na nią uważnie.

–To od berła. Znak.

–Jaki znak?

–Znak z proroctwa Odi – szepnęła ze smutkiem Selene. I Anaíd przypomniała sobie słowa przepowiedni.

*Od wszystkich odmienna, lecz trwa ponad wszystkich,*

*w królową się zmieni, swe żądze poskromi.*

*Przypadnie jej berło – jak przepowiedziano, dla Odish zniszczeniem, dla Omar zmrocznieniem.*

Berło. Zdradzieckie berło. Ale mimo bólu, jakiego teraz doświadczała, na samą myśl o złotym insygnium matki O i o błogości, którą czuła, dzierżąc je w ręku, zapragnęła go znowu.

–Gdzie ono jest? – spytała z niepokojem.

–Znikło – odparła przestraszona Selene. Anaíd odnosiła przez chwilę wrażenie, że brak jej powietrza.

–Niemożliwe.



**–A jednak.**

**–Naprawdę go nie masz? – dociekała Anaíd, przekonana, że matka chowa je gdzieś jak poprzednio.**

**Selene odpowiedziała dopiero po chwili.**

**–Co czujesz? Pragnienie, by znowu trzymać je w dłoni? Anaíd zawstydziała się. Ale tak właśnie było.**

**–Czy to źle?**

**–Niebezpiecznie – przyznała Selene. – Nie byłaś przygotowana.**

**Anaíd potrzebowała odpowiedzi na najważniejsze w tej chwili pytanie. Potworny niepokój nie pozwalał jej myśleć o niczym innym.**

**–Powiedz mi, gdzie jest berło.**

**Selene jednak zignorowała naglący ton córki.**

**–Ostrzegałam cię – oświadczyła. – Nie ty panujesz nad nim, lecz ono panuje nad tobą.**

**–Wzięłaś je?**

**–Ono znikło, Anaíd.**

**–W jaki sposób?**

**–Po prostu znikło.**

**Anaíd oddychała z coraz większym trudem. A zatem nic się jej nie przywidziało: ten blask, który układał się w kobiece kształty, po zniszczeniu Baalat zawiadnął berłem. Co to było? Kto to był? Jakaś Odish? Selene? Duch? Musiała wiedzieć.**

**–Berło należy do mnie.**

**–Przerażasz mnie, Anaíd.**

**–Dlaczego?**

**–Berło słucha woli silniejszej niż twoja, nawet jeśli to ty jesteś wybranką. Teraz mu ulegasz. Wystawiłaś się na niebezpieczeństwo, córeczko.**

**–Więc co powinnam zrobić?**

**–Zapomnieć o tej sprawie do czasu, aż ostatecznie zniszczymy Baalat. Anaíd zamruwała, zbita z tropu.**

**–To jeszcze jej nie zniszczyliśmy?**

**Sądziła, ba, była święcie przekonana, że zwyciężyli. Sama przecież widziała Baalat w postaci martwego, pozbawionego głowy węża. Potem przebili mu serce i spalili jego cielsko, jak nakazywał rytuał. Kto mógłby podnieść się po coś takim?**

**–Baalat już nie ma! – oświadczyła z przekonaniem, lecz wobec milczenia matki straciła nagle całą pewność.– Prawda?**

**–Nie, Anaíd. Baalat jest, owszem, słaba i odzyskiwanie sił zajmie jej trochę czasu, odzyska je jednak i powróci. Pragnie berła i prędzej czy później znów spróbuje po nie sięgnąć.**

**–Ale...**

**–Posłuchaj mnie, Anaíd – szepnęła Selene. – Posłuchaj mnie uważnie, bo kiedy zjawi się Gunnar, będziemy musiały udawać.**

**Anaíd zawahała się. Nie podobał jej się ton matki, nieufny i konspiracyjny. Włoski na karku zjeżyły jej się gwałtownie, co pozwalało przypuszczać, że za chwilę padną słowa, których wolałaby nie słyszeć. A mimo to usłyszała.**

**–Uciekniemy którejs nocy, gdy zaśnie. Musisz być w pogotowiu.**

**–Uciekniemy? – powtórzyła Anaíd nieswoim głosem. – Myślałam, że...**

**Zamilkła. Nie ulegało wątpliwości, że cokolwiek myślała, dla matki nie miało to znaczenia.**

**–Gunnar jest niebezpieczny, musimy się strzec. Anaíd poczuła, że zalewa ją fala gniewu.**

**–Tata uratował mi życie!**

**–To prawda.**

**–A więc?**

**–Naprawdę nie rozumiesz, że to on zabrał berło? – rzuciła z irytacją**

**Selene.**

**-Co? – wymamrotała Anaíd.**

**-To, co słyszałaś. Taki już jest, przewrotny z natury. Z zasady nie wolno mu ufać.**

**Oburzenie sprawiło, że Anaíd odzyskała głos.**

**-Walczył z Baalat, ryzykując życie!**

**-Owszem, widziałam. Co nie znaczy, że sam wszystkiego nie zaplanował.**

**-Co takiego miałby zaplanować?**

**-Atak.**

**-Atak Baalat? Zwariowałaś?**

**Zdaniem Anaíd trudno byłoby wyobrazić sobie większy absurd, Selene wszakże obstawała przy swoim.**

**-Za każdym razem, gdy coś się dzieje, powinnaś zadać sobie pytanie, kto**

**na tym skorzystał i w jaki sposób. Czasem warto. Dla mnie to jasne, że**

**Gunnar mógł ściągnąć nam Baalat na głowę tylko po to, żeby zabrać berło i**

**gdzieś je ukryć.**

**Anaíd zatkała uszy, żeby dłużej tego nie słuchać. Podobne pomysły nie mieściły jej się w głowie. Nie, chodziło po prostu o to, że zakochana w Gunnarze Selene była zazdrosna o jego miłość do córki.**

**-Tata mnie kocha.**

**-Nie sądzę. Wykorzystuje cię, posługuje się tobą jak narzędziem. Anaíd nie mogła już tego znieść.**

**-Twoim zdaniem nikt nie jest w stanie mnie kochać, co? Więc przyjmij**

**do wiadomości, że czy ci się to podoba, czy nie, są takie osoby. Na przykład**

**Roc!**

**Selene, zamiast odpowiedzieć, zrugać ją z charakterystyczną dla siebie gwałtownością, milczała, zupełnie jakby Anaíd trafiła w jakiś czuły punkt. Czy to wiązało się z Rokiem? Czy matka wiedziała o czymś, o czym ona, Anaíd, nie miała pojęcia? Coś przed nią ukrywała?**

**–Mamo, o co chodzi? Co z Rokiem?**

**Selene odwróciła głowę do okna, unikając jej wzroku. Nerwowo potarła palec serdeczny, jakby wciąż jeszcze nosiła na nim pierścionek ze szmaragdem i spodziewała się pomocy ze strony jakiegoś dobrego ducha. Wszystko to zaniepokoiło Anaíd jeszcze bardziej.**

**–Mamo, odpowiedz! Co się stało?**

**–Nie powinnaś sobie teraz zaprzętać tym głowy.**

**–Czym? – szepnęła rwącym się głosem Anaíd. – Czy Rocowi przytrafiło się coś złego? Wszystko z nim dobrze?**

**Selene westchnęła i wzięła ją za rękę.**

**–Tak, tylko...**

**–Tylko co?**

**–Wrócił do Marion – mruknęła Selene i znowu odwróciła wzrok, zakłopotana.**

**Anaíd spodziewała się różnych okropności: że Roc padł ofiarą jakiejś Odish, że miał wypadek albo nawet – że zwariował, ale to, że mógł wrócić do Marion, nie mieściło jej się w głowie. Poczula fizyczny ból, taki jak przy upadku z roweru, gdy dłonie i kolana miała otarte, a ciało potłuczone. Przed oczami wirowały jej błyszczące punkciki.**

**–Ale dlaczego? No? Dlaczego?**

**I nie czekając na odpowiedź, wybuchnęła rozpaczliwym płaczem. Selene próbowała ją pocieszać, lecz jej wysiłki spęły na niczym, ponieważ, jak wiadomo, miłosne rany muszą zagoić się same.**

**Kilka godzin później, po gorącej kąpieli i zimnych zakąskach, które podano im niechętnie, gdyż kuchnia była o tej porze zamknięta, Anaíd padła na łóżko w pokoju, który zajmowała z matką. Próbowała zasnąć.**

**O ile jednak ciało domagało się wypoczynku, o tyle umysł skutecznie go uniemożliwiał. I nie chodziło już tylko o smutek związany z nienaprawialnym, jak się okazywało, nieporozumieniem między rodzicami – nadzieja na ich pogodzenie skurczyła się niczym przekłuty balonik. Teraz w uszach Anaíd brzmiało na dodatek uparte zdanie: „Wrócił do Marion, Roc wrócił do Marion, wrócił do Marion...”. Słyszała je raz za razem jak powtarzany do znudzenia refren. Kołysało się niczym wahadło, co chwila uderzając ją swym bolesnym ciężarem.**

Wyskoczyła z pościeli i po cichu przeszła na niewielki taras. Usiadła w bujanym fotelu i huśtała się przez chwilę, jakby chciała uśpić rozpacz. Bezskutecznie. Po głowie wciąż kołatało jej się pytanie: „Dlaczego? Dlaczego?”.

Na koniec, w przypiływie gniewu, wezwała Jusufa. Ostatecznie duchy wiedzą wszystko, przynajmniej tak zawsze same twierdzą.

–Pani?

–Powiedz, Jusufie, dlaczego Roc mnie zostawił? Nie podobam mu się?

–O, przeciwnie, zupełnie dla was, pani, oszalał. Potem jednak wypił eliksir.

–Jaki eliksir?

–Eliksir zapomnienia, pani.

–Roc wypił eliksir zapomnienia, żeby o mnie zapomnieć?!

–W rzeczy samej.

–Ale dlaczego zrobił coś takiego?

–To nie była jego decyzja, pani.

–A czyja?

–Jego matki.

–Eleny? – zdumiała się Anaíd. – Elena przygotowała i podała Rocowi eliksir zapomnienia?

–Zaiste.

–Ale po co?

–Tak uzgodniły z Selene.

Anaíd zamarła, czując przebiegający jej po plecach dreszcz. Czy słuch jej nie mylił? Czy Jusuf naprawdę powiedział przed chwilą, że Selene i Elena postanowiły i decydować o przyszłości jej i Roca? Wszystko zaczynało się układać w spójną całość. Aż strach brał zadawać kolejne pytania.

–A co właściwie kierowało moją matką?

–Wasza matka, pani, żywi mniemanie, iż miłostki odbierają wam siłę i koncentrację.

**Życzy sobie, byś zamiast na Rocu, skupiła myśli na swojej misji.**

**Krew zawrzała Anaíd w żyłach.**

**Więc to kryto się za podniosłymi gadkami o honorze i zasadach czarownic Omar? Do takich celów Selene używała swojej magii? Żeby sterować ludzkimi uczuciami? Tak postąpiła w młodości z Gunnarem i tak zapewne postępowała nadal z nieszczęśnikami w rodzaju Maksa! Nie miała wstydu! Nic nie mogło usprawiedliwić podobnie obmierzłych postępów!**

**–A moje berło?**

**–Schowała je. Ona. Selene.**

**–Gdzie?**

**–W miejscu, które dobrze znacie.**

**–Czyli?**

**–Nie wolno mi o tym mówić, ale ZOBACZYCIE je, jeśli zechcecie, pani. Wasza dłoń jest zwierciadłem waszych pragnień.**

**–Moja dłoń?**

**Anaíd popatrzyła z osłupieniem na swoją rękę, która piekła i zdawała się lśnić, jakby spod oparzonej tkanki prześwitywało światło prawdy.**

**–Moja dłoń pomoże mi zobaczyć to, o co mi chodzi?**

**–Owszem, pani. Berło należy do was i nic nie przeszkodzi wam w ustaleniu, gdzie zostało ukryte.**

**Anaíd zadumała się na chwilę.**

**–Dzięki, Jusufie, spisałeś się wspaniale i zasłużyłeś na wieczny spoczynek. W zgaszonych oczach wojownika zabłysła nadzieja.**

**–A moi ludzie?**

**–Twoi ludzie również – rzekła łaskawie Anaíd.**

**A widząc niedowierzanie malujące się na zahartowanej twarzy Jusufa, od stuleci zawieszzonego między dwoma światami, wypowiedziała słowa uwalniającego zaklęcia:**

**–Spocznij więc, Jusufie ibn Taszfnie, wraz ze swymi wojownikami, po**

długiej tułaczce pośród żywych. Zstąp do królestwa umarłych, by odnaleźć

swoją ścieżkę ku wieczności. Ja, Anaíd Tsinoulis, nakazuję ci tak uczynić.

Jusuf ledwie zdążył podziękować jej uśmiechem. W następnej chwili był już jedynie wspomnieniem.

Anaíd osuszyła ostatnie łzy, jakie jej zostały, energicznie wstała z fotela i skierowała się do łazienki. Zamknawszy za sobą drzwi, podniosła dłoń do lustra. Nieznane słowa popłynęły z jej ust same:

*–Alm nu olplemp.*

–W szklanej tafli ukazał się obraz, o który prosiła. Oto ukryte wśród skał leżało jej berło, emanując jaskrawym światłem. Powodowana nagłym pragnieniem, wyciągnęła rękę – daremnie. Berło było iluzją, widziała je, lecz nie mogła go dotknąć. Gdzie się znajdowało? Jusuf powiedział, że w miejscu dobrze jej znanym. Już nie będzie miała okazji dopytać się o szczegóły. Skupiła się na ukazywanej przez lustro scenerii: po kamiennych ścianach spływała woda, berło leżało u stóp smukłej wapiennej kolumny. Anaíd wytężyła uwagę. Kolumna powstała z połączenia stalagmitu i stalaktytu, które tworzyły się przez stulecia, by wreszcie zetknąć się czubkami. Wokół sterczało kilka innych podobnych formacji skalnych, które układały się w niezwykle kształt rozgwiazdy. To była przecież... jej jaskinia. Jaskinia w Urt. Oczywiście! Miejsce znane również Selene. Grota w dębowym lesie, do którego chodziły z Demeter. Ta sama, w której Anaíd ukryła się po śmierci babci, a potem znowu, gdy

zaginęła jej matka, i gdzie ujrzała wilczycę znającą drogę do Mrocznego Świata. Ta sama, przed którą dwukrotnie zakopała odprysk meteorytu.

–Dlaczego Selene to zrobiła? Dlaczego ją okłamała? Chciała odebrać jej berło, zawistna egoistka! Berło, Roca i tatę, wszystko naraz.

–Anaíd napięła wolę, wyobraziła sobie, że sięga po berło, że zaciska na nim palce. Towarzyszące temu wyładowanie elektryczne sprawiło, że dłoń zabolą ją wyjątkowo mocno, dziewczyna w ciszy wypowiedziała życzenie, po czym odsunęła się od lustra. Pocieszała ją myśl, że życzenie spełni się szybko, bardzo szybko.

–Zanim wróciła do łóżka, wyjrzała jeszcze na taras, delikatny powiew musnął jej twarz. Anaíd spazmatycznie wciągnęła powietrze, ale nie płakała. Obiecała sobie, że już nigdy nie będzie płakać. Skupi się na działaniu.

–Kawałek dalej zarysowały się dwie ludzkie sylwetki, Anaíd jednak nie zwróciła na nie większej uwagi. Uczyniłaby to z pewnością, gdyby wiedziała, że skryte w mroku osoby rozmawiają o niej, decydując właśnie o jej przyszłości. Potem jeden z tajemniczych cieni ruszył w stronę wejścia do hotelu.

**-Był to Gunnar.**



## Rozdział IV Nieposłuszeństwo

Albo nieposłuszeństwo zostawia ślady, albo Selene wymyśliła świetny sposób, żeby mnie kontrolować, albo i jedno, i drugie, myślała z niepokojem Anaíd, przypatrując się swojej dłoni. Nie ulegało wątpliwości, że magia berła ją zdradza. Poparzenia zagoiły się w cudowny sposób, a z łukowatej, różowawej blizny bit snop światła – każdy por uszkodzonej wcześniej skóry wydzieliał strużkę blasku.

Anaíd poruszyła ręką i oświetliła ścianę. Prawdziwy reflektor! Była teraz jak ludzka latarnia. Gdyby nie strach, że zostanie nakryta, uznałaby swoją nową sytuację za całkiem zabawną. Wyobraziła sobie, że świeci dłonią na czytaną po kryjomu książkę, i ciekawa, czy rzeczywiście da się tak zrobić, spuściła żaluzję, wzięła ze stolika książkę telefoniczną i spróbowała. Wspaniale, lepiej niż przy lampce nocnej. Już nigdy nie będzie potrzebowała elektrycznego światła, ani w nocne pełne koszmarów, ani na stromych schodach czy w wąskich korytarzach, ani nawet w głębokich jaskiniach, do których nigdy nie docierają promienie słońca, w takich jaskiniach jak te, które zwiedziła Selene, przemierzając Ścieżkę Om Na tę ostatnią myśl Anaíd aż się wzdrygnęła: Ścieżka i>in. Bała się umarłych i wbrew temu, co wbiła sobie do głowy matka, nie widziała potrzeby, by zagłębiać się w ich świat. Była przecież żywa. I zakochana.

Wspomnienie Roca zmroziło ją od stóp do głów. Z trudem zaczerpnęła powietrza. Czowała, że się dusi. Roc już jej nie kochał. Roc zapomniał o niej i wrócił do tej wstrętnej Marion. Cierpiał na amnezję i nigdy już nie miał sobie przypomnieć, że kiedyś chciał ją, Anaíd, pocałować. Złość na matkę i Elenę sprawiła, że Anaíd odzyskała oddech i z całej siły zacisnęła pięści.

Gdy tak leżała na łóżku, pogrążona w ponurych rozmyślaniach, w korytarzu rozległy się czyjeś kroki i zatrzymały się przed jej drzwiami. Nie poświęciła zbytnej uwagi pospiesznemu stukaniu obcasów. Miała inne rzeczy na głowie, poza tym grający w sąsiednim pokoju telewizor zagłuszał niemal wszystkie dźwięki. Dlatego dała się zaskoczyć i kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie, obronnym gestem podniosła rękę w stronę intruza, w ogóle nie zastanawiając się nad konsekwencjami tego odruchu. Snop światła padł na twarz pokojówki o grubych rysach, dużych zębach i farbowanych włosach. Jej przerażenie pozwalało się domyślać, że w pokoju nie spodziewała się zastać nikogo.

–Co tu robisz? – zagrzmiała Anaíd zza swojej świetlistej tarczy.

Sama się zdziwiła brzmieniem własnego głosu, ostrością tonu i nieuprzejmością pytania.

–Och, przepraszam panią stokrotnie, nie wiedziałam, że ktoś tu jeszcze

**jest, bardzo przepraszam... – wybełkotała skonfundowana kobieta, wycofując się pospiesznie.**

**Czy naprawdę nazwała ją panią? Rzeczywiście wzięła ją i osobę dorosłą? Anaíd o mało nie parsknęła śmiechem, uświadamiając sobie jednocześnie, że czuje się mile polechtana tą niemądrą i lękliwą reakcją.**

**–Zaczekaj! – rzuciła władczo.**

**Chciała się przekonać, z kim ma do czynienia, i jeszcze przez chwilę porozkoszować się świadomością, że oto wzbudza respekt.**

**Zamiast odwrócić snop światła gdzieś w bok, prze suwała nim nieznacznie po twarzy pokojówki jak policja w czasie przesłuchania, studiując jej rysy. Zatrzymała się na grubych wargach, a potem poświeciła w szare oczy, zmuszając biedaczkę do ich zmrużenia. Kobieta, oszołomiona ostrym blaskiem, nie śmiała się ruszyć. Niemożliwe, żeby Baalat tak szybko wcieliła się w kolejne ciało, pomyślała Anaíd. Poza tym wybrałaby raczej kogoś o przyjemniejszej aparycji. Stojąca w progu osoba miała bladawą cerę, czerwone żyłki na skrzydełkach nosa, niewyregulowane brwi, ciemny meszek nad górną warg popękane dłonie i popalone od tlenienia włosy. Jednak wszystkie te niedoskonałości sprawiały, że wywierała miłe wrażenie zwyczajnej istoty ludzkiej.**

**–Jak się nazywasz? – spytała Anaíd, bezskutecznie próbując wydobyć ze swoich strun głosowych cieplejsze nuty.**

**–Rossy, proszę pani.**

**To zdrobnienie nie bardzo do ciebie pasuje, pomyślała Anaíd, ale zachowała tę uwagę dla siebie.**

**–Rossy, muszę sprawdzić e-maile. Gdzie mogłabym to zrobić?**

**–W recepcji, proszę pani. Zaraz panią zaprowadzę.**

**I jakby nieco ośmielona, pokojówka przysłoniła oczy dłonią, po czym poprosiła:**

**–Czy mogłabym podnieść żaluzje? Bo tak, z tym światłem na twarzy, czuję się trochę dziwnie.**

**0 to właśnie Anaíd chodziło. Do tego sprowadzało się poczucie**

**bezbronności: ciemność dokoła i snop oślepiającego blasku kierowany należącą**

do kogoś potężnego dłonią.

Rossy wszakże okazała zdecydowanie. Doskonale znając sprzątany codziennie pokój, czterema pewnymi krokami pokonała odległość dzielącą ją od okna i odsłoniła je szybkim ruchem. Anaíd zdążyła jednak ukryć rękę za plecami. Sekundę później Rossy odwróciła się i zdumiona otworzyła szeroko oczy i usta.

–Boże! – wykrzyknęła.

Czując utkwione w sobie przerażone spojrzenie, Anaíd zaniepokoiła się nieco.

–Niemożliwe, no, niemożliwe... – powtarzała pokojówka.

–Co takiego?

–Gdzie jest tamta pani?

–Jaka pani?

–Jak to jaka? Ta, co tu była, z latarką w ręce, przecież ze mną rozmawiała...

–To byłam ja – oświadczyła Anaíd, ale w jej głosie zabrzmiało wahanie.

1 ono właśnie przywróciło Rossy równowagę.

–Oj, dziecko, daj spokój... Jeśli to byłaś ty, to ja jestem i Królowa Śnieżka.

A sama widzisz, jak wyglądam.

Anaíd wstała.

–To byłam ja.

Jej ton i wysoki wzrost nie zrobiły jednak na Rossy żadnego wrażenia. Tracąc ostatecznie cierpliwość, pokojówka rzuciła ostro:

–Dość tego. Masz pięć minut, żeby wziąć prysznic i zejść na śniadanie. Jeśli się nie pospieszysz, zbieram nakrycia, a pokój uznaję za posprzątany. Decyzja należy do ciebie.

Co rzekłszy, oddaliła się z godnością urażonej markizy i Anaíd została sama z niepokojącymi myślami.

Czy bezwiednie udawała kogoś, kim nie była? Czy raczej po ciemku emanowała czymś, czemu przeczył jej wygląd? Może to przez berło?

**Postanowiła, że zastanowi się nad tym później, i poszła pod prysznic, aby zmyć z siebie wszystkie troski.**

**Było późno po południu i jeśli zamierzała dotrzymać obietnicy, którą złożyła sobie nocą, czekał ją naprawdę trudny dzień. Tym bardziej, że świecąca prawa ręka zdawała się bezgłośnie krzyczeć: „Anaíd widziała berło! Anaíd widziała berło!”, a brzydactwo, które przed chwilą wparowało do pokoju, z pewnością paplało już na prawo i lewo o dziwnych lokatorkach z 205. Najgorsze zaś było to, że ona, Anaíd, nie potrafiła przestać myśleć o berle i umierała z pragnienia, by znów mieć je w dłoni. Gdy tylko stawało jej przed oczami, czuła napływającą do ust ślinę, zupełnie jakby chodziło o przepyszny cukierek, a ręce zaczynały ją palić i dotyk złotego insygnium jawił się jej jako jedyne możliwe źródło ulgi. Tak było przez całą noc i tak miało być już zawsze. Selene uprzedzała.**

**Uparte szorowanie dłoni, z nadzieją, że świetlny znak zniknie, nic nie dało. Nie pomagała ani woda, ani mydło. Każda kolejna próba sprawiała tylko, że pragnienie, by natychmiast odzyskać berło, jeszcze się potęgowało, uparte jak fizyczny głód.**

**Zanim wyszła spod prysznic, podjęła decyzję. Tylko rzucę okiem, pomyślała, podchodząc do lustra i zostawiając za sobą zdradzieckie ślady mokrych stóp. Gdy ujrziała berło, serce załomotało jej jak szalone.**

**Odetchnęła głęboko, policzyła do stu, odsunęła się lustra i spróbowała skupić myśli na kanapce z szynką i szklance soku pomarańczowego. Zadzwoiła na recepcję i poprosiła o jakiś bandaż. Wkrótce potem uprzejmy boy wręczył jej go przez uchylone drzwi.**

**Owijanie kompromitującej dłoni zajęło jej tyle czasu, że spóźniła się na śniadanie.**

**Zabandażowana ręka mocno utrudniała korzystanie z komputera, zwłaszcza jeśli jednocześnie cały czas zerkano się w stronę drzwi. Anaíd przekonała się o tym, rozpaczliwie próbując skontaktować się z Rokiem. Z głodu burczało jej głośnie w brzuchu, poza tym spod bandaża na dłoni przeświecał blask. Te dwa szczegóły w zupełności wystarczały, by wszyscy klienci i pracownicy hotelu przypatrywali się jej ze zdumieniem.**

**Nic dziwnego, zwłaszcza że komputer stał na samym środku. Anaíd czuła się jak ubrany w zabłocone strzępy manekin na wystawie eleganckiego butik. Wyglądała jak rozbitek.**

**Dobrze odżywiony, odziany w jaskrawe bermudy turysta z twarzą w kolorze dojrzałego pomidora i aparatem fotograficznym na szyi przystanął za plecami Anaíd i otwarcie zaczął zaglądać jej przez ramię.**

**Nie mogła go pogonić, miał prawo stać, gdzie mu się podobało, i patrzeć, na co mu**

przyszła ochota, nawet jeśli nie świadczyło to za dobrze o jego wychowaniu.

Spróbowała z komunikatorem, ale Roca nie było. Jasne, jeszcze nie wrócił ze szkoły. Wysiała mu więc maila.

*Roc, proszę, odezwij się do mnie, napisz. Musimy porozmawiać, ale tak, żeby nikt o tym nie wiedział. Sprawa życia i śmierci.*

Nie dało się wykluczyć, że gruby turysta korzysta z każdej okazji, by podszlifować swój hiszpański, bo w skupieniu przeczytał wiadomość, a następnie podrapał się po głowie. Tak się zafrasował treścią e-maila czy po prostu nie rozumiał ani słowa?

Anaíd nerwowo przebierała palcami po klawiaturze, raz po raz popatrując ku drzwiom. Selene mogła się zjawić w każdej chwili. Zaraz po zejściu na dół Anaíd dostała od recepcjonistki kartkę z nabazgranymi ręką matki słowami:

*Anaíd, jestem na zakupach, czekaj w hotelu. Wrócę na obiad.*

No tak, wraz z przyczepą kempingową straciły przecież cały bagaż i nie miały nawet czystych ubrań.

Turysta ożywił się nagle i dźgnięciem w ramię zasygnalizował jej, że dostała odpowiedź.

Faktycznie. Ale nie taką, jakiej by sobie życzyła. E-mail nie został doręczony z powodu błędnego adresu. Znowu? Baalat nie była chyba w stanie zareagować tak szybko. Jaki adres miał teraz Roc? I jak mogła się z nim skontaktować?

Nagle poczuła, że oblewa ją zimny pot, od którego koszulka zaczyna kleić się do ciała. Palce ześlizgnęły się jej z klawiatury, krew odpłynęła z twarzy, upodabniając ją do kredowobiałej maski. Przyszedł kolejny mail. Temat: „Uwielbiam cię, Anaíd”. Nadawca: niejaka Dácil.

Anaíd zawahała się przez chwilę, czy otwierać tę wiadomość. Popchnął ją do tego zażywny turysta. Pomógł jej nawet z myszką ślizgającą się po zielonej podkładce.

*Anaíd, tak bardzo pragnę Cię poznać. Szukam Cię wszędzie. Gdzie jesteś? Przyjechałam z daleka, zawsze chciałam być Twoją przyjaciółką, a teraz, gdy przebyłam całą tę niebezpieczną drogę, nigdzie nie mogę Cię znaleźć. Musisz wyjść na światło. Bez leku. Ściskam. Dácil.*

Właśnie wtedy, kiedy z niedowierzaniem odczytywała i tego absurdalnego, niepokojącego e-maila od nieznanej Dácil, usłyszała głos Selene pytającej podejrzliwie:

**–Co robisz, Anaíd?**

**Matka stała w drzwiach obładowana torbami, a jej mina nie wróżyła niczego dobrego. Na szczęście pakunki nieco spowalniały jej ruchy. Mimo to Anaíd poczuła się przyłapana na gorącym uczynku. Odruchowo skasowała wiadomość, chcąc zatrzeć ślady swego występku, wylogowała się i wstała od stołu, zanim Selene zdążyła podejść zbyt blisko.**

**–Z kim rozmawiałaś?**

**Natrętny turysta okazał się prawdziwym darem niebios: błyskawicznie zajął wolne już miejsce, złapał za myszkę i energicznym ruchem przesunął nią po stole. Anaíd natychmiast skorzystała z okazji.**

**–Nie wiedział, jak to działa, więc mu pomogłam.**

**I kontynuując odgrywanie swojej komedii, uśmiechnęła się promiennie do nieznanego, z którym nie zamieniła wcześniej ani słowa, po czym oświadczyła z powagą:**

**–Widzi pan, to proste, trzeba tylko kliknąć na tę ikonkę.**

**Co rzekłszy, z niewinną miną podeszła do Selene, żeby wziąć od niej część toreb.**

**–Daj, bo ci ciężko.**

**–A to co? – Selene wskazała zabandażowaną dłoń. Anaíd zawahała się z odpowiedzią.**

**–Tak mniej mnie piecze. Ale już w windzie nie potrafiła się powstrzymać.**

**–To ty ukryłaś berło, prawda? Selene bynajmniej się nie zmieszała.**

**–Czyli go szukałaś. Anaíd spuściła głowę, żeby zamaskować kłamstwo.**

**–Nie wiem jak ani gdzie. Zaglądałaś do pokoju ojca?**

**Anaíd poczuła, że wszystko się w niej wywraca. Jak to możliwe, że jej własna matka posuwa się do takich kręactw?**

**–Tak, jasne – mruknęła,**

**–I?**

**–I nic.**

**–Należało się spodziewać, że tam go nie schował. Może je wysłać, gdzie zechce.**

**Tym razem Anaíd nie musiała kłamać: była szczerze zaskoczona,**

**–Jak to?**

**Selene otworzyła drzwi do pokoju.**

**–To berto żyje, Anaíd. I słucha tego, kto akurat wszedł w jego posiadanie, pod warunkiem, że ten ktoś ma wystarczająco silną wolę. Jedno zetknięcie wystarczy, by nie było odwrotu.**

**Anaíd wzdrygnęła się lekko.**

**–Ja miałam je tylko przez chwilę... – rzuciła obronnym tonem. – Ty natomiast zdecydowanie dłużej – dodała oskarżycielsko.**

**Po milczeniu matki poznała, że atak okazał się celny. To Selene chowała przed nią jej własność.**

**–Pokaż mi rękę – zażądała wreszcie.**

**Nie dało się jej odmówić. Zdjęła bandaż i uważnie przyjrzała się dłoni.**

**–Posłuchaj mnie uważnie, Anaíd. Nie wolno ci go więcej dotykać, dopóki nie zaczniesz nad nim górować siłą woli.**

**–A jak to niby ocenić? O ile wiem, nie wynaleziono jeszcze miernika woli – zaprotestowała Anaíd.**

**Selene tupnęła nogą.**

**–Zaczynam się naprawdę martwić. Nie przejmujesz się grożącymi ci niebezpieczeństwami ani ciężącą na tobie odpowiedzialnością. Ciągłe się rozpraszasz, każdy powód jest dobry... Zachowujesz się jak pierwsza lepsza nastolatka! W ten sposób nigdy nie wypełnisz misji.**

**–A ktoś mnie pytał, czy mam ochotę na wypełnianie jakiejś misji, co?**

**Selene spochmurniała jeszcze bardziej.**

**–Anaíd, nikt nas nie pyta, czy mamy ochotę przyjść na świat, ale od momentu, w którym się rodzimy, wiele znaczymy dla innych. Ty wiele znaczysz dla masy kobiet i dziewczynek Omar. Nie jesteś zwykłą czarownicą, jesteś czarownicą, od której odwagi i siły zależy los tysięcy innych czarownic w każdym wieku.**

**–I czego się właściwie ode mnie oczekuje? Przecież wiesz. Jesteś wybranką. – Selene najwyraźniej postanowiła uzbroić się w cierpliwość.**

**–No tak, jestem wybranką, a proroctwa mówią, że wybranka zakończy wojnę Odish z Omar. Ale czy to musi stać się teraz?**

Selene policzyła do dziesięciu, zanim przemówiła znowu, starając się nie podnosić głosu. Była coraz bardziej zdenerwowana.

**–Proroctwo mówi, że wraz z przybyciem wybranki BÓJ SIĘ ZACZNIE OKRUTNY I KRWAWE – oświadczyła, mocno akcentując każdą sylabę. – I wojna czarownic już się zaczęła. Nie możesz teraz poprosić, żeby zostawiono cię w spokoju i na dwadzieścia lat zaszyć się w mysiej dziurze.**

**–Więc co mam zrobić?**

**–Skończyć z Odish, zanim one skończą z tobą. Bo jeśli z tobą skończą, a na razie na nic lepszego nie zasługujesz – wtrąciła gniewnie – dostaną w swoje ręce berło i uśmiercą tysiące niewinnych. Rozumiesz? Pamiętasz proroctwo Omy?**

Tu przerwała na chwilę, by drżącym głosem wyrecytować:

***Słuchajcie, nadejdzie ów dzień, kiedy wreszcie ta, którą wybrano, waśń zamknie siostrzaną.***

***Srebrzysty włos wróżka niebiańska rozczesze,***

***Przywita ją godnie, ugości w przestworzach.***

***A księżyc łzę własną uroni w ofierze.***

***Syn z ojcem zatańczy, gdzie wodny ich dom.***

***W rząd jeden siedmioro się bogów ustawi,***



***By oddać jej honor, gdy wstąpi***

***Na tron.***

***Bój wreszcie się zacznie Okrutny i krwawy. To wojna czarownic.***

***Lecz ona zwycięży,***

***i berło odzierży,***

***swym bólem,***

***swą krwią,***

***swoją wolą niezłomną.***

**W miarę jak Selene recytowała, do Anaíd powoli docierało znaczenie tych słów.**

**Ona i tylko ona miała w końcu zostać panią berła. Na niej i tylko na niej ciążyła ogromna odpowiedzialność za rozstrzygnięcie konfliktu między Odish a Omar. Poczula się nagle mała i miałka. Selene może i nie zasługiwała na zaufanie, bo prawdopodobnie ukryła przed nią berło, ale kto wie, czy nie zrobiła tego, by chronić córkę przed j mocą. Tym bardziej że ona, Anaíd, zachowywała się ostatnie jak rozpieszczone dziecko.**

**–Przepraszam – wyszeptała.**

**Wykorzystując ten moment, Selene posadziła ją ku sobie i ujęła jej mokrą od łez dłoń.**

**–Wysłuchasz mnie teraz?**

**–Dobrze, słucham.**

**Anaíd z trudem zostawiła rękę w dłoniach matki. Chciała jej wierzyć, ale nie była w stanie zapomnieć, że to ona zabrała jej berło i Roca, a zamierzała zabrać również ojca.**

**Selene, chyba nieświadoma zmagają, jakie toczyły się w duszy córki, zaczęła mówić:**

**–Są trzy naprawdę niebezpieczne Odish. Zwycięstwo nad nimi to klucz do wygrania wojny. Choć jesteś wybranką, ich moc przewyższa twoją, bez względu na to, czy masz berło.**

**–A nie mam – wtrąciła od razu Anaíd.**

**–Ale będziesz miała. Teraz słuchaj.**

**Anaíd słuchała.**

**–Jedną jest Baalat, znana również jako Ciemna Dama, Asztarte, fenicka bogini. To bardzo przebiegła nekromantka. Nie ma własnego ciała, bo zostało zniszczone dwa tysiące lat temu, więc przyjmuje różne postaci. Miałaś okazję ją spotkać. Sama ją obudziłam, uznaję swoją winę, ale nic już na to nie poradzę. Wkrótce znowu się w coś lub kogoś wcieli i będzie próbowała cię zniszczyć. Co z pewnością jej się uda, jeśli...**

**–Jeśli...? – spytała z pewnym zniecierpliwieniem Anaíd.**

**–Istnieje tylko jeden sposób, by ostatecznie z nią skończyć. I możesz to zrobić wyłącznie ty.**

**Anaíd poczuła przebiegający jej po plecach dreszcz. Zbliżyły się do sedna sprawy.**

**–Trzeba przejść ścieżką umarłych? Ścieżką Om? Tak?**

**Selene przytaknęła.**

**–Niestety.**

**Anaíd zadrżała. Na samą myśl o pułapkach czekających na dole robiło jej się słabo. Umarli byli nieskończenie potężniejsi niż żywi i choć mogli jej pomóc, mogli też skutecznie przeszkodzić. Wolą nie wyobrażać sobie bólu i potwornych majaków, które groziły jej w ich świecie.**

**–Czy to naprawdę jedyne wyjście?**

**–Tak, kochanie.**

**To „kochanie” zabrzmiało w uszach Anaíd fałszywie. Nie można szczerze nazywać kogoś „kochaniem” i jednocześnie odbierać mu wszystko co najdroższe. Zwykły emocjonalny szantaż.**

**–A potem? Jeśli oczywiście wrócę z królestwa umarłych, a oni uniemożliwią Baalat przyjmowanie kolejnych postaci? Kim są te dwie pozostałe Odish, z którymi powinnam się zmierzyć?**

**–Pierwsza to hrabina, która rządzi Mrocznym Światem. Zwana także krwawą hrabiną, ponieważ przed czterystu laty. jeszcze jako Elżbieta Batory, kazała w swoim zamku na Węgrzech zabić ponad sześćset dziewcząt, by pożywić się ich krwią i przetrwać dzięki temu do nadejścia wybranki. Jednakże wybranka, czyli ty, urodziła**

się później, niż przewidywano, dlatego hrabina jest już dość słaba. Salma, którą pokonałaś, zdobywała się wobec niej nawet impertynencje.

–Poznałaś ją, prawda? To znaczy hrabinę.

Selene wzdrygnęła się. Pamiętała zimne macki pełzające po jej ciele i wdzierające się w najtajniejsze zakamarki pamięć.

–Kryła się w mroku. Była zimna i wyrachowana, ale już wtedy bardzo osłabiona.

–Więc łatwo ją pokonać?

Selene pokręciła głową.

–Posiada niezniszczalny talizman, który zawsze zapewnia jej zwycięstwo. Do zaczarowania go użyta włosów i krwi swoich ofiar. Teraz potrzebuje tylko krwi i włosów wybranki. Dlatego, sądząc, że ja nią jestem, przetrzymywała mnie w Mrocznym Świecie. Gdyby udało jej się zdobyć berło, stałaby się wszechmocna i zdobyłaby niepodzielną władzę nad Odish. I oczywiście natychmiast wykończyłaby wszystkie Omar.

–A ostatnia z tych trzech Odish? – spytała Anaíd lekko drżącym głosem, z góry wiedząc, jaką odpowiedź usłyszy.

I rzeczywiście.

–Lodowa Dama, nazywana też Białą Damą, czarownica z Północy, Cristine Olav, matka Gunnara.

–I moja babka – dodała z naciskiem Anaíd.

–Tak, twoja babka – powtórzyła niechętnie Selene.

–Ona na pewno nie chce mojej krwi.

Selene próbowała pogłaskać ją po twarzy, lecz Anaíd odwróciła głowę.

–Anaíd, uwierz mi, Cristine jest z nich najgorsza, bo najbardziej

inteligentna. Wykorzysta cię do swoich celów w taki sposób, że nawet tego nie zauważysz. Zależy jej na berle i na władzy, dlatego zamiast cię zabić, zniszczy twoją wolę.

**Anaíd była jednak lojalną wnuczką.**

**Cristine ocaliła mnie, gdy byłam małą, potem chroniła mnie w Urt i na Sycylii. Gdyby nie wyrwała mnie z łap Salamy, nie siedziałybyśmy tu razem.**

**Selene, zaniepokojona widąc gwałtownym tonem córki, zmieniła taktykę.**

**–Anaíd, naprawdę mi przykro, najtrudniej jest nie dowierzać tym,**

**których kochamy. Albo wydaje nam się, że ich kochamy. To boli, wiem. Ja**

**wbrew pozorom bardzo kochałam twojego ojca. Tym bardziej zraniła mnie jego**

**zdrada. Rani mnie do tej pory.**

**Anaíd ujrzała, że oczy matki wilgotnieją, zaraz potem jednak odzyskały swój zwykły blask.**

**–Gdzie jest tata?**

**–Gunnar miał dziś coś do załatwienia – odparła enigmatycznie Selene. - A i nas czeka sporo roboty przed wyjazdem.**

**–Przed wyjazdem dokąd?**

**–Na Południe.**

**–A co jest na Południu?**

**–Ścieżka Om.**

**Anaíd czuła, że wszystko się w niej buntuje. Nie znajdowała w sobie siły, by zapuścić się w koszmarnie czeluście świata umarłych. Jeszcze nie. Nie teraz. Czy Selene tego nie rozumiała?**

**–Nie wiem, czy dam radę. Nie jestem przygotowana.**

**Selene nie rozumiała.**

**–Potrzebujesz postu i medytacji. Pomogą ci. Im lżejsze ładzie twoje ciało,**

**tym lepiej zniesiesz krok ku nicości i upadek.**

**Anaíd znowu się wzdrygnęła. Nicość? Upadek? Żołądek podszedł jej do gardła.**

**–Gdzie konkretnie pojedziemy? – zapytała.**

**–Nie wiem. Musimy szukać wskazówki.**

**–Wskazówki? – zdziwiła się Anaíd.**

**–Tak mi powiedziała starszyzna klanu.**

**–Czyli nie masz zielonego pojęcia, jak znaleźć Ścieżkę Om, tak? – wybuchła nagle Anaíd.**

**Selene stropiła się nieco.**

**–My, czarownice Omar, nie dysponujemy kluczem do świata umarłych. Anaíd pomyślała, że rozumie.**

**–W przeciwieństwie do Odish?**

**Selene niemal niedostrzegalnie skinęła głową.**

**–Więc musimy prosić je o pomoc?**

**Selene milczała przez chwilę.**

**–Nie, Anaíd – powiedziała wreszcie z wahaniem, które Anaíd natychmiast wyczuła. – Ty odnajdziesz Ścieżkę. Tak powiedziały wyroczenie.**

**–Bo jestem wybranką... – zasugerowała ostrożnie Anaíd.**

**–Nie tylko dlatego...**

**Anaíd zaczerpnęła powietrza. Zaczynała parę rzeczy rozumieć. Albo może więcej niż parę. Została wybranką ze względu na swe pochodzenie. Była jedyną czarownicą Omar, w której żyłach płynęła również krew Odish.**

**–Aha. Zdolność do utrzymywania kontaktu ze światem umarłych mam zapewne po babci Cristine.**

**–Tak – przyznała niechętnie Selene.**

**Wszystko było jasne. Ona, Anaíd, mogła rozmawiać z duchami, podczas gdy jej matka nawet ich nie widziała. A duchy wiedziały wszystko. Spojrzała na swój pierścionek ze szmaragdem.**

**–Więc może od razu zapytam o Ścieżkę jakiegoś ducha.**

**Selene pokręciła głową.**

**–Niczego się nie dowiesz, bo duchy, które przebywają wśród nas, nie znają drogi do świata umarłych.**

**Anaíd nieco się zdziwiła.**

**–To może mogę zapytać umarłych? Rozmawiałam przecież z Demeter wcieloną w wilczycę.**

**–Umarli związani są przysięgą. W tym momencie Anaíd uprzytomniła sobie coś istotnego.**

**–W takim razie jak się dostałaś do ich świata? Selene spuściła głowę i Anaíd natychmiast odgadła odpowiedź.**

**–Dzięki Cristine Olav, tej, jak mi zawsze powtarzasz, złej Odish! Selene odchrząknęła.**

**–W owym czasie byliśmy po tej samej stronie barykady.**

**Anaíd umilkła. Nie chciała bardziej obnażać niemocy Selene. I tak rozumiała więcej, niż matka byłaby w stanie jej przekazać za pomocą słów. Rozumiała na przykład, że Omar nie potrafią wyszukiwać pęknięć łączących świat żywych ze światem umarłych. Rozumiała, że zdezorientowana Selene jest zupełnie bezradna wobec potęgi którejkolwiek z trzech wymienionych przez siebie Odish: Ciemnej Damy, Białej Damy i hrabiny. I że przeciw tym właśnie straszliwym czarownicom ona, piętnastoletnia Anaíd, wybranka, miała wystąpić z gołymi rękami, ponieważ, zdaniem Selene, nie była przygotowana na przyjęcie berła.**

**W czym mogła jej pomóc matka? Jeszcze niedawno wydawała się taka mądra, a teraz proszę, okazywało się, że nie potrafi nią nawet pokierować, bo właściwy Omar szczególnie rodzaj ślepoty nie pozwala jej widzieć wejść do świata umarłych. Nie miała też wystarczającej mocy. Sama nie umiałaby obronić ani siebie, ani Anaíd przed Baalat.**

**A więc?**

**Anaíd myślała zawsze, że matki istnieją po to, by niczym gwiazdy przewodnie oświetlać drogi córek, by służyć im za przewodniczki i pocieszycielki, by być dla nich wsparciem i ochroną, czymś w rodzaju ciepłego koca w zimną noc albo miękkiej poduszki, w którą można się spokojnie wyplakać. Ale skąd.**

**Wszystko to iluzja.**

**Próbowała zwalczyć rozczarowanie i przywołać dawny, świetlisty obraz Selene. Bez skutku. Patrzyła na matkę i widziała podstępną krętaczkę, która oszukiwała, kogo popadnie. Nawet swoje rude włosy zawdzięczała farbie. Udawała silną, a drżały jej dłonie. Zgrywała się na spontaniczną, a nie potrafiła paść w ramiona uwielbiającemu ją mężczyźnie. Szczyciła się swoją bezstronnością, a z zazdrości odsuwała od córki wszystkich, którzy się do niej zanadto zbliżyli. Była jedną wielką podróbą.**

**Czy wszystkim prędzej czy później groziło podobne odkrycie? Czy zwyczajne piętnastolatki też ni stąd, ni zowąd zauważały w swych matkach słabość i lęk? Dostrzegały zmarszczki wokół ich oczu, przemycane w słowach kłamstwa i pozamiatane pod dywan frustracje?**

**Selene nie była tą osobą, za którą ona, Anaíd, zawsze ją uważała. Otaczająca ją aura niezniszczalności rozplywała się bezpowrotnie i spod pozorów wyłaniała się prawda: Selene okazywała się kruchym tworem silnej woli Demeter. Babcia, owszem, była kobietą z charakterem, wielką, szanowaną przez cały klan czarownicą. Selene natomiast, zagubiona, bezsilna Selene, potrafiła jedynie żądać, żeby jej córka oddawała się postom i medytacjom, odnajdywała drogę w mroku i wreszcie żeby z własnej woli zapuściła się na Ścieżkę Om.**

**Czy naprawdę nie rozumiała, że Anaíd trzęsie się ze strachu na samo wspomnienie umarłych? Truchleje na myśl, że mogłaby ujrzeć swoje odbicie w ich pustych oczach? Że wizja zstępowania przez beczasową ciemność odbiera jej siły, a groźba pozostania tam na wieki – także i rozum?**

**A przecież nie była tchórzem. Starła się nigdy nie okazywać lęku. Nie była też lekkomyślna – zawsze brała i siebie więcej, niż ktokolwiek by się spodziewał. Robiła, co mogła, ale teraz... cóż, po prostu się zakochała.**

**Chciała zobaczyć, jak to jest całować Roca, chciała ujrzeć swoje odbicie w jego oczach i usłyszeć z jego ust miłosne wyznanie. Chciała znowu poczuć jego oddech, dotyk jego dłoni na swojej skórze, chciała upajać się świadomością, że oto dzielą wyjątkowe, nieobciążone przeszłością ani przyszłością chwile poza czasem i przestrzenią.**

**Tak, jedno wiedziała już na pewno: żeby podjąć się swojej misji, potrzebowała miłości Roca. Mówiły o tym nawet proroctwa. Trebora w jednym ze swoich traktatów wspominała, że wybranka musi być spowita w płaszcz miłości. A zatem Selene myliła się, nie po raz pierwszy zresztą. Wzmacniana przez miłość Roca, Anaíd zniesie wszystko. Porzucona natomiast zagubi się w zimnym, nieprzyjaznym świetle, myśląc tylko o tym, gdzie by tu się schować, żeby rozpaczać nad swoją samotnością.**

**–Anaíd, słuchasz mnie?**

**–A co mówiłaś?**

**–Patrz, kupiłam ci trochę ciuchów, buty, torbę i walizkę. W nocy trzymaj bagaż pod ręką. I śpij w ubraniu.**

**Anaíd dopiero przychodziła do siebie.**

**–Dzisiaj w nocy?**

**–Tak, kiedy Gunnar zaśnie. Selene potrząsnęła jej przed nosem kluczykami od samochodu.**

**–Wynajęłaś auto? – zdziwiła się Anaíd.**

**–Nie, dorobiłam kluczyki od samochodu Gunnara. To już bezczelność, pomyślała Anaíd.**

**–Ukradłaś je?**

**–Pożyczyłam. W ten sposób trudniej mu będzie nas ścigać, nie sądzisz?**

**Anaíd doszła do wniosku, że musi działać szybciej, niż zamierzała. Chyba, że zdoła zagrać na zwłokę.**

**–A jeśli Gunnar się obudzi i zorientuje? Selene uśmiechnęła się jak psotna dziewczynka.**

**–Niemożliwe. Będzie spał jak suseł.**

**–Podasz mu eliksir? – spytała z obrzydzeniem Anaíd. Selene otworzyła torbę i pokazała jej jakieś ususzone zielsko.**

**–Mają tu dobrze zaopatrzoną aptekę. Zaraz przyrządzę napar.**

**–Więc kolację zjemy we troje?**

**–Oczywiście. Żeby nie wzbudzać podejrzeń. Anaíd skinęła głową.**

**–Oszukamy go.**

**–Tak.**

**–Ani się obejrzy, jak zostanie na lodzie.**

**–Właśnie.**



**–Chodzi o to, aby uwierzył, że w dalszą drogę ruszymy razem. A gdy już**

**da się nabrać... znikniemy.**

**–Sprytna dziewczynka.**

**Anaíd spojrzała na matkę z politowaniem. Sprytna dziewczynka, owszem, może nawet sprytniejsza, niż się niektórym wydaje. Pomyślała, że pora wykorzystać swój spryt w praktyce. Zerknęła przez okno na zaparkowany przez Selene samochód Gunnara.**

**–Jedziemy tym passatem?**

**–Tak.**

**–To się chyba nie uda. Dziś wieczorem będzie miał rozładowany akumulator.**

**–Dlaczego tak uważasz?**

**–Bo widzę, że zostawiłaś zapalone światła.**

**Selene zrobiła zdziwioną minę. Nie przypomniała sobie, by wjeżdżała po drodze w jakiś tunel albo zatrzymywała się na podziemnym parkingu, co zmusiłoby ją do zapalenia świateł. Gdy jednak zerknęła na ulicę, stwierdziła, że Anaíd ma rację. Nie przyszło jej, rzecz jasna, do głowy, że jeszcze chwil wcześniej światła były wyłączone i że to jej córka posłużył: się prostym zaklęciem, by osiągnąć potrzebny efekt.**

**–No proszę! Zaraz wracam. Przygotuj się.**

**I wybiegła z kluczykami w dłoni, nie zwracając uwagi na to, że Anaíd natychmiast sięgnęła po jej torbę, by już po chwili wydobyć z niej komórkę i bez mrugnięcia okiem zadzwonić do Roca.**

**Wszystko to odbyło się błyskawicznie i dopiero, gdy w telefonie rozległ się sygnał, Anaíd zeszywniała z przerażenia i straciła głowę. Co powinna powiedzieć? A jeśli Roc nie pamiętał nawet jej imienia? Co mógł sobie o niej pomyśleć? Nagle usłyszała głos, który jednak z pewnością nie należał do Roca, był to bowiem głos kobiety.**

**–Tak, słucham?**

**–Chciałabym rozmawiać z Rokiem, to pilne – powiedziała Anaíd szybko i władczo, jakby zwalniało ją to z udzielania wyjaśnień.**

**–Selene? To ty? – spytał głos. Elena! Co za pech!**

**–Anaíd? – padło tym razem, zdemaskowała ją. Zawsze miała dobrą intuicję.**

**–Anaíd, dlaczego dzwonisz z telefonu mamy? To bardzo niebezpieczne!**

**Anaíd przypomniała sobie pękatą matkę Roca, łagodną bibliotekarkę, wielbicielkę książek i dobrej kuchni, karmiącą swoich ośmiu synów bajkami i słodyczami. Tak, Elena na pewno się wzruszy i zrozumie.**

**–Eleno, proszę, muszę porozmawiać z Rokiem.**

**Ale odpowiedź Eleny zabrzmiała szorstko.**

**–Anaíd, zwariowałaś? Natychmiast się rozłącz. Nikt nie powinien wiedzieć, gdzie jesteś!**

**–Błagam, daj mi z nim porozmawiać – prosiła Anaíd.**

**–To niemożliwe, poza tym...**

**Anaíd bez trudu zinterpretowała ten wielokropek. Chodziło o Marion. Roc był zapewne zajęty nią i... Tak, wielokropek doskonale się tu nadawał.**

**–Eleno, cofnij ten czar! Roc nie może o mnie zapomnieć!**

**Elena pozostawała nieugięta.**

**–Wykluczone. Zresztą działanie eliksiru zapomnienia jest nieodwracalne.**

**Między tobą a Rokiem nigdy nic poważnego nie zaszło. Tak będzie lepiej,**

**dziecinko. Powinnaś mieć swobodną głowę, żeby skupić się na swojej misji. To**

**dla twojego dobra.**

**Nie było sensu tupać, płakać ani krzyczeć. Żeby nią pogarszać sprawy, należało raczej udać przekonaną.**

**–Przepraszam, wiem, że nie powinnam dzwonić, ale... to był impuls.**

**Naprawdę przepraszam.**

**Zdążyła już zauważyć, że dorośli uwielbiają, jak ktoś przyznaje się do błędu. Nawet jeśli robił to w podstępnych celach.**

**–Trzeba panować nad takimi impulsami, Anaíd. Zwłaszcza jeśli jest się tobą.**

**–Wiem, wiem. Wiem też, że to wszystko dla mojego dobra... Chciałam się po prostu pożegnać. Tak symbolicznie.**

**–Pewnie, że symbolicznie, bo Roc i tak by nic nie zrozumiał, gdybyś zaczęła mu mówić o tym, co się między wami zdarzyło. Nic z tego nie pamięta.**

**W tym momencie Anaíd przypomniawszy sobie niespodziewanie, że Elena miała kiedyś córeczkę Dianę, zamordowaną potem przez Baalat, i że nawet o tym nie wie. Też wypila eliksir. Ale mimo wszystko nie należało jej tego uświadamiać. Anaíd rzuciła więc tylko:**

**–Przecież wiem. Elena złagodziła ton.**

**–Najlepiej ty też napij się eliksiru. Anaíd chrząknęła lekko.**

**–Zgoda. A zrobisz coś dla mnie?**

**–Co konkretnie? – zapytała ostrożnie Elena.**

**–Nie mów mamie, że dzwoniłam. Strasznie by się wściekła.**

**Elena chwilę zwlekała z odpowiedzią.**

**Dobrze, jeśli mi obiecasz, że zapomnisz o Rocu.**

**Anaíd, uśmiechając się pod nosem, skrzyżowała palce, Elena nie mogła jej przecież zobaczyć.**

**–Obiecuję. Ucałuj go ode mnie.**

**I rozłączyła się. Przymknęła oczy, wyobrażając sobie opalony, trochę drapiący policzek, na którym Elena już wkrótce wyciśnie przesłany przez nią pocałunek. Bo zrobi to, powie nawet: „Masz pozdrowienia od Anaíd”. A Roc przypomni sobie wtedy dziewczynkę, z którą w dzieciństwie kapał się w sadzawce.**

**Wykasowała zapis ostatniego połączenia i wrzuciła komórkę do torby matki dokładnie w tej samej chwili, w której Selene weszła do pokoju, cmokając z niezadowolaniem.**

**–Nie rozumiem – wysapała. – Trzy razy nie zatrzymała się przede mną winda.**

**Anaíd powściągnęła uśmiech.**

**–Zaczarowana czy co? – rzuciła, po czym nie wytrzymała jednak i**

**zachichotała.**

**Selene, zawsze skora do śmiechu, objęła córkę i za-wiórowała jej ochoczo, nie mając pojęcia, że Anaíd śmieje się z jej naiwności.**

**Kolacja upłynęła w dobrym nastroju. Wszyscy troje doskonale radzili sobie z udawaniem, że są rodziną. Gunnar napełniał kieliszki, Selene nakładała zamówioną paellę, Anaíd zaś, uśmiechając się do obojga, doprawiała sałatkę oliwą, solą i – a jakże – octem. Wspólna potrawa, wspólna butelka wina, wspólna karafka wody, wspólny chleb i wspólny rachunek. Tylko pokoje mieli osobne, co jednak wydawało się najzupełniej normalne: dwójka dla rodziców i jedynka dla córki. Poza nimi nikt przecież nie wiedział, że jest zupełnie inaczej. Że ta piękna rudowłosa kobieta o szczerym uśmiechu i zielonych oczach nie dzieli łóżka ani tym bardziej życia z tym wysokim ogorzałym mężczyzną o dużych dłoniach, szpakowatych włosach i kobaltowych oczach. Oczach magnetycznych i stalowo chłodnych, takich samych jak oczy siedzącej obok dziewczynki.**

**Nikt nie wiedział, że za fasadą uśmiechów i uprzejmości aż kipi od sekretów, intryg i podstępów.**

**Selene podsunęła Gunnarowi pełen kieliszek, sięgając jednocześnie po swój. Wypili po łyku, patrząc sobie w oczy i Selene przez przypadek postawiła stopę na bucie Gunnara. Natychmiast ją cofnęła, ale Gunnar bezwstydnie podjął rozpoczętą niechcący zabawę. Spięta nagle Selene zerwała się, by pójść do łazienki. Patrząc na Anaíd, uniosła nieznacznie brew, jakby chciała powiedzieć: „Dopilnuj, żeby wypić”.**

**Anaíd uśmiechnęła się uspokajająco, a gdy Selene – z odświeżoną twarzą i staranniej pomalowanymi ustami – wróciła do stołu, stwierdziła z ulgą, że Gunnar opróżnił już swój kieliszek i znowu sobie dolewa.**

**Rozluźniła się więc, napiła się trochę wina i z powrotem zabrała do swojej paelli. Ryż był doskonale przyrządzony, twardawy i sypki, taki, jaki lubiła najbardziej – prawdziwa rozkosz. Ryba i warzywa również nie pozostawiały nic do życzenia. Szkoda, że nie wypadało się przeciągnąć. Czowała się tak dobrze, że aż zaczynały opadać jej powieki. Nic nie psuło tego magicznego momentu, nawet cień zamartwienia – liczyły się tylko te dwie zwrócone ku niej twarze, uśmiechnięte nad talerzami z przepyszną paellą. Gunnar i Anaíd. Byli tacy**

**podobni... A ona, Selene, usadowiona między nimi, otoczona miłością i troską... Upiła jeszcze łyk wina i pomyślała z zachwytem, że mając ich obok siebie, chętnie by się zdrzemnęła. Uśmiechnięte twarze rozmywały się powoli, aż w końcu znikły i głowa Selene łagodnie opadła na stół. Anaíd zdążyła nawet odsunąć talerz, żeby matka nie ubrudziła sobie włosów ryżem.**

**Gunnar i Anaíd popatrzyli po sobie z pewną konsternacją. Selene ważyła znacznie mniej niż dorosły mężczyzna, dlatego eliksir zadziałał szybciej, niż się spodziewali.**

**–Co teraz? – spytała niepewnie Anaíd.**

**Guunnar wstał i delikatnie wziął Selene na ręce. Nie wyglądała na nieprzytomną, jedynie na pogrążoną we śnie, jak dziecko, które zbyt wcześnie zbudziło się rankiem. Podszedł zaniepokojony kelner.**

**–Czy coś się stało? Gunnar musnął ustami policzek Selene.**

**–Żona padała ze zmęczenia, a teraz jeszcze to wino...**

**Popatrzył na nią z czułością jak na dziecko. Potem uśmiechnął się do kelnera i ruszył ku windzie. Anaíd szła za nim.**

**–Pomóc ci? – spytała.**

**–Nie, jest bardzo lekka – odparł, nie odrywając oczu od rozjaśnionej łagodnym uśmiechem twarzy Selene.**

**Nie dodał, że to sama przyjemność, ale Anaíd i tak wiedziała, co miał na myśli.**

**W pokoju delikatnie położył Selene na łóżku. Troskliwie H rozebrał, po czym otulił kołdrą, jak zapamiętały ogrodnik ni ula na zimę egzotyczne krzewy. Potem pocałował Selene w usta i szepnął:**

**–Wybacz mi.**

**Anaíd stała już w drzwiach, niecierpliwie przebierając nogami. Ona nie przeproszała matki, nie całowała jej i nie zamierzała się z nią żegnać. Ojciec zatrzymał się jeszcze na chwilę przy torbie Selene, wyciągnął komórkę i coś na niej wystukał.**

**–Do kogo piszesz? – spytała Anaíd z nagłą nieufnością.**

**On jednak natychmiast ją uspokoił.**

**–Wykasowałem numery jej przyjaciółek – mruknął.**

**Nie mogła mieć pewności, czy powiedział jej prawdę, lecz postanowiła mu uwierzyć. Sprzymierzyła się z nim i jej los znajdował się teraz w jego rękach.**

**Zanim wyszła z pokoju, rzuciła ostatnie spojrzenie na rozanieloną twarz matki. Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz, pomyślała. A schodząc po schodach z walizką w dłoni, zastanawiała się jeszcze, czy tego przysłowia nauczyła ją Demeter, czy Selene.**

## Rozdział V Zakochanie

Niewykluczone, że śródziemnomorskie plaże miały swój urok. Niewykluczone, że położonym na zboczach gór wioskom z krętymi, brukowanymi uliczkami i strzelistymi wieżyczkami kościółków należało zrobić przynajmniej jedno zdjęcie. Niewykluczone, że widok obsypanych kwiatami drzew pomarańczowych powinien zapierać dech w piersi. Anaíd wszakże nie zwracała na to wszystko większej uwagi. Dla niej liczył się tylko Gunnar.

Zagadnięta w tej sprawie oświadczyłaby bez wahania, że ojciec stanowi, jej zdaniem, jedyny jasny punkt w ponurej i monotonnej rzeczywistości.

Nie odrywała od niego wzroku i spijała z jego ust każde słowo. A było co obserwować i czego słuchać, bo Gunnar ukazał się człowiekiem o stu twarzach i niewyczerpanym źródłem fascynujących historii. Ostatecznie żył od ponad tysiąca lat. Ten wstrząsający fakt, dla Anaíd równie niepokojący jak idea wieczności, sam w sobie wystarczał, by pobudzić ciekawość. Gunnar był niesamowity – dosłownie.

–Jesteś pewna, że chcesz wrócić do Urt? – spytał poważnym tonem po zatankowaniu samochodu.

Stali na stacji benzynowej, zbliżało się południe. Przenocowali w jakimś nadmorskim motelu, lecz rano odbili w głąb półwyspu. Na północy, bardzo jeszcze daleko majaczył znajomy zarys Pirenejów.

–Stuprocentowo.

–Ale tam natychmiast ściągniesz sobie na głowę nie tylko Elenę, ale i Karen. Anaíd westchnęła.

–Chcę jedynie przypomnieć o sobie Rocowi, a potem mogę jechać dalej – powiedziała, ani słowem nie wspominając o berle.

Bo mimo wszystko ukrywała przed ojcem swe prawdziwe zamiary. Zamierzała przede wszystkim odzyskać berło, dopiero w dalszej kolejności z powrotem rozkochać w sobie Roca.

–To niebezpieczne – mruknął Gunnar.

–W mojej sytuacji wszystko jest niebezpieczne. Muszę cały czas mieć się na baczności. Wciąż tylko myślę, co powinnam zrobić, co mnie może spotkać...

Gunnar pogłaskał ją po głowie.

**–Teraz nie myśl. Masz surowy zakaz. Spróbuj się rozluźnić.**

**To mówiąc, pociągnął ją za rękę w stronę baru.**

**–Zjesz sobie pyszne pikantne churmsco i porcję szparagów, myśląc wyłącznie o tym, jak ci smakuje – dorzucił.**

**I Anaíd poszła za nim, zachwycona.**

**Podczas gdy oni pałaszowali swoje ogromne porcje, z zarośli koło stacji wychynęło dziwne stworzenie, czekające do tej pory na odpowiedni moment. Ukradkiem zbliżyło się do passata, musnęło ręką karoserię i wypowiedziało jakieś słowa, sprawiając, że bagażnik**

**natychmiast się podniósł. Następnie weszło do środka, ułożyło się wygodnie i kazało klapie opaść z powrotem. A kłapa usłuchała.**

**Choć samochodem Gunnara miał odtąd podróżować jeszcze jeden pasażer, w wyglądzie auta nic się nie zmieniło: wszystkie drzwi były podomykane, a zamki nietknięte. Nic więc dziwnego, że Anaíd i jej ojciec, wracając z baru i żartując z zademonstrowanej przez mego umiejętności wsysania budyniu, niczego nie zauważyli.**

**–To bardzo proste – przekonywał Gunnar.**

**–W takim razie mnie naucz.**

**–Musisz przybliżyć salaterkę do ust, wciągnąć powietrze i już, budyń sam do ciebie leci.**

**–Zupełnie jak berło – mruknęła Anaíd, pochmurniejac nagle.**

**To było jak przekleństwo: wszystko natychmiast kojarzyło jej się z jednym. W nocy jakoś zwalczyła ów potężny zew, ale teraz znowu opanowywał ją niepokój. Nie mogła się dłużej powstrzymać.**

**–Selene powiedziała, że to ty je zabrałeś.**

**–Kłamała – uciął Gunnar.**

**–Ciekawe, gdzie może być schowane... Jak sądzisz? – drążyła Anaíd.**

**–To chyba ty sama wiesz najlepiej – oświadczył, dowodząc tym samym, że bynajmniej nie jest tak oderwany od świata, jak mogłoby się wydawać.**

**–Ja?**

**–Pokaż mi dłoń.**

**A ponieważ Anaíd nie spieszyła się ze spełnieniem tego polecenia, złapał ją za rękę.**

**–Szukałaś go, prawda? Anaíd wyrwała się z jego uścisku i schowała dłoń za plecami.**

**–Jest moje! Ktoś mi je ukradł! Jeśli nie ty, to w takim razie Selene.**

**–Dlatego jedziemy do Urt? Berło jest w Urt?**

**Anaíd spuściła głowę, zawstydzona.**

**–Tak.**

**Obawiała się, że ojciec zacznie ją wypytywać, ale okazał się dyskretny.**

**–Dlaczego mi nie powiedziałaś?**

**–Nie miałam odwagi.**

**–Pozwoliłaś sobie wmówić, że jestem twoim wrogiem.**

**–Nie o to chodzi.**

**A jednak chodziło właśnie o to. Raz posiane, nasiona nieufności musiały zakiełkować. Anaíd postanowiła zamknąć wątek.**

**–Dajmy już temu spokój, dobrze? Proszę, tato.**

**–W porządku – ustąpił Gunnar,**

**Anaíd zaś zdała sobie sprawę z tego, że po raz pierwszy w życiu zwróciła się do niego per „tato”. Wyraźnie się ucieszył.**

**–Nie będziemy już więcej rozmawiać o berle – obiecał, otwierając drzwi samochodu.**

**Anaíd popatrzyła ku rysującym się na północy górcom. Gdy oddalili się od wybrzeża, zrobiło się jakoś chłodniej.**

**–Poczekaj, wezmę sweter – rzuciła.**

**Skoczyła ku bagażnikowi, otworzyła go i w tym samym momencie poczuła ukłucie w**



lewym ramieniu. Albo raczej nagły dotyk gorąca, jak przy oparzeniu. Podniósłszy wzrok, napotkała przenikliwe spojrzenie Gunnara.

–Co robisz?!

–Ja? – zdumiał się Gunnar.

–Patrzyłeś na mnie tak intensywnie, że aż mnie zabolalo, o, tutaj. Pokazała mu małą czerwoną plamkę.

–Żarty sobie stroisz. Musiał cię ugryźć jakiś owad.

Anaíd zaśmiała się z ulgą i całkiem uspokojona nie zwróciła uwagi na zmianę w ułożeniu walizek ani na podejrzaną wyrzucenie pod rzuconym obok kocem. Otworzyła swoją torbę i wyjęła czerwony sweter, który poprzedniego dnia dostała od Selene. Zanim jednak zamknęła klapę, wyczuła coś dziwnego.

–Chodź, trzeba jechać – przynaglał Gunnar. Moment – mruknęła Anaíd, na powrót czujna.

–Co się znowu stało?

Anaíd pogładziła sweter i przytknęła go do nosa, węsząc, jak nauczyła ją Demeter.

–Zapach. Ja tak nie pachnę.

–Jasne. – Gunnar wzruszył ramionami. – Przecież to nowy sweter. Pachnie Selene, fabryką, sklepem, ekspedientką, hotelem...

Anaíd nie była do końca przekonana. Wciąż podejrzliwie marszczyła nos.

–Ale ten zapach jest świeży.

W tym momencie podeszła do nich ubrana w strój firmowy pracownica stacji. Uśmiechając się kokieteryjnie do Gunnara, przesunęła dłonią po zakurzonej masce, zupełnie jakby głaskała psa.

–Ładne auto – zagadała głupio, pożerając Gunnara oczami. – Może umyć szyby?

Anaíd natychmiast przestała się przejmować dziwnym zapachem i pragnąc zniechęcić kręcącą się koło ojca babę, gwałtownie zatrzęsnęła bagażnik.

–Nie, dziękujemy – warknęła.

**Jasne, dlaczego wcześniej na to nie wpadła? Samochód i Gunnara pachniał wszystkimi tymi kobietami, które przewinęły się przez jego życie.**

**–Są bardzo brudne – upierała się tamta, zupełnie ignorując Anaíd. – Daleka droga, co? – spytała, podchodząc do Gunnara bardzo blisko.**

**Typowe. Gunnarowi, gdziekolwiek się pojawił, towarzyszyły uporczywe kobiece spojrzenia, głębokie westchnienia i zastygłe na ustach półuśmiechy.**

**–Dalsza, niż potrafisz sobie wyobrazić – odparł teraz, enigmatycznie, podejmując flirt.**

**Anaíd włożyła swój czerwony sweter.**

**–Jedźmy już, mój drogi – rzuciła złośliwie, osiągając w ten sposób przynajmniej tyle, że natrętne babsko oderwało wreszcie spojrzenie od Gunnara, chcąc najwyraźniej sprawdzić, czy brana dotąd za córkę tego przystojniaka dziewczyna nie jest aby jego młodą żoną.**

**Ale numer nie przeszedł. Anaíd była zbyt podobna do ojca.**

**–Twoja córka się spieszy.**

**–Niecierpliwa jak jej matka. Trzymaj i dzięki – odparł Gunnar, wręczając kobiecie monetę i puszczając do niej oko, co Anaíd uznała za całkowicie niepotrzebne.**

**Nie omieszkała wyrazić swojej opinii, gdy tylko ruszyli.**

**–Dlaczego mrugnąłeś do tej idiotki?**

**–A mrugnąłem?**

**–Tak. Widziałam.**

**–Więc musiałem to zrobić odruchowo.**

**–Często ci się zdarza odruchowo mrugać do obcych kobiet?**

**–A ty często jesteś taką małą zazdrośnicą? Anaíd zamilkła. Gunnar miał rację, ale... nie potrafiła się powstrzymać.**

**–Po prostu trochę mnie to denerwuje. Mamę też pewnie denerwowało.**

**–Przeciwnie. Selene zawsze się z tego śmiała. Była bardzo pewna siebie.**

**Tym ją dobił. Najwyraźniej uważał, że w odróżnieniu od matki jest straszliwie zakompleksiona.**

**Niespodziewanie zalała ją fala wyrzutów sumienia. Co j porabiała Selene? Jak się poczuła po przebudzeniu? Czy ona, Anaíd, postąpiła źle?**

**Chciała dla uspokojenia pogłodzić pierścionek ze szmaragdem i wtedy ku swej zgrozie odkryła, że nie ma go na palcu.**

**–Mój pierścionek! – krzyknęła.**

**–Zaskoczony Gunnar wykonał zbyt gwałtowny ruch kierownicą.**

**–Co się dzieje? Anaíd pochyliła się i zaczęła rozpaczliwie szukać na podłodze i pod fotelem.**

**–Mój pierścionek ze szmaragdem – powtórzyła.**

**–Okropnie mnie wystraszyłaś – upomniał ją Gunnar.**

**–Bo go zgubiłam!**

**–Wczoraj wieczorem też go nie miałaś – zauważył Gunnar, znów pewnie prowadząc auto.**

**Anaíd wyteżyła pamięć. Zdjęła pierścionek, żeby zabandażować dłoń, i... No tak. Zostawiła go w hotelu i Selene już go pewnie znalazła pod lustrem.**

**Nie chcąc pograżać się w smutnych rozmyślaniach, Anaíd postanowiła głośno pośpiewać. To pomagało wyrzucić inne zmartwienia. Wkrótce przyłączył się do niej Gunnar i przez kolejne dwieście parędziesiąt kilometrów wyśpiewywali celtyckie ballady, za sprawą których w samochodzie zapanowała melancholia, jaka ogarnia człowieka na widok zamglonych pejzaży.**

**U wjazdu do doliny Urt Anaíd kilka razy niemiłosiernie zafałszowała, a to dlatego, że z jej prawą ręką zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Całe ramię drżało konwulsyjnie, dłoń piekła, pragnienie dotknięcia berła stało się przemożne. Insignium matki O wyczuło swoją właścicielkę i przyciągało ją niby magnes.**

**–Co ci jest? – spytał Gunnar, zerkając na nią kątem oka i próbując jednocześnie uważać na drogę.**

**–Chyba... Chyba muszę iść do łazienki – skłamała, czerwieniejąc ze wstydu,**

**Anaíd.**

**Gunnar przeciągnął się – od długiego prowadzenia zeszywniały mu ramiona.**

**–Już blisko – powiedział. – Gdzie mam się zatrzymać?**

**Anaíd zastanawiała się nad tym od dobrej chwili. Nie mogła ot tak, w biały dzień, zajechać przed swój dom. Nie mogła pokazać się w miasteczku ani w żadnym uczęszczanym miejscu w promieniu dwudziestu kilometrów. Zbyt wiele osób ją znało. Plotka rozeszłaby się błyskawicznie i prędzej czy później dotarłaby do uszu Eleny albo Karen, a te natychmiast podniosłyby raban. Nie, ryzyko było zbyt duże. Należało działać dyskretnie i ostrożnie.**

**–Jest taki zakątek nad rzeką, przeznaczony na pikniki. Z łazienkami i**

**stolikami. Moglibyśmy kupić coś do jedzenia w supermarkecie i przycząić się**

**do wieczora.**

**Wkrótce potem dotarli na miejsce i Anaíd, widząc kamienne stoły, poczerniałe ruszty i kołysane wiatrem czubki czarnych topoli, poczuła dziwny smutek.**

**Natychmiast przypomniały jej się niedziele spędzane tu z Selene i Demeter. Wróciła do domu. Bo to był jej dom i nic nie mogło tego zmienić.**

**–Jesteś głodna?**

**Zapadał zmierzch, jak zwykle tajemniczy, pełen cieni i szelestów, lecz Anaíd, choć nie jadła od wielu godzin, zamiast głodu czuła nagłą potrzebę odzyskania berła. Znajdowali się w pobliżu dąbrowy z jaskinią. Chodziło tylko o to, by znaleźć jakiś pretekst do samotnego spaceru.**

**–Chętnie bym trochę rozprostowała nogi... Gunnar skinął głową.**

**–Racja. Ja bym się przebiegł.**

**–Koniecznie – zapaliła się Anaíd. Gdyby Gunnar oddalił się choć na**

**chwilę, mogłaby popędzić do jaskini i zrealizować swoje ukryte, a coraz**

**bardziej naglące pragnienie. – Ja wolę pochodzić.**

**Ojciec puścił do niej oko i tym razem Anaíd przyjęła ten jego zwyczaj z zachwytem. To mrugnięcie ustanawiało bowiem między nimi coś w rodzaju łobuzerskiego porozumienia.**

**–W sumie, czemu nie? – mruknął z uśmiechem Gunnar.**

**–Właśnie, czemu nie? – przytaknęła, odpowiadając mu im ugnieceniu. – Nikt się nigdy nie dowie.**

**–Świetnie ci to wychodzi.**

**–Co?**

**–Puszczanie oka.**

**–Naprawdę? Robię to zupełnie odruchowo – oświadczyła powagą, sprawiając, że ojciec parsknął śmiechem.**

**–Gunnar pognął przed siebie, jakby ścigał zwierzynę, i Anaíd wyobraziła go sobie przed tysiącem lat, z długimi włosami związanymi skórzaną opaską i z łukiem na plecach, pokrzykującego na sforę myśliwskich psów. Jeszcze nie bardzo potrafiła pojąć umysłem jego wiek.**

**— Poczekaj! Poczekaj! Zostaw mi kluczyki od samochodu! zawołała, uświadamiając sobie nagle, że sandały, które ma na nogach, nie najlepiej się nadają do biegania po lesie.**

**–Gunnar, nie zatrzymując się nawet, rzucił jej breloczek, a ona, próbując złapać go w locie, skaleczyła się w palec. Ojciec chyba nie kontrolował swojej ogromnej siły.**

**–Gdy tylko zniknął za wzniesieniem, podeszła do samochodu. Miejsce, w którym się zatrzymali, było naprawdę ustronne – żadnych ciekawskich spojrzeń. Wzmagający się wiatr szarpał listkami topoli.**

**–Anaíd nacisnęła przycisk automatycznego otwierania. Podniosła klapę bagażnika, sięgnęła po swoją walizkę i wyjęta z niej pudełko z nowiutkimi sportowymi butami.**

**–Dokładnie w tym momencie wiatr zmienił kierunek, Anaíd zaś poczuła przebiegający po plecach dreszcz. Nie była sama. Zapach, który zdziwił ją już wcześniej, dochodził do niej teraz bardzo wyraźnie. Delikatny i słodkawy, kojarzył się z dzieckiem, ale i z... kurczakiem. Tak pachniał ktoś, kto krył się w samochodzie. Przed chwilą usłyszała nawet szelest. Udając zajęta butami, kątem oka wyłowiła z panującego wewnątrz bagażnika mroku przykryty kocem ludzki kształt.**

**–Zastygła, niezdolna jasno myśleć. Potem, wrywając się z odrętwienia, szybko sięgnęła do kieszeni walizki po *atame*, a następnie wolną dłonią błyskawicznie zatrzasnęła bagażnik. Cofnęła się kilka kroków, po czym nacisnęła guzik, blokując drzwi. Podniosła rękę do piersi, oddychając gwałtownie. Przede wszystkim należało się uspokoić i zastanowić. Kto czaił się w samochodzie? No, kto? Czy to była**

**Baalat?**

**–Właśnie wtedy Anaíd po raz pierwszy pożałowała, że nie może spytać o radę Selene.**

## Rozdział VI Wstyd

Odczuwała lenistwo nie do pokonania. Wahala się między dalszym spaniem – ze świadomością, że pora wstawać – a chęcią uchylenia oczu. Powieki jej ciążyły, usta zaś otwierały się w rozdzierającym ziewaniu.

Wreszcie przeciągnęła się słodko, po czym, zdobywając się na nieziemski wysiłek, podniosła głowę i rozejrzała się wokół. Pusty pokój wypełniało łagodne światło. Stojące obok łóżko Anaíd było już zasłane. Selene uśmiechnęła się z zadowoleniem: grzeczna dziewczynka.

Tryskała dobrym humorem i optymizmem. Śniło jej się, zaskakująco wyraźnie, że Gunnar wziął ją na ręce i ostrożnie przeniósł w ciepłe, miękkie miejsce. Potem pocałował ją, szepcząc: „Śpij”. I spała, spokojnie jak dziecko, pewna, że nikt ani nic nie może jej przeszkodzić. Już od dawna, od śmierci Demeter, nie czuła się tak bezpieczna ani wypoczęta.

W tym momencie na poduszce obok swojej głowy zauważyła jasny włos. Zdziwiona ujęła go palcami i powąchała jak wilczyca. Włos Gunnara. A więc Gunnar był tutaj, w jej pokoju. Teraz zwróciła uwagę, że pomarszczona pościel na skraju łóżka wygląda tak, jakby ktoś tam siedział. Więc może wcale nie był to sen? Ale choć wyteżała pamięć, z poprzedniego wieczoru nie zostało jej żadne wspomnienie.

Poczuła, że jest strasznie głodna. Wstała więc, stwierdzając przy okazji, że zamiast koszuli nocnej ma na sobie bieliznę. Dziwne. Po drodze do łazienki zatrzymała się przy walizce z kupionymi poprzedniego dnia ubraniami. Wszystkie miały jeszcze poprzczipiane sklepowe metki.

Było z czego wybierać. Może powinna włożyć spódnicę? Czemu nie? Nóg nie musiała się wstydzić. Odłożyła ją więc na bok razem z czarnym wydekolowanym topem. Gunnar lubił ten kolor. Zawsze twierdził, że w czerni jej do twarzy. Tak samo jak jemu było do twarzy ze szpakowatymi włosami na skroniach i siateczką zmarszczek wokół oczu. Stał się dzięki nim bardziej interesujący, bardziej męski.

Złość na niego całkiem już jej przeszła. Nie czując na sobie inkwizytorskiego spojrzenia Anaíd, Selene mogła przyznać, że postarzał się jak wszyscy śmiertelnicy i nie używał magii. O tym ostatnim przekonała się podczas starcia z Ciemną Damą, gdy porwała go fala. Nie ulegało wątpliwości, że mówił prawdę, tak samo jak nie ulegało wątpliwości, że w ich obronie, ryzykował życie i że odciął głowę wężowi. Czasem naprawdę bywała niesprawiedliwa. A do tego uparta i nieobliczalna.

Wtedy właśnie, gdy stała pod strumieniem wody, szorując się szorstką rękawicą, przypomniała sobie swój plan. Ala z niej idiotka!

Przecież w trakcie kolacji podała Gunnarowi eliksir nasenny, żeby nocą uciec razem z Anaíd. Wszystko przygotowała. Tylko co w takim razie robiła o tej porze pod prysznicem? Prawdopodobnie zmogło ją zmęczenie, resztką sił dotarła do łóżka i padła jak zabita. Ale może i dobrze się stało. Bo teraz, wzmocniona długim wypoczynkiem, widziała wszystko w innym świetle. I zamierzała pogodzić się z Gunnarem. Oraz z życiem.

Jej największą wadą była impulsywność. Najpierw działa bez namysłu, a potem, rzecz jasna, żałowała.

Biedny Gunnar, on to dopiero musiał teraz spać, po tej dawce eliksiru, którą wsypała mu do wina. Zupełnie jak wtedy, na Islandii, gdy wypił napar przygotowany przez Holmfridur z Klanu Klaczy.

Zapragnęła zajrzeć do jego pokoju i popatrzeć, jak śpi w butach, z rozrzuconymi ramionami. W takiej właśnie pozycji sypiał kiedyś u jej boku, w namiocie ze skóry rena i w chatce na Grenlandii. Spokojny i ufny jak dziecko.

Mądry człowiek potrafi zmienić zdanie, mawiała Demeter. A ona, Selene, stała teraz przed szansą, by zmienić nie tylko zdanie, ale i bieg wydarzeń. Zrobiła się zbyt zapiękła w swojej urazie i Anaíd słusznie jej to wyrzucała. Prawda, Anaíd! Gdzie się to dziecko podziewa? Zostawiła swój pierścionek ze szmaragdem, więc pewnie jest na śniadaniu.

Szybko dokończyła toaletę, a zakładając zegarek, stwierdziła, że jest dopiero siódma rano. Mimo to odnosiła wrażenie, że spała bardzo długo. Tym lepiej. Gunnar nie zbudzi się przed wieczorem, będzie więc dość czasu, by się zastanowić, co dalej z ich trójką,

Zeszła do restauracji, ale niestety Anaíd nigdzie nie było. Usiała przy stoliku z samotnym plastikowym kwiatkiem w wazoniku bez wody, zdziwiona, że w przeciwieństwie do poprzedniego poranka nie przygotowano szwedzkiego stołu. Natychmiast podszedł kelner z kartą.

–Zje pani kolację sama?

Selene uznała, że to żart.

–Wolałabym raczej śniadanie.

–O siódmej wieczorem?

Zastygła. Odnosiła wrażenie, że gdyby ją ktoś ukłuł, nie znalazłby w jej żyłach ani kropli krwi. Więc to łagodne światło było światłem zmierzchu?



**Dlatego w restauracji panowała taka pustka. Dlatego Anaíd zdążyła pościelić łóżko. Co się działo?**

**Pospiesznie wstała z krzesła.**

**–Wrócę tu potem z mężem i córką – powiedziała przepaszająco, sięgając po żakiet i torebkę.**

**Kelner odkaszlnął, wyraźnie zakłopotany.**

**–O ile się nie mylę, ci państwo wyjechali poprzedniej nocy.**

**Zachwiała się, jakby ją ktoś uderzył.**

**–Jak to?**

**–Po kolacji uregulowali rachunek i odjechali.**

**–Samochodem?**

**–Tak mi się zdaje.**

**–Mieli ze sobą bagaż?**

**Kelner czuł się niezręcznie. Nie lubił patrzeć na cudze nieszczęście i żał mu było tej biednej kobiety, tak pięknej, a tak nieszczęśliwej, bo opuszczonej przez męża i córkę.**

**–O to niech pani lepiej zapyta w recepcji. Nie ja ich wymeldowywałem, więc nie wiem.**

**Wiedział doskonale. W całym hotelu aż huczało od plotek. Wszyscy mówili tylko o tej kobiecie, która zamiast z mężem dzieliła pokój z córką, a uśpiona przez nich jakimś narkotykiem przegapiła ich pospieszny wyjazd.**

**Selene też wiedziała. Elementy układanki pasowały do siebie doskonale, tworząc obraz wykalkulowanego oszustwa. Gdy jednak uzyskała w recepcji ostateczne potwierdzenie swoich najgorszych obaw, poczuła, że uginają się pod nią nogi, a na twarz wypływa rumieniec wstydu. Nie czerwieniła się od dzieciństwa, ale teraz miała pewność, że wszyscy się na nią gapią, śmieją się z niej i wytykają ją palcami.**

**Schroniwszy się w pokoju, dokładnie przeszukała szafy. Anaíd zabrała wszystko. Naprawdę uciekła, razem ze swoim ojcem.**

**A berło? Gdzie było berło? Czy faktycznie przywłaszczył je sobie Gunnar? A może**

trafiło w ręce jakiejś Odish? Nie potrafiła odpowiedzieć na te pytania. Wobec Anaíd udawała, że ta kwestia jej nie zajmuje, w rzeczywistości jednak przejmowała się nią bardziej niż czymkolwiek innym. Bo kto miał berło, miał też władzę nad Anaíd.

Powinna była lepiej go pilnować. Popełniła straszny błąd i musiała odnaleźć córkę, nim będzie za późno.

Kiedy zmierzając z walizką w dłoni ku wyjściu, zobaczyła się w lustrze, w swojej nowej spódnicy i czarnej wydekolutowanej bluzce, którą włożyła dla Gunnara, poczuła się głupia i bezradna. Dopiero wtedy załamała się ostatecznie i padła na łóżko, wybuchając płaczem.

Wszystko robiła źle. Nic nie wychodziło jej tak, jak powinno. Niszczyła każdą rzecz, której się tknęła. I oto Gunnar zdradził ją po raz drugi, tym razem

zabierając jej jedyny skarb – córkę. Ale sama była sobie winna. Swoim bezsensownym zachowaniem osobiście pchnęła tych dwoje ku sobie.

Dlatego została sama, bardziej sama niż kiedykolwiek przedtem.

Mogła poprosić w recepcji o wezwanie taksówki, ale wolała skłamać. Zeszła na dół ze sztucznym uśmiechem na ustach i oświadczyła, że zaszło nieporozumienie, że mąż z córką już po nią jadą i że wyjdzie im na spotkanie.

Nie dbała o to, czy jej uwierzyli, czy nie – i tak wszystko było lepsze niż publiczne przyznanie się do tego, że została opuszczona. Bo oznaczało to po prostu, że okazała się zbędna, że inni potrafią się bez niej obejść, a nawet wolą w miarę możliwości unikać jej towarzystwa.

Oddaliła się z godnością, ciągnąc za sobą walizkę, ze szmaragdowym pierścionkiem dumnie połyskującym na placu. Nie odwróciła się ani razu i dopiero za zakrętem, osłonięta od wścibskich spojrzeń, znowu się rozszlochała.

Tymczasem zapadł zmrok. Nie miała pojęcia, co dalej. Gdzie powinna się udać? Przysiadła bezsilnie na walizce i zasłoniła twarz dłońmi. Była całkowicie zagubiona.

I wtedy nagle poczuła, że jej dłoni dotyka szorstki, ciepły język. Zaraz potem rozległ się znajomy głos, który sprawił, że oderwała palce od twarzy i z niedowierzaniem otworzyła oczy.

–Nie poddawaj się.

–Demeter! – wykrzyknęła Selene. Rzeczywiście, jej matka, w ciele wilczycy, stała tuż obok.

**–Anaíd będzie cię potrzebować, nie wolno ci jej zostawić na pastwę losu.**

**–Ale co mogę zrobić?**

**–Przede wszystkim musisz ją odnaleźć. Nieznoszący sprzeciwu ton Demeter pomógł Selene dźwignąć się na nogi.**

**–Och, mamó, tak bardzo mi cię brak, wszystko jest takie trudne.**

**–Wiem, córeczko.**

**–Gdybym cię miała obok, byłoby łatwiej.**

**–To twój czas, Selene, mój się skończył.**

**Selene posłusznie skinęła głową. Niczemu nie służyło uzalanie się nad sobą ani snucie marzeń o tym, co niemożliwe. Chwile szczęścia przeciekały przez palce niepostrzeżenie. Ona, Selene, przeżyła ich sporo, z Gunnarem, swoją wielką miłością, z Demeter, swoją matką, a przede wszystkim z Anaíd, ukochaną córką. Którą teraz należało za wszelką cenę odnaleźć. Choćby trzeba**

**było wędrować w tym celu piechotą na koniec świata. Selene silniej ścisnęła rączkę walizki i ustawiła się na skraju drogi, zdecydowana zatrzymać pierwszy nadjeżdżający samochód. Dostrzegając w oddali światła, uniosła rękę.**

**–Dokąd? – spytała, spoglądając ku miejscu, gdzie jeszcze chwilę wcześniej stała Demeter.**

**Ale połyskujące ślepią wilczycy znikły już w mroku. Demeter przepadła bez śladu. W akcie rozpaczy Selene potarła pierścioneł, na nic się to jednak nie zdało. Dlatego, wściekła i zboląła, gwałtownym ruchem zsunęła go z palca i w bezsilnej złości cisnęła w ciemność.**

# Rozdział VII

## Rozczarowanie

Anaíd, skulona w pobliżu samochodu, czekała do zmroku. Zniecierpliwiona, już kilka razy zbierała się do konfrontacji z ukrytym w aucie intruzem, lecz zawsze dochodziła do wniosku, że bezpieczniej będzie się wstrzymać do powrotu Gunnara.

Kiedy ostatnie promienie słońca ześlizgnęły się ze szczytów topoli, zapadła ciemność. Przytulny w ciągu dnia zakątek nad rzeką natychmiast wypełniła groza potęgowana przez krzyki sowy i odwaga Anaíd zgasła jak zapalka, ustępując miejsca przerażeniu.

Tym bardziej, że kłapa bagażnika, choć automatycznie zamknięta, już od dłuższej chwili dygotała, jakby próbując się otworzyć, i oto nagle zaczęła się z wolna podnosić. Anaíd, napięta jak struna, rozprostowała, jeden po drugim, zdrętwiałe palce prawej dłoni, po czym zacisnęła je na *atame*. Była gotowa na każdą ewentualność. Przypomniała sobie rady Aurelii z Klanu Wężycy: jasny umysł, czujne zmysły i każdorazowe uprzedzanie intencji przeciwnika – to klucz do zwycięstwa.

A jednak, gdy tylko wyłowiła z mroku szybszy ruch, straciła głowę i zaatakowała zupełnie na oślep: rzuciła się w stronę samochodu, nawet nie próbując się osłaniać ani zwielokrotnić swego obrazu dla zmylenia wroga. Opętana gniewem uniosła *atame*, nie zważając na fakt, że z bagażnika gramoli się drobna i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nieszkodliwa dziewczyna, próbująca w przerażeniu osłaniać głowę patykowatymi ramionami.

–Anaíd, nie!

Czy sprawiło to jej własne imię, czy drżący głos, który je wypowiedział, czy może resztki samokontroli – dość, że Anaíd w porę opuściła ramię.

Dyszając, oświetliła nieznajomą blaskiem bijącym z prawej dłoni.

–Kim jesteś?

Na te słowa, ku jej zdumieniu, dziewczyna wyskoczyła z bagażnika, padła na kolana i ucałowała jej stopy.

Jestem twoją najwierniejszą, najbardziej oddaną wyznawczynią, Anaíd. Uwielbiam cię. a na imię mam Dácil.

Dácil? – powtórzyła Anaíd, marszcząc czoło i nie przestając oślepiać tamtej snopem blasku ani mierzyć w nią *atame*. - To ty wysyłałaś mi SMS-y i e-maile?

**–Tak, Anaíd, to byłam ja. Od tak dawna cię szukam. Jedyne, czego chcę, to być przy tobie, podążać za tobą, gdziekolwiek się udasz, i służyć ci najlepiej, jak potrafię.**

**Anaíd stała przed wyborem: uwierzyć jej albo nie. Poruszając lekko dłonią, obejrzała ją od stóp do głów. Dácil była bardzo szczupła, miała ciemne, kręcone włosy, śnadą skórę, a zbyt mocno umalowane rzęsy uginały się od grudek kiepskiego tuszu. Jaskraworóżowe usta, top w czarne cętki oraz wysokie koturny podkreślające chudość nóg – wszystko to zdecydowanie świadczyło o jej złym guście.**

**Jeśli jednak pominęło się ten ekscentryczny sztafaż, Dácil, ze swoim anielskim uśmiechem, słodkim wejrzeniem i małym noskiem, przypominała Madonnę. Czy była dziewczynką, czy kobietą – pozostawało dla Anaíd niejasne.**

**–Skąd się wzięłaś w naszym samochodzie?**

**–Śledziłam cię. Od dawna cię śledzę.**

**Wydawało się wykluczone, żeby Baalat, tak obyta i od tysiącleci rozmiłowana w pięknie, zgodziła się wcielić w to chuderlawe i nerwowe ciało.**

**–Ale... Ale... Kim właściwie jesteś i... w ogóle.**

**Twarz Dácil rozjaśnił uśmiech, który skojarzył się Anaíd z prześlicznym motylem.**

**–Jestem Dácil, Światło, córka Atteneri zwanej Białą i wnuczka Guacimary, księżnej. Należę do Klanu Axy, czyli Kozy, i od najwcześniejszego dzieciństwa ciągle słyszałam o wybrance, o dniu, w którym zawita do naszej doliny, by spocząć w grocie i zstąpić w półmrok krateru.**

**Anaíd zastygła z otwartymi ustami, by po chwili, przetrawiwszy w miarę możliwości tę masę informacji, zapytać:**

**–Jesteś... Jesteś Omar?**

**–Oczywiście – zaśmiała się Dácil i natychmiast stało się jasne, skąd jej imię, Światło: jej śmiech zdawał się rozsiewać wokół drobinki blasku.**

**–A... skąd pochodzisz?**

**–Z wyspy Chinet.**

**–Chinet? – zdziwiła się Anaíd.**

**–Wy nazywacie ją Teneryfą – wyjaśniła Dácil.**

**–A, więc chodzi o wulkan Teide! – zawołała Anaíd, podnosząc dłoń do ust. – Bo powiedziałaś, że wybranka ma „zstąpić w półmrok krateru”, tak?**

**–Tak mówiły zawsze matriarchinie z Orotayy. Jaskinia czeka od pokoleń. Mądra Aremoga z Gomery i Ariminda, królowa, przygotowały mnie i moją**

**sprytną kuzynkę Tazirgę na przyjęcie wybranki. Mamy ją powitać i o nią zadbać. Więc jesteśmy kimś w rodzaju jej hostess.**

**–Chyba służek albo oficjantek? – poprawiła Anaíd.**

**–No co ty! Tak by powiedziała moja babcia. Straszny olidach!**

**–Aha – mruknęła Anaíd, nieco zbита z tropu. Hostessy wybranki brzmi odłotowo, nie?**

**Anaíd znowu zerknęła na jej ubranie: oprócz koszmarnego topu Dácil miała na sobie dzinsową spódniczkę naszytymi kolorowymi szkiełkami, a na jej palcach połyskiwało tyle pierścionków, że Anaíd zastanawiała się, jak biedaczka daje radę poruszać rękami. W kwestii gustu zdecydowanie się różniły.**

**–No... owszem, całkiem odłotowo.**

**Dácil uśmiechnęła się tak promiennie, że Anaíd pomyślała już nie o jednym, ale o tysiącu motyli.**

**–Naprawdę?**

**To mówiąc, Dácil rzuciła się jej na szyję. Anaíd w pierwszej chwili uznała, że to kolejny, obok stroju, przejaw ekscentryczności nowej znajomej, ale zaraz potem stwierdziła, że w sumie miło zostać tak serdecznie wyściskaną.**

**–Ariminda na pewno się dowie, że to zrobiłam. I znowu i nie się mnie czepiać.**

**–Ariminda?**

**–Matriarchini Klanu Kozy. Straszne próchno. Na pewno by ci się nie spodobała. – a potem, bez żadnego uprzedzenia, Dácil wyciągnęła z kieszeni paczuszkę. – Proszę. To dla ciebie. Prezent.**

**Anaíd w pierwszej chwili chciała odmówić, ale nie potrafiła. Szczere oczy Dácil, jej wyciągnięta energicznie ręka, nieudolnie opakowany pakiecik i źle maskowane**

wyczekiwanie – wszystko to wywoływało ucisk w gardle i jakby ochotę do płaczu. Dziwne.

Ostrożnie otworzyła paczuszkę. W środku, owinięty w pognieciony papier, leżał ładny, starannie pomalowany kamień. Na czarnym jak węgiel tle widniały piękne geometryczne wzory w jaskrawych barwach.

–Podoba ci się? – spytała z nadzieją Dácil. – Wybrałam kolory pasujące do twoich oczu i włosów. To znaczy do twoich prawdziwych włosów, rudych.

Na myśl, że ktoś obcy trudził się, by sprawić jej przyjemność, Anaíd poczuła, że ściskanie w gardle niebezpiecznie się potęguje.

–Jest cudowny – powiedziała.

–Wulkaniczny, z mojej doliny. Daj, zawieszę ci go. To amulet, będzie cię chronił.

Po tych słowach Dácil wzięła kamień, przewlokła rzemyk przez ledwie dostrzegalną dziurkę i zręcznie zawiązała go na szyi Anaíd.

Potem jej szczupłe palce przesunęły się po głowie Anaíd.

–Masz odrosty. Będziesz musiała je ufarbować. Szkoda. Bardzo bym chciała zobaczyć cię z rudymi włosami... I tak jesteś bardzo ładna, a co dopiero w naturalnym kolorze!

Ten naiwny zachwyt mile połechtał próżność Anaíd.

–No dobrze, czyli jesteś moją... hostessą. i co na przykład mogłabyś dla mnie zrobić?

–Nauczono mnie przyrządzać ci banany z miodem, przygotowywać kąpiel z aloesem, dbać, by twoje łóżko pachniało lawendą, śpiewać tradycyjne pieśni Guanczów i opowiadać stare legendy, o księżniczce Ico, o pięknej Amarce...

–Ale co właściwie tutaj robisz? – przerwała jej Anaíd, chwilowo nieciekawa starych legend.

Dácil wzruszyła ramionami.

–Miałam dość czekania i postanowiłam się po ciebie wyprawić.

**–Chcesz przez to powiedzieć, że powinnam jechać z tobą do Orotawy, bo macie tam dla mnie jaskinię? – zdziwiła się Anaíd.**

**–Czekamy na ciebie od pięciuset lat.**

**–Jednym słowem, proponujecie mi wakacje na Wyspach Kanaryjskich, tak? Dácil parsknęła śmiechem.**

**–Nie wygłupiaj się.**

**–Wcale się nie wygłupiam.**

**–To czemu pytasz, skoro wiesz. Jesteś wybranką, wiesz wszystko.**

**–Skąd – zaprzeczyła Anaíd.**

**–Nie jesteś wybranką? – zaniepokoiła się Dácil.**

**–Chyba jestem, ale nie wiem wszystkiego – wyjaśniła Anaíd. – A raczej w ogóle nic nie wiem, na przykład nie mam zielonego pojęcia, dlaczego matriarchinie Klanu Kozy z Otorawy już pięćset lat temu przygotowały dla mnie jakąś jaskinię.**

**–O, ja to akurat wiem, jedyna zresztą.**

**–Powiesz mi?**

**–Tamtędy dostaniesz się...**

**–Dokąd? Dácil rozejrzała się na wszystkie strony i wyszeptała:**

**–Na ścieżkę umarłych, łączącą ich świat ze światem żywych. Z ust Anaíd wyrwał się okrzyk zdumienia:**

**–Na Ścieżkę Om! Dácil westchnęła.**

**–Guanczowskie księżniczki schodziły tam, ale dopiero śmierci. Natomiast ty...**

**Anaíd zawstydziała się nagle. Ta niepozorna dziewczyna z pięknej wyspy na Atlantyku wiedziała o przeznaczeniu wybranki więcej niż ona sama.**

**–Natomiast ja...?**

**–Natomiast ty zejdziesz tam żywa. Anaíd poczuła przebiegający po plecach dreszcz.**



**–I żywa stamtąd wrócę, mam nadzieję.**

**–Tego nie wiem – przyznała ze smutkiem Dácil.**

**–Jak to nie wiesz?**

**–Bo uczono mnie, że z chwilą gdy wybranka zstąpi do krateru, nasza misja dobiegnie końca. a to chyba znaczy, że nie wrócisz.**

**–Albo że wrócę inną drogą – rzuciła z irytacją Anaíd. Dácil zastanawiała się przez moment, po czym oświadczyła z uśmiechem:**

**–No tak! Co za ulga! Nietrudno było ją przekonać.**

**–Ale skoro powinnaś mnie oczekiwać w jaskini, czemu tego nie robisz? – drażyła Anaíd.**

**–Bo chciałam cię poznać.**

**Jej szczerłość działała odświeżająco, zupełnie jak porcja lodów waniliowych.**

**–A w jaki sposób dostałaś się do zamkniętego samochodu?**

**–Z łatwością. Otworzyłam go zaklęciem Bencoma.**

**Anaíd pamiętała, że wódz Guanczów, Bencomo, nie cieszył się w Hiszpanii najlepszą sławą.**

**–Czy to zaklęcie nie jest...?**

**–Zakazane? Pewnie – przytaknęła natychmiast Dácil. – Niemile widziane jest wszystko, co wiąże się ze strasznym Bencomem, ostatnim wodzem, który uciekał się do magii Omar, by powstrzymać zapowiedziany przez wyrocznie najazd. Co mu zresztą nie bardzo wyszło. I tak nas najechaliście.**

**–Ja nie.**

**–Jasne, to tylko taka przenośnia. Miałam na myśli Hiszpanów.**

**–Ale skoro to zaklęcie jest zakazane, to dlaczego go używasz?**

**–Bo jestem rewolucjonistką.**

Anaíd ledwo wierzyła własnym uszom. Dácil natomiast wydawała się bardzo zadowolona z wygłoszonego przed sekundą oświadczenia. Anaíd powściągnęła cisnący się jej u usta uśmiech.

–Proszę, proszę, czyli mam do czynienia z osobą, która poprowadzi młode

Omar ku nowemu, lepszemu losowi!

Dácil wybuchnęła swym dźwięcznym śmiechem.

–Nie, to nie będę ja.

–Nie? Przecież jesteś rewolucjonistką...

–No tak, ale ja tylko idę za twoim przykładem. Zdumienie Anaíd sięgnęło zenitu.

–Za moim przykładem? Dácil zakręciła się w koło jak roztrzepotany rajski ptak.

–Pewnie. Ty jesteś moją przewodniczką, moim wzorem, moją przyszłością.

Jesteś odlotowa, zakręcona, a nie taka wsteczna jak nasze matriarchinie, które zabraniają nam chodzenia na dyskoteki, noszenia krótkich spódnic i używania zaklęć Bencoma.

Anaíd poczuła, że kręci jej się w głowie. Ta cała Dácil była jak bomba z opóźnionym zapłonem.

–Ale co huczące od house'u dyskoteki mają wspólnego z zaklęciami

Bencoma i wybranką?

Ku jej konsternacji Dácil znowu się roześmiała.

–Jesteś taka dowcipna!

Anaíd nigdy nie uważała się za szczególnie dowcipną, choć nie miałyby nic przeciwko temu, by za taką uchodzić. Zazdrościła – oczywiście w granicach zdrowego rozsądku- dziewczynom, które jednym zgrabnym zdaniem potrafiły podsumowywać codziennie drobne tragedie, sprawiając, że wszyscy pokładali się ze śmiechu. Clodia, na przykład, była znacznie od niej zabawniejsza. No, ale jeśli Dácil okazywała się aż i do tego stopnia zaślepiona... Takiej fanki nie należało zniechęcać.

–Czego ode mnie oczekujesz?

**–Że pozwolisz mi być obok, abym mogła na ciebie patrzeć, wiernie ci służyć i...**

**–I?**

**–I codziennie mówić ci, jak cię uwielbiam.**

**To powiedziawszy, Dácil znowu rzuciła się jej na szyję z takim zapałem, że Anaíd omal nie straciła równowagi i musiała oprzeć się o samochód. Przy okazji dostrzegła w oddali powracającego z joggingu Gunnara.**

**–Szybko, do bagażnika!**

**–Dlaczego? – zdziwiła się Dácil.**

**–Nie chcę, żeby mój ojciec cię zobaczył.**

**–A kto, twoim zdaniem, dal mi znać, gdzie jesteś?**

**W tym momencie zdyszany Gunnar stanął obok i stwierdził:**

**–Ty musisz być Dácil.**

**Kilka minut później Gunnar z uśmiechem pochłaniał kanapkę. Wysilek zaostrzył mu apetyt i przywrócił dobry humor. Niebotyczne zdumienie Anaíd bawiło go tak bardzo, że w jego prawym policzku bez przerwy zaznaczał się wyraźny dołeczek.**

**Siedzieli razem z Dácil przy pokrytym graffiti stole i pochłaniali zapasy.**

**–Kto by pomyślał, że potrafisz tak doskonale udawać – rzuciła z przekąsem Anaíd, po czym odgryzła kawałek banana.**

**–Miałem sporo czasu, żeby się nauczyć.**

**–Ale co cię właściwie skłoniło do skontaktowania się z Dácil?**

**–A nie sądzisz, że jej wiadomości wymagały reakcji?**

**Anaíd przez chwilę przyglądała się tej spiskującej za jej plecami dwójce.**

**–Więc zadzwoniłeś do niej?**

**–Oczywiście.**

**–A Selene jakoś na to nie wpadła. Dácil pokręciła głową.**

**–Nie, twoja matka nigdy mi nie odpisała. Ciekawość Anaíd zwróciła się teraz w jej**

stronę.

–Skąd wzięłaś numer Selene?

–Z telefonu Eleny.

–Eleny?

–Tak, już wcześniej byłam w Urt. Nie wiedziałam tylko, u k prędko tu wrócę.

–Kiedy stąd wyjechałaś?

–Przedwczoraj.

Anaíd miała nadzieję, że tamci dwoje nie słyszą szalonego bicia jej serca. Co za koszmar, co za wstyd!

–Poznałaś... e... rodzinę Eleny?

–Tylko kilku z jej synów.

–A Roca? – spytała z drzeniem w głosie.

–To ciacho na motorze? Nawet na mnie nie spojrział. Jego dziewczyna to idiotka.

–Marion. – Anaíd zgrzytnęła zębami.

–Właśnie, Marion. Wyjątkowo antypatyczna – rzuciła Dácil, po czym natychmiast zakryła sobie usta dłonią. – O, przepraszam, może to twoja przyjaciółka.

–Nie. Nigdy nią nie była i nigdy nie będzie – oświadczyła z mocą Anaíd, zadowolona z nadarzającej się okazji, by wyrazić swoją opinię o aktualnej dziewczynie Roca – Marion to zadufana w sobie egoistka, manipulatora i...

W tym miejscu, przerywając tę mściwą wyliczankę, wtrącił się Gunnar.

–Jechałaś pociągiem?

–Ciężarówką – odparła Dácil.

–Jak to?

–Ukryłam się w transporcie kurczaków.

Anaíd rozumiała już teraz, skąd ten dziwny zapach, który wyczuła w samochodzie.

–Twoja mama wie, że podróżujesz w ten sposób?

**–Tak. Mówi, że się w nią wdałam. Jest ze mnie bardzo dumna.**

**Anaíd uznała, że coś tu nie gra.**

**–Twoja mama jest z ciebie dumna, bo chowasz się po ciężarówkach z kurczakami?**

**–Sama kiedyś przez długi czas ukrywała się w ładowni statku.**

**–Naprawdę?**

**–Chciała dopłynąć do Wenezueli, ale przez sztorm statek zboczył z kursu. w końcu wylądowała w Stanach Zjednoczonych i trafiła do Nowego Jorku.**

**–Ciekawe. Kiedy to było?**

**–Dziesięć lat temu. Od tego czasu jej nie widziałam. Anaíd poczuła, jak zalewa ją fala współczucia.**

**–Opuściła cię?**

**–Nie, nie, zaoszczędziła już nawet pieniądze, żeby mnie do siebie ściągnąć. Strasznie mnie kocha, jesteśmy bardzo podobne.**

**–Aha.**

**–Nauczyłam się nawet angielskiego, żeby jej pomagać i pracować, wróżąc z dłoni.**

**–To dlaczego twoja matka tak zwleka?**

**Dácil uśmiechnęła się łagodnie.**

**–Nie mogę przecież wyjechać, jeśli nie wypełnię swojej powinności wobec wybranki.**

**Wtedy do Anaíd dotarło.**

**–I dlatego chciałabyś to zrobić jak najszybciej.**

**–Właśnie.**

**–Dlatego po mnie przyjechałaś.**

**–No bo sprzykrzyło mi się to czekanie...**

**Anaíd ogarnęły nagle wyrzuty sumienia. Przeznaczenie samo wyciągało po nią rękę, a to znaczyło, że zbyt długo z nim igrała, zwlekając i przedkładając swoje kaprysy**

obowiązki.

Ale teraz chciała przecież jedynie odnaleźć berło i zapewnić sobie trochę miłości. Gdy tylko odzyska Roca, będzie wiedziała, co dalej.

Pod wpływem impulsu pochyliła się ku Dácil i objęła jej chude ramiona. W odpowiedzi mała upierścieniona ręka kurczowo przycisnęła się do jej pleców. Ekscentryczny sztafaż okazywał się przebraniem. Krzykliwy kostium lolitki skrywał trzynastoletnią najwyżej dziewczynkę. Choć bez wątplenia była to dziewczynka wyjątkowo bystra, odważna, entuzjastycznie nastawiona do świata i uczuciowa. No i pozbawiona matczynej opieki. Zupełnie jak, od niedawna, Anaíd.

–Sprawiłaś mi wielką niespodziankę, Dácil. Co teraz zrobisz?

–Zostanę z tobą – padła natychmiastowa odpowiedź.

–Niemożliwe – zaprotestowała Anaíd. – Ja tu jestem incognito. Nikt nie może wiedzieć, że wróciłam.

Spojrzała na Gunnara. Jego też znało całe Urt. Sam mówił, że wszędzie się o nią dopytywał.

Gunnar zdawał się czytać w jej myślach.

–Nikt mnie nie zobaczy, Anaíd. Zaraz stąd znikam. Zmartwiła.

–Jak to? Dokąd się wybierasz?

–Na południe. Jeśli tu zostanę, Selene zaraz nas znajdzie i zacznie się wtrącać. Muszę ją od ciebie odciągnąć, wyprowadzić w pole.

–Kiedy chcesz jechać? – spytała ze strachem.

–Jak najszybciej.

Tego się nie spodziewała. Że przyjdzie jej radzić sobie całkiem samodzielnie, bez pomocy ojca i matki, w tajemnicy przed Omar i Odish zarazem.

–Boje się.

–Przestaniesz, jak tylko odzyskasz berło.

–Będę sama... – szepnęła Anaíd. Ale Gunnar znów puścił do niej oko.

–Nieprawda. Zostawiam cię w dobrych rękach...

**Anaíd z powątpiewaniem zerknęła na Dácil, smarkulę, która nawet nie przeszła inicjacji.**

**–Nie możesz mi tego zrobić – jęknęła.**

**Gunnar zgarnął resztki ze stołu, wstał, otrzepał okruszki z koszuli, a następnie nachylił się, by pocałować córkę.**

**–Nie martw się, wrócę.**

**–Ale co ja mam teraz począć?**

**–Może zacznij szukać berła. – Uśmiechnął się kpiąco.**

**A wtedy Anaíd, która poprzedniego dnia oszukała matkę, poczuła się tak samo oszukana jak ona.**

## Rozdział VIII Zaskoczenie

Anaíd mogła się wyprawić do jaskini dopiero następnego poranka. Noc spędziła we własnym domu, przekonując Dácil o konieczności ukrywania się przed Eleną i Karen.

O świcie zostawiła pograżoną we śnie przyjaciółkę samą i ruszyła w stronę dąbrowy. Im bardziej zbliżała się do jaskini, w której było ukryte berło, tym mocniej paliła ją dłoń.

W końcu, umierając z niecierpliwości, pogрузzyła się w wypełniający grootę mrok. Odkryła to miejsce w dzieciństwie, szukając kryjówki przed babcią, Demeter, poznawała je przez lata i teraz umiałaby poruszać się po nim z zamkniętymi oczyma. Wiedziała, ile kroków dzieli wejście od sali ze stalaktytami, nauczyła się na pamięć wszystkich skalnych załomów i tuneli, doskonale pamiętała panującą tu wilgotną, cierpką woń i głuchą ciszę, a także majaczące wysoko w górze wspaniałe, wymodelowane przez nieprzewidywalną naturę stropy. To była jej jaskinia.

A jednak, pochłonięta myślą o berle, nie dostrzegła żadnego ze znaków, które wskazywały, że coś jest nie tak. Nie zauważyła ludzkich śladów na piasku. Nie wyczuła specyficznego zapachu w sali duchów, którą nazywała tak ze względu na bielejące w ciemności fantasmagoryczne stalaktyty. Nie zorientowała się, że jakiś cień przesunął się po jednej ze ścian i skrył za kolumną. Nie zwróciła na to wszystko uwagi, bo i z nią sarną działy się dziwne rzeczy. Dygotała na całym ciele, czekały jej zęby, pociły się dłonie, a serce biło jak szalone. Pragnęła tylko jednego: dotknąć berła. Gdzie ono było? Wczuwała je gdzieś blisko i z trudem zachowywała nad sobą kontrolę. Jej rozbiegane oczy spoczęły wreszcie na uformowanych w okrąg skałach, między którymi, zgodnie z tym, co zobaczyła w hotelowym lustrze, powinno leżeć upragnione insygnium. i rzeczywiście, było tam. Gdy je ujrzała, świat zniknął. W jej wyciągniętej zachłannie dłoni mrowienie narastało nie do wytrzymania, jak kręcenie w nosie tuż przed kichnięciem.

Berło lśniło i pulsowało, zdając się powtarzać; „Dotknij mnie”, ale kiedy już miała je podnieść, cień, którego wcześniej nie zauważyła, wyrósł tuż obok i czyjaś szczupła dłoń przytrzymała ją za nadgarstek.

Anaíd otworzyła usta do krzyku, lecz gdy podniosła oczy, ujrzała piękną, wytworną kobietę o jasnej karnacji i błękitnych oczach. Osoba ta natychmiast zwolniła uścisk, uśmiechnęła się i powiedziała:

–Anaíd, kochanie.

1 Anaíd, która żegnając się z ojcem, potrafiła jakoś opanować targające nią



uczucia, teraz nagle zupełnie się rozkleiła.

–Babciu! – wyszlochała, padając w ramiona Cristine Olav, Lodowej Damy.

W tym samym momencie przypomniała sobie walki; z Baalat, opanowany, zimny głos wydający polecenia, świetlistą postać bez twarzy...

–To byłaś ty – szepnęła w zdumieniu. – Uratowałaś mnie przed Baalat!

Cristine lekko skinęła głową.

–Oczywiście, skarbie, nie sądziłaś chyba, że pozwolę ci umrzeć.

–I to ty przeniosłaś tu berło, żebym mogła je odnaleźć.

–Ustronna jaskinia nadawała się doskonale.

–Gunnar wiedział?

–Sama mu powiedziałam, że zaczekam na ciebie w tym miejscu.

–A więc kiedy mówił, że zostawia mnie w dobrych rękach, miał na myśli ciebie.

–Naturalnie. – Cristine uśmiechnęła się, pieszczotliwie gładząc ją po policzku. – Przecież wiesz, jak cię kocham.

–Ja ciebie też – wyznała Anaíd, wtulając się w chłodną białą suknię.

I pomyślała, że Selene nigdy by tego nie pojęła.

Anaíd potrafiła wyczuwać Odish: od czasów inicjacji na Sycylii poznawała je po spojrzeniu i zapachu. Ale z Cristine Olav wszystko wyglądało inaczej. Bo Cristine, choć była czarownicą Odish, była również – i przede wszystkim -jej babcią. Dlatego Anaíd uściskała ją serdecznie, nie mając przy tym wrażenia, że zdradza swój klan.

Cristine, wysoka, jasnowłosa, ze stalowoniebieskimi oczami, które odziedziczyli po niej Gunnar i Anaíd, wyglądała, jak na babcię, całkiem młodzieńczo. Szybko jednak wyszło na jaw, że zwyczajem wszystkich babć gotowa jest rozpieszczać wnuczkę.

–Proś, o co chcesz, kochanie – oświadczyła swoim chłodnym głosem, tak samo dystyngowanym jak cała jej wytworna postać.

W tym momencie Anaíd marzyła tylko o jednym: żeby dotknąć berła.

–Mogę...?

–Jasne, należy do ciebie.

Anaíd pogładziła je z wahaniem. w obecności Cristine nie śmiała wziąć go do ręki. Wystarczyło jednak, że jej palce musnęły magiczny przedmiot, by natychmiast poczuła rozlewającą się po całym ciele błogość.

Potem przypomniała sobie o drugiej z niecierpiących zwłoki spraw.

–A mogłabym... Mogłabym zobaczyć Roca?

–Chodź ze mną – powiedziała Cristine.

Poprowadziła ją nad jezioro, by jednym pstryknięciem palców zamienić je w gigantyczną bryłę lodu. W pięciu punktach lśniącej powierzchni – które po połączeniu liniami wyznaczyłyby pentagram – zapaliły się świece, rozjaśniając panujący w grocie mrok.

Cristine lekko dotknęła lodu i zdumiona Anaíd ujrzała u swoich stóp, jak na ekranie, Roca. Serce podskoczyło jej do gardła. Jakież on był przystojny!

Siedział właśnie w klasie, lekko spocony i mocno zafrasowany, machinalnie rozprostowując długopisem jeden ze swoich loków. Na ławce przed nim leżała biała kartka oraz kserówka z czterema matematycznymi zadaniami. Najwyraźniej pisał jakąś klasówkę, a właściwie był na najlepszej drodze do tego, by jej nie napisać. Anaíd natychmiast go pożałowała,

–Chciałabym mu jakoś pomóc.

–Jesteś pewna?

–Po co ma się męczyć?

–No dobrze, spróbuj.

–Ale co mam zrobić? Cristine ujęła jej dłonie.

–Powtarzaj za mną. *Etpordet le numis*.

To nie była magia Omar. Czarownice Omar nie używały takich zaklęć. Całkiem zresztą słusznie.

–*Etpordet le numis* - szepnęła słabo Anaíd.

I Roc, niby pociągnięta za sznurek marionetka, zaczął pospiesznie zapełniać białą dotąd kartkę, pisząc absurdalnie prędko, jak na przyspieszonym filmie. Koledzy obok tręcali się łokciami i parskali śmiechem. Roc wyglądał jak szaleniec i chyba w ogóle

nie zdawał sobie sprawy z tego, co się z nim dzieje. Na koniec zastygł ze szklanymi oczyma, palcami kurczowo zaciśniętymi na długopisie i wymalowanym na twarzy niedowierzaniem. Rozwiązał cztery zadania w niecałą minutę. A w każdym razie wypisał długie szeregi cyfr, które mogły się okazać poprawnymi rozwiązaniami wciąż dla niego niezrozumiałych poleceń.

Anaíd chętnie by mu uświadomiła, że to dzięki niej, ale właśnie wtedy w jej polu widzenia ukazała się dłoń należąca do schowanej wcześniej z boku dziewczyny. Dłoń ta musnęła nogawkę spodni Roca, po czym chwyciła kartkę, którą on wcześniej zdążył wsunąć pod ławkę.

Wściekłość odebrała Anaíd mowę. Znowu Marion! Jak zwykle wcinająca się między nią a Roca, bezczelnie kradnąca podarowaną mu właśnie klasówkę!

Cristine zrozumiała mordercze spojrzenie wnuczki. Ponownie wzięła ją za rękę.

–*Azat senert ateliomint.* Tym razem Anaíd powtórzyła jej słowa bez wahania, na cały głos.

–*Azat senert ateliomint.*

Kartka natychmiast zajęła się ogniem, przerażona Marion krzyknęła i upuściła ją na kolana Roca, on zaś zerwał się z krzesła, cisnął płonący papier na podłogę i przydeptał. Całe to zamieszanie musiało oczywiście przyciągnąć uwagę nauczyciela. Profesor Hilde, postrach całej szkoły, zbliżył się z miną nie wróżącą niczego dobrego. Popatrzył na Roca, potem na Marion, a na koniec, podjąwszy z ziemi nadpaloną kartkę, obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

–Wspaniała ściąga. Ale już wam się nie przyda.

Po czym wyciągniętym groźnie palcem wskazał drzwi.

Anaíd nie miała ochoty obserwować dalszego rozwoju sytuacji. Wystarczył jej widok dłoni Roca opartej pocieszycielsko na ramieniu Marion. Nie miała ochoty oglądać, jak ci dwoje będą się wzajemnie pocieszać, tym bardziej sobie bliscy, że prześladowani za wspólną sprawę. Taki pech I bardzo zbliża, wiedziała o tym doskonale. i nie mogła sobie darować, że osobiście zacieśniła więź między Rokiem a Marion.

–Dosyć! – zawołała.

Jezioro natychmiast przybrało dawną postać, ona zaś rzuciła się z powrotem do sali ze stalaktytami, gdzie leżało berło.

Zmartwiona Cristine pospieszyła ją pocieszać.

**–Biedactwo, że też cię to spotyka.**

**Anaíd nienawidziła w tej chwili wszystkiego i wszystkich, ale dotyk delikatnych dłoni sprawił, że łzy, których mimo usilnych prób nie zdołała powstrzymać, wyschły niemal od razu.**

**–No, już, już, wszystko się jeszcze ułoży.**

**–Niby jak?**

**–Nie na darmo masz naprawdę wielką moc.**

**–Nie mam żadnej mocy! – zaprzeczyła z rozpaczą Anaíd.**

**–Doprawdy? A berło? Anaíd myślała przez chwilę, wpatrując się w złote insygnium.**

**–Berło nie służy prywatnym interesom.**

**–Kto ci tak powiedział?**

**–Mama. Cristine uśmiechnęła się.**

**–Twoja mama się myli. Podobnie jak pomyliła się, podając Rocowi eliksir zapomnienia.**

**Racja. Święta racja.**

**–Może uznasz, że to banalne, ale wybranka powinna być przede wszystkim szczęśliwa. Jeśli pograży się w depresji, w jaki sposób uszczęśliwi inne czarownice? Nie wspominając o kierowaniu nimi. Zamglony mgiełką smutku, jej wzrok nie sięgnie daleko.**

**Anaíd pokiwała głową. Wszystko to było takie oczywiste. Zgadzała się z babcią całkowicie. Ba, już wcześniej sama doszła do podobnych wniosków. Jak niby miała przedsięwziąć trudną misję, skoro potrafiła myśleć tylko o tym, żeby udusić Marion.**

**–No, dobrze. Pora, żebyś wypróbowała wezwanie.**

**–Mam wezwać Roca?**

**–Berło, głuptasku.**

**–Jak? Cristine znowu się uśmiechnęła.**

**–Nie umiesz wezwać berła?**

**–Nie.**

**–A przecież masz nad nim władzę. Anaíd wytrzeszczyła ze zdumienia oczy.**

**–Naprawdę?**

**–Nie rozumiem, dlaczego nikt ci tego nie powiedział, powtarzaj za mną. *Soramar noicalupirt ne litasm.***

**–*Soramar noicalupirt ne litasm* - powtórzyła zdecydowanie Anaíd.**

**Jej dłoń natychmiast zaświeciła mocniejszym blaskiem, jakby po to, by wskazać berłu drogę. Ono zaś posłusznie uniosło się w powietrzu i poszybowało wprost do swojej właścicielki.**

**–Anaíd, dziecko, zamknij buzię – zażartowała Cristine. Anaíd jednak nie była w stanie jej usłuchać.**

**–Jak to się stało?**

**–Dzięki magii, kochanie, dzięki magii. Ostatecznie jesteś czarownicą.**

**A więc mogła je przyzywać do woli! Nie musiała hamować pragnień, jakie w niej wyzwalą.**

**–Jest piękne – szepnęła Cristine z zachwytem.**

**Wpatrywała się w nie jak zaczarowana, ale gdy uniosła dłoń, by go dotknąć, Anaíd szybko schowała je za plecami.**

**–Może być... niebezpieczne – rzuciła tonem usprawiedliwienia.**

**W rzeczywistości jednak przypomniawszy sobie nagle ostrzeżenia matki. Trzy Odish pragnęły berła nade wszystko: Baalat, hrabina oraz Cristine Olav. I w oczach babki Anaíd dostrzegła przeblysł nieposkromionego pragnienia. Ale trwało to tylko chwilę. Zaraz potem Cristine uśmiechnęła się i całkiem naturalnym głosem powiedziała:**

**–No, odłóż je na miejsce.**

**Nie, Selene musiała się mylić. Babci można było zaufać.**

**–I co teraz zrobimy?**

**–A co byś chciała, skarbie?**

**–Co bym chciała, to jedno, a co mogę, to drugie...**

**–Możesz, co zechcesz, Anaíd. Czegokolwiek zapragnie Słyszysz?**

**–Nieprawda. Są rodzaje magii, których nie wolno używać. a gdybym tak zapragnęła zmienić się w osę i użądlić Marion, to co?**

**Nigdy nie zrozumiała, w jaki sposób znalazła się zniecka na dziedzińcu przed szkołą, obok lipy, tuż nad głową Marion. Nie wypowiedziała ani słowa, nie powtórzyła Cristine żadnego zaklęcia. a jednak była osą i w dali widziała swą rywalkę zapamiętała całującą się z Rokiem. Mogła użądlić ich oboje albo... Obniżyła lot i precyzyjnie wkłuła żądło w wargę Marion.**

**–Och! – krzyknęła przerażona Marion, odskakując w tył.**

**Dobra robota. Warga napuchnie i będzie boleć, tak że co poniektórym na długo odechce się obściskiwane.**

**–Przeklęta osa! – zawołał Roc.**

**I Anaíd omal nie zginęła przygnieciona jego butem – uniknęła śmierci tylko dzięki błyskawicznemu saltu. Uciekając z zasięgu ramion Roca, wzniosła się wysoko w powietrze.**

**Marion trzymała się za dolną część twarzy i płakała z bólu.**

**–Poczekaj, nie dotykaj. Co za złośliwa bestia! Paskudnie to wygląda.**

**Rzeczywiście, fioletowa i spuchnięta warga upodabniała Marion do boksera po walce. Roc wziął do ręki trochę ziemi, napluł na nią i za pomocą własnej śliny przygotował porcję błota, które następnie przyłożył do obrzmiałego miejsca. Zrobił to delikatnie, czule, po czym objął Marion ze współczuciem, znów trochę jej bliższy za sprawą nieszczęścia.**

**Zmieniona w osę Anaíd poczuła taką wściekłość, że zapragnęła skończyć z tą dwójką raz na zawsze. To niejasne, mroczne pragnienie urosło w niej z zatrważającą szybkością i choć nie zdążyła go nawet sformułować, ujrzała ze zgrozą, że gałęzie lipy, pod którą stali Roc i Marion, zaczynają rosnać, ruszać się, giąć i okręcać wokół ich przytulonych ciał.**

**To była magia. Ona, Anaíd, sprawiała, że jej pragnienie przybierało realną postać. Gałęzie zaciskały się coraz mocniej, zaczynając powoli dusić swe ofiary.**

**–Pomocy! – krzyknęła Marion.**

**–Ghhy – wycharczał Roc, walcząc z grubym konarem, który owinął mu się wokół szyi.**

**Anaíd zareagowała właściwie, choć z pewnym opóźnieniem. W jakiegokolwiek była postaci, nie mogła pozwolić, żeby zwykły atak zazdrości skończył się tragedią.**

**–Rager erpmeiss!**

**Lipa uspokoiła się natychmiast, jej gałęzie rozluźniły się, skurczyły i na koniec przybrały zwyczajną formę.**

**Marion dostała ataku hysterii.**

**–Chodźmy stąd! To drzewo jest**

**przeklęte!**

**–Poczekaj!**

**–Nie dotykaj mnie! Ty też jesteś przeklęty!**

**–Ja?**

**–Tak, ty! Za każdym razem, kiedy się do ciebie zbliżam, dzieje się coś okropnego. Zostaw mnie!**

**Anaíd zawirowała w powietrzu, z satysfakcją obserwując ich kłótnię.**

**–Nie bądź śmieszna! Nieszczęścia chodzą parami. To zbieg okoliczności.**

**–Zbieg okoliczności?**

**Roc chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie.**

**–Widzisz? Nic się nie stało.**

**Wtedy Anaíd poczuła, że nadszedł moment jej triumfu. Przywołała wszystkie żerujące na lipie mszyce, larwy i mrówki, po czym kazała im przystąpić do ataku. Deszcz obrzydliwych owadów spadł na włosy, twarz i ubranie Marion. Jej piski niosły się chyba po całym Urt.**

**–Uch! Ohyda! Odejdź ode mnie, Roc! Nie chcę cił j więcej widzieć!**

**I Marion rzuciła się do ucieczki, a Roc został pod pechową lipą, wpatrując się w nią ze zdumieniem, niezdolny zrozumieć, jak to możliwe, że w równie krótkim czasie przytrafiło mu się tyle dziwnych rzeczy: najpierw klasówka, potem pożar, osa,**

**morderczo nastawione drzewo i wreszcie atak insektów**

**Zadowolona Anaíd uznała, że może wracać.**

**I oto znowu była sobą, znajdowała się w mrocznej jaskini, wymieniając porozumiewawcze uśmiechy z Cristine, która w kilka chwil nauczyła ją, jak realizować swe pragnienia. Co okazało się niezwykle przyjemne i zabawne.**

**–Dziękuję, babciu.**

**–Nie ma za co. Cała przyjemność po mojej stronie. Ale to dopiero początek.**

**–Czyli że mogę robić inne podobne rzeczy?**

**–Oczywiście, kochanie.**

**–I sprawić, żeby Roc oszalał na moim punkcie?**

**–To akurat potrafią nawet Omar.**

**–Potrafią, ale tego nie robią.**

**–Niektóre owszem. Na przykład twoja matka.**

**Racja. Selene sama przyznała, że przyrządziła Gunnarowi miłosny eliksir, którego tajemnicę zdradziła jej kiedyś kuzynka Leto.**

**–Pomożesz mi?**

**–Naturalnie. I będę cię chronić.**

**Anaíd przytuliła się do Cristine z wdzięcznością. Babcia, Dácil... Nie była tak samotna, jak się jej wydawało.**

**–Tak bym chciała mieszkać z tobą i z tatą.**

**Cristine uśmiechnęła się uspokajająco.**

**–Gunnar musi na razie odwrócić uwagę Selene, ale potem po ciebie wróci. Bardzo cię kocha.**

**Słusznie, ktoś powinien zadbać o to, by matka nie pojawiła się nagle w Urt, rujnując za jednym zamachem wszystkie jej plany.**

**–A Dácil? Co z Dácil?**



**Cristine Olav uśmiechnęła się znowu, tym razem enigmatycznie.**

**–Ta dziewczyna spadła nam z nieba.**

**–Tak sądzisz?**

**–Uwielbia cię, zrobi wszystko, co jej każesz, podporządkuje się twoim potrzebom.**

**–A te potrzeby to...?**

**–Nikt nie może wiedzieć, że jesteś w Urt. Gdyby Elena albo Karen się zorientowały, natychmiast ściągnęłyby nam na głowę inne Omar. Dácil będzie w twoim imieniu kontaktować się ze światem zewnętrznym.**

**Genialne. Kamień spadł Anaíd z serca. Jej babcia myślała za dwie i zdawała się niewyczerpanym źródłem wspaniałych pomysłów.**

**–Może teraz coś zjemy, co?**

**–Jesteś głodna?**

**–To mało powiedziane. Miałabym ochotę na... langustę.**

**Rzuciła to ot tak, nie spodziewając się, że w następnej chwili będzie trzymała w dłoniach najprawdziwszą langustę. Zastygła, wpatrując się w nią z otwartymi ustami.**

**–Jedz, zdaje się, że byłaś głodna.**

**–Ale... – zaczęła Anaíd.**

**Jednakże zachęcający zapach nie sprzyjał formułowaniu obiekcji. Anaíd odchyliła skorupę langusty i spróbowała białego, delikatnego mięsa.**

**–Mmm... Przepyszne – wymamrotała.**

**–Żałowała tylko, że nie ma serwetki i plasterka cytryny.**

**–Powiedz to na głos – rzuciła Cristine.**

**–Co takiego?**

**–Swoje życzenie, Anaíd. Możesz spełnić wszystkie swoje życzenia.**

**–Nawet te egoistyczne? Cristine zaśmiała się lekko.**

**–Wszystkie życzenia są egoistyczne. Ale jeśli pragniemy czyjegoś dobra, nie**

**myślmy o sobie – zaprotestowała Anaíd.**

**–To jedynie sposób na uspokojenie sumienia, skarbie. Tak samo egoistyczny jak wszystko inne. No więc...**

**Wciąż się wahała. Słowa nie przechodziły jej przez gardło.**

**–Powiedz to wreszcie. Jeśli jesteś wybranką, powinnaś się odpowiednio zachowywać, prawda?**

**–Jasne.**

**–A zatem przestań się powstrzymywać, kochanie, uwolnij twoje pragnienia.**

**Lękliwa przeciętność nie przystoi bohaterkom. Stawiaj przed sobą ambitne cele i walcz o nie. Jak myślisz, w jaki sposób osiągają swój sukces politycy, biznesmeni i różni sławni ludzie? Masz wielką moc. Ani na chwilę o tym nie zapominaj.**

**Anaíd pęczniała z dumy. Cristine miała jak zwykle rację. Wybranka nie powinna iść przez świat z pochyloną głową, uginając się pod ciężarem niespełnionych marzeń. Do niej należało berło, w jej rękach spoczywał los przyszłych pokoleń czarownic. Musiała więc posiadać klucz do szczęścia, własnego i cudzego. Wystarczyło sięgnąć...**

**–*Soramar noicalupirt ne litasm* - powiedziała głośno i stanowczo.**

**A berło znowu posłusznie spoczęło w jej dłoni, wypełniając Anaíd mocą, która należała jej się wyrokiem przeznaczenia.**

**–Chcę odzyskać miłość Roca. Cristine popatrzyła na wnuczkę z aprobatą.**

**–Twoje życzenia zostaną spełnione, kochanie. Co do jednego.**

**Spała otulona futrami, osłonięta przed północnym wiatrem przez ściany igloo. A jednak sen jej był niespokojny**

**Matka karmiła psy, które pobudziły się w środku no i zaczęły z nagłą ujadać. Słyszając jednak wydawane przez córkę jęki, spieszenie podbiegła do jej pośłania.**

**–Sarmik, Sarmik, obudź się, córeczko – powtórzyła kilka razy, potrząsając uśpioną.**

**Mimo to Sarmik, piętnastoletnia Inuitka o skośny oczach i porcelanowej cerze, nie podnosiła powiek. Jej ciało wilo się niczym wąż.**

**Na zewnątrz psy zaprzęgowe złowróźnie wyły do księżyca jak niegdyś ich przodkowie, wilki.**

**Kaalat popatrzyła na córkę i zadrżała. Wiedziała, że prędzej czy później nastanie dzień, gdy jej siostra zażąda dziewczynki dla siebie, ale nie sądziła, że dzień ten nadejdzie tak prędko**

**–Sarmik, Sarmik, obudź się!**

**Tym razem Sarmik zareagowała. Podniosła się jak automat i otworzyła oczy. a wtedy Kaalat zakryła usta dłonią. Tęczówki i źrenice dziewczynki znikły, gałki oczne były białe i ślepe. Sarmik została opętana.**

**–Och, wielka matko niedźwiedzico! Ratuj moją córkę i jej mleczną siostrę**

**Dianę! One są jednym, takie ich przeznaczenie.**

**Sarmik upadła na ziemię zemdlona i Kaalat rzuciła się jej na pomoc.**

**Część druga**

# BŁĘDY

## PRZEKLEŃSTWO ODI

Przeklinam wybrankę o włosach płomiennych.

Że słowo złe powie, moc berła ją zmoże, Po trzykroć błąd straszny jej czyny przemoże:

**miłosny eliksir z jej ręki się**

**spełni,**

przekleństwo pucharu jej wargi splugawi,

**a dało dziewicy zaklęciem wybawi.**

Więc śmierć ją, przeklętą, do grobu wyprawi. Umarłym zaś trybut na wieczność zostawi.

Rozdział IX Nie będziesz podążać za

jasnowłosym

Po zatankowaniu Selene umyślnie wolno zbierała się do płacenia. Pracownik stacji, z natury widać gadatliwy, łatwo dał się wciągnąć w rozmowę.

–Wysoki blondyn? To pewnie ten od passata., Selene poczuła, że drżą jej kolana.

–Szarego passata – uściśliła, by odświeżyć poczciwcowi pamięć. Nie było takiej potrzeby. Jej rozmówca już krzywił się z niesmakiem.

–Ale piekło mi ten pacan urządził z samego rana!

Selene wręczała mu kolejne banknoty, każdemu przyglądając się pod światło, jakby miała obawy co do ich autentyczności. Od kilku dni tankowała na różnych stacjach, aż wreszcie trafiła na właściwą.

–Były jakieś problemy? – zapytała, udając obojętność.

Gadatliwy facet na tłustych nóżkach natychmiast skorzystał z okazji, by się poużalać się nad sobą.

**–Zaczął się ciskać, że dystrybutory marny poprzestawiane i oszukujemy na ilości wydawanej benzyny.**

**Selene nie wierzyła własnym uszom.**

**–Domagał się, żeby je zdemontować! Szwedzki awanturnik! – mamrotał dalej tamten.**

**Gunnar – awanturnik? Dziwne. Znała go jako wcielenie dyskrecji i opanowania.**

**–A dziewczynka?**

**–Jaka dziewczynka?**

**–Ta, z którą jechał.**

**–A nie, nikogo z nim nie było.**

**–Jest pan pewien?**

**Facet podrapał się po łysej, spoconej czaszce.**

**–No, na tylnym siedzeniu leżały jakieś paczki przykryte kocem. Nawet sobie pomyślałem, wie pani, że przemyca komputery.**

**Najwidoczniej miał specyficzną wizję swoich klientów**

**–Wyglądał mi na informatyka. Informatycy to dziwni ludzie.**

**–O której stąd odjechał? – przerwała mu zniecierpliwiona Selene. Zdradziła się. Jej rozmówca zrobił się nagle podejrzliwi**

**–A pani co tak wypytuje?**

**Mogła naprędce wymyślić jakąś bajeczkę – na przykład, że mieli stłuczkę i tamten uciekł albo że był jej winien pieniądze – ale czuła potrzebę, aby się komuś zwierzyć.**

**–Ten człowiek porwał moją córkę.**

**Faceta, któremu dotąd nie zamykały się usta, wyraźnie zamurowało.**

**–Masakra, no, masakra – wymamrotał wreszcie z taką miną, że Selene poczuła się w obowiązku nieco załagodzić sytuację.**

**–To jej ojciec, nigdy wcześniej jej nie widział, a teraz przekonał ją, żeby z nim wyjechała. Córka jest niepełnoletnia i muszę ją odnaleźć.**

**–Zgłosiła to pani na policję?**

**Selene pokręciła głową.**

**–Nie zamierzam. Wszystko by się jeszcze bardziej skomplikowało.**

**Ostatecznie nie ma mowy o uprowadzeniu wbrew woli.**

**–Ciekawy typ, wie pani, z tych, co to potrafią zamotać.**

**–O której stąd odjechał? – powtórzyła Selene z nadzieją, że pokonała już obiekcje swego informatora.**

**Istotnie, całkiem przeszedł na jej stronę. Popatrzył na zegarek i z powagą dokonał obliczeń.**

**–Jakieś trzy godziny temu. I wie pani co? Ma pani szczęście.**

**–W jakim sensie?**

**–A w takim, że wiem, dokąd się nasz ptaszek wybiera. Sam mi powiedział, że chce być jutro w Algeciras, żeby wsiąść na prom do Maroka. Benzyny ma na czterysta kilometrów z górką, ale już późno. Gdzieś będzie musiał się przespać.**

**–Bardzo dziękuję – mruknęła Selene, wręczając mu dodatkowy banknot, który został jednak odrzucony.**

**–Niech pani nie upada na duchu, córki, cokolwiek mówią, i tak mają bliżej do matek. Prędzej czy później zawsze wracają.**

**Te naiwne słowa, o dziwo, odniosły skutek. Solidarność ze strony przypadkowo poznanego pleciugi sprawiła Selene ulgę i dodała sił.**

**Wsiadłszy z powrotem do samochodu, Selene zapięła pasy, ruszyła i odruchowo zmieniając biegi, stwierdziła, że przestały drżeć jej ręce. Gdyby życie dawało się prowadzić równie łatwo jak samochód!**

**Niestety! Oto jej jedyna córka, Anaíd, wybranka, uciekła w towarzystwie Gunnara. I to w najgorszym możliwym momencie, właśnie wtedy, gdy bardzo potrzebowała pomocy w walce z Odish. Jak trafi na Ścieżkę Om? Jak odnajdzie berło? Jak stawi czoło Baalat?**

**I chyba nie było już odwrotu. Nikt nie wchodzi dwa razy do tej samej rzeki. Po**

ostatnich doświadczeniach Anaíd nie mogła pozostać taka sama jak wcześniej.

Czy spełni się proroctwo Odi? Czy wybranka ulegnie mocy berła? Czy już zaczęła jej ulegać? Takie pytania tłoczyły się w głowie Selene. A były i gorsze. Co z przekleństwem Odi? Nigdy nie powiedziała o nim Anaíd. Pewnie ze strachu, a może z ostrożności, nie chcąc podniecać młodzieńczej wyobraźni. Zakładała, że jeszcze nie pora, że zawsze będzie obok, by we właściwym momencie ostrzec córkę i jej doradzić.

A jeśli się pomyliła? Może powinna była, jako matka i mentorka, od małości uczyć Anaíd odrzucania wszelkich pokus, które mogłyby ściągnąć na nią przekleństwo? Czy postąpiła źle? Dobrze? Nieostroźnie?

Przecież wiedziała, że życie nie jest prostą, przewidywalną szosą, przeciwnie, przypomina drogę obfitującą w zakręty, rozwidlenia i wyboje. Że nie da się tak po prostu wcisnąć gaz, odprężyć i jechać. Ba, czuła się teraz jak na śmiertelnie niebezpiecznym torze wyścigowym.

Zaczynała tracić panowanie.

Przez wiele lat żyła pogrążona w letargu, zupełnie jakby podróżowała mało uczęszczaną autostradą. Każdy dzień podobny był do poprzedniego, czas w spokojnym pirenejskim miasteczku sączył się powoli, a ona obserwowała rosnącą Anaíd, kontemplowała rozgwieżdżone niebo i rysowała swoje komiksy, czując się bezpiecznie w kręgu wyznaczanym przez bezwarunkową życzliwość przyjaciółek i żelazną wolę Demeter.

Z tego półsnu wyrwał ją nagły ból po stracie matki. Nigdy nie przypuszczała, że w wieku trzydziestu lat można odczuwać sieroctwo tak dotkliwie. Bez wsparcia Demeter była jednak jak zagubione dziecko. Musiała wymyślić jakąś strategię, sama, nie ufając nikomu, musiała przeprowadzić swój plan z żelazną konsekwencją, udawać i kłamać, a nawet narazić na szwank długoletnie przyjaźnie. Zagryzła jednak zęby, zdecydowana wytrwać. Tyle, że to przytłaczające osamotnienie zmieniło ją, zmęczyło, nasączyło goryczą.

Nie dało się ukryć, że ów czas, gdy z uporem wystawiała się na przynętę Odish, byle tylko chronić Anaíd, poważnie nadszarpnął jej siły. Do tego stopnia, że zaczęła nawet marzyć o tym, by zniknąć w Mrocznym Świecie i choć w ten

sposób zaznać ulgi. Ale dzięki Anaíd wróciła, by znowu zmierzyć się z rzeczywistością.

Stopniowo odzyskała smak życia, nadzieję i pragnienia, rzuciła się w to wszystko, jak zawsze, z głową, bezgranicznie oddana sprawie córki i nie bacząc na koszty.

**Postawiła wszystko na jedną kartę. Cały swój entuzjazm, zaangażowanie, świeżo podreperowane siły... A potem nagle przy jej stole usiadł Gunnar, wyciągnął asa z rękawa i bez trudu zgarnął całą pulę.**

**Ucieczka Anaíd okazała się potwornym ciosem.**

**Znacznie trudniejszym do zniesienia niż śmierć Demeter.**

**Bo Demeter była jej oparciem, Anaíd zaś – racją istnienia. Jedynym powodem, dla którego od piętnastu lat wstawała rano z łóżka. Z myślą o niej zaszyła się w Urt. Z myślą o niej pogodziła się z matką. Z myślą o niej wybrała wolny zawód. Z myślą o niej zrezygnowała z miłości. Z myślą o niej włączyła się znowu w życie klanu. Z myślą o niej ufarbowała włosy, udawała wybrankę i wreszcie gotowa była w razie potrzeby umrzeć.**

**I proszę, Anaíd opuściła ją bez słowa, nie licząc się z faktem, że oto wyrzuca do śmieci piętnaście lat oddania, nadziei, tłumionych pragnień i niespełnionych życzeń. Że zaprzepaszcza wszystkie marzenia swojej matki, pogrążając ją w nieopisanym chaosie.**

**Czy inne kobiety też się tak czuły, gdy ich córki zaczynały własne życie?**

**Zapewne, podobnie jak ona, spodziewały się przynajmniej wdzięczności za swoje trudy, nieprzespane noce i nieobejrzane nigdy filmy.**

**Zagryzła wargę aż do krwi.**

**Bo wszystko by córce wybaczyła, ale jednego nie mogła. Tego, że Anaíd uciekła z człowiekiem, przed którym ona, Selene, starała się ją zawsze chronić: z Gunnarem. Gunnar był kolcem, który tkwił w jej sercu od dawna. Jak zawsze silny, przystojny, inteligentny, gotowy wykorzystywać swój urok, zdolny ożywić uśpione sprzeczne uczucia, otworzyć dawne rany i wreszcie – oszukać własną córkę.**

**Nie, to niesprawiedliwe.**

**Czuła, że się rozkleja. Pancierz gniewu powleczonego warstewką silnej woli powoli rozmiękał od powstrzymywanych łez. Nie miała skłonności do uzalania się nad sobą. Nigdy nie starała się, jak inne matki, robić z siebie ofiary, Ale tym razem nie dawała już rady.**

**Czy Anaíd jej nie kochała?**

**Niemożliwe. Miłość nie mogła być rozdzielona między ludzi aż tak nierówno. Czyżby z tego ciastka nie miał jej, Selene, przypaść w udziale ani kawałek? Mimo dokładanych przez lata starań?**



**A co z klanem? Tutaj też pokpiła sprawę na całej Lini.**

**Westchnęła i zaczęła wyprzedzać ciężarówkę. Nie znosiła wlec się za takimi powolnymi monstrami. Wcisnęła pedał gazu i po chwili znów miała drogę tylko dla siebie.**

**Do głowy pchały jej się banalne, typowe dla wszystkich matek, sentymentalne obrazy: Anaíd jako niemowlę, z krzykiem domagająca się mleka albo gaworząca w łóżeczku, uścisk jej grubiotkich rączek, jej pierwszy ząbek, pierwsze kroki i pierwsze litery. A ona zawsze była obok, gotowa pomóc, pełna miłości. Poczowała bolesny skurcz w gardle, ale nie zapłakała.**

**Chociaż bolało. Okropnie bolało. Ból aż rozsadzał płuca**

**Odetchnęła głęboko, raz i drugi. Zmieniła bieg i zwolniła, próbując się uspokoić. Wyobraziła sobie białą, pokryw śniegiem równinę, dźwięk płóz sunących po lodzie, rytmiczny chód i szczekanie psów zaprzęgowych... Jak zawsze pomogło.**

**Rozluźniła się trochę.**

**Jednego się w życiu nauczyła z pewnością: że czas naprawdę leczy najgłębsze rany.**

**Zdrada Gunnara, śmierć Demeter – po każdym razie zostawała jedynie mgiełka smutku, gęstniejąca tylko od czasu do czasu, w najbardziej nieodpowiednich momentach.**

**Czy tak samo stanie się kiedyś z ucieczką Anaíd?**

**Nie była pewna. Była natomiast pewna tego, że słuszność stoi po jej stronie i że należy działać tak, by jej nie utracić.**

**Żadna wilczyca nie opuszcza swoich szczeniąt.**

# Rozdział X Nie będziesz podawać

## miłosnych eliksirów

Anaíd nie miała czasu myśleć o Selene, zresztą wolała tego nie robić. Żyła w wirze ciągłych emocji. Coraz to nowych. Coraz bardziej intensywnych.

Kiedy dzięki Criseldzie wkroczyła w świat magii O mar, a potem zaczęła na własną rękę szperać w czarodziejskiej księgach Eleny i Demeter, przekonała się, że jej zdolności znacznie wykraczają poza to, co potrafią i na co pozwalają jej nauczycielki.

Dopiero Cristine stanęła na wysokości zadania. Nie tała przed nią żadnych zaklęć, nie hamowała jej szaleństw.

Nauczyła ją przekształcać materię, ściągać burze i zwoływać chmury. Pozwoliła jej fruwać nad dachami Urt w postaci skowronka, towarzyszyć Rocowi w drodze do szkoły, śledzić go z gałęzi lipy i przekonać się na własne oczy, że między nim a Marion wszystko skończone.

Pomogła jej też odmienić jaskinię.

Były tam teraz marmurowe posadzki i wyłożone lustrami ściany, a dawny mrok ustąpił miejsca wszechobecnej, zimnej jasności. Anaíd nieświadomie imitowała chłodną elegancję lodowego pałacu babki. Czy w jakichś zakamarkach pamięci zachowały się obrazy widziane w niemowlęctwie? A może Cristine dyskretnie nią sterowała? Takie pytanie nie przychodziły jednak Anaíd do głowy. Wystarczało jej, że jaskinia wygląda wspaniale, jak wnętrze zaczarowanego zamczyska. Powoli odkrywała, że przedmioty i przestrzenie mogą być piękne i służyć wygodzie. Jeśli prawdziwa magia pozwalała w ten sposób zmieniać świat – to po cóż się wahać? Po co gnieździć się w ciemnych, zimnych i wilgotnych domach? Po co w nieskończoność szorować zatłuszczone kuchnie i bez skutku walczyć z brudem? Po co myć wiecznie zachlapane szyby? Po co sprzątać łazienki? W jaskini panowała idealna temperatura pachnącego topolami, letniego zmięczenia. Na błyszczących powierzchniach nie osiadał kurz ani nie odciskały się ślady palców. W sterylnie czystych salach unosiła się woń jaśminów, lawendy, tymianku i rozmarynu. Wszystko było niepokalane i piękne.

Tam właśnie, w tej magicznej przestrzeni niezależnej od czasu, słońca i górskiego klimatu, Cristine zapoznała Anaíd z ciemną magią ziemi.

Z jej głębin pochodziły kamienie używane przez czarownice od czasów matki O. Olśniona Anaíd kontemplowała setki minerałów o najrozmaitszych kształtach i kolorach oraz różnym stopniu twardości, sprowadzanych z miejsc tak egzotycznych

jak arabskie pustynie, patagońska pampa, mongolskie równiny czy tybetańskie szczyty. Każdy z tych kamieni krył w sobie sekrety, które przy umiejętnym wykorzystaniu mogły wyznaczać subtelną granicę między życiem a śmiercią.

Anaíd schowała do specjalnego kuferka kilka wybranych egzemplarzy: yzf z Carandin, zielony jaspis wzmacniający wzrok i podnoszący na duchu; czerwonozielony bezebekaury z Culun, skuteczny przeciw melancholii; żółtawozielony abarquid wydobywany w afrykańskich kopalniach siarki, pobudzający materialne żądze; carbedic z Culequin, macedoński kamień znajdujący w sercach zajęcy i mający właściwości rozgrzewające; sprzyjający hipnozie; fanaquid z Cercumit; i wreszcie złotawy indyjski militaz chroniący od uroków.

Słuchała wyjaśnień babci, zapalanej kolekcjonerki, całymi godzinami, nie czując śladu zmęczenia, i żałowała, gdy lekcja dobiegała końca. Pobieranie nauk u czarownicy tak potężnej i mądrej jak Cristine było czystą przyjemnością.

W nagrodę za przejawiany przez Anaíd entuzjazm Cristine otworzyła w końcu swój kufer i pokazała wnuczce własną kolekcję kunsztownie oprawionych kamieni, mówiąc:

–Wybieraj. Pozwól przemówić swoim pragnieniom, nie wstrzymuj ręki.

Musisz czymś zastąpić ten pierścionek, który zgubiłaś. Zresztą wybrała go przecież Selene, nie ty.

Anaíd, dygocąc lekko, pochyliła się nad kufrem. Nic była przyzwyczajona, by tak po prostu ulegać swoim chętkom, ale bez wahania wskazała to, co uznała za najpiękniej naszyjnik z szafirów, ametystową broszkę i bransoletkę z turkusami.

Biała Dama ujęła w dłonie najpierw naszyjnik, przyjrzała się mu, po czym założyła go na smukłą szyję wstrzymując oddech Anaíd.

–Piękna rzecz. Niebieski szafir został po raz pierwszy odkryty na wyspie

Ernedib zwanej też Cejlonem. Doskonale wybrałaś, Anaíd. To kamień mądrości.

Jego moc pomoże ci znaleźć rozwiązanie każdego problemu.

Anaíd odetchnęła z ulgą: intuicja jej nie zawiodła. Biała Dama pogładziła z kolei turkusową bransoletkę wsuwając ją na biały przegub wnuczki.

–Raz jeszcze kolor niebieski. Jak twoje oczy, arktyczne niebo i lodowce.

Najzimniejsza i najpotężniejsza z barw. Cieszy mnie nasze wspólne do niego

upodobanie, Turkus jest bardzo cenny. Dzięki niemu uwolnisz się od przeszłości, pokonasz ból niezagojonych jeszcze ran. Patrz na tę bransoletkę, ilekroć ogarnie cię nostalgia, a będziesz zdolna patrzeć w przyszłość bez oglądania się wstecz. To doskonały sposób, by zerwać wszelkie więzi z tym, co minęło.

Anaíd przyjęła nowy dar ze czcią, odnosząc wrażenie, że splywa na nią niezwykła mądrość babki.

A Biała Dama delikatnie wzięła w palce ametystową broszę.

–Ametysty. Nieodzowne dla powodzenia twojej misji. Konieczne, byś zyskała siłę potrzebną do pokonania wrogów. Ametyst to kamień przenikliwości, trzecie oko. Umożliwi ci odkrycie twojego prawdziwego ja.

Anaíd ochoczo sięgnęła po broszę, lecz Cristine cofnęła rękę.

–Musisz jednak być pewna siebie samej. W przeciwnym razie jeśli pozwolisz sobie na wątpliwości, ametyst zamieni się w zagrożenie, zasieje w twojej duszy zamęt.

Anaíd poczuła przebiegający jej po plecach dreszcz. Słowa Białej Damy brzmiały niepokojąco. Zawahała się przez chwilę, rozdarta między

pragnieniem a strachem. Później, być może wspomagana mocą szafirów, wyciągnęła dłoń.

Cristine, wyraźnie zadowolona, uśmiechnęła się krzepiąco i wpięła broszę w ubranie wnuczki, tuż nad sercem.

–Cieszę się, że potrafisz stanąć twarzą w twarz z przeznaczeniem.

W tej sytuacji Anaíd uznała, że lepiej zachować swoje lęki dla siebie. Zresztą prawdopodobnie stanowiły część jej ludzkiej istoty, a ona, będąc czarownicą, dzięki wiedzy i magii powoli zostawiała je za sobą.

–Jeśli zapragniesz dodać do swojej kolekcji jakiś nowy klejnot musisz tylko wypowiedzieć zaklęcie.

–Jakie? – spytała Anaíd.

**–Atichomurt se capsul – szepnęła Cristine. Anaíd nie umiała się oprzeć zawartej w jej głosie zachęcie.**

**–Atichomurt se capsul.**

**Ledwo skończyła mówić, na jej kostce zabłysł cieniutki złoty łańcuszek. Biała Dama skinęła głową, Anaíd poczuła, jak zalewa ją fala optymizmu.**

**Takie to było proste, takie oczywiste. Odkąd Gum podarował jej rubinowe kolczyki, знаła moc szlachetnych kamieni. Nie bez powodu tak wysoko cenili je czarowicy i szamani. Nie bez powodu uwielbiała je nawet Selenc. Nie bez powodu niektóre kobiety gotowe były dla nich wszystko.**

**Obwieszona klejnotami, odnosiła wrażenie, że wnika w nią moc matki ziemi. Taki oto prezent otrzymali babci, ale wiedziała, że ma on swoją cenę.**

**Nauka była skończona, nadszedł moment, by opuścić bezpieczną jaskinię i wrócić do świata, w którym czekała niewypełniona jeszcze misja.**

**Czy to szafiry zapewniały swojej właścicielce właściwy ogląd sytuacji?**

**Nie musiała nawet zadawać Białej Damie żadnych pytań. Bez trudu odgadywała jej wyczekiwanie.**

**–Cóż? – spytała Cristine. – Gotowa?**

**Anaíd podniosła rękę do piersi i dotknęła ametystowej broszy. Lustra ukazywały jej obraz dziewczyny o nieco dziecinnej jeszcze twarzy, niebieskich, przestraszonych lecz magnetycznych oczach, długich nogach, trochę nie zgrabnych ruchach i o spragnionej słońca, zbyt białej skórze. Tak wyglądała i taką miał ją zobaczyć Roc.**

**–Czy twoim zdaniem jestem ładna?**

**Cristine zaśmiała się szczerze.**

**–Ładna to mało powiedziane. Ładne są lalki, sukienki i stokrotki. Ty jesteś piękna.**

**Anaíd nie przywykła myśleć o sobie w ten sposób. Ba, długo uważała się za brzydulę, zachodząc w głowę, co Roc widział w kimś tak bezbarwnym, nudnym i nieatrakcyjnym jak ona.**

**A jednak ten krótki czas, który spędziła u boku babci, wystarczył, by jej samoocena uległa radykalnej zmianie. Cristine nie szczędziła wnuczce komplementów i wyraźnie przepadała za jej towarzystwem. Trudno było się temu dziwić, zwłaszcza jeśli myślało**

się głównie o tym, jakie atuty mogłyby skusić przystojnego piętnastolatka.

–Muszę najpierw odzyskać Roca – oświadczyła zatem, pomna, że przede wszystkim powinna zadbać o własne szczęście.

Poza tym wypowiedzenie jakichś słów na głos nadawało im pozór prawdopodobieństwa.

–Więc na co czekasz? – rzuciła Biała Dama. Anaíd zadrżała.

–Już? Teraz? Cristine władczo wzięła ją pod brodę.

–Takie pragnienia jak to czarownica o twojej mocy spełnia w mgnieniu oka.

Anaíd uznała, że odgaduje jej intencję. Pomyliła się jednak.

–Chodzi ci o eliksir miłosny?

–Wystarczy twoja wola. Elixiry zostaw zwykłym śmiertelnikom. Anaíd przełknęła ślinę.

–A więc mam się obyć bez magii? Cristine zmierzyła ją spojrzeniem.

–Magia jest w tobie. Użyj jej.

Anaíd wyszła z jaskini z mocnym postanowieniem, że ucieknie się do swoich osobistych uroków: urody, inteligencji i wewnętrznej siły. Podniesiona na duchu przez babkę i zdobiona klejnotami, miała się w dodatku poruszać po doskonale sobie znanym terenie.

A jednak denerwowała się okropnie.

Im bliżej była trasy, którą Roc każdego popołudnia wracał do domu, tym bardziej słabło jej postanowienie i topniała pewność siebie. Wątpliwości i

obawy sprawiły, że stopniowo zwolniła kroku. Co właściwie zamierzała? Dokąd tak pędziła? Czy opracowała przynajmniej jakąś strategię?

Oczywiście, że nie. Więc co? Stanie przed Rokiem i powie: „Popatrz na mnie”? Absurd. Bo nawet gdyby na nią spojrział, raczej nie należało się spodziewać, że padnie do jej stóp. No i pozostawała kwestia Eleny. Dowiedziawszy się o powrocie Anaíd, matka Roca z pewnością skontaktowałaby się z Selene.

Anaíd dotknęła naszyjnika z szafirów z nadzieją, że natchnie ją jakimś pomysłem. Starannie natomiast omijali dłonią ametystową broszkę, żeby pod jej wpływem nie spotęgował się przypadkiem i tak już okropny emocjonalny zamęt.

Odetchnęła głęboko i przymknęła powieki, próbując zebrać myśli. Ujrzała samą siebie klęczącą nad rzekę i pogrążoną w kontemplacji obrazu Roca.

Otworzyła oczy. Jasne!

Powinna się najpierw zorientować w sytuacji, sprawdzić, co Roc akurat robi. Może to podsunie jej jakiś pomysł.

Wkrótce dotarła do ocienionego przez topole, spokojnego zakola rzeki, gdzie jako dziecko często łowiła ryby. Usiadła na podmokłym brzegu i musnęła wodę palcami, a ta natychmiast zamieniła się w gładkie zwierciadło. Obraz i Roca pojawił się wyraźny, choć dostrzegalny tylko dla oczu Anaíd.

Roc grał w piłkę, z wielkim zresztą zaangażowaniem kiwał, faulował, pocił się obficie i rwał włosy z głowy, sędzia odgwizdał rzut karny dla drużyny przeciwnej. Potem, wymieniając żartobliwe uwagi z kolegami, przeszedł do przebieralni i wziął prysznic – czemu zresztą Anaíd usiłowała nie przyglądać się zbyt dokładnie. Śledziła go dalej, gdy wskoczył na rower i pedałując zawzięcie, wrócił do domu, pogrążona w zachwycie i niepomna, że czas ucieka, a ona powinna raczej opracowywać jakąś śmiałą strategię.

Zakładała, że kiedy w końcu znajdzie się w swoim pokoju, weźmie się do odrabiania lekcji, ale nic z tych rzeczy. Zamiast tego wyciągnął się na łóżku z ramionami pod głową, niedbale skrzyżowanymi nogami i nieobecnym spojrzeniem utkwionym w suficie. Wyobraziła sobie, że to w nią się tak wpatruje, i aż westchnęła.

Nic nie mogła na to poradzić. Za bardzo jej się podobał. Podobały jej się jego czarne oczy, kręcone włosy i duże, brązowe od słońca, trochę owłosione ręce. Podobał jej się jego męski głos, który tak pieśczośliwie zabrzmiał wtedy, na przyjęciu urodzinowym, gdy Roc – wspominała to z drżeniem serca -zwrócił się do niej czułym szeptem. Podobało jej się gorąco wydzielane przez jego skórę, spojrzenie, palące jak kowadło jego ojca, kowala. Cudownie byłoby się wtulić w to ciepłe ciało i kołysać się wraz z nim w rytm jakiejś powolnej melodii. Podobało jej się jabłko Adama na jego szyi, białe, odrobinę wystające zęby, kpiarski uśmiech, spojrzenie spod oka i przede wszystkim ta zuchwałość,

z jaką stawiał czoło niebezpieczeństwom, zupełnie jakby chodziło o drobne niedogodności. To, co do niego czuła, stanowiło wybuchową mieszankę tkliwości i pożądania i sprawiało, że raz miała ochotę obsypać go najczulszymi pocałunkami, a kiedy indziej – ugryźć.

Zapatrzony w pajęczynę zwisającą z przeżartych przez korniki belek pod sufitem, Roc zaczął gwizdać. Anaíd dostała gęziej skórki. Znała tę delikatną, romantyczną piosenkę. Clodia puściła ją na tamtej imprezie urodzinowej. Czy Roc gwizdał ją przez przypadek?

Wydawał się zmartwiony, choć nonszalancka poza, jaką przybrał, na pozór temu przeczyła. Anaíd znała go jednak wystarczająco dobrze, by się domyślić, że nie jest z siebie zadowolony, że czymś się martwi. Roc i gnuśność – to zestawienie nigdy nie wróżyło niczego dobrego. Fakt, że wylegiwał się na łóżku w biały dzień, musiał świadczyć o głębokim przygnębieniu. Czy rozpaczał po zerwaniu z Marion? Czy o to chodziło? Dałaby sobie rękę uciąć, byle poznać jego myśli... Zresztą może gdyby się skupiła zdołałaby je odgadnąć? Skoncentrowała się, próbując wniknąć w umysł Roca, i już zanurzała się w wirze cudzych emocji, gdy nagle poczuła, że przytrzymuje ją czyjaś ręka.

–Aj! – wrzasnęła,

W tej samej chwili Roc zerwał się na nogi i zdumiony zawołał:

–Jest tu ktoś?

–Dácil! – krzyknęła Anaíd na widok sprawczyni całego zamieszania. Bo właśnie Dácil przed momentem złapała ją za ram

–Dácil? – zdziwił się Roc i zapalił światło w swoim pokoju.

Do oszołomionej Anaíd dotarło wreszcie, że nawiązała połączenie z Rokiem, który słyszy teraz każde jej słowo. Błyskawicznym ruchem musnęła powierzchnię wody i obraz Roca natychmiast się rozplynął.

Wściekła zwróciła się w stronę Dácil.

–Można wiedzieć, co tu robisz?

–Chronię cię – odparła Dácil z właściwym sobie głębokim, choć naiwnym przekonaniem.

–Przed kim?

–Przed Odish, rzecz jasna.

–Nie potrzebuję ochrony.

–Oczywiście, że potrzebujesz. Jesteś wybranką, a że nikt nie zna miejsca twojego pobytu, tylko ja mogę cię chronić i właśnie to robię. Gdybym cię nie przytrzymała



**wpadłabyś do rzeki. Nie widziałaś, co się dzieje?**

**Anaíd stwierdziła, że faktycznie siedzi w wodzie, częściowo przemoczona.**

**–A skąd się tu wzięłaś? I co robiłaś przez cały ten czas? – spytała oskarżycielskim tonem.**

**–Trzymałam straż przed twoją jaskinią. Anaíd wytrzeszczyła oczy.**

**–Przed moją... jaskinią? Wiedziałaś, gdzie jestem? Dácil skinęła głową.**

**–Jasne, śledziłam cię.**

**Jej cierpliwość przejęła Anaíd podziwem: tyle dni spędzonych w lesie, w oczekiwaniu, aż wybranka wystawi nos ze swojej kryjówki. I ta dyskrecja!**

**–Dlaczego właściwie nie zajrzałaś do środka?**

**–Jaskinie to miejsca święte, sprzyjające refleksji, oświeceniu i poszukiwaniom własnego ja. Wybranka ma prawo próbować odnaleźć swoją drogę dzięki postom i medytacjom – odrzekła Dácil.**

**Najwyraźniej przeszła ostry trening. Anaíd nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Posty? Medytacje? Dácil dobrze wyuczyła się swojej lekcji, ale rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej, niż przedstawiała ja stare księgi Omar. Co jednak nie odbierało Dácil zasług.**

**–I nie nudziło ci się, tak czekać?**

**–Na tym polega moje zadanie. Zresztą oficjantki z Klanu Kozy, czekające na wybrankę od tysiąca pięciuset lat, miały znacznie gorzej. Ja przynajmniej się doczekałam.**

**Nic sposób było się na nią gniewać. Anaíd nigdy nie spotkała równie rozbrajającej osoby. Choć musiała przyznać, że w jaskini próbowała o niej zapomnieć, bo sama obecność Dácil była jak przypomnienie o powinnościach wybranki.**

**Anaíd wstała i otrzepała ubranie z rzeczno mułu.**

**–Chodźmy.**

**–Dokąd?**

**–W jakieś miejsce, gdzie mogłabyś coś zjeść, przespać i w ogóle odpocząć. Odpowiedź Dácil jeszcze bardziej zbiła ją z tropu.**

**–Dziękuję, ale wygodnie mi u ciebie w domu. Sama mi pozwoliłaś tam zamieszkać, prawda? W ciągu dnia siedzę przed jaskinią, a wieczorami wracam zjeść coś ciepłego i przespać się pod dachem.**

**–Ktoś może cię zobaczyć – przestraszyła się Anaíd.**

**Dácil pokręciła głową.**

**–Nikt się nie zorientował. Prawie nie zapalam światła.**

**–A jak gotujesz?**

**–Nie gotuję.**

**–To co w takim razie jesz? Dácil rozejrzała się i rzuciła konspiracyjnym szeptem:**

**–Coś tam sobie zawsze wyczaruję.**

**Anaíd już miała na nią nakrzyczeć, ale ugryzła się w język. Ostatecznie fakt, że Dácil samowolnie posługiwała się magią, był stosunkowo drobnym wykroczeniem, jeśli wzięło się pod uwagę, że ona, wybranka, właśnie opuściła swoją matkę i nieustannie łamała wszystkie prawa Omar, za pomocą berła i zakazanych zaklęć natychmiast zdobywając wszystko, czego zapragnęła. Wszystko oprócz Roca, którego osoba odwodziła ją na domiar złego od spełnienia misji.**

**Poczuła wobec Dácil coś w rodzaju zazdrości. Ta mała sypiała w jej łóżku, pośród jej starych zabawek i książek mogąc wdychać do woli wciąż unoszący się w domu zapach Selene. Jakie to wszystko dziwne. Jak wiele się zmieniło od czasu, gdy wraz z matką opuszczała Urt. Wyjeżdżała jako Omar ciesząca się wsparciem klanu, powróciła zaś jako zmuszona do ukrywania się uciekinierka. Co właściwie sprawiło, że unikała tych samych kobiet, które ja chowały, rozpieszczając i ucząc najpierw chodzić, a potem czytać i śnić na jawie? Elena i Karen były dla niej jak rodzone ciotki. Na każde urodziny obdarowywały ją prezentami, cieszyły się z jej dobrych ocen i opiekowały się nią w chorobie. Razem z nimi obchodziła każde święto przesilenia, razem z nimi opłakiwała zmarłych. A teraz bała się im pokazać na oczy.**

**–No więc... Jesteś już gotowa? – rzuciła trochę nerwowo Dácil.**

**–Gotowa na co?**

**–Na to, żeby rozkochać w sobie Roca i pojechać ze mną i pojechać ze mną na Chinet, aby wreszcie zstąpić do krateru.**

**Anaíd wzdrygnęła się. Potworny strach ogarniał ją przy każdej wzmiance o**

wyprawie do świata umarłych.

–Nie tak łatwo kogoś w sobie rozkochać – odparła wymijająco.

–Ale ty jesteś wybranką.

–I co z tego?

–Wybranka może mieć wszystko, czego zapagnie. W przeciwieństwie do zwykłych Omar.

Anaíd potrzebowała kogoś, kto by jej o tym ciągle przypominał.

–No tak. Ale muszę opracować jakąś strategię.

–Mam już wszystko pod kontrolą.

–Wszystko, czyli co?

Dokąd Roc chodzi i z kim, co robi w konkretnych porach dnia... Już nie spotyka się z Marion.

Anaíd nagle się zawstydziła. Smarkula, która nawet nie przeszła inicjacji, pokazywała jej, jak się zabrać do podrywania chłopaka. Ale cóż, miała rację.

–Pomożesz mi?

Dácil aż się rozpromieniła. Bardzo jej z tym było do twarzy.

–Oczywiście!

Anaíd popatrzyła na nią uważnie. Ta drobna dziewczynka stawała się jej sumieniem i pamięcią. I mogła posłużyć za napęd popychający ją ku właściwemu celowi. Musiała tylko uzupełnić zapasy paliwa.

–Czekaj na mnie jutro, o trzeciej po południu, w tym miejscu. A wcześniej odpocznij, nie musisz czatować przed jaskinią. Potrafię się o siebie zatroszczyć.

W tym momencie Dácil zaskoczyła ją po raz kolejny

–Tylko uważaj. Niedaleko Urt znaleziono wykrwawiane niemowlę Omar.

–Skąd wiesz? – spytała z przerażeniem Anaíd.

–Podśluchałam, jak mówiła o tym Elena.

**Czy sprawiła to tragiczna wiadomość, czy tonące w zmirzchu topole, szmer rzeki i napływający od strony miasteczka zapach dymu z kominów -dość, że Anaíd poczuła nagły przyływ rozdzierającego smutku. Wspomniała niedawne dzieciństwo, pocałunki Selene, dotyk silnych dłoni Demeter... Elena, Karen, reszta Omar – wszystkie liczyły na nią i na jej odwagę. Nie zamierzała tknąć gwarantującej niepamięć turkusowej bransoletki. Chciała pamiętać, bo przeszłość dawała jej siły do wykonania misji i poczucie sensu życia. Nostalgia pozwalała wytrwać. Kim by ona, Anaíd, była bez swoich wspomnień? O mało nie zerwała bransoletki z nadgarstka. Nie mogła tak po prostu zapomnieć o swoich korzeniach, o swoim klanie, swojej rodzinie i uczuciach. Mogła natomiast, i musiała, przyznać się do popełnionych dotychczas błędów. Omar wciąż umierały, a ona nadal zwlekała z wykonaniem zadania. Koniec z tym. Podjęła decyzję. Przyszła pora, by zacząć działać.**

**Po powrocie do jaskini przyznała się Cristine do swej porażki.**

**–Nie mogę.**

**Babka nie wpadła w gniew, przeciwnie, okazała zrozumienie.**

**–Spróbuj jeszcze raz. Ale Anaíd była stanowcza.**

**–Potrzebuję miłosnego eliksiru. Musisz mi pomóc go przyrządzić. Na łagodnej zazwyczaj twarzy Białej Damy odmalowało niezadowolenie.**

**–To niebezpieczne.**

**–Dlaczego? Cristine zawahała się.**

**–Jest pewne proroctwo... Nie wiem, czy je pamiętasz.**

**Zamilkła, obserwując reakcję Anaíd, ta jednak najwyraźniej nie miała pojęcia, o co chodzi.**

**–Znasz wiersz Evy Luz? Anaíd pokiwała głową.**

**–Chyba tak.**

**–Wyrecytuj mi go.**

**Anaíd wysiliła pamięć i pośród wielu zgromadzonych tam informacji odnalazła wreszcie na wpół zapomniane wersy autorstwa Evy Luz.**

**Wśród śmierci szernieje jej wdzięk i uroda, Bo komuś miłosny eliksir chce podać, więc klątwa pucharu jej wargi splugawia, od grobu do życia zaklętą przywabia, los czeka ją marny, co marność zostawia.**

**–Co prawdopodobnie znaczy – wyjaśniła Cristine – że podając miłosny eliksir, wybranka ryzykuje życie. Dlatego nie powinnaś tego robić.**

**–Przecież to tylko wiersz – zaprotestowała Anaíd, zdecydowana nie ulegać żadnym argumentom.**

**Biała Dama potrząsnęła głową, aż zafalowały jej złote włosy.**

**–Mylisz się. Bo to wiersz inspirowany przekleństwem Odi.**

**–Przekleństwem? Jakim przekleństwem? – spytała zelektryzowana tym imieniem Anaíd.**

**Cristine wydawała się zdumiona i zakłopotana.**

**–Nie słyszałaś o przekleństwie Odi?**

**–Nie.**

**–Właściwie nie zostało nigdzie zapisane.**

**–To jak się zachowało?**

**–W przekazach ustnych. Podobno Odi, zanim zniknęła przeklęła swoje**

**córki poczęte z Shh, a także wszystkie ich córki.**

**–Co dokładnie mówi to przekleństwo? – drażyła Anaíd. Trudno było uniknąć odpowiedzi na tak bezpośrednie pytanie.**

**–Mniej więcej to samo, co wiersz Evy Luz.**

**–A ty w to wierzysz?**

**–Tak.**

**–Ale przecież jesteś Odish, a Eva Luz była Omar!**

**–Proroctwa mamy wspólne. Poza tym łączy nas przekonanie, że niedobrze jest wyzywać los. – Cristine spuściła wzrok. – Nie chciałabym, abyś narażała się na śmierć.**

**–A więc o to chodzi. – Anaíd się wzdrygnęła. – Mogę umrzeć?**

**Biała Dama w milczeniu skinęła głową. Anaíd poczuła, że ogarnia ją rozpacz. Nie rezygnowali jednak.**

**–W porządku. Więc to Dácil poda Rocowi eliksir i zniknie na tyle szybko,**

**by Roc zakochał się we mnie, a w niej.**

**–Na twoim miejscu bym nie ryzykowała – rzuciła Cristine.**

**Ale Anaíd już się zaparła.**

**–A ja zaryzykuję. Roc musi wypić eliksir.**

**Co rzekłszy, bez zwłoki zabrała się do dzieła – to znaczy wezwwała berło.**

**–Soramar noicalupirt ne litasm. Berło uległe pofrunęło do jej dłoni. Cristine nie kryła podziwu.**

**–Stało się częścią ciebie.**

**Rzeczywiście, Anaíd też miała takie wrażenie. Świecącą dłoń traktowała już jako nieodłączny element swojej osoby. Z berłem w dłoni, czując pulsującą w sobie moc i kierując się wskazówkami swojej babci Odish, przygotowała eliksir. Do nietoperzach skrzydeł, skóry młodej żaby, gałązki jemioly i korzenia mandragory dodała sproszkowane minerały odpowiadające Strzelcowi, czyli znakowi Roca: miedź, jadeit, miki i sól. Dorzucając do tej mieszanki kadzidło, wypowiedziała imię Roca, potem rozpała ogień, skropiła wszystkie składniki mikstury alkoholem, zanuciła inwokację do miłości i sprawiła, że pasma unoszącego się nad eliksirem dymu splotły się tak, jak spleść się miały losy jej i Roca. Płyn zawrzał. Miała nadzieję, że na jej widok podobnie zawrze krew w żyłach Roca.**

**Ostudziła eliksir, przelała go do buteleczki i przyjrzała się mu pod światło. W tym oto szklanym naczyniu mieściły się wszystkie jej nadzieje i pragnienia. Mikstura była zielona jak mięta i wydzielala słodki, nieco mdlący zapach.**

**Anaíd spała tej nocy głęboko, śniąc o Rocu i jego przekornym uśmiechu.**

**Powinna właściwie zasięgnąć porady wyroczni, ale i bez tego miała świadomość, że wróżby jej nie sprzyjają. Przepiórki latały zbyt nisko, a wśród uschłych liści znalazła zagrzebane tam przez lisa zakrwawione truchło nowo narodzonej kozicy. To były znaki. Takie same jak zygzakowata linia wracających do mrowiska czerwonych mrówek albo chaotyczne ślady poszukującej zagubionego niedźwiadka brunatnej niedźwiedzicy. Kto potrafił je odczytać, mógł się wiele dowiedzieć. Anaíd potrafiła, rozumiała więc, że zanosz się na katastrofę – mimo to udawała ślepą i głuchą i parła naprzód.**

**Nie umiała oprzeć się chęci zrealizowania swojego planu i przez cale beztroskie z pozoru popołudnie, które spędziły na opychaniu się poziomkami i splataniu wianków,**

przygotowywała Dácil do odegrania przewidzianej dla niej roli.

Sprawa wydawała się prosta. Postanowiły zaczekać na Roca przy drodze, którą każdego popołudnia jeździł do domu. Dácil miała niby to wracać z lasu, z kosz pełnym poziomek i wiankiem na głowie, na widok Roca – udąć upadek i silny ból w kostce, a następnie odwdzińczyć mu się za pomoc, proponując łyk przepysznego soku.

Wtedy przed oczami Roca miała stanąć Anaíd, a z nią wspomnienie owego magicznego urodzinowego wieczoru, gdy poprosił ją o pocałunek i prawie wyznał miłość.

Dácil przejawiała jednak nadspodziewaną nerwowość.

–A jeśli coś mi się pomyli?

–Skąd taki pomysł?

–Nigdy niczego podobnego nie robiłam.

–Przestań, Dácil, przecież to łatwe.

–Rzeczy łatwe okazują się często najtrudniejsze, jak mawiała Ariminda.

Sytuacja zaczynała wyglądać niepokojąco. Wszystko zależało przecież od tego, czy Dácil wypadnie naturalni. Dlatego Anaíd ujęła ją za ramiona i popatrzyła jej w oczy.

–Posłuchaj. Pamiętaj, co ci obiecałam? Jak będzie po wszystkim,

polecę z tobą na Teneryfę i bez dalszych oporów wejdę do jaskini na szczycie

Teide.

Dácil uśmiechnęła się blado.

–Tak bym chciała... Ale tylko mnie wolno będzie ci usługiwać?

Anaíd uroczyście przytaknęła.

–I powiem wszystkim, jak było: że gdyby nie ty, nie miałabym pojęcia, co

robić.

Dácil klasnęła w dłonie i zakręciła się jak mała dziewczynka. Wkrótce spełnią się wszystkie jej największe marzenia. Najpierw zaopiekuje się wybranką, a potem dołączy do mamy w Nowym Jorku. Aż niewiarygodne, że tak prędko...

Dokładnie w tym momencie usłyszały odgłos zbliżającego się roweru. Nadjeżdżał Roc.

Dácil pobladła.

–Co mam mu powiedzieć najpierw? Że upadłam czy że boli mnie w kostce?

Anaíd zirytowała się nie na żarty i chowając się pospiesznie za ostrokrzewem, syknęła:

–Ty ptasi mózdzku!

A gdy po chwili Roc wynurzył się zza zakrętu, stwierdziła z przerażeniem, że Dácil siada na środku drogi, i z wyrazem zdumienia na twarzy przygląda się własnym dłoniom, jakby widziała je po raz pierwszy.

Anaíd zakryła usta rękami. Zakłęcie! Rzuciła na Dácil zakłęcie, sprawiając, że jej umysł upodobnił się nagle do karty, do... ptasiego mózdzka. Biedna dziewczyna najwyraźniej nie pamiętała, co robi w tym miejscu, kim jest, ani o co w ogóle chodzi.

Tymczasem ukryta za ostrokrzewem Anaíd obserwowała z zamierającym sercem, jak Roc podjeżdża bliżej, zatrzymuje się koło zdezorientowanej Dácil i zsiada z roweru, by jej pomóc.

–Coś się stało? Dácil pokręciła z przestraszeniem głową.

–Nic wiem.

–Jak to nie wiesz?

–Nic nie pamiętam – szepnęła Dácil, chwytając się ze zgrozą za włosy. Odnosiła wrażenie, że na szyi ma osadzoną pustą dynię.

–Może uderzyłaś się w głowę? Dácil wzruszyła ramionami, wstała i otrzepała spodnie.

–Może i tak.

–Chcesz, żebym cię zawiózł do miasteczka?

Zawahała się.

–No... nie wiem.

Anaíd z trudem powściągnęła jęk rozpaczony. Jej plan legł w gruzach. Traciła świetną okazję, a wszystko przez własny fatalny charakter i głupią dziewczynę. Nie wiedząc,



**co robić, szepnęła:**

**–Dácil, skup się, pamiętaj o swojej roli, masz go poczęstować napojem.**

**Tymczasem praktyczny jak zwykle Roc, ściskając dłoń Dácil, dokonał prezentacji.**

**–Jestem Roc, syn Eleny. Moja mama cię zna i będzie umiała ci pomóc.**

**Chodź.**

**W tym momencie Dácil w cudowny sposób odzyskała pamięć.**

**–Roc! No pewnie, już wszystko pamiętam. Czekałam na ciebie – wyrzuciła jednym tchem.**

**–Na mnie? – zdziwił się Roc.**

**Dácil z właściwym sobie rozbijającym uśmiechem natychmiast oświeciła go co do spraw, o których sama jeszcze przed chwilą nie miała pojęcia.**

**–Tak, na ciebie. Mam ci zaproponować napój.**

**Po czym, nie wykazując żadnego skrępowania, sięgnęła po swój plecak, wyjęła bidon i podała go Rocowi.**

**–Chcesz łyka?**

**Anaíd pragnęła zapaść się pod ziemię. Jak mogła zaufać komuś takiemu? Roc stał, z lekka osłupiały.**

**–E... To znaczy... Nie rozumiem. Siedzisz na środku drogi, twierdzisz, że straciłaś pamięć, a potem ni stad, ni zowąd oświadczasz, że czekałaś na mnie z napojem?**

**–Właśnie.**

**–Coś mi się zdaje, że potrzebujesz psychiatry – zawyrokował autorytatywnie i wykonał taki ruch, jakby zamierzał powrotem wsiaść na rower.**

**Dácil pojęła, że coś poszło nie tak. Jednocześnie odniosła wrażenie, że wiatr szepcze jej do ucha wskazówki. Zupełnie nie zdawała sobie sprawy, że ów szept dobiega zza ostrokrzewu, za którym siedzi Anaíd.**

**–Zrób coś, nie pozwól mu odjechać!**

**Anaíd w poczuciu bezsilności gryzła paznokcie. Na szczęście Dácil spróbowała jednak zatrzymać Roca.**

**–Zaczekaj! Jeden łyczek wystarczy!**

**–Dość tych wygłupów. Ja w każdym razie spadam – odparł Roc, po czym wskoczył na siodełko.**

**W tym momencie Dácil schwyciła go za koszulkę na plecach.**

**–Nie możesz odjechać bez skosztowania mojego napoju!**

**–Jasne, że mogę.**

**Anaíd była na krawędzi łez, ale ku jej zdumieniu uprzedziła ją Dácil, która rozszlochała się rozpaczliwie, co natychmiast przyniosło pożądane skutki. Poruszony i zaintrygowany Roc zmienił ton.**

**–Ja... Przepraszam, nie chciałem cię urazić, ale... nic nie rozumiem.**

**Anaíd przycisnęła dłonie do piersi. Wciąż istniała jakaś nadzieja.**

**Dácil, która zorientowała się wreszcie, że prostodusznością nic nie wskóra, postanowiła uciec się do podstępu. Wymyślając na poczekaniu całkiem przekonującą historyjkę.**

**–Jestem beznadziejna. Zawsze przegrywam wszystkie zakłady – zaimprovizowała z zaskakującym tupetem.**

**Zaczynała wracać do zwykłej formy.**

**–Jakie zakłady?**

**–Założyłam się z przyjaciółką, że uda mi się przekonać jakiegoś chłopaka, aby się ze mną napił – wyjaśniła naturalnym tonem. – Ale nikt nie chce.**

**Roc podrapał się pogłowiem. Może ostatecznie nie w tym wszystkim niczego dziwnego. Dotychczasowe kontakty z dziewczynami utwierdzały go w przekonaniu, kobiety to istoty skomplikowane.**

**Anaíd, wyczuwając jego wahanie, dotknęła szafirów szyi. Skupiła się, próbując nagiąć jego wolę do swojej.**

**–I ja się napatoczyłem? – rzucił Roc.**

**–Jesteś moją ostatnią szansą. Na wykonanie zadania miałam sześć godzin, które upływają za kilka minut.**

Roc zastanawiał się jeszcze przez chwilę, co Dácil wykorzystwała na strategiczne upozorowanie odwrotu. Anaíd pogratulowała jej w duchu tej kobiecej sztuczki, do której sama nigdy nie umiała się posunąć.

–Przykro mi, przepraszam za całe to zamieszanie. Zawsze przegrywam, taki już mój los.

To mówiąc, Dácil odwróciła się na pięcie.

Jak było do przewidzenia, Roc od razu ją zawołał.

–Chodzi tylko o to, żebym spróbował tego twojego napoju?

–Wystarczy łyk – zapewniła go ponownie Dácil.

Ale on miał więcej wątpliwości.

–A skąd twoja przyjaciółka będzie wiedziała, czy ci się udało, czy nie?

Dácil przelotnie straciła kontenans. Pozbierała się jednali błyskawicznie i wskazując ostrokrzew, wyjaśniła:

–Bo patrzy na nas zza tamtego krzaka.

Zbita z tropu Anaíd ledwie powstrzymała okrzyk. Sriic bilo jej tak mocno, że Roc musiał je chyba słyszeć.

On tymczasem utkwiał badawcze spojrzenie w zarośhu

Anaíd czuła narastającą panikę. Czy Dácil naprawdę nic potrafiła wymyślić niczego lepszego? Ta dziewczyna miała w głowie istną sieczkę. Ledwo wybrnęła z jednej kabały, od razu pakowała się w następną.

I teraz ona, Anaíd, będzie musiała ratować sytuację

–W porządku, zrobię ci przysługę, ale tylko pod warunkiem, że ta twoja przyjaciółka wyjdzie ze swojej kryjówki. Inaczej będę się czuł jak idiota – Roc uśmiechnął się łobuzersko, a na jego policzku natychmiast pojawił się tak lubiany przez Anaíd dołeczek.

Nie namyślając się dwa razy, z palcami zaciśniętymi na szafirach, wyprostowała się i z godnością wynurzyła zza krzaka.

Roc skamieniał i poblądł. Przymknął oczy, a potem znowu je otworzył. Osoba, którą miał przed sobą, wydawała mu się znajoma, bardzo znajoma, a zarazem trudna do rozpoznania.

–Cześć – powiedział z niemądrym wyrazem twarzy.

–Cześć – odparła Anaíd spokojniej, niż mogła się po sobie spodziewać.

–Ty jesteś...? – zaczął pytająco Roc, pstrykając palcami, jakby chciał w ten sposób wspomóc swą pamięć.

Anaíd uśmiechnęła się. To on był w kropce. Ona panowała nad sytuacją. Odnosiła wrażenie, że w tym momencie skryzalizowała się w niej ta pewność siebie, którą cierpliwie upajała jej Lodowa Dama. Nagle poczuła się piękna, silna, mądra, zdolna bez wysiłku narzucić swą wolę Rocowi, usidlić go jednym spojrzeniem.

Crisrine nie pomyliła się i tym razem. Magia była w niej, w Anaíd, wybrance, właścicielce berła władzy. Młodej, pięknej i inteligentnej. Roc znajdował się w jej rękach, i wkrótce miał się znaleźć u jej stóp. W sumie całkiem nieźle wyszło.

–Jestem twoją starą znajomą – rzuciła enigmatycznie w kierunku Roca.

–Pamiętam cię, ale nie mogę sobie przypomnieć twojego imienia.

Doprawdy dziwne skutki wywoływał eliksir zapomnienia! Jeśli Roc nie pamiętał milkiwej brzyduli, jaką była w młodych klasach – tym lepiej

–Gdy tylko się napijesz, wszystko sobie przypomnisz.

Roc uśmiechnął się kpiarsko i nie odrywając od niej wzroku, zrobił krok w jej stronę. Anaíd zawahała się, ale wytrzymała jego spojrzenie.

–Zamierzasz mnie zaczarować? – spytał, puszczając do niej oko.

Roześmiała się, odpowiadając mrugnięciem. Lekcje Gunnara nie poszły na marne.

–Jasne. Znajdujemy się w lesie, ja jestem czarownicą, a to jest przekorny chochlik, który wiernie mi służy.

Roc podjął zabawę.

–A tajemniczy napój, o który chodzi, to, rzecz jasna, eliksir miłosny.

Anaíd wiedziała, że nie powinna przerywać kontaktu wzrokowego. Roc, pijąc, musiał patrzeć na nią. Powodowana na impulesem, wyrwała bidon z rąk Dácil.

**–Spróbuj – powiedziała, podając go Rocowi.**

**W tej chwili nie pamiętała o ostrzeżeniach Cristine, przekleństwie Odi ani o wierszu Evy Luz. Zapomniała o całym świecie.**

**Roc pchnął swój rower ku Dácil.**

**–Potrzymaj – mruknął, nawet na nią nie patrząc.**

**Wziął bidon z rąk Anaíd, muskając wierzch jej dłoni. Dziewczyna zadrżała.**

**Miłosny eliksir z jej ręki się spełni, wieszczyla Odi, a jej pełne złości proroctwo zaczynało się właśnie spełniać.**

**Dácil, która miała tego świadomość, przerażona zakryła usta dłonią. Roc odkręcił korek, powąchał zawartość bidonu, a wyczuwszy jedynie zapach mięty, podniósł ramię i odchylił głowę. Jakby nagle spragniony pociągnął długi łyk i odruchowo oparł się o rower, który Dácil przytrzymywała tylko jedną ręką. Pod wpływem ciężaru dziewczyna zachwiała się i przewróciła, pociągając za sobą i rower, i Roca. Wszystko to zdarzyło się bardzo szybko i teraz uwięziona pod kołami, nie mogła nawet marzyć o tym, by zgodnie z tym co uzgodniły z Anaíd, skryć się przed wzrokiem chłopaka.**

**Anaíd krzyknęła.**

**Dácil też.**

**Żadna z nich jednak nie była w stanie powstrzymać działania magii. A Roc, zaskoczony upadkiem, popatrzył na Dácil z głęboką troską:**

**–Nic ci nie jest?**

**Dácil wstrzymała oddech. Skulona liczyła jeszcze na to, że jeśli nie odwzajemni spojrzenia, nic się nie stanie. Daremnie. Najgorsze już się stało.**

**Anaíd chciała coś zrobić, ale skamieniała ze zgrozy. Bo oto przestała dla Roca istnieć. Ten, na którym jej zależało dostrzegał już tylko Dácil.**

**Wstał, odsunął rower i pomógł się jej podnieść.**

**–Prawie nic nie ważysz – oświadczył z głupkowatym uśmiechem.**

**Owszem Dácil prawie nic nie ważyła, ponieważ była pozbawionym wdzięku chudzielcem. Roc jednak, sądząc po wyrazie jego twarzy, miał na ten temat inne zdanie.**

**Anaíd z całej siły wbiła sobie paznokcie w dłoń. To nie mogło się dziać naprawdę.**

To był po prostu żart, w dodatku niesmaczny.

Roc zdecydowanym ruchem posadził Dácil na ramie swego roweru.

–Pojedziemy do mnie, żeby obejrzała cię mój mama.

Anaíd oniemiała z przerażenia, nie potrafiła nawet zaprotestować. Miała ochotę płakać i tupać, tyle że nic by jej z tego nie przyszło. Roc przestał ją dostrzegać.

Dácil usiłowała się jakoś wymigać.

–Nie, nie trzeba. Wszystko ze mną w porządku.

–To się dopiero okaże. Spojrzawszy mu w oczy, zauważyła, że aż płoną.

–Nie patrz tak na mnie – jęknęła i odwróciła twarz,

–Dziwne, że wcześniej nie zwróciłem na ciebie uwagi. Zupełnie jakbym przed chwilą zobaczył cię po raz pierwszy. Mówiłaś, że jak się nazywasz?

–Nie mówiłam.

–To powiedz – uśmiechnął się uwodzicielsko.

–Dácil – szepnęła, zerkając na Anaíd ze skruchą i wzruszając ramionami.

Roc wydał okrzyk.

–To przeznaczenie! Wiedziałem! Niedawno mi zdawało, że słyszę twoje imię!

I ku rozpaczycy Anaíd wskoczył na siodelko, objął kłopotaną Dácil ramionami i pogwizdując, powiózł w stronę Urt. Nie zadał sobie nawet trudu, by pożegnać z drugą z dziewcząt. Anaíd została na drodze, szarpana zazdrością, mając wrażenie, że jest przezroczysta.

Wpadła do jaskini jak burza, rozpaczliwie nawołując Białej Damy. Z wysiłku i wzburzenia ledwo chwyciła oddech.

–O, ja nieszczęśliwa! – wydyszała dramatycznie, padając wreszcie w ramiona babci.

Cristine pogładziła wnuczkę po głowie. Ze zwiędłymi fiołkami we włosach, z przywodzącymi na myśl krew plamami z poziomkowego soku na palcach i

**zaczerwienionymi oczyma – Anaíd była obrazem nędzy i rozpaczy.**

**–Powoli, dziecko, powoli – rzekła łagodnie Cristine, ale jej oczy błyszczały surowo.**

**Anaíd z trudem opanowywała przepelniające ją wściekłość i rozpacz.**

**–Wszystko poszło nie tak, jak trzeba, to był najgorszy dzień mojego życia! Koniec, przepadło, chcę umrzeć!**

**–Uspokój się. Co się właściwie stało?**

**–Roc spojrział na Dácil zamiast na mnie. I to w niej się zakochał! Biała Dama westchnęła.**

**–I tyle?**

**Anaíd milczała przez chwilę, nie mając odwagi przyznać się do nieostrożności, którą popełniła. Jednakże Cristine umiała czytać w myślach albo od początku wszystko wiedziała.**

**–Podaaś Rocowi eliksir własną dłonią? Tak?**

**–Wcale nie chciałam, tak wyszło.**

**–Nic nigdy nie wychodzi ot tak, samo z siebie – oświadczyła twardo Biała Dama. – Wyzwałaś los. Teraz przekleństwo Odi ma szansę się spełnić.**

**Anaíd poczuła strach, nie na tyle wszakże mocny, by mógł wyprzeć z jej myśli to, co ją w tym momencie najbardziej dręczyło.**

**–Co robić z Rociem? Nie chcę, żeby się kochał w Dácil!**

**Cristine wykazała rezerwę.**

**–Każdą rzecz można odwrócić lub wymazać z pamięci, ale co się stało, to się nie odstanie. Obawiam się więc, że nie będzie łatwo. Zwłaszcza jeśli są świadkowie. Gdzie jest Dácil?**

**Anaíd wołała o tym nawet nie myśleć.**

**–Roc zaprosił ją do siebie. Biała Dama cmoknęła z niezadowoleniem.**

**–To bardzo niedobrze. Elena nie jest głupia. Zacznie coś podejrzewać.**

**Anaíd przywołała berło, pogłaskała je, machnęła nim i odzyskała trochę animuszu. Świat odradzał się po kataklizmie. Widziała przebłyski światła w ciemności.**

**–Pójdę po Dácil jeszcze dziś wieczorem, a potem napoję Roca nowym eliksirem.**

**–Nie możesz – powiedziała Cristine.**

**Anaíd znowu się zezłościła. Miała berło, była wybranką. Kto potrafił jej czegoś zabronić?**

**–Jak to nie mogę? Nawet mi o tym nie mów, babciu...**

**–Nie możesz przewyciężyć skutków miłosnego eliksiru innym miłosnym eliksirem. Do tego potrzeba eliksiru zapomnienia.**

**Anaíd zdziwiła się, O tym nie wiedziała.**

**–To znaczy, że Roc musi najpierw zapomnieć i dopiero potem będzie w stanie znowu się zakochać.**

**–Właśnie.**

**Anaíd poczuła przyływ zazdrości.**

**–No to świetnie! Przynajmniej zapomni o Dácil!**

## ***Rozdział XI NIE BĘDZIESZ NADUŻYWAĆ ELIKSIRU ZAPOMNIENIA***

**Elena otworzyła drzwi przed Karen i przykładając palec do ust nakazała jej ciszę. Była prawie północ, rożek księżyca świecił słabo, jednak w jego blasku można było dostrzec, że Karen nie wygląda zbyt dobrze. Miała bladą twarz i podkrążone oczy. Spała za mało, pracowała za dużo, zamartwiała się bezustannie.**

**–Dziękuję, że przyszedł tak szybko – szepnęła Elena, ujęła ją pod ramię i prowadząc do kuchni.**

**Za uchylonych drzwi do salonu z rozpalonym kominkiem dobiegło głucho tupanie wielu stóp i ogłuszający ryk:**

**–Gooooooooo!**

**Karen nie musiała więc pytać Eleny o rodzinę: mąż wraz z najstarszymi synami**



oglądał mecz. Tylko Roca z nimi nie było.

Zamknęły się w kuchni, Elena usadziła Karen przy stole

Bez pytania postawiła przed nią talerz zupy, talerzyk z chlebem i kieliszek czerwonego wina.

–Masz, jedz. Karen była zbyt zdenerwowana, by jeść.

–Coś się stało?

–Tak.

–No to mów, o co chodzi, inaczej nie przełknę ani kęsa.

–Zawsze mnie to w tobie dziwi. Ja z nerwów jeszcze więcej niż zwykle.

Karen doskonale o tym wiedziała. Nie bez powodu Eli co roku przybierała na wadze kolejny kilogram, a że miała tylu synów, jej zmartwienia przyrastały w tym samym mniej więcej tempie. Dobrze chociaż, że humoru, energii i zdrowia też jej nie brakowało.

–Powiesz mi wreszcie, co się dzieje? Złe nowiny o Selenie i Anaíd? – dopytywała się słabym głosem Karen.

–Nie, nic o nich nie wiem. Selene się nie odzywa, ale gdyby coś było nie w porządku, poprosiłaby o pomoc.

–Kolejne wykrwawione niemowlę?

–Nie.

Karen westchnęła z ulgą. Będąc lekarzem, musiała zajmować zwłokami zabitych przez Odish dziewczynek Omar. Znosiła to fatalnie i za każdym razem mówiła, że dłużej nie da rady. Ostatnimi czasy, odkąd znikły Anaíd i Selene, ofiary znajdowano regularnie. Nie zniosłaby kolejnej. Nie, nie dziś.

–A więc?

–Chodzi o Roca.

Zdumiona Karen zagapiła się na przyjaciółkę. Elena nie zwykła wzywać jej w środku nocy, aby opowiadać o problemach z synami. A już na pewno nie o problemach z nastoletnim Rokiem.

–Wiesz, że nie znam się na chłopcach, nie mam dzieci i...

**–Ta dziewczynka, Dácil, znowu tu jest.**

**–Aha – powiedziała Karen, najwyraźniej nie dostrzegając związku.**

**Rozluźniła się. Uznała, że może już coś zjeść i napić się kawy bez ryzyka, iż jakiś łyk stanie jej w gardle. Przytulny dom Eleny sam z siebie zdawał się zapraszać gości do tego, by po ciepłym posiłku zasiedli w wygodnych fotelach przy kominku i zapadli w drzemkę, przysłuchując się mruczeniu kotów, poszczekiwaniu psów i wesołym okrzykom dzieci. Karen ze smakiem wzięła się do zupy – przepysznej jak wszystkie dania Eleny. Po raz kolejny obiecała sobie, że przy bardziej sprzyjającej okazji zapyta przyjaciółkę, czy pulpeciki trzeba obtaczać w jajku i rozmoczonym w mleku chlebie, czy wystarczy w tartej bułce.**

**–No dobrze, opowiadaj, słucham.**

**–A więc – zaczęła Elena, dla towarzystwa nalewając sobie mleka i sięgając po kruche ciasteczka – mówiłam ci niedawno, że Dácil znikła. Gdy się przekonała, że Anaíd nie ma w Urt, wyjechała bez pożegnania. Aż tu nagle, dziś po południu, Roc przywozi ją na rowerze, twierdząc, że i coś sobie zrobiła! Męczył mnie tak długo, aż obejrzałam jej wszystkie kosteczki! Zresztą poza kosteczkami wiele tam nie ma do oglądania.**

**Karen skinęła głową, łakomie wycierając talerz chlebem – ale nadal nic nie rozumiała.**

**–Potem zażądał, żebyśmy się nią zaopiekowali aż do jej powrotu na Teneryfę.**

**–Świetnie. I?**

**–Cały czas patrzył na nią jak cielę na malowane wrota.**

**–I?**

**–Dosłownie pożerał ją wzrokiem, z rozanielonym uśmiechem nalewał jej wody, podsuwał krzesło, a nawet napisał dla niej wiersz!**

**–O, naprawdę? – spytała z niedowierzaniem Karen.**

**–A jak myślisz, że dlaczego jestem taka zdenerwowana? – uniosła się Elena. – Po prostu zwariował dla tej dziewczyny. Oczywiście nie pozwoliłam jej spać w jego pokoju. Rozstawiłam składane łóżko w sypialni bliźniaków.**

**Karen trudem powstrzymała się od śmiechu.**

**–Czyżbyś była zazdrosna?**

**–Nie zrozumiałaś mnie.**

**–A co właściwie chcesz powiedzieć?**

**–Że go zaczarowała.**

**Karen miała dosyć.**

**–Daj spokój, Eleno. Owszem, jesteśmy czarownicami, ale to nie znaczy, że nasi synowie nie mogą się po prostu zakochać.**

**–Ale ta cała Dácil to dziecko!**

**–Przestań.**

**Elena ze wzburzenia wciąż zapominała o najważniejszym,**

**–Nie przerywaj mi przez chwilę. Roc wypił miłosny eliksir.**

**Karen podniosła wzrok.**

**–Skąd wiesz?**

**–Sam mi wyznał. On niczego nie podejrzewa, ale ja tak. Dácil czekała na niego na drodze i poczęstowała go jakimś napojem, wymyślając historyjkę o rzekomym zakładzie.**

**Karen słuchała z coraz większą uwagą.**

**–Podobno dopiero po wypiciu tego, co mu dała, zwrócił na nią uwagę.**

**Tak właśnie działały miłosne eliksiry. Teraz i Karen wyzbyła się wszelkich wątpliwości.**

**–Faktycznie, możesz mieć rację.**

**–Raz jeszcze skontaktowałam się z matriarchiniami z Orotavy. Potwierdziły moje przypuszczenia. Dácil znowu i je okłamała. Ta dziewczyna to prawdziwe utrapienie.**

**Karen poczuła litość.**

**–Wszystko przez jej matkę.**

**Elena nie była w tym momencie skłonna do współczucia.**

**–Owszem, to skończona wariatka, ale trudno w ten sposób usprawiedliwić każdy wybryk jej córki.**

**–A dlaczego, wyjeżdżając do Nowego Jorku, nie zabrała Dácil ze sobą? – spytała Karen.**

**–Nie słyszałaś?**

**–Nie.**

**–Kiedyś przez rozrządzenie zostawiła malutką Dácil w supermarkecie.**

**–No co ty! Dlatego potem wyjechała sama?**

**–Po tamtym wypadku matriarchinie zabroniły jej zbliżyć się do córki. Dácil została wychowana przez klan.**

**Karen wydawała się coraz bardziej poruszona.**

**–Biedactwo! Mieć taką nieodpowiedzialną matkę!**

**–Niedaleko pada jabłko od jabłoni.**

**–Nie przesadzaj.**

**–Wcale nie przesadzam! Uważasz, że to odpowiedzialne, będąc niewtajemniczoną trzynastolatką, błąkać się po świecie i za pomocą niedozwolonych mikstur rozkochiwać w sobie chłopców?**

**Karen nie uważała.**

**–Co zamierzasz?**

**–Zachowywać się jak gdyby nigdy nic, zneutralizować działanie eliksiru, a następnie odesłać małą do domu, po odpowiednim obsztorcowaniu. Na inicjację będzie musiała chyba poczekać.**

**–Brzmi rozsądnie – przyznała Karen. – Chodźmy do nich.**

**–Poczekaj – zatrzymała ją Elena. – To nie koniec. – Jej głos nabrał wyjątkowo ponurych tonów.**

**–Co poza tym?**

**–Mamy w Urt jeszcze jednego gościa. Odish.**

**–Takie chodzą słuchy?**

**–To fakt. Wyczuwałam jej obecność, a teraz wiem od Roca, że Dácil nie była sama. Towarzyszyła jej przyjaciółka. Tajemnicza, wysoka, piękna, blada i obwieszona klejnotami.**

**–Roc ją rozpoznał?**

**–Powiedział, że nie wie, kto to jest ani jak się nazywa. Ale zrobiła na nim wrażenie.**

**Karen przygryzła wargę. Jak wszystkie dorosłe Omar miała zdolność wykrywania bliskości Odish. Ta umiejętność rozwijała się z wiekiem.**

**–Jest silna?**

**–Bardzo. Wyjdź ze mną na zewnątrz. Potrzebuję potwierdzenia.**

**Stanęły przed domem. Wiszący nisko księżyc był jak przymrużone filuternie oko.**

**Mimo panującego wokół spokoju, Karen wzdrygnęła się nerwowo. Jeszcze po drodze do Eleny poczuła przenikliwe i zimno w stopach. Podczas kolacji nieprzyjemny chłód pełził w górę nóg i brzucha, aż dotarł do serca. Teraz miała je zmrożone jak lód.**

**Obie naraz uniosły głowy i zaczęły węszyć. Wiatr niósł niewyraźny, lecz specyficzny zapach, który od wczesnej młodości uczono je rozpoznawać jako woń Odish.**

**–Jest bardzo blisko – stwierdziła Karen, a jej źrenice rozszerzyły się gwałtownie. – Jest tutaj.**

**–Tak sądzisz? – przeraziła się Elena.**

**Do tej pory łudziła się, że może ulega obsesji. W gruncie rzeczy wezwała Karen po to, by dać się przekonać, że nie ma racji.**

**Spojrzały w tym samym kierunku. Ku temu oknu w południowej ścianie domu, które należało do pokoju Roca. Było otwarte na oścież, a w zalanej**

**księżycowym blaskiem szybie odbijała się sylwetka wysokiej kobiety o długich włosach.**

**Z gardła Karen wyrwał się krzyk. Zaraz potem powiedział jej brzęk tłukącego się szkła, głuchy odgłos padającego na ziemię ciała i łopot skrzydeł. Noc wypełniło złowróżbne krakanie.**

**Karen i Elena bez słowa rzuciły się do domu i pobiegly schodami w górę,**

przeskakując po kilka stopni. Drzwi do pokoju Roca były zamknięte, ale potężne zakłęcie Eleny sprawiło, że z hukiem wypadły z zawiasów. Na drewnianej leżał nieprzytomny Roc. Obok niego w kałuży jakiegoś płynu wałały się skorupy naczyń.

–Roc! Roc! – zawołała z rozpaczą Elena.

Karen obserwowała ze łzami w oczach, jak jej przyjaciółka z niespodziewaną u kogoś o takiej tuszy zwinnością przyskakuje do syna, pada na kolana i próbuje go cucić, wymierzając mu kilka policzków.

Jako lekarz i naukowiec Karen natychmiast zaczęła wyciągać wnioski. Naczynie, płyn, upadek, utrata przytomności. Pochyliła się nad mokrą podłogą, zamoczyła w płynie palec wskazujący i ostrożnie go powąchała. Potem delikatnie dotknęła czubkiem języka. Sprawa była jasna.

–To efekty typowe dla przedawkowania.

–Przedawkowania czego?

–Eliksiru zapomnienia. Ktoś właśnie podał Rocowi kolejną dawkę.

–Dácil – stwierdziła Elena.

–Albo ta Odish, którą przed chwilą widziałyśmy w oknie.

–Elena z niedowierzaniem wpatrywała się w syna, ściskając do w ramionach i próbując jednocześnie wyczuć jego tętno.

–Przeżyje? – spytała ze strachem.

Karen zajrzała mu pod powieki i do ust. Dawał znaki życia, ale słabe.

–Ma mocny organizm – powiedziała jednak, by uspokoić przyjaciółkę. –

Musimy wiedzieć, jaką ilość eliksiru przyjął. i jakie były dokładnie jego

składniki.

Popatrzyła dokoła. Bez medycznych narzędzi czuła się ii Ina i niemal naga.

–Potrzebuję swojej torby. Jest w samochodzie.

Elena zerwała się i wypadła z pokoju, a po kilku chwilach wróciła z torbą w ręku i niepokojem wypisanym na twarzy.

–Dácil znikła. Dzieci mówią, że wyszła, kiedy siedziałyśmy w kuchni.

**Karen powstrzymała się od komentarzy, bo w tej samej chwili, zaalarmowany przez Elenę, stanął w drzwiach jej zatroskany mąż. Wziął Roca na rękę, ułożył go na łóżku i z niezwykłą jak na siebie czułością pocałował w czoło. Potem mocno objął Elenę.**

**–To coś poważnego? – zwrócił się na koniec do Karen. Karen, która tymczasem szperała w torbie, odpowiedziała wymijająco:**

**–Jeśli będzie potrzebna dodatkowa pomoc, przewieziemy go do szpitala. Kowal, człowiek praktyczny, natychmiast przystąpił do działania.**

**–Położę dzieci i na wszelki wypadek wyprowadzę samochód. Gdy zostały znowu same, Elena złapała Karen za rękę.**

**–Opiekuj się Rokiem, opiekuj się nim, jak gdyby był twoim własnym synem.**

**Ufam ci.**

**–Gdzie idziesz?**

**Gdy chodziło o bezpieczeństwo jej dzieci, Elena zmieniała się dziką bestią.**

**–Muszę odnaleźć Dácil i tę Odish – oświadczyła z determinacją.**

**\*\*\***

**Anaíd frunęła wśród dębów, uchylając się przed gałęziami, które zagradzały jej drogę. Puchacze patrzyły na nią ze zdziwieniem, sowy pohukiwały.**

**Jednak ani obecność mieszkańców lasu, ani łopot własnych skrzydeł, ani konieczność wypatrywania w dole ścieżki nie przeszkadzały jej w myśleniu. Szukała Dácil, ale mino ptasiego wyglądu, umysł i duszę miała niezmienioną, Tylko czy na pewno?**

**Poczuła skurcz przerażenia.**

**Ostatnio nie poznawała samej siebie. Działała pochopnie, bez namysłu, powodowana zachciankami. I skutki okazywały się oplakane. Co się stało Rocowi? Dlaczego zemdłał? Co z nim będzie? Wszystko zdarzyło się tak szybko, że nie miała czasu się zastanowić.**

**Mniej więcej godzinę wcześniej zakradła się po ciemku do domu Eleny i kazała Dácil się stamtąd wynosić. Zakradła się do domu kobiety, która była przyjaciółką jej matki, a kiedy ta zniknęła, zaopiekowała się nią, Anaíd, jak córką. Zakradła się do domu jak złodziej, przez okno, nie witając nikim i kryjąc po kątach.**

**Kiedy czekała na sposobność, by przekraść się do pokoju przydzielonego Dácil,**

usłyszała Karen. Od razu rozpoznała dźwięczny głos i szybkie kroki. Z trudem opanowała drżenie kolan i chęć, by pobiec do niej, ucałować ją i usiąść

jej na kolanach. Tęskniła za rozdzielanymi przez nią z równą szczodrością gorzkimi syropami i słodkimi uśmiechami, za wspólnym czasem spędzonym na niekończących się, rozchichotanych pogawędkach. Pożałowała wszystkiego, co się stało, i mało brakowało, a rzuciłaby się do kuchni, by zjeść z tamtymi dwiema kolację i wyznać im swój błąd, jakim było podanie Rocowi eliksiru. Marzyła o tym, by zrzucić z siebie odpowiedzialność i na powrót zamienić się w posłuszną młodą wilczycę.

Ale właśnie wtedy zobaczyła Roca. Stał przed drzwiami pokoju, który Dácil dzieliła z bliźniętami, i delikatnie zapukał. Anaíd głębiej wcisnęła się w kąt. Roc chował coś za plecami. Chyba różę. Nie wierzyła własnym oczom. Czy zamierzał dać tę różę Dácil? Istotnie, gdy tylko stanęła w progu, z dumą wyciągnął kwiat, zachwalając w dodatku jego zapach!

Anaíd aż się zagotowała, widząc, że Dácil uśmiecha się swoim pięknym uśmiechem, a Roc pochyla się, najwyraźniej zdecydowany ją pocałować. Musiała coś zrobić. Prostym zaklęciem wezwała wiatr, który trzasnął otwartym oknem. Nagły hałas sprawił, że Roc i Dácil odskoczyli od siebie jak oparzeni. To wystarczyło, magia chwili została zakłócona i Roc wycofał się do swojego pokoju. Anaíd odczekała, aż drzwi się zamkną, policzyła do dziesięciu po czym wpadła do sypialni bliźniaków jak burza. I urządziła awanturę. Była wściekła, ciskała gromy z oczu, oskarżała Dácil o przebiegłość, wtrącanie się i nieudolność zarazem. A potem kazała jej się wynosić.

–Zjeżdżaj stąd! Słyszysz? Wszystko popsulaś! Wynocha!

–Dácil uciekła w popłochu, nie przejmując się nawet tym, że ktoś ją może zobaczyć.

Anaíd natychmiast pożałowała swojego wybuchu. Przypominając sobie, jak sama się czuła w jej wieku: mała, chuda i beznadziejna. Nie miała jednak czasu na przeprosiny. Przyszła tu w zupełnie innym celu.

Ostrożnie podkrađła się pod drzwi Roca. Znalazłszy się tam, za pomocą magii zgasila mu lampkę i korzystając z osłony ciemności, wślizgnęła się do pokoju. Podczas, gdy Roc bezskutecznie walczył z włącznikiem, wlała do stojącej na biurku szklanki z wodą eliksir zapomnienia. Cristine ostrzegała: nie więcej niż dziesięć kropli, po omacku trudno było je liczyć, zresztą Anaíd uznała, że lepiej trochę przedobrzyć niż ryzykować brak efektu. Może za jednym zamachem Roc zapomni też o Marion, pomyślała. A później szepnęła mu na ucho:

–Woda. Chce ci się pić.

I wsunęła mu szklankę w dłoń.



Roc odruchowo usłuchał, zacisnął palce na szklance i podniósł ją do ust i wypił kilka łyków. Zaraz potem złapał się drugą ręką za czoło gestem, który świadczył o silnym zawrocie głowy. Anaíd przerażała się i pod wpływem

przestrachu jej ciało zareagowało błyskawicznie: ramiona przyjęły postać skrzydeł. Machnęła nimi w zdumieniu gotowa uciec, lecz Roc, słysząc w pobliżu szmer, wyciągnął na oślep ramię i dotknął palcami jej twarzy. Anaíd poczuła ciepłe muśnięcie na wargach i zastygła, niezdolna się ruszyć. Chciała na niego patrzeć, chciała zajrzeć mu w oczy... W tej samej chwili księżyc, jakby posłuszny jej życzeniom, wyłonił się zza chmury, oświetlając ciemny pokój.

Stojący obok Roc wpatrywał się w nią z napięciem. Jego źrenice zwęziły się nienaturalnie, twarz pobiadła.

–Anaíd, nie odchodź. Zostań, Anaíd, pomóż mi – szepnął, chwytając ją kurczowo za rękę.

Jego głos brzmiał ochryple. Jak krzyk Karen, który w tym momencie dobiegł sprzed domu. Szklanka upadła podłogę i rozbiła się z brzękiem. W następnej chwili osunął się w ślad za nią. Anaíd nie zdążyła go przytrzymać zresztą ze skrzydłami zamiast ramion i tak by nie zdołała.

Serce waliło jej jak młotem. Czy Roc umarł? Niemożliwe. Ale nie mogła zostać, by go ratować. Karen i Elena wbiegały już po schodach. Jeśli ją tu znajdą, dowiedzą się o wszystkim.

Zakłębieniem zablokowała drzwi i przez okno wyfrunęła w bezpieczną, rozjaśnianą jedynie światłem gwiazd ciemność.

Już z zewnątrz usłyszała huk wyważanych drzwi i szloch Eleny. Miała nadzieję, że Karen będzie umiała Rocowi i że on z kolei zapomni, kogo zobaczył, zanim stracił przytomność. Albo że uzna to za przywidzenie.

## Rozdział XII Nie będziesz sięgać po zielony kamień

Przytulona do Lodowej Damy, Anaíd widziała swoje zwielokrotnione odbicie w niepokalanie białych i lśniących ścianach.

Były z babką bardzo do siebie podobne – obie smukłe, blade, subtelne.

Cristine próbowała uspokoić wnuczkę z właściwą sobie, tchnącą chłodem łagodnością.

–Już, już, skarbie, nie płacz.

Anaíd wróciła z mocnym postanowieniem, że opuści Lodową Damę, a przede wszystkim przestanie ufać jej słowom, lecz rozsądna jak zawsze Cristine od razu przyznała się do błędu, czym wytrąciła jej broń z ręki.

–Ogromnie mi przykro. Zrobiłam to tylko dla ciebie i ostrzegałam, żebyś uważnie odliczyła krople. Przygotowałam silny eliksir, mogący zrównoważyć skutki poprzedniego. Chodziło o to, by Roc cię pamiętał.

–Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

–Nie chciałam, żebyś w razie bardzo prawdopodobnej porażki czuła się zawiedziona.

Anaíd pragnęła jej wierzyć. Bo dlaczego nie? Roc rzeczywiście ją rozpoznał. Prosił nawet, by go nie zostawiała. Czy to znaczyło, że ją kocha? Cristine mogła mówić prawdę. Babcie zazwyczaj chcą dobra swoich wnuczek.

Ale tak czy owak sytuacja nie wyglądała zbyt wesoło.

–Roc jest w ciężkim stanie, a Elena zstąpiła do Mrocznego Świata i przebywa w niewoli u hrabiny.

–Wiem, wiem. Wszystko będzie dobrze, nic się nie martw. Dácil już zaniósł recepturę eliksiru Karen i do tej pory Roc zapewne wypił antidotum.

–Mogę go zobaczyć? – poprosiła Anaíd.

Cristine natychmiast spełniła jej życzenie i w podtrzymującej strop jaskini przezroczystej kolumnie ukazał się wizerunek Roca. Jego twarz była spokojna, oddech regularny. Przy łóżku czuwał ojciec kowal.

–Chyba śpi – stwierdziła Anaíd.

–Dojdzie do siebie – przytaknęła Lodowa Dama.

–Roc... – westchnęła jeszcze Anaíd, a potem obraz się rozplątał.

Ileż głupstw popełniła z powodu tego chłopaka! Dlaczego zakochanie czyniło człowieka niepoczytalnym? I jak miała wyznać Rocowi, że jest winna zniknięcia jego matki. Pomyślała o malcach, którzy zawsze wisieli u spódnicy Eleny, o najmłodszym, nieodstawionym jeszcze od piersi Rosie, i poczuła skurcz w gardle.

–Co ja narobiłam?

Cristine przesunęła swoją chłodną dłoń po czole wnuczki, a następnie musnęła jej

ametystową broszę. Wspomnienie Eleny i jej synów rozwiało się od razu. Anaíd uspokoiła się na moment, ale chwilę później znowu boleśnie skrzywiła.

–I straciłam berło! – wykrzyknęła, pocierając paląca dłoń. To była prawdziwa tortura.

–Odzyskasz je z pewnością. Jej słowa spłynęły jak balsam na zrozpaczoną Anaíd.

–Nie możesz tracić odwagi. Jesteś wybranką, masz wielką wewnętrzną siłę.

Przeciwności to próby, którym musisz sprostać.

Anaíd słuchała chciwie. I chciała wierzyć. Zresztą Selene powiedziałaaby jej pewnie to samo. Anaíd tęskniła za nią, właściwie wbrew swojej woli. Gunnar

przemknął przez jej życie jak nierealna zjawą – przez parę dni dotrzymywał córce towarzystwa, a potem zniknął. Nie poznała go na by za nim tęsknić. Podniosła głowę, wytarła łzy policzków i głęboko odetchnęła.

–Dziś wieczorem wraz z ostatnim promieniem słońca przedostanę się do

Mrocznego Świata, odzyskam berło i wrócę z Eleną i Criseldą.

Wyrzuciła z siebie te słowa, licząc na to, że Cristine przyzna jej rację i pomoże. Ale się przeliczyła.

–To niemożliwe, kochanie. Hrabina zamknęła podwoje Mrocznego Świata. Nikt nie może stamtąd wyjść.

–Ja wyszłam, razem z pierwszym promieniem – zaprotestowała Anaíd.

–Właśnie dlatego, że tobie i Selene udało się uciec, hrabina zwiększyła czujność. Jest wściekła. Odkąd Salma ją zdradziła, nie ufa nikomu. Wymyśliła plan, który ma jej zapewnić niezniszczalność.

–To jeszcze nie jest niezniszczalna? – spytała z lękiem Anaíd, przypominając sobie, co mówiła Selene. – Czy to prawda, że ma potężny talizman z krwi i włosów wszystkich zamordowanych przez nią młodych Omar?

Cristine odsunęła się trochę i przypatrzyła się wnuczce z uwaga.

–Kto ci o tym powiedział?

–Selene. Cristine pokiwała głową.

–To prawda. Ale hrabinie wciąż brak wybranki. Anaíd zadrżała.

**–W takim razie pewnie mnie szuka. Lodowa Dama wydawała się wyjątkowo poważna.**

**–Będzie cię chciała do siebie zwabić, posługując się berłem.**

**–Naprawdę?**

**–Tak. Anaíd czuła narastającą panikę.**

**–A jeśli jej się uda?**

**–Schwyta cię jak pajak w swą sieć i nie puści. Anaíd sama już nie wiedziała, gdzie szukać ratunku.**

**–A ty? Nie możesz się z nią zmierzyć i odzyskać dla mnie berła?**

**–Hrabina nie wpuszcza mnie do swego królestwa. Nie jesteśmy przyjaciółkami.**

**–Przecież sama widziałam cię w Mrocznym Świec**

**–Dostałam się tam tylko dzięki temu, że hrabina pozostawała pod wpływem zaklęcia Salmy.**

**Anaíd złapała się za głowę: Roc chory, Elena uwięziona, berło w rękach hrabiny... A wszystko przez nią! Dlaczego Cristine najpierw twierdziła, że każdy problem ma rozwiązanie, a teraz piętrzyła trudności?**

**–Więc co możemy poradzić?**

**–Istnieje jedna szansa. Ale czy ją wykorzystamy... To zależy wyłącznie od ciebie, Anaíd.**

**Wiedziała. Przeczowała, że nikt za nią nie przetnie wężła, który osobiście splątała.**

**–Co powinnam zrobić?**

**–Udać się w przeszłość i zniszczyć talizman hrabiny.**

**Anaíd zastygła w zdumieniu. Jak niby miała się cofnąć w czasie?**

**–Przecież to niemożliwe.**

**–My, Odish, potrafimy tego dokonać. Sama wyprawię cię w tę podróż.**

Po plecach Anaíd przebiegi dreszcz. Żądna krwi hrabina miała na sumieniu krew wielu niewinnych ofiar. Bardzo wielu.

–Ile dziewczyn zabiła?

–Prawie sześćset pięćdziesiąt. Anaíd pobladła.

–Gdzie?

–Na Węgrzech. W zamku Cachtice.

–W którym roku?

–To trwało dekadę, a skończyło się w roku tysiąc sześćset dziesiątym. Wtedy hrabina popełniła nieostrożność i zaczęła porywać szlacheckie córki. Tego było już za wiele, sprawa oblała się o uszy najwyższych władz. Do Cachtic, w celu zbadania problemu, został wysłany palatyn Thurzó. Kiedy znalazł okaleczone ciała ostatnich ofiar i kazamaty pełne czekających na śmierć dziewcząt, kazał uwięzić zarówno hrabinę, Elżbietę, jak i wszystkich jej współpracowników. Odbył się szybki sąd. Trzech wiernych służących hrabiny skazano na śmierć, ją samą zaś, jako osobę wysokiego stanu, zamknięto dożywotnio w zamku. Nikt jej więcej nie widział. I to jest moment, w którym powinnaś wkroczyć, nie zakłócając zarazem biegu wypadków.

–A gdybym pojawiła się wcześniej, mogłabym uratować wszystkie te dziewczyny – szepnęła ze smutkiem Anaíd.

Cristine pokręciła głową.

–Nie wolno aż tak zmieniać historii. To bardzo niebezpieczne. Okres po zamurowaniu hrabiny będzie najstosowniejszy.

Po tych słowach zamurowało z kolei Anaíd.

–Jak to po zamurowaniu?

–Otwory okienne i drzwiowe zabudowywano ceglami, tak, aby osoby skazane na tę karę nigdy więcej nie mogły wyjść ani zobaczyć światła. Zostawiano jedynie mały otwór, przez który codziennie podawano im kawałek suchego chleba i kubek wody. Nie usuwano natomiast ich ekskrementów. Ludzie zamurowani szybko padali ofiarą szczurów, chorób i obłądu.

–Co za koszmar! – zawołała zdjęta zgrozą Anaíd. – Przeżyć w ten sposób resztę życia!

–Nikt nie wytrzymał w takich warunkach dłużej niż rok. Kiedy zamurowany

przestawał odbierać pożywienie, także ten jedyny otwór blokowano cegłą. I więzienie zamieniało się w grób. Ale hrabina Elżbieta Batory jakby wyparowała. Nigdy nie znaleziono jej ciała. Ty i ja wiemy oczywiście, że przeniosła się do Mrocznego Świata, by strzec zazdrośnie talizmanu i czekać na twoje nadejście. Chodzi o to, by odbyła tę podróż już bez talizmanu. A tylko ty możesz go zniszczyć

–Dlaczego ja? A nie na przykład ty?

–Bo hrabina cię nie zna. Dzięki temu będziesz się do niej zbliżyć.

–A jak mam zniszczyć talizman?

–Ogniem – powiedziała Lodowa Dama, wręczając jej krzesiwo. – Dasz radę? Anaíd westchnęła.

–Nie mam berła. Jak się obronię?

–Możesz zaczarować byle nóż. Nie zapominaj, że jesteś bardzo potężną czarownicą.

Anaíd nie szukała dalszych wymówek.

–W porządku. Kiedy mam to zrobić?

–Jak najszybciej. Anaíd zbladła.

–To znaczy teraz?

–Gdy zapadnie zmrok. Czujesz się na siłach?

Anaíd przełknęła ślinę, pomyślała o Elenie, Rocu, biednej Criseldzie i -przede wszystkim – o berle, po czym skinęła głową.

–Wytłumacz mi wszystko dokładnie. I powiedz jak stamtąd wrócę.

Kilka godzin później Cristine skończyła układać magiczne kamienie na leśnej polance i rozpoczęła rytualny taniec. Miała na sobie prześwitującą tunikę obszytą jadeitami, postukiwały w rytm giętkich poruszeń jej ciała. Szerokie srebrne bransolety zdobiły jej ramiona i kostki, na głowę założyła wianek z blekotu.

Potem, używając zaczarowanego krzesiwa, rozpałała ognisko i zagotowała w kociołku specjalny zestaw ziół. Czarny dym o ostrym zapachu rozpełzł się jak gęsta mgła tuż ponad trawą połyskującą kroplami rosy.

Anaíd przyglądała się babci z podziwem. Oto miała przed sobą prawdziwą kapłankę

nocy, zaklinającą duchy, by pomogły śmiertelniczce pokonać bariery czasu i przestrzeni.

Anaíd sztuka po sztuce, zdejmowała z siebie ubranie. Rozpuściła włosy i rozpostarła ramiona, wystawiając się na oczyszczający dym.

Później wzięła z rąk babci zielony kamień umożliwiający podróże w czasie oraz krzesiwo, od którego iskier spłonąć miał talizman.

Cristine podjęła taniec, teraz z każdą chwilą bardziej frenetyczny, Anaíd zaś śledziła ją wzrokiem, czekając na znak, że już pora ruszać w drogę.

A gdy pora ta nadeszła, na polance rozległ się niespodziewany przenikliwy okrzyk:

–Poczekaj, Anaíd, poczekaj! Ja z tobą!

Anaíd dostrzegła wypadającą spomiędzy drzew Dácil. Gnała jak szalona, w biegu zrywając z siebie ubranie i krzycząc, wyraźnie zdecydowana jej towarzyszyć.

Anaíd nie miała jednak czasu, by na nią czekać. Wskoczyła do wnętrza magicznego koła i poczuła mocne szarpnięcie za prawą dłoń, w której trzymała zielony kamień. W tym momencie w zaklętym kręgu z rozpędem wylądowała Dácil. Zielony kamień o mało nie wyslizgnął się Anaíd z dłoni. Przytrzymała go Dácil i obie, splecione palcami, wydały z siebie ochryply wrzask.

Rozpoczęły podróż w czasie.

Rozdział XIII

# Nie będziesz słuchać głosów z pustyni

Kuskus okazał się przepyszny, Selene w życiu nie jadła smaczniejszej potrawy. Kucające wokół kobiety przygotowały go na gazowej kuchence ustawionej bezpośrednio na ciemnym piasku. Teraz, wciąż serdecznie uśmiechnięte, pomalowanymi henną dłońmi pokazywały Selene składniki

swojego dania, bardzo zresztą proste: drobną kaszę, nieliczne, lecz świeże i pachnące warzywa, trochę przypraw i soczyste, wydzielające słonawy zapach mięso dopiero co ubitego jagnięcia.

Przyjemnie było tak siedzieć w namiocie Tuaregów z pustyni, na ręcznie tkanym wełnianym dywaniku, w otoczeniu gościnnych gospodarzy, wokół jednej dymiącej misy, nad czarką miętowej herbaty. Wszyscy jednocześnie wyciągali prawą rękę, brali garść kuskusu, kciukiem formowali z niego kulkę i zgrabnie nieśli ją do ust. Ta z pozoru prosta czynność wymagała nie mniej zręczności niż obieranie pomarańczy nożem i widelcem – albo tak przynajmniej wydawało się Selene, którą rozśmieszała własna nieudolność. Dzieci chichotały i bez skrępowania pokazywały ją palcami, ich matki, bardziej wyrozumiałe, próbowały udzielać jej dyskretnych wskazówek, gdy tylko mężczyźni o twarzach zakrytych krańcami błękitnych turbanów odwracali wzrok. Podobnie pokazały jej wcześniej, jak okręcić głowę chusta chroniącą nie tylko przed słońcem, ale również przed piaskiem niesionym przez wiatr, którego podmuchy stawały się tym silniejsze, im dalej zagłębiali się w Saharę.

Selene miała zaczerwienione, załzawione oczy, wysuszoną skórę i spuchnięty język. Zaczynała odczuwać skutki oszczędzania wody. Jej organizm reagował łamliwością paznokci i włosów. Nie potrafiła się przyzwyczaić do nagłych uderzeń gorącego powietrza przesyconego pyłem, który palił jej gardło i tamował oddech. Mimo oszałamiającego nasycenia barw i zapachów, uroku pustynnych nocy i wspaniałości krajobrazu pełnego ruchomych wydm, które wyszukanymi kształtami mogły rywalizować z najlepszymi dziełami nowoczesnych rzeźbiarzy – nie potrafiła przyzwyczaić się do Południa.

Zmierzchało już i rtęć w termometrach, które za dnia pokazywały prawie pięćdziesiąt stopni, zaczynała gwałtownie spadać. Wkrótce ze swych kryjówek wychynąć miały skorpiony i żmije, by w nocnej ciszy zakradać się między ubrania ludzi, kryć się w fałdach spodni i za cholewami butów.

Selene przymknęła oczy. O tej wieczornej godzinie oaza rozbrzmiewała kumkaniem żab i graniem świerszczy. Wonie przybierały na sile, a w ochładzającym się powietrzu niósł się szelest piasku pod kopytami dromaderów mehari, na których grzbietach Tuaregowie wciąż przemierzali pustynię. Przyłożywszy ucho do nagrzanego piasku, można było usłyszeć głuchy tupot karawany.



Selene jednak nasłuchiwała raczej pomruku land rovera, za którym zapuściła się aż na koniec świata. Podążając śladem Gunnara, podobnie jak on zmieniała w Afryce samochód, by zagłębić się w pustkowia Tanary, gdzie potężne sirocco wzniewało piaskowe burze i zacierało wszelkie tropy. Od wielu dni odnosiła wrażenie, że słyszy pomruk silnika. Sama pustynia wydawała się pachnieć

Gunnarem. Selene wyczuwała jego niedawną obecność w namiotach rodzin, u których gościła, i trzy razy rzeczywiście trafiła do tych samych co on ludzi.

Za każdym razem opowiadano jej identyczną historię. Gunnar zachowywał się dziwnie. Odmawiał skorzystania z gościny w namiocie z akacjowych gałęzi i kozich wielbłądzich skór- wolał spać w samochodzie. Odrzucał też zaproszenia na poczęstunek, kupował jedzenie i posilał się w swoim land roverze. Co gorsza, upierał się, by płacić za wodę, co wśród Tuaregów stanowiło obrazę. Wreszcie zniknął, nie zamieniwszy z nikim ani słowa więcej, było konieczne. Wszystko to sprawiało bardzo złe wrażenie. Dumni ludzie pustyni czuli się dotknięci takim brakiem oglądy i tym chętniej pomagali Selene, zasypując ją radami, podarkami oraz uśmiechami i życząc jej, by jak najprędzej dopadła tego gbura.

Selene nie musiała udawać, by przekonać ich o nienawiści do Gunnara. I wystarczyło, że opowiedziała o porwaniu córki, by zaskarbić sobie życzliwość plemion z oaz i z hamady.

Jednakże było coś, co ją w tym wszystkim niepokoiło. Dlaczego równie bywały, inteligentny i obdarzony nieomylnym instynktem Odish jak Gunnar ostentacyjnie ignorował miejscowe normy grzeczności? Jego postawa wydawała się wręcz prowokacyjna. Dlaczego na każdym kroku łamał zasady obowiązujące wśród ostatnich afrykańskich nomadów? Czy aż tak się zmienił? Selene pamiętała z jakim szacunkiem podchodził niegdyś do Inuitów i Samiów, z jakim upodobaniem kultywował odwieczne zwyczaje wikingów. Przecież nigdy nie wyśmiewał nawet najdziwniejszych przesądów, respektując każde, choćby i absurdalne tabu. Może ostatnio zwariował? Bo zresztą jak inaczej wyjaśnić fakt, że przywiózł swoją nastoletnią córkę w miejsce równie nieprzyjazne jak Tanara? Chciał, żeby Anaíd umarła z upału, pragnienia i głodu? A gdyby samochód zepsuł im się na środku pustyni?

Niepokój Selene spotęgował się szczególnie od czasu, gdy odkryła, że Gunnar zatoczył koło, by wrócić w miejsce, w którym zatrzymał się dwa dni wcześniej. Stracił orientację? Ale do tego stopnia, żeby nie odróżniać południa od północy? Jego zachowanie stawało się naprawdę zastanawiające. W dodatku jakimś cudem zdołał otoczyć Anaíd rodzajem bariery. Nie docierały do niej ani telepatyczne, ani żadne inne sygnały.

Przekraczając góry Atlas, jeszcze u bram pustyni, Selene wraz z młodą Omar z

Klanu Skorpionicy próbowały czytać z kształtów wydm, ale nie wykryły nawet śladu Anaíd. Gunnar w jakiś sposób stłumił bijącą od wybranki energię.

A ostatniej nocy zdarzyło się coś naprawdę dziwnego. Przykładając ucho do piasku, Selene wyraźnie usłyszała głos Gunnara rozmawiającego z Anaíd, lecz mimo wielokrotnie ponawianych wysiłków nie zdołała wychwycić odpowiedzi córki. Zostały wygłuszone? Ale jak? Możliwości Gunnara były dla niej niepojęte.

–Oglądałaś kiedyś gwiazdy na pustyni? – zapytał męski mówiący dobrą francuszczyzną z lekkim akcentem.

Wyrwana z zamyślenia, Selene aż podskoczyła.

Stojący obok młody człowiek miał na sobie tunikę w kolorze indygo. Spod zakrywającego część twarzy krańca turbanu, przytrzymywanego przez duże dłonie, widać było ogorzałą skórę i wielkie, czarne jak węgiel oczy.

Selene westchnęła. Uwielbiała gwiazdy i tym swoim zamiłowaniem zaraziła Anaíd. W pogodne noce często wychodziły do ogrodu, kładły się na trawie i mrużąc oczy, powtarzały działające na wyobraźnię nazwy, takie jak Alrai, Alderamin czy Arktur, choć Selene wołała konstelacje zimowe, zwłaszcza błyszczącego, pięknego Oriona z majestatyczną, czerwonawą Betelgeuse i niebiesko-białą Belatrix. Anaíd z kolei najbardziej lubiła trzy niebie gwiazdy zwane Pasem Oriona – Mintakę, Alnilam i Alnitak.

Selene poczuła, że na myśl o córce do oczu cisną jej się niechciane łzy. Tuareg osuszył jej policzki wierzchem dłoni po czym pomógł nowej znajomej wstać i poprowadzić w miejsce, skąd najlepiej można było podziwiać wspaniałe spektakle.

Wyszli kawałek za oazę, wspięli się na wydmę i ułożyli wygodnie na jej szczycie. Podniósłszy wzrok, Selene straciła dech z zachwytem. Widok tego czystego, doskonale widocznego, obsypanego gwiazdami nieba sprawił, że w jej duszy zrodziła się nagle melancholia, coś w rodzaju tęsknoty za absolutnym pięknem. Łzy znowu napłynęły jej do oczu poczuła się mała i słaba jak dziecko. Niespodziewanie straciła ochotę, by jak zawsze z uporem szukać linii łączących Małą Niedźwiedzicę z Kasjopeją. Roztańczone gwiazdy tam, w górze, nie potrzebowały nazw w ludzkim języku. Obchodziły swe nieustające święto bez czerwonych dywanów i fleszy. A jednak ich elegancja była nieporównana.

Selene zapomniała na chwilę o towarzyszącym jej Tuaregu ulegając złudzeniu, że oto znowu jest z córką, że trzymają się za ręce, wpatrują się obie w połyskliwe niebo i szepczą sobie wzajemnie na ucho nazwy najpiękniejszych gwiazd. Czar przysł, gdy leżący obok mężczyzna zaczął mówić,

**–Lew jest groźny i jego ryk paraliżuje ofiarę. Lew się nie kryje, dumnie obnosi swą grzywę i wyleguje się na słońcu. Lew chępi się i puszy. Lew przyciąga wszystkie spojrzenia.**

**Selene zdziwiła się. Co właściwie chciał jej powiedzieć ten człowiek?**

**–Lwica poluje w nocy, ukradkiem. Lwica chroni młode przed innymi drapieżcami. Lwica jest silna i sprytna zarazem, chyba że zmyli ją płowy połysk grzywy samca.**

**Selena gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Miała ochotę uciec, ale nie znajdowała w sobie dość sił.**

**–Na pustyni nie ma już lwów – powiedziała bez sensu.**

**Młody Tuareg wsparł się na łokciu i przeszył ją swym czarnym spojrzeniem.**

**–Starzy ludzie powiadają, że lew czasem tropił lwicę z małymi, by je pożreć.**

**Potem lwica polowała dla niego i służyła mu we wszystkim, nie pamiętając krzywdy, jaką jej wyrządził.**

**Selene zadygotała. Czy ten nieznajomy próbował ją ostrzec przed czymś strasznym?**

**–Ulegała instynktowi. Natura bywa okrutna. Tuareg przytaknął.**

**–Ale i lew nie oparł się piaskom i wiatrom. Selena wskazała gwiazdozbiór Lwa. Właśnie go spostrzegła.**

**–Jest tam. Człowiek pustyni znowu skinął głową.**

**–Teraz widzimy go już tylko na niebie. Myślimy, że rządzi, ale ci, którzy przybywają z południa, mówią, że giętka hydra da mu prędzej czy później radę.**

**Selene słyszała o konstelacji Hydry i gwiazdozbiorach z nią siadujących: Kruku, Pompe i Żaglu. Nie dała się jednak odwieść od głównego tematu.**

**–Więc lew jest groźny czy nie jest? Tuareg utkwiał w niej wzrok.**

**–Lwica kłamie. Lew nie uprowadził lwiątko... Chyba że pożarł. Selene poderwała się**

na nogi. Co ten człowiek opowiadał?

–Gunnar ma moją córkę, trzyma ją w samochodzie.

–Nie. Trzęsła się ze zdenerwowania.

–Nie mógłby jej skrzywdzić! Tuareg uśmiechnął się tajemniczo.

–A zatem twoja córka jest gdzieś indziej.

Z tymi słowy wyjął z fałd tuniki jakiś przedmiot, który podał Selene. Był to magnetofon. Selene stała jak wrośnięta w ziemię, a zdumiała się jeszcze bardziej, gdy Tuareg nacisnął przycisk i w nocnej ciszy rozległ się głos Anaíd. Bo to był jej głos. Tak dawno niesłyszany, ukochany. Uwięziony na taśmie.

–Tylko tyle znalazłem. Tym razem Selene pojęła go w lot.

–Szperałeś w samochodzie? Przytaknął.

–Dostałem wiadomość od kuzynki Szahidy. Uprzedziła mnie o waszym przybyciu i błagała, żebym ratował małą.

Selene dławiły emocje. Przycisnęła dłoń do piersi. Nie była sama. Omar z innych klanów wyciągały do niej pomocną dłoń. Ale wszystko na próżno...

–Jesteś absolutnie pewien?

Nie było potrzeby go sprawdzać. Jego jastrzębie oczy, będące w stanie wypatrzeć pył wznoszony przez odległą o setki kilometrów karawanę, patrzyły szczerze i śmiało. Mówił prawdę, choć żałował, że jest tak niemila.

Selene poczuła się wystrychnięta na dudka. Zupełnie tak samo jak wtedy, gdy Gunnar i Anaíd zostawili ją w hotelu. I jak wtedy, gdy Gunnar, zamiast ukochanym, okazał się jej wrogiem. Była niepoprawną idiotką.

Rozszlochała się rozpaczliwie. Nawet nie nad losem Anaíd, lecz nad własnym. Młody Tuareg objął ją mocno, a ona przytuliła twarz do jego tuniki w kolorze indygo, która wkrótce zrobiła się mokra od łez.

Zaczęła obmyślać plan zemsty. Gunnar zachowywał się jak gbur umyślnie -chciał po prostu, by go wszyscy dobrze zapamiętali. Niechęć wspomaga pamięć: nikt nie zapomina tych, którzy go obrazili. Sprytne posunięcie. Zostawiał za sobą sygnały tak oczywiste, że od razu należało się domyślić prawdy. Jak wtedy, gdy Selene pomyliła drogę i pojechała na wybrzeże. Jakiś człowiek, którego kawałek podwiozła, powiedział jej wówczas o wysokim, jasnowłosym cudzoziemcu o dziwnych oczach,

który przejechał mu kury i uciekł na południe. W ten sposób dowiedziała się, że Gunnar nie kierował się w stronę Agadiru i Atlantyku, jak przypuszczała, lecz ku góróm Atlas. I to ciągle kupowanie podwójnych porcji żywności, wybieranie na bazarach damskich ubrań, zasłanianie tylnego siedzenia samochodu – ostentacyjne, ale bez przesady, tak żeby zostało zauważone, lecz nie wzbudzało nadmiernych podejrzeń.

Wszystko to dowodziło, że chciał, aby za nim jechała. Wystawił się na przynętę, a ona, Selene, chwyciła haczyk i coraz bardziej oddalała się od córki. Bo skoro Gunnar odciągał ją na południe, Anaíd musiała się znajdować na północy. Selene wzdrygnęła się ze zgrozą. Czy to znaczyło, że jej dziecko przebywa w królestwie Białej Damy?

Musiała natychmiast skontaktować się z Eleną. Chciała poradzić sobie sama, ale podążając fałszywym tropem, straciła już zbyt wiele czasu.

Podniosła wzrok ku niebu i napotkała natarczywe spojrzenie Tuarega, tajemniczego jak ruchome wydmy albo gwiazdy. I bardzo, bardzo przystojnego.

–Chodź.

Zawahała się. Gdyby w ten sposób mogła zranić Gunnara...

–On się dowie?

Ale człowiek pustyni zdecydowanie pokręcił głową.

–Tej nocy o nim zapomnij – powiedział, gotów poprowadzić ją do swego namiotu.

Jednakże Selene nie przyjęła zaproszenia.

–Teraz przede wszystkim chcę zemsty – oświadczyła po prostu. Przytrzymał ją jeszcze i zmusił, by na niego spojrzała.

–Czego naprawdę chcesz, tego sama jeszcze nie wiesz. Wyrwała mu się i pobiegła do samochodu.

# Rozdział XIV

## Nie będziesz pić z zakazanego pucharu

Anaíd z trudem otworzyła oczy – powieki ciążyły ołowiem, a głowa pękała. Czy już cofnęła się w czasie? A co z zielonym kamieniem? I z Dácil? Kamień, który miał jej zapewnić powrót w przyszłość, gdzieś przepadł, mimo że podczas przerażającej podróży kurczowo zaciskała na nim palce. Na szczęście nie zgubiła hubki i krzesiwa, potrzebnych do zniszczenia talizmanu hrabiny.

Ale gdzie była? Bo chyba raczej nie w zamkowej komnacie. A może jednak? W każdym razie panował przenikliwy chłód. Leżała na twardym, obłożonym białym materiałem sienniku. Wysoko na suficie widziała kujące drobne światełka. Gwałtowny podmuch spraw coś zimnego spadło jej prosto na nos. Płatek śniegu. Strącony z drzewa. Czyli domniemany sufit, upstrzony lśniącymi punkcikami i groźny, musiał być niebem. Anaíd rozejrzała się uważniej i stwierdziła, że leży na ziemi, na wolnym powietrzu.

Zadrżała ze strachu. Plan nie przewidywał chyba lądowania w środku gór. Jak miała teraz odnaleźć zamek hrabiny Elżbiety Batory? Jak dostać się do jej zamurowanej komnaty? Karpaty były ciemne i ponure – albo może tak jej się tylko zdawało, tym bardziej że właśnie znalazła się w XVII wieku, czyli w czasie gdy ludzkość nie знаła jeszcze asfaltowych dróg oświetlonych elektrycznymi latarniami i rozweselanych świetlistymi prostokątami billboardów. Noc w takich okolicznościach sprawiała wrażenie czarniejszej niż zwykle. Słyszając dalekie wycie, Anaíd pomyślała, że wśród tych gęstych lasów

na pewno roi się od niedźwiedzi, rysiów, wilków, lisów i kun. Nie wspominając już o wampirach. Oczywiście żyły tu też czarownice Omar, zwane wilami albo dobrymi wrózkami. Ale mimo niezaprzecznego uroku, jakim musiała się odznaczać ta położona nieopodal Transylwanii kraina, przemierzana przez radosne cygańskie tabory i raz po raz najeżdżana przez egzotycznych Turków, Anaíd wolałaby przebywać w tym momencie gdzie indziej. Nigdy nie przepadała za snutymi przez Demeter opowieściami o karpackich wiedźmach. Zawsze dostawała przy tym dreszczy, które miała zresztą i w tej chwili, co wiązało się zapewne z faktem, że białe prześcieradło, gdy przesunęła po nim dłonią, okazało się zlodowaciałą warstwą śniegu. W dodatku leżała na nim całkiem nago. I na domiar złego – na środku drogi, o czym przekonała się, gdy do jej uszu dobiegł coraz wyraźniejszy dźwięk wydawany przez uderzające o śnieg końskie kopyta oraz szmer płóz. Po obu mich przecinki rosły rozłożyste klony rzucające groźne cienie. Ktokolwiek podróżował saniami, w nieprzeniknionej ciemności mógł nie dostrzec mającego na ziemi kształtu. Anaíd, nie mając ochoty zginąć w ten sposób, próbowała dźwignąć się na nogi, ale poczuła się całkowicie bezsilna.

**A Dácil? Czy przeżyła? Gdzie się podziewała? Anaíd pamiętała tylko, że wspólnie trzymały kamień. Później, wessane przez wir, musiały się rozdzielić.**

**Cristine najwyraźniej pomyliła się w obliczeniach. Co to był za dzień? Anaíd miała trafić w dwudziesty dziewiąty grudnia tysiąc sześćset dziesiątego roku, ale czy się udało?**

**Wreszcie zdołała unieść nieznacznie głowę i nieco z boku, wysoko w górze, ujrzała zameczek – prawdziwe orle gniazdo wśród skał. Samotny, nie do zdobycia, smagany wichrami i przysypany śniegiem. Splamiony krwią niewinnych dziewcząt. Jeśli to rzeczywiście był zamek Cachtice, w jego podobnych do labiryntu podziemiach musiały kryć się cele, gdzie okrutna hrabina trzymała swoje ofiary. Szmer płóz stawał się coraz głośniejszy. Anaíd zacisnęła zęby i nadludzkim wysiłkiem próbowała usunąć się z drogi. Na próżno.**

**Hrabina Elżbieta Batory była wściekła, a kiedy wpadała w zły humor, drżeli wszyscy jej służący. Nikt nie wiedział, komu przyjdzie zapłacić za to, co akurat wywołało gniew pani. Wcześniej takie sceny zdarzały się rzadziej, ale w ostatnich latach żądza krwi o władnęła hrabiną całkowicie. Niektórzy usprawiedliwiali jej ataki, twierdząc, że obłęd jest w rodzinie Batorych dziedziczny, lecz ci, co znali Elżbietę lepiej, winą za jej szaleństwo obciążali czarownicę z lasu. Mówili, że w noc pełni księżyca hrabina wskakiwała na konia i pędziła na spotkanie ze staruchą, która poila ją dziwnymi naparami z ziół.**

**Jakkolwiek się sprawy miały, Elżbieta Batory złościła się teraz nie na żarty. Wodząc spojrzeniem po przerażonych twarzach i stłoczonych ciałach dziewcząt,**

**które jechały z nią w krytych saniach, od czasu do czasu kłuła tę lub inną grubą szpilą. A wszystko dlatego, że wyszukane przez wierną Jo Ilonę panny zupełnie nie przypadły hrabinie do gustu. Były zbyt prostackie, zbyt krzepkie, zbyt głupie.**

**–To mają być ziemiańskie córki? W ich żyłach nie płynie nawet kropla błękitnej krwi!  
– krzyczała, wskazując szpilą spracowane dłonie i ogorzałe twarze.**

**–Przysięgam, pani – zaklinała się Jo Ilona. – Znaleźliśmy je w Nowym Mieście, brały udział w Prządkach – mówiła, mając na myśli święto, podczas którego szlacheckie córki współzawodniczyły w sztuce przędzenia tkanin i opowiadania historii.**

**Elżbieta Batory zirytowała się jeszcze bardziej.**

**–W Prządkach, powiadasz? Przecież te tutaj umieją tylko karmić krowy i plewić buraki!**

**Nieszczęsne dziewczęta milczały, przerażone, nie śmiejąc nawet podnieść wzroku.**

Hrabina rozchyliła okrywające ją futro z kun, odsłaniając białą, smukłą szyję ozdobioną pięknymi włoskimi perłami. Doskonały owal jej twarzy jaśniał w obramowaniu długich, czarnych, jedwabistych włosów. Dumnie zadana głowę.

–Spójrzcie na moją cerę, na moje gładkie dłonie! Żadnego porównania z takimi wywłokami. Mają piętnaście lat i już do niczego się nie nadają. Patrzcie na mnie, mówię! – zwróciła się do dziewcząt.

Jo Ilona boleśnie uszczypnęła jedną z nich, przynaglając do spełnienia rozkazu hrabiny.

Druga z uprowadzonych, sprytniejsza, wydała okrzyk pełen udawanego zachwytu:

–O pani, takaście piękna, że dech zapiera!

Elżbieta Batory uspokoiła się nieco, choć podróże zawsze doprowadzały ją do szału. Prawie nie ruszała się z zamku, przestała przyjmować zaproszenia do Wiednia i na śluby węgierskiej arystokracji. Bo i po co miałyby się udzielać towarzysko? Zdążyła zyskać zasłużoną sławę osoby ekscentrycznej, a przyjemność sprawiało jej wyłącznie przebywanie w swoim królestwie grozy. Pozycja wszechpotężnej hrabiny – wystarczająco dobrze skoligaconej, odpowiednio okrutnej dla poddanych i zgodnie z życzeniem zostawionej w spokoju przez możnych – doskonale odpowiadała jej celom. Z upływem lat Elżbieta wzniosła wokół siebie nieprzekraczalną barierę ochronną. Wszyscy się jej bali, wielu żywiło do niej nienawiść, ale tylko nieliczni ośmielili się wytykać ją palcem – a i to niedługo, gdyż jej słudzy szybko uciszali takich zuchwalców.

A jednak plotek nie dało się uciszyć i w ostatnim okresie złe języki niebezpiecznie się rozpuściły, szepcząc o czarach. Nie dało się ukryć, że jej wygląd nie pasował do wieku. Miała gładką, młodzieńczą, delikatną skórę i kruczoczarne nietknięte siwizną włosy. Ten i ów, widząc ją zajęta polowaniem, dziwił się zwinności jej ruchów, gdy z błyszczącymi oczyma i zaróżowionymi policzkami galopowała szaleńczo przez pola. Kiedy jeszcze bywała na balach niespożyta energia pozwalała jej tańczyć całymi nocami bez chwili odpoczynku. Jej pokojowe często ginęły bez śladu a najstarsi ludzie w okolicy utrzymywali, że nie zmieniła się od czasów ich młodości. Powtarzali, że gdy owdowiała wiele lat wcześniej, wyglądała tak samo. Wszystko to jednak były niesprawdzone pogłoski.

Faktem natomiast było to, że w sąsiadujących z zamkiem wioskach nie wymawiano jej imienia, wierząc, że sprowadza nieszczęście. Nazywano ją bestią i gdy tylko rozchodziła wieść o nowym naborze pokojówek do zamku, ojcowie chowali córki po stodołach. Nikt nie chciał oddać swego dziecka na służbę bestii. To, co niegdyś uchodziło za szczyt, stało się zmorą. A hrabinie wciąż było mało. Brakowało już żon



dla miejscowych kawalerów, na ulicach nie widywano wcale dzieci. Matki wyplakiwały oczy po córkach, a młodzieńcy musieli się wyprawiać po narzeczone w dalekie strony. Wszyscy domyślali się losu zaginionych i z cichą rezygnacją biedaków przyjmowali swój los. Nikt nie wierzył w opowieści o tajemniczych chorobach, nagłych epidemiach i nocnych ucieczkach. Szeptano ze zgroza, że krypta, w której spoczywały dawniej tylko prochy panów Nadasdy, nie mieści już okaleczonych ciał, że zamkowe lochy zamieniły się w cmentarz i że rasowe psy z Cachtic widywano z makabrycznymi szczątkami w zębach. I nie mogło już chodzić o zwykłe wymysły. Straszna prawda pchała się do oczu: hrabina zabijała młode dziewczęta, by dzięki kąpielom w ich krwi zachować młodość i zyskać nieśmiertelność.

Kiedy sanie stanęły, Elżbieta Batory znowu wpadła we wściekłość i wystawiając głowę przez okno, krzyknęła:

–Co się dzieje? Jedź!

–Kiedy przed nami na drodze dwie martwe dziewczyny, wasza miłość!

Na hrabinie nie wywarło to większego wrażenia. Nie przypominała sobie, by w ostatnich dniach wydawała w tej sprawie jakieś polecenia, ale niektórym dziewczynom udawało się zbiec, a wtedy, zagubione w okolicznych lasach, najczęściej padały ofiarą wilków, zimna i głodu. Zwłaszcza pod koniec roku, kiedy zima srożyła się najbardziej, nikt nie był w stanie przeżyć choćby jednej nocy bez dachu nad głową.

–Ruszaj. Nawet jeśli jeszcze nie są martwe, mróz zrobi swoje i jutro tu po nie wrócisz.

Mówiąc to, jeszcze bardziej wychyliła się z sań, może powodowana chęcią sprawdzenia, dlaczego woźnica zwleka z wypełnieniem jej rozkazu, a może ze zwykłej ciekawości. I ogromnie się zdumiała, nie mniej zresztą niż jej zastygły na kozle sługa, choć z innych powodów.

–One naprawdę żyją, wasza miłość! Oddychają, a jedna poruszyła ręką.

Uwagę Elżbiety Batory zwróciło natomiast coś zupełnie go.

–Ależ to musi być ziemiańska córka! Patrz, jaka piękna, Jo Ilono, jaka smukła! Co za karnacja, jakie delikatne dłonie i zadbane włosy!

Jo Ilona dygotała ze zdenerwowania. Nie miała najmniejszej ochoty zostać kozłem ofiarnym. Oczywiście próbowała oszukać swoją panią, ale wina nie leżała po jej stronie. Znaleźć nowe dziewczęta było coraz trudniej. Plotki chodziły się

**błyskawicznie. Gdy jeździła po okolicy, w lepszych domach w ogóle nie chciano jej otworzyć. Chłopi, choć przerażeni i pokorni, stawiali bierny opór. „Nie mamy córek”, mówili. A ponieważ nie mogła wrócić do zamku z pustymi rękami, kupowała sieroty albo niechciane przez rodziców nieudane córki i wmawiała hrabinie, że to latorośle szlacheckich rodów. Elżbieta Batory uparła się bowiem ostatnio, żeby podnieść jakość przelewanej krwi jak gdyby od tego szczegółu zależało jej przyszłe życie,**

**–Wnieś ją do sań – rzuciła teraz.**

**–Jedną czy obie?**

**–Hrabina zerknęła pogardliwie na częściowo ukrytą wśród zarośli Dácil.**

**— To chuchro do niczego się nie nada. Czysty szkielet. Daj mi tu tę wyższą i ładniejszą – powiedziała, spoglądając z kolei na Anaíd.**

**–Jadący z tyłu hajducy zeskoczyli na śnieg, podnieśli białosiną dziewczynę, owinęli ją w płaszcz i włożyli do sań. Hrabina poleciła swoim towarzyszkom podróży mocniej ścieścić, by na czerwonym aksamitnym siedzeniu powstało miejsce dla nieznajomej. Potem kazała ruszać.**

**–Nie zauważyła, że jeden z hajduków, zdjęty litością, własną kapotą owinął drugą z leżących na drodze dziewcząt i wziął ze sobą. Gdy wlał nieprzytomnej do ust nieco wina, w nagrodę ujrzał na jej ustach cień uśmiechu – najpiękniejszego, jaki kiedykolwiek zdarzyło mu się oglądać. Przez chwilę myślał, że nad jej delikatną twarzą zawisł piękny motyl.**

**— Ocućcie ją! – zażądała hrabina, wskazując Anaíd.**

**–Uradowało ją to zrzęcenie losu. Doprawdy nastąpiło w samą porę, kiedy zwątpiła już, czy znajdzie gdzieś jeszcze choćby kroplę błękitnej krwi do swoich kąpieli.**

**–Jo Ilona zaczęła rozcierać posiniąle ciało.**

**— A wy co? Zamiast się gapić, lepiej byście pomogły – zwróciła się do pozostałych dziewcząt.**

**–Pokryte odciskami, grube, niezdarne dłonie usłużnie pospieszyły ogrzewać przemarznięte członki nieznajomej. Anaíd powoli wracała do przytomności.**

**— Ubierzesz ją i uczeszesz do kolacji – oświadczyła hrabinie Jo Ilonie, gdy zaprzęg wjeżdżał na posępny zamkowy dziedziniec. – Ją i jeszcze jakąś drugą, sama zdecyduj którą.**

**–Jo Ilona mruknęła coś pod nosem. Zawsze spadały na nią najtrudniejsze zadania.**

**Dorka natomiast, silna jak koń, nie musiała kierować błyskawiczną przemianą wieśniaczek w damy. Elżbieta Batory rezerwowała dla niej bardziej makabryczne prace.**

**— No, jazda – burknęła Jo Ilona, popędzając swoje podopieczne.**

**–Była naprawdę zła. Nowy nabytek pobudził apetyt hrabiny, co oznaczało dla służby nieprzespaną noc i dodatkową harówkę.**

**–Anaíd wlokła się z trudem przez zamkowe korytarze, w ślad za bosymi chłopkami, poganiana wyzwiskami Jo Ilony, snując niewesołe refleksje. Jak to się stało, że trafiła do niewoli u Elżbiety Batory? Co to był za dzień? Zgodnie z obietnicą babki miała przecież znaleźć się w zamku dwudziestego dziewiątego grudnia w chwili, gdy zamurowana w swoich komnatach hrabina nie mogła już zabijać kolejnych ofiar. Anaíd spodziewała się, że będzie musiała niszczyć talizman, i tyle. Coś jednak nie zadziało tak, jak powinno. Należało więc ustalić datę i nie wpływając na bieg wypadków, doczekać do dwudziestego dziewiątego. Cristine kilkakrotnie podkreślała, że nie wolno zmieniać przeszłości.**

**–Jedno było pewne: przeniosła się do XVII wieku. A jeśli wiek XVII wyglądał w ten sposób, wiek XXI jawił się jako prawdziwy raj. Wystarczyło popatrzeć na długie, i ciemne korytarze oraz wymizerowane twarze i brudne cuchnące ubrania służby. Wszyscy ci biedacy mieli policzki poznaczone dziobami po ospie i łachmany; odzienia. A jednak patrzyli na nowo przybyłe z litością: mimo swej biedy mogli, w przeciwieństwie do nich, liczyć na kilka dalszych lat życia. Cały zamek wiedział, jaki los spotka przywiezione do zamku dziewczęta. Niektórzy nawet pozwalali sobie rzucić im w przelocie słowo otuchy.**

**–A Dácil? Anaíd nie potrafiła przestać o niej myśleć. Teraz wiedziała już, że Dácil przeżyła podróż w czasie, nie zdołała jej jednak zobaczyć, słyszała tylko, jak hrabina kazała ją zostawić na śniegu. I nic nie dało się zrobić, znalazłszy się w saniach, Anaíd nie była w stanie użyć magii i dopiero teraz, wolna od uporczywego spojrzenia Elżbiety, zaczynała zdawać sobie sprawę z potęgi tej Odish. Wcześniej zachłanne oczy hrabiny w jakiś sposób krępowały jej wolę. W czasie krótkiej drogi do zamku starała się nie ruszać i nie odezwała się ani słowem, nie chcąc, by zdemaskowano. Jednakże kątem oka obserwowała palce Elżbiety, nieustannie zajęte czerwonym medalionem zawieszonym na jej szyi.**

**–Przez moment odczuwała nawet gwałtowne pragnienie, by go chwycić i spalić na oczach hrabiny. Lecz równałoby się to samobójstwu. Była pewna, że ma przed sobą słynny talizman, przyczynę tylu nieszczęść. Ale mogła uprzedzić wypadków.**

**–Dostrzegła strach malujący się na twarzach dziewcząt, które jechały wraz z nią w saniach, i ich przerażenie wstrząsnęło nią bardziej niż wszystkie opowieści Białej**

**Damy. Jak można zostawić kogoś w lesie, przy minus dziesięciu stopniach, na pewną śmierć? Dácil, Dácil, powtarzała bez ustanku. Musiała tam wrócić i ją uratować. Liczyła się każda godzina, każda minuta. Tylko jak uciec?**

**–I wtedy ją zobaczyła. W pobliżu pomieszczeń kuchennych, z których rozchodził się smaczkowy zapach zupy. Dácil szła z trudem, wsparta na ramieniu jakiegoś chłopaka. Anaíd rozpoznała ją po uśmiechu, choć skryta pod kapotą figurka wydawała się należeć do dziecka. Anaíd błyskawicznie wysłała telepatyczny sygnał i Dácil obróciła głowę, a w jej oczach zabłysła radość. Ukradkiem rozchyliła palce, w których lśnił zielony kamień.**

**–Anaíd odetchnęła z ulgą: nie straciły łączności z przyszłością. Mogły wrócić.**

**–W lochach wszakże podupadła na duchu. Powitały je szlochy i krzyki tuzina obdartych, wygłodniałych dziewcząt, błagających niewzruszoną Jo Ilonę choćby o suchy chleb. Anaíd nie wierzyła własnym oczom: biedaczki ledwie trzymały się na nogach i w rozpaczce zjadały własne wszy oraz próbowały łapać szczury. Jo Ilona wepchnęła ją brutalnie do jednej z cel i wrzasnęła:**

**— Te, co płaczą i wyją, umrą pierwsze! Zrozumiano?**

**–Jej słowa nie wywołały większego efektu, więc oddaliła się pospiesznie, pozostawiając więźniarki pogrążone w ciemności.**

**–Zastanawiały się pewnie, dlaczego przed śmiercią muszą się tyle nacierpieć. Chyba że nie były już w stanie zastanawiać się nad czymkolwiek – głód i pragnienie powoli zamieniały je w bezrozumne zwierzęta.**

**–Anaíd, w przeciwieństwie do nich wciąż zdolna do racjonalnego myślenia, natychmiast wpadła na pomysł, jak ulżyć im w cierpieniu. Dzięki naukom Cristine nie było to takie trudne. Schowała rękę pod płaszczem, wymamrotała zaklęcie i już po chwili wyciągnęła zza pazuchy wielki bochen chleba i spore pęto kielbasy. Zamknięte w celi dziewczyny, nie zadając żadnych pytań, po prostu rzuciły się na jedzenie. Nie zdziwiły się też, gdy Anaíd zaczęła wydobywać spod płaszcza świeże warzywa i owoce, pieczone ziemniaki oraz dzbany z wodą – wszystko, co, jak uznała, mogło być im znajome. Po jakimś czasie, posilone i znacznie spokojniejsze, przycupnęły na cuchnących wiązkiach słomy pod ścianami i uśmiechnęły się z wdzięcznością do swej dobrodziejki. Anaíd doszła do**

**wniosku, że głód odbiera człowiekowi rozum. Jej towarzyszek niedoli, nakarmione, zaczynały zachowywać się jak ludzie.**

**— Zrządzenie boskie, żeś przyniosła strawę – odezwała się jedna z**

nich.

Mimo młodego wieku prawie nie miała zębów.

–Łatwiej przyjdzie umierać – stwierdziła inna z rezygnacją, która przyprawiła Anaíd o gęsią skórę.

Pozostałe nie podzielały jednak wątpliwego optymizmu swej koleżanki.

–Łatwiej? Hrabina wykrwawi nas najpierw jak wieprze.

–I wykąpie się w naszej krwi.

–I potnie nas na kawałki.

–Albo obedrze żywcem ze skóry.

–Albo wychłoszcze batem.

–Och, jak to będzie bolało!

–Cicho bądźcie, moja mama nas uratuje! Uratuje nas mówię wam! – zawołała któraś.

–Jakoś jej nie widzę.

–A jednak jest blisko. Wezwałam ją i wyczuwam obecność. Uratuje nas na pewno.

–Przestań. Powtarzasz to od początku, choć dobrze wiesz, że nic się nie da zrobić.

–Dlaczego nie? Moja mama zna różne zaklęcia. Ostrzegала mnie przed magią hrabiny, ale nie słuchałam.

Po tych słowach w jasnowłosej i jasnookiej dziewczynie Anaíd rozpoznała młodzieńką, niewtajemniczoną Omar, której matka zapewne nie miała wystarczającej mocy, by odwrócić los nieszczęsnej. Natomiast ona, Anaíd moc taką miała.

–Posłuchajcie uważnie – zaczęła, szukając w pamięci węgierskich słów poznanych w czasie lekcji z profesorem Carmelą i gratulując sobie w duchu zdolności językowych, które pozwoliły jej rozumieć wszystkie prowadzone wokół rozmowy. – Wyciągnę was stąd.

Dziewczęta ucichły i wpatrzyły się w nią z mieszaniną niedowierzania i nadziei w oczach.

**–To niemożliwe. Nikt nie wy dostał się stąd żywy – oświadczyła w końcu**

**jedna z nich. – Hrabina zabiła już trzy moje siostry.**

**Anaíd nie zamierzała prowadzić jałowych dyskusji.**

**–Który to rok? Zapadło milczenie, które wstrząsnęło Anaíd do głębi.**

**–Nie wiecie, który to rok? Bo wiek XVII, jak sądzę? Pomogła jej młoda Omar.**

**–Mamy rok pański 1610 – szepnęła. – Grudzień, niedawno było przesilenie zimowe.**

**–Kiedy dokładnie?**

**–Siedem dni temu – odparła tamta już śmieiej. W jej błękitnych oczach błyszcząca inteligencja. Anaíd zaczerpnęła powietrza.**

**–Jesteś pewna?**

**–Najpewniejsza. Dziś przypada dzień świętych młodzianków, obchodzony**

**na pamiątkę rzezi, w czasie której zły ról Herod wymordował wszystkich nowo**

**narodzonych w Betlejem w Judei chłopców, aby żaden z nich nie mógł odebrać**

**mu tronu.**

**–Czyli jest dwudziesty ósmy grudnia... – mruknęła Anaíd, zacierając**

**nerwowo ręce.**

**Do momentu unieszkodliwienia hrabiny brakowało więc doby. Dwudziestego dziewiątego grudnia, wraz z przybyciem palatyna Thurzó, miał nadejść kres jej niegodziwości. Ale... jak doczekać tej chwili? Jak zapobiec ostatnim ofiarom i nie pozwolić, by Elżbieta Batory, niby umierający smok, który tłukąc w agonii ogonem, jeszcze sieje spustoszenie zabrała ze sobą w otchłań dodatkowe niewinne dusze? Jak wreszcie samej uniknąć śmierci? Choć właściwie czy ona, wybranka, mogła umrzeć, skoro miała się urodzić dopić za czterysta lat?**

**Szybko doszła do wniosku, że zamiast rozważać tajemnice czasu, powinna raczej przeanalizować otrzymane od babki informacje. Niestety, nie mogła jej o nic dopytać ani zajrzeć do dokumentów sporządzonych przez palatyna, bowiem jeszcze nie powstały. Poczowała, że ogarnia ją rozpacz. Historia Elżbiety Batory rozpoczynała się dla niej dwudziestego dziewiątego grudnia 1610 roku. Ale co się działo dzień wcześniej? Co miało się wydarzyć tej nocy?**

**Próbowała przekonać samą siebie, że nie dojdzie niczego strasznego, że hrabina, chcąc uniknąć konfrontacji z władzami, po prostu zniknie i uwięzione dziewczyny zostaną uratowane. Przede wszystkim należało je skłonić by jej pomogły, by zachowywały się jak współpracownicy, a nie jak stado prowadzonych na rzeź owiec. Wtedy może się udać, pod warunkiem oczywiście, że dane Białej Damy są ścisłe.**

**–Przeczytałam w pewnym liście, że do zamku przybędzie wkrótce palatyn Thurzó, kuzyn hrabiny. Na dworze pojawił się doniesienia o tym, co się tutaj dzieje – rzuciła jak gdyby nigdy nic.**

**–Umiesz czytać? – zdziwiła się jedna z dziewcząt, która mimo głodówki wciąż jeszcze mogła uchodzić za pulchną.**

**–Jasne – zdumiała się z kolei Anaíd. – A ty nie?**

**Oprócz młodej Omar żadna nie umiała. Niektóre poczuły się dotknięte.**

**–Kobiety się nie uczą – oświadczyła piegowata dziewczuszka.**

**–Właśnie. A kim ty jesteś? – wsparła ją inna, wysoka i mocno zbudowana.**

**–Przyjaciółką – odpowiedziała Anaíd.**

**–Naszą czy hrabiny? Anaíd wsparła się pod boki gestem podpatrzonym kiedyś u Alodii.**

**–A jak sądzicie? Wtedy młoda Omar powiedziała coś dziwnego.**

**–Jesteś do niej podobna.**

**Powstało zamieszanie. Wszystkie mówiły teraz jednocześnie, dotykając Anaíd, oglądając jej ręce i włosy, nagle świadome przepaści, jaka ją od nich oddziela.**

**–Taka piękna i wysoko urodzona.**

**–I wykształcona.**

**–Skąd pochodzisz?**

**–Przywiozłaś tyle jedzenia, musisz być bardzo bogata.**

**–Masz strasznie dziwne oczy – stwierdziła młoda Omar, świdrując ją spojrzeniem. – Patrzysz tak... dziwnie. I pachniesz dziwnie.**

**Co do zapachu, reszta nic nie zauważyła, co było o tyle zrozumiałe, że w celi**

panował intensywny, zagłuszający inne wonie smród. Anaíd uznała, że potrzebuje rozsądnego sprzymierzeńca, wiodła się więc do Omar.

–Jak się nazywasz?

–Dorizca. Anaíd postanowiła pójść na całość.

–Dorizca? Chyba łączy nas dalekie pokrewieństwo. Nie jesteś czasem córką Clary?

–Nie. Moja matka ma na imię Urszula.

Ach, no tak, już pamiętam. Urszula. Moja mama przesyła ci wiadomość.

To mówiąc, ujęła Dorizcę za rękę i odciągnęła ją w najbardziej oddalony kąt. Pozostałe nawet się nie zdziwiły. Ostatecznie krewne mogły mieć wspólne sprawy do omówienia: jakieś śluby w rodzinie, narodziny czy zgony.

–Jestem Anaíd Tsinoulis, córka Selene, wnuczka Demeter, ze scytyjskiego Klanu Wilczycy. – Anaíd wyszeptała obowiązującą wśród Omar formułę prezentacji. – Przybywam z bardzo daleka, aż z Pirenejów.

Dorizca wytrzeszczyła oczy. Po chwili, gdy nieco doszła do siebie, wyrecytowała w odpowiedzi:

–Jestem Dorizca Lčka, córka Urszuli, wnuczka Majorovej, z dackiego Klanu Kuny.

Anaíd westchnęła z ulgą.

–Więc wiesz, kim naprawdę jest Elżbieta Batory?

–To Odish – odrzekła natychmiast Dorizca. – Jeśli się dowie o moim pochodzeniu, zabije mnie w pierwszej kolejności. Krew Omar wzmacnia ją bardziej niż zwykła.

–A jak ci się udało dotąd uchować?

–Magiczny pas i zaklęcie matki chronią mnie przed spojrzeniem hrabiny. Ale nie przed spojrzeniem Ficzkó

Po czym, widząc, że Anaíd nie wie, o kim mowa, dodała:



**–Ficzko to karzeł hrabiny. Żeby jej się przypodobać czasem urządza polowania na własną rękę. Mnie złapał w lesie, kiedy zbierałam jagody.**

**–Dobrze, że cię spotkałam. Pomożesz mi.**

**W oczach Dorizki zapaliła się iskierka nadziei.**

**–Myślisz, że możemy coś zrobić?**

**Anaíd poczuła się zobowiązana do wyjaśnień.**

**–Musimy zniszczyć talizman. To on daje hrabinie siłę i czyni ją niezwyciężoną.**

**–Talizman?**

**–Zaczarowała go, używając krwi i włosów swoich ofiar. Ma ją chronić przez kolejne czterysta lat, aż do nadejścia wybranki, której krew sprawi, że hrabina stanie się niepokonana na zawsze, zdobędzie berło władzy i będzie rządzić wszystkimi Odish.**

**Dorizca popatrzyła na nią ze zdumieniem.**

**–Wiesz bardzo dużo różnych dziwnych rzeczy.**

**–Musisz mi pomóc zdobyć talizman. Potem spalę go za pomocą tego**

**krzesiwa. Tylko skrzęsany przez nie ogień może pokonać zaklęcie osłaniające.**

**–Co mam robić?**

**–Pozbyć się pasa od matki i zwrócić na siebie uwagę, tak żebyśmy jeszcze dziś znalazły się razem u hrabiny. Potem coś wymyślimy, wykradniemy talizman i spalimy go.**

**Dorizca zbladła.**

**–Wiesz, co oznacza „znaleźć się u hrabiny”?**

**–Pewnie. Dorizca pokręciła głową.**

**–Te, które trafiają przed jej oblicze, umierają w strasznych mękach. Czasem krzyki dobiegają aż tutaj. Dużo dziewcząt nie wytrzymuje i wiesz się w celi. Ze strachu.**

**–Nic się nam nie stanie, zobaczysz.**

**Dorizca nie wygłądała na przekonaną.**

**–Jeszcze żadnej nie udało się przeżyć. Ja na razie ocalałam, ale tylko dzięki czarom matki.**

**–Komunikujesz się z nią?**

**–Bez przerwy wysyłam sygnały.**

**–A ona?**

**–Odpowiada. Jest blisko i mnie strzeże. Wiem o tym. Anaíd poczuła, że kamień spada jej z serca.**

**–Ma dużą moc?**

**–Ogromną. W przeciwieństwie do mnie, ja jeszcze nie przeszłam inicjacji. Anaíd uśmiechnęła się krzepiąco.**

**–Zobaczysz, że wszystko dobrze się skończy. Tylko musisz ładnie wyglądać,**

**żeby zwrócili na Ciebie uwagę. W tym celu posłużymy się magią.**

**I mamrocząc zaklęcia, przesunęła dłońmi po ciele i włosach Dorizki. Na policzki młodej Omar wrócił rumieniec, jej jasne loki nabrały znów blasku, a popękane dłonie stały białe i miękkie.**

**Kiedy nieco później Jo Ilona przyszła wybrać dodatkową oprócz Anaíd, ofiarę dla swej pani, nie wahała się ani chwili. Ta rumiana blondyneczka nadawała się doskonale. Jo Ilona nie mogła tylko zrozumieć, dlaczego we tego nie zauważyła.**

**Anaíd i Dorizca, ubrane w białe suknie i haft srebrem trzewiki, z utrefionymi włosami i pobielone ryżowym pudrem twarzami, zostały brutalnie wepchnięte**

**do osobistego apartamentu hrabiny. W dużej sypialni znajdował się kominek i osłonięte baldachimem z zasuniętymi kotarami. Zimne, kamienne ściany pokryte były, na modłę włoską, wspaniałymi gobelinami, na posadzce leżały niedźwiedzie skóry. Mimo ognia na kominku i świec w kandelabrach, w komnacie panował przejmujący ziąb, a światło nie rozpraszało czających się wysokim stropem ciemności. Na stoliku stała misa z owcami w cukrze, niezwykle cenionymi w tej niegościnniej krainie.**

**Zachwycona Dorizca zbliżyła się i powąchała gruszkę. Była to najprawdziwsza, twarda i obtoczona w cukrze gruszka, bardzo apetyczna, prawdopodobnie sprowadzona z dalekich stron, dojrzała pod innym, bardziej przyjaznym niebem.**

**Dorizca bez zastanowienia podniosła ją do i odgryzła spory kęs. W tym momencie w drzwiach s hrabina.**

**–Co ty wyprawiasz?! – krzyknęła. Biedna Dorizca, sparaliżowana ze strachu, upuściła owoc na podłogę.**

**–Złodziejka! – syknęła hrabina, wpatrując się natarczywie w dziewczynę.**

**Zza pleców swojej pani wyglądała Jo Ilona, z niecierpliwością oczekując werdyktu – ostatecznie przemieniła dwie wieśniaczki w delikatne panienki, a efekt przeszedł oczekiwania. Tyle że teraz jedna z nich wszystko zepsuła przez swoje łakomstwo. Jo Ilona liczyła na pochwały, a nawet na nagrodę: kilka złotych monet by nie zawadziło, nie wspominając już o jednej z tych jedwabnych, karmazynowych, haftowanych perłami sukien, które tak jej się podobały. Elżbieta Batory zdążyła już jednak wpaść w furię. Wrzeszczała teraz jak opętana, przyskając na boki śliną i potrząsając głupią wieśniaczką, którą chwyciła za ramiona.**

**–Niewdzięcznica! Złodziejskie nasienie!**

**Jo Ilona milczała, świadoma, że próba wtrącenia czegokolwiek rozdrażni hrabinę jeszcze bardziej. W takich wypadkach najrozsądniej było usuwać się jej z drogi i mieć nadzieję, że cały gniew skrupi się na kimś innym.**

**–Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię! Patrz na mnie!**

**Rozdygotana Dorizca podniosła wzrok. Elżbieta Batory obwąchiwała ją jak smaczny kąsek i w końcu podniosła jej białe, delikatne ramię do swoich umalowanych szkarłatnym barwnikiem ust, jak gdyby szykowała się do ugryzienia. Anaíd poczuła, że rośnie w niej moc, a wtedy potężna Odish, jakby czymś przestraszona, puściła swą ofiarę i przycisnęła dłonie do piersi.**

**–Kim jesteś? Mów!**

**Jej posępne oczy wpijały się w biedną Dorizcę, która wyglądała, jakby miała zaraz osunąć się bezwładnie na ziemię.**

**–Sprzeciwiasz mi się? – zawołała rozjuszona hrabina. – Jak śmiesz?!**

**Anaíd wiedziała już, że Elżbieta Batory wyczuwa jej magię, ale błędnie przypisuje ją Dorizcę. Dlatego śmiało broniła małą Omar własnym ciałem.**

**–Ona się boi.**

**Jej oczy odruchowo powędrowały ku talizmanowi, który połyskiwał w dużym wycięciu brokatowej sukni, zdając się drgać w rytm przyspieszonych uderzeń serca**

swojej właścicielki.

–Bronisz jej? Odważna jesteś!

Anaíd nie odpowiedziała, zastanawiając się gorączkowo nad kolejnym posunięciem. Co by się stało, gdyby w tej właśnie chwili zerwała talizman z szyi hrabiny? Czy zakłóciłoby to bieg historycznych wypadków? Chyba lepiej było poczekać, nawet jeśli miało się to okazać skomplikowane.

Poczuła szarpnięcie i natychmiast zrozumiała, że Elżbieta Batory wyrwała jej kosmyk włosów. To samo uczyniła z Dorizcą, po czym na oczach obu zdumionych dziewcząt otworzyła swój medalion, wybrała po jednym włosie i schowała je w jego wnętrzu.

Anaíd przełknęła ślinę.

Tak oto podpisany został na nie wyrok śmierci. Włosy zamknięte w medalionie należały do zamordowanych.

–Zabierz ją i przygotuj! – rozkazała hrabina Jo Ilonie, wskazując Dorizcę. –

Potem zdecydujemy, jaka spotka ją kara – dodała ze złośliwą uciechą. Nie ulegało wątpliwości, że ceremonia kary była wpisana w jej makabryczny rytuał.

Anaíd odprowadziła wzrokiem przerażoną Dorizcę, którą wściekła Jo Ilona dosłownie wywlokła z komnaty. Dorizca nie płakała jednak, nie krzyczała, nie błagała o litość. Zachowała się, jak na prawdziwą Omar przystało.

Tego nie było w scenariuszu, pomyślała w popłochu Anaíd. Należało działać bez zwłoki, bo nie dało się przewidzieć, kiedy Dorizcę może spotkać coś złego.

–Siadaj – powiedziała nieznośnym sprzeciwu tonem hrabina.

Nawykła do wydawania rozkazów, nie potrafiła mówić inaczej. Zaległo ciężkie milczenie. Po dłuższej chwili, którą Anaíd poświęciła rozważaniu swoich szans na zniszczenie talizmanu i ucieczkę, do pokoju weszły przerażone pokojówki, które starając się nie podnosić wzroku, postawiły na stole parujący półmisek z mięsem, dzban i dwa kielichy.

Elżbieta Batory napełniła je własnoręcznie, wskazała jeden Anaíd, po czym wzniosła drugi jak do toastu.

–Napij się ze mną. Za moją urodę.

Anaíd zawahała się. Jej babcia Demeter od małego uczyła ją odrzucać każdy

**poczęstunek proponowany przez obcych, Odish często podawały małym Omar**

**truciznę, kusząc je słodyczami, by następnie wypijać krew swych ofiar. Dlatego Anaíd, choć nie wiedziała jeszcze, kim są Odish, a kim Onar, zawsze grzecznie mówiła: „Nie, dziękuję”. I teraz przypomniała sobie babcine nauki.**

**–Nie, dziękuję – wymamrotała.**

**–Nie chcesz wypić za moją urodę?**

**Anaíd trafiła najwyraźniej w czuły punkt hrabiny. Należało czym prędzej zatuszować popełnioną właśnie nieostrożność.**

**–Masz się ze mną napić! W tej chwili! – syknęła hrabina.**

**Powoli podnosząc puchar do ust, Anaíd myślała gorączkowo: jeśli była w nim jakaś trucizna, to koniec – szanse na zdobycie antidotum praktycznie nie istniały. Chyba jednak nie mogło chodzić o truciznę, skoro hrabina naląła sobie z tego samego dzbana i teraz łąpczywie piła.**

**Anaíd zamoczyła wargi w płynie i przełknęła kilka kropel. Napój był ciepły i gęsty, słonawy, ale smaczny. Barwę miał ciemnoczerwoną, z odcieniem fioletu. Uznała, że to pewnie jakiś nektar albo syrop z dzikich owoców zebranych na stokach Karpat. Bez dalszych wahań pociągnęła spory łyk.**

**Gdy jednak spojrzała na Elżbietę, zmartwiała z przerażenia i odrazy. Z kącika ust hrabiny spływała kropla krwi. A to znaczyło, że puchar zawierał...**

**–Krew! – krzyknęła Anaíd, odrzucając naczynie jak najdalej od siebie. Jej instynktowna zgroza ubawiła hrabinę.**

**–Nie przepadasz?**

**Anaíd myślała, że zaraz zwymiotuje, ale panika skutecznie zaciskała jej gardło. W dodatku Elżbieta pochyliła i nad nią i palcami mocno objęła jej szyję.**

**–Jak masz na imię, dziewczyno? – wychrypiała.**

**Talizman kołysał się teraz tuż przed twarzą Anaíd.**

**Nie mogąc w żadnym wypadku powiedzieć prawdy w porę przypomniała sobie imię usłyszane od Dorizki.**

**–Urszula – szepnęła.**

**I zaraz tego pożałowała, ponieważ hrabina natychmiast zwietrzyła trop.**

**–Urszula! Oczywiście! Jesteś córką Urszuli, uczonej Omar. Wiedziałam, aż wibrujesz od magii... Twoja krew posłuży mi wyśmienicie!**

**Ze zręcznością zyskaną dzięki długiej praktyce wyjęła z włosów szpilę przytrzymującą kok i wbiła ją Anaíd w dłoń. Małeńka kropla skapnęła wprost na talizman.**

**Anaíd stłumiła krzyk. Nie dość, że hrabina trzymała ją w swojej mocy, to na domiar złego miała jej włosy i krew, włosy i krew wybranki, dzięki którym stała**

**się niezniszczalna. Anaíd chciała coś zrobić, wstać, ale poczuła nagłą słabość, potęgującą się, gdy Elżbieta zaciskała palce na talizmanie.**

**–Jesteś moja. I zrobisz, co ci każę.**

**Zaklęcie posiadania zadziało natychmiast.**

**Hrabina klasnęła w dłonie. Na ten znak zjawiała się wysoka i silna Dorka, zarzuciła sobie Anaíd na plecy i przeniosła ją w kąt wciąż pogrążonej w półmroku sali. Tam, jak się okazało, znajdowały się wkute w ścianę pierścienie. Dorka odpięła od pasa zaśniedziały klucz i otworzywszy zamki, umieściła nadgarstki Anaíd w metalowych obręczach. Anaíd resztką woli usiłowała się bronić, ale za każdym razem, gdy chciała wymówić zaklęcie, hrabina sięgała do swego talizmanu.**

**Dorka rozerwała okrywającą Anaíd białą jedwabną suknię i wyciągnęła w stronę swej pani gruby bicz.**

**–Chcecie zacząć, wasza miłość?**

**–Może nie, to takie męczące... – westchnęła hrabina, po czym, nie odrywając od swej ofiary łakomego spojrzenia, opadła na poduszki łoża.**

**Dorka uderzyła. Anaíd nigdy nie przypuszczała, że cios zadany biczem w plecy może aż tak boleć. Odnosiła wrażenie, że ostre kolce rozrywają jej skórę i zagłębiają się w ciało. Ostry, przeszywający ból pozbawił ją na chwilę tchu. Drugie uderzenie okazało się znacznie gorsze, pogłębiając pierwszą ranę i wyrывая kawałki żywej tkanki. Tym razem Anaíd krzyknęła. A potem znowu i znowu. Prawdopodobnie trwałoby to długo, gdyby nie wyraźnie zdenerwowana Jo Ilona, która pojawiła się w otwartych raptownie drzwiach, podtrzymując bezwładne ciało Dorizki. Mała Omar miała przecięte nadgarstki, krew spływała jej po palcach i kapiała na posadzkę. Anaíd chciała biec na pomoc, ale nie mogła się ruszyć.**

**–Jaśnie pani, jaśnie pani! Przyjechali goście. A z tą małą są same kłopoty!**

–Goście?

–Właśnie przybyli i zajęli wschodnie skrzydło!

Hrabina podeszła do okna i jej twarz spochmurniała. Rzeczywiście, na dziedzińcu stały dwa zaprzężone w szlachetne wierzchowce powozy. Kto ośmiał się zakłócać jej spokój o tak późnej porze? Za brak ogłady uchodziło składanie wdowom wizyt po zachodzie słońca. Ktokolwiek to był, powinien przenocować w gospodzie i dopiero nazajutrz prosić o gościnę na zamku.

–Powiedz, że jestem zmęczona i nikogo już dziś nie przyjmuję.

–Pani, to wasz daleki kuzyn, palatyn Thurzów. Mówi, że chce z wami pilnie rozmawiać.

Anaíd poczuła przypływ nadziei. Obecność palatyna dawała cię szansy na ocalenie. Choć w ciele Dorizki życie już ledwie się tliło.

–Kuzynko Elżbieto! – zabrzmiało na dziedzińcu. Hrabina pospiesznie odeszła od okna i kazała się wychylić Jo Ilonie.

–Powiedz mu, że źle się czuję.

–Pani źle się czuje – krzyknęła Jo Ilona, składając ręce w trąbkę.

–Tak się składa, że jest ze mną lekarz! Elżbieta zdenerwowała się jeszcze bardziej niż poprzednio.

–Śpię, niech mnie nie budzą.

–Pani właśnie zasnęła, nie trzeba jej budzić!

–Śpi przy świecach?

–Co za wścibski arogant! – Hrabina tupnęła. – Powiedz mu, że przed chwilą podawaliście mi ziółka, bo gorączkowałam.

–Pani gorączkuje! Thurzów wreszcie ustąpił.

–Dobrze. Spytaj, czy zechce mnie przyjąć rano.

Do rana brakowało jeszcze wielu godzin, Anaíd zumiała więc natychmiast, że jeśli nic nie zrobi, ani sama, ani tym bardziej Dorizca nie zobaczą już słońca. Przyszła pora, by działać.

Anaíd zamknęła oczy i zmobilizowała resztkę sił, mięśnie nabrały nagle twardości żelaza i już po chwili zamknięte na jej nadgarstkach obręcze wyskoczyły z murów. Rzuciła się ku oknu z krzykiem:

–Ratunku! Ratunku!

Szpony Dorki przytrzymały ją, nim zdążyła się wychylić. Elżbieta chwyciła bicz.

–Co ty wyprawiasz! To cię nauczy rozumu!

Ale Anaíd pokonała już magię hrabiny i własny strach. Dlatego, gdy poczuła ostry ból siekający ramiona, którymi osłoniła głowę, przestała panować nad własnym gniewem i przywołała burzę.

Piorun wpadł przez okno, przemknął nad głową zdezorientowanej Elżbiety i zostawiając za sobą spustoszenie, zniknął w czeluści kominka. Potężny grzmot wstrząsnął zamkiem. Teraz albo nigdy, pomyślała Anaíd. Błyskawicznym ruchem sięgnęła po magiczne krzesiwo i runęła na hrabinę, zdecydowana zniszczyć jej makabryczny talizman. Jednakże tamta, bynajmniej nie bezbronna, skierowała czarodziejski ogień na kotary, które od razu stanęły w płomieniach, po czym, olśniona własnym odkryciem, zawołała:

–To ty! Jesteś wybranką!

I groźnym gestem podniosła atame. W tym momencie drzwi stanęły otworem i do komnaty, w ślad za palatynem Thurzó i kilkoma zbrojnymi, wślizgnęła się drobna postać dziewczęca, zasłaniając sobą zmaltretowane ciało Anaíd. Była to Dácil.

–Nie! – krzyknęła przeraźliwie, a w następnej chwili leżała już na posadzce, ciężko raniona w pierś.

Anaíd jęknęła, a jej głosowi zawtórował inny. Kobieta o wielkim biuście i pięknych, dobrych oczach padła na kolana przy wykrwawionej Dorizce.

–Córeczko! – zapłakała. – Moje dziecko!

Zbrojni tłoczyli się w progę, ze zgrozą obserwując tę zalaną krwią kobietą alkową. Ogień z kotar przeniósł się na baldachim i łoże. Płonące drewno trzeszczało, gęsty czarny dym wyciskał łzy z oczu. W sypialni coraz trudniej było oddychać.

–Na mocy glejtu od miłościwego pana pozbawiam was prawa do

opuszczania zamku – rzekł palatyn Thurzó do Elżbiety Batory, uznając widać, że

trzy ciężko okaleczone dziewczyny uprawniają go do tego w stopniu więcej niż



wystarczająco.

Drwiący uśmiech, jakim hrabina skwitowała słowa swe krewniaka uszedł uwagi Anaíd, zbyt zajętej nieprzytomną Dácil. Kiedy już zdołała wywlec ją z pokoju i chciała przystąpić do magicznego leczenia jej rany, usłyszała, że Omar Urszula, dźwigając w ramionach swą córkę Dor wykrzyknęła:

–Nie żyje! Moja dziecinka nie żyje! Przeklinam tę, co piła jej niewinną

krw! Niech duchy w piekłach uczynią z nią, co zechcą uczynić najgorszego!

Anaíd zastygła. Dorizca umarła? Z jej winy?

To nie mogła być prawda. Raczej jakiś koszmar.

Zamknęła oczy i otworzyła je znowu.

Jednak nie śniła. Wszystko to rzeczywiście się działo.

Krew w pucharze wycoczona została z żył Dorizki. I ona, Anaíd, napiła się tej krwi – krwi Omar.

## Rozdział XV

Nie będziesz zaglądać w zwodniczą głębię jeziora

Selene gwałtownie skręciła w lewo. Samochód wpadł w poślizg na asfalcie i omal nie wyleciał z szosy. Prawie straciła nad nim kontrolę, lecz dzięki długoletniej wprawie udało jej się go opanować i oto jechała już leśną

nieoznakowaną drogą, która dalej rozdwajała się, a lewa odnoga wiodła do schroniska nad jeziorem.

Prowadziła jak szalona, ale bynajmniej nie straciła głowy. Po prostu musiała zgubić Gunnara. Nie odrywając oczu od migających po bokach drzew, wyszeptała kilka słów w starym języku – zaklęcie iluzji. Wielki buk, który wyrósł z tyłu, natychmiast przysłonił zjazd.

Gunnar zaskoczył ją, skracając nocą dzielący ich dystans. Do tej pory oboje stosowali się do niepisanej reguły, zgodnie z którą przerywali swój wyścig wkrótce po zachodzie słońca. Odpoczywali wtedy, brali prysznic, jedli kolację, szli na spacer, a potem spać, nie obawiając się, że zostaną znieczeka przyłapani albo stracą nawzajem swój ślad. Po czym następnego ranka gonitwa zaczynała się od nowa. Selene kilkakrotnie miała ochotę zakłócić ten absurdalny, przywodzący na myśl wyścigi kolarskie rytuał, ale nigdy się na to nie zdecydowała.

**I proszę, teraz, tuż przed Urt, uczynił to jej przeciwnik bladym świtem puszczając się za nią w pogoń. Dzielilo ich nie więcej niż dziesięć kilometrów, a fakt, że Gunnar postanowił przyspieszyć właśnie w tym momencie, dawał nadzieję, że Anaid przebywa w Urt.**

**Selene usłuchała intuicji i dobrze się stało. Ale choć próbowała na wszelkie sposoby zmylić Gunnara, udając, że zmierza w zupełnie inne miejsce, nie mogła odwlekać powrotu. Umierała z niepokoju. Wieści, jakie otrzymała kontaktując się ze swoim klanem, były fatalne: Elena znikła, a Roc padł ofiarą trucizny, co miało związek z niejaką Dacii, młodą przedstawicielką Guanczów z wyspy Chiner, a także z jakąś Odish i eliksirem.**

**Selene podejrzewała, że za wszystkimi tymi wydarzeniami stoi jej córka, lecz nie mogła potwierdzić swoich domysłów dopóki nie znalazła się w Urt. Karen, gdy rozmawiała przez telefon, była wstrząśnięta i przerażona. Nie ona jedna zresztą. Również Selene czuła narastającą panikę. Anaid zerwała wszelki kontakt. Co robiła? Dokąd się udała? Z kim? I kto miał berło?**

**Uspokoila się nieco, kiedy dystans między nią a Gunnarem zaczął się powiększać. Wyczuła, że jej wróg przemknął główną drogą w kierunku granicy z Francją, i ucieszyła się jak dziewczynka z udanej psoty. Ponieważ nikt jej nie widział, pozwoliła sobie okazać radość, obracając samochód na hamulcu ręcznym. Zmyliła Gunnara! Biedaczysko gnał teraz bez sensu w kierunku przełęczy Somport. Rozluźniona, rozparła się wygodniej w fotelu, westchnęła i popatrzyła przez okno w stronę zamglonych gór.**

**Słońce, wciąż jasne, stało już jednak nisko. Zmylona światłem długiego dnia, nie zorientowała się, że to już właściwie wieczór. Głęboko zaczerpnęła powietrza, wdychając woń lasu. Bardzo tęskniła za zielenią dolin, unoszącą się w atmosferze wilgocią oraz znajomym widokiem majestatycznych szczytów, ale najbardziej – za drzewami: sosnami, dębami i kasztanowcami, za piniami, a nawet nielicznymi jodłami wytyczającymi podniebne szlaki. Pozbawiona drzew, naga afrykańska ziemia wydawała jej się przygnębiająco jałowa. Choć**

**ludzie pustyni byli równie serdeczni jak Inuici, a ich namioty Selene gwałtownie skręciła w lewo. Samochód wpadł w poślizg na asfalcie i omal nie wyleciał z szosy. Prawie straciła nad nim kontrolę, lecz dzięki długoletniej wprawie gościnnością nie ustępowały igloo.**

**Zamierzała spędzić noc w schronisku nad jeziorem, za jedyne towarzystwo mając wydry i świstaki, i wyć na polanie do księżyca, z nadzieją, że może odpowie jej matka wilczyca. Była akurat pełnia, krew żywiej krążyła w żyłach.**

**Schronisko stanowiło bezpieczną kryjówkę. Mało znane, położone na uboczu, poza**

letnim sezonem stało puste.

Selene włączyła radio i nawet zanuciła jakiś refren. Zaśmiała się wyobrażając sobie dezorientację Gunnara. Nie znajdzie koniec zabawy. Zakłęcie kryjące tworzyło doskonałą barierę obronną. Potrzebowała jednej spokojnej nocy, aby zebrać myśli przed powrotem do Urt i konfrontacją z członkami konwentu. Nie wątpiła, że matriarchinie zażądamy od niej zdania rachunków. Miały prawo.

Chatka okazała się nieco zaniedbana, ale – jak na jedną noc – wyposażona wystarczająco. W szafkach kuchennych zalegały absurdalnie wielkie sterty puszek z tuńczykiem, i ananasami w syropie. Spiżarenka kryła niewyczerpane na pierwszy rzut oka zasoby sproszkowanej zupy warzywnej, herbatników, cukru, kawy i mleka w proszku, Selene uznała, że czeka ją doprawdy oryginalna uczta. Nie traciła czasu na otwieranie kolejnych drzwi – używała magii. Miała dosyć walki z wszelkimi możliwymi niebezpieczeństwami i jednoczesnego przymusu zachowywania ostrożności. Nawet Omar musiały czasem, wymykając się ścisłej kontroli klanu, dać ujście swoim czarodziejskim zdolnościom. W młodości, za plecami matek, często spełniały swoje drobne pragnienia i nieszkodliwe kaprysy. Nawet Demeter wymykała się do dąbrowy po to, by w ukryciu wypróbować niegroźne zaklęcia, pewna, że przyjazne drzewa dochowają sekretu i nikomu nie zdradzą prawdy o jej słabostkach.

Selene była czarownicą i w noc taką jak ta – noc pełni księżyca – aż pulsowała od magii. Do tego, znalazłszy się w schronisku, poczuła niezwykle przyływ optymizmu, może ze względu na bliskość ukochanych gór.

Wzięła z samochodu niezbędne rzeczy, wstawiła wodę do gotowania i otworzyła puszkę sardynek – tak pechowo, że rozcięła sobie palec. Krew nie przestawała płynąć zabrakło zimnej wody, więc Selene zeszła nad jezioro, by opłukać w nim rękę. Gdy uklękła na brzegu, zalało ją przemożne pragnienie, by rzucić się w chłodne odmęty i pływać aż do utraty tchu.

Właściwie czemu nie, myślała, zrywając z siebie ubranie i nie zadając sobie trudu, by przedyskutować ze swoim rozsądniejszym ja ten nagły kaprys, który każdej osobie przy zdrowych zmysłach wydałby się wart ponownego rozważenia.

Chwilę później silnymi wymachami ramion cięła gładką toń, dostosowując oddech do rytmu zanurzeń. Demeter całymi latami usiłowała

wykorzeń z niej skłonność do ulegania takim szalonym impulsom. Jednakże teraz, w wieku trzydziestu trzech lat, Selene nie miała już matki, która kręciłaby nosem na jej wybryki. Przenikliwie zimno, zamiast zmusić ją do odwrotu, dodało jej sił i sprawiło, iż poczuła że żyje.

Kiedy wreszcie zaczęła kierować się ku brzegowi, nad jezioro spłynął dziwny cień,

przycmiewając światło księżyca. Powierzchnia wody zmarszczyła się delikatnie. I nie chodziło o schodzącą z gór mgłę ani gnane wiatrem chmury, lecz o coś znacznie bardziej niepokojącego. Nad okolicą zawisła jakby magiczna opończa i za tą zbyt gęstą nawet dla księżycowego światła siecią Selene wyczuła czyjeś przenikliwe, przebijające ciemność spojrzenie. Czyjeś oczy uważnie śledziły jej ruchy i nagle, bez uprzedzenia, wbiły się w jej pierś, wywołując bolesny ucisk. Nic sobie nie wmawiała, pamiętała to nieprzyjemne wrażenie z dzieciństwa, kiedy to pewna Odish utkwiała w niej wzrok. Odish.

Selene zastygła bez ruchu i zaczerpnęła powietrza. Wokół gęstniał specyficzny, ostry zapach. Tamta musiała przeczesywać brzeg; odkryła już pewnie samochód, ubrania i otwartą puszkę z sardynkami. A ona, Selene, naga i bezbronna, tkwiła po szyję w lodowatej wodzie jeziora.

Szybka jak węgorz, zanurkowała z otwartymi oczyma, wstrzymując oddech i wyobrażając sobie, jakie też cuda musi kryć mętna woda i grząskie, wyścielone wodorostami dno, gdzie skryte przed ludzkim wzrokiem życie przyjmowało formę śliskich, lśniących łuskami ryb. Wiedziała, że długo nie wytrzyma. Brakło jej tlenu, ale jakiś wewnętrzny głos podpowiadał, by nie wystawiała głowy nad powierzchnię. Ostrzegwał przed niebezpieczeństwem. I rzeczywiście, spokojną okolicą wstrząsnął znienacka potężny wybuch. Jezioro zafalowało, wymiatając stworzenia zamieszkujące zazwyczaj przybrzeżne skały i sitowie. Drogę Selene przecięła ławica oszalałych ze strachu rybek, wybitych przez nagłe poruszenie wody ze zwykłej monotonii.

Selene nie mogła już dłużej kryć się pod wodą. Podpłynęła ku górze i ostrożnie wystawiła głowę nad powierzchnię. Ledwie udało jej się zaczerpnąć powietrza i uchylić powieki. Idylliczny obrazek, który zostawiła za sobą, nurkując,

zamienił się w fantasmagoryczny spektakl. Znaczną część jeziora spowijała czarna chmura, zdająca się rodzić w miejscu, gdzie Selene zaparkowała samochód. Zniszczył go wybuch!

Selene stłumiła krzyk. Nie była pewna, czy ostała się chociaż chatka, bo wszystko zasłaniał dym. To musiała być sprawka potężnej Odish.

Selene wyteżyła wzrok, szukając jej postaci. Ale nic nie zobaczyła. Poza tym zbyt długo przebywała w lodowatej wodzie. Już prawie nie czuła rąk ani nóg, poruszała się z coraz większym trudem. Musiała szybko wyjść z wody. Tylko którądy? Wszędzie mogła się natknąć na tajemniczą Odish. Nagle księżyc oświetlił zachodni skraj plaży, pokryty kamieniami i oddalony tylko o jakieś sto metrów. Zdecydowała, że tam popłynie.

Nie przewidziała jednak, że złapie ją skurcz. Unieruchomił ją w mgnieniu oka i nic nie

była w stanie na to poradzić. Wychładzała się coraz bardziej, wiedziała, że wkrótce straci resztki czucia, potem przytomność i wreszcie pójdzie na dno... Zdrętwiałymi wargami wymamrotała zaklęcie iluzji, choć miała świadomość, że nieożywionego już obiegiem krwi ciała nie będzie w stanie oszukać.

Potem niespodziewanie poczuła szarpnięcie. Tak silne że krzyknęła z bólu i ze strachu. A zatem Odish zlokalizowała ją w końcu i teraz zaatakowała, najprawdopodobniej zamierzając zniszczyć. Jakieś ramię zacisnęło się wokół jej talii niczym macka gigantycznej ośmiornicy i ochryply głos nakazał:

–Próbuj się ruszać, słyszysz? I nie zasypiaj!

Gunnar? Więc mimo wszystko ją znalazł? Miała ochotę krzyknąć z radości. Była pewna, że to on, i wcale się go nie bała, przeciwnie, zrozumiała, że jest uratowana, bezpieczna jak wtedy, gdy podróżowali razem saniami, a on chronił ją przed niebezpieczeństwami Arktyki, pewnie powożąc psim zaprzęgiem, omijając głębokie szczeliny w lodowcu i polując na foki.

Pragnąc mu pomóc, starała się wymusić posłuszeństwo na zdrętwiałych kończynach. Kilka minut później, zaledwie parę metrów od brzegu, straciła przytomność.

Ocknęła się na łóżku w chatce, szcękając zębami. Mimo płonącego w kominku ognia i otulającego ją koca było jej strasznie zimno. Gunnar gwałtownie przewracał pogrzebaczem grube bierwiona, chcąc, by zajmowały się prędeż. Selene próbowała się odezwać, lecz nie dała rady. Jej usta wciąż nie odzyskały zdolności formułowania słów. Zdołała jedynie szerzej otworzyć oczy, ale ich nieme wołanie nie pozostało bez echa. Gunnar obrócił się powoli i spojrzał w jej stronę. Na jego twarzy tańczył odblask ognia. Albo może powściągany uśmiech. Potem Gunnar nagle upuścił pogrzebacz, jednym susem znalazł się przy łóżku i pocałował ją.

Zaskoczona Selene poczuła, że pod wpływem bijącego odeń ciepła roztapia się okruch lodu, tkwiący gdzieś koło jej serca. Jednocześnie odtajały jej usta i odzyskała mowę.

–Przytul mnie – poprosiła. – Przytul mnie mocno. Gunnar wślizgnął się pod koc i przycisnął ją do siebie całej siły. Jego dotyk sprawił, że w ciało Selene znów wstąpiło życie, krew z powrotem zaczęła krążyć w jej żyłach. Czy sprawiła to pełnia księżyca, czy magiczne wody jeziora, czy niepokonany urok Gunnara – dość, że tej nocy Selene zapomniała, kim jest, skąd przybywa i dokąd zmierza.

**Zapomniała o Odish, strachu, zemście i ucieczce.**

**Zamknęła oczy i widziała już tylko Gunnara.**

**Wpadające przez okno pierwsze promienie słońca przyłapały ich na gorącym uczynku, oświetlając przytulone, pogrążone jeszcze we śnie ciała. Selene obudziła się pierwsza i, skonsternowana, wstała po cichu, ubrała się i zaparzyła kawę.**

**Czuła się zagubiona. Powoli przypominała sobie wszystko, co przytrafiło jej się poprzedniego wieczoru. I coś się nie zgadzało. Gdzie się podziała tamta Odish? Wiele przemawiało za tym, że w ogóle nie istniała. Czy w takim razie za wszystkim, co się zdarzyło, stał Gunnar? Wyglądała na to, że ją wreszcie dogonił, spalił jej samochód, a następnie zaczarował i uwiódł. Choć jednocześnie nie ulega wątpliwości, że uratował ją przed utonięciem. Może zresztą na tym polegał jego plan: żeby ją postraszyć rzekomą obecnością Odish, przetrzymując w lodowatym jeziorze a potem uratować i dzięki temu odzyskać jej zaufanie.**

**Była w kropce. I choć nie potrafiła już wzbudzić w sobie dawnej wrogości do Gunnara, postrzegała go inaczej niż wieczorem. Znowu stał się dla niej tajemniczy i niepokojący. Czy to on przywołał tamten dziwny cień? Czy to on wysadził w powietrze auto? Jak trafił z powrotem. na jej ślad?**

**Bezszelestnie podkrađła się do jego ubrań i poszperawszy w kieszeniach spodni, znalazła kluczyki od samochodu. Potem sięgnęła po kubek z gorącą kawą, podmuchała i upiła. Prawie krzyknęła. Ale z niej idiotka! Oparzyła się Czy zawsze musiała coś zrobić źle? I dlaczego wечно musiała się spieszyć? Bo teraz, sama nie rozumiejąc dlaczego, miała pewność, że powinna działać szybko, by dotrzeć do Urt i odnaleźć Anaid przed Gunnarem. Był na to prosty sposób. Zamierzała uciec samochodem Gunnara korzystając z tego, że jeszcze się nie obudził.**

**Po cichu wyszła na zewnątrz, zamknęła za sobą drzwi i rozejrzała się wokół. Ani śladu auta. Obeszła chatę. To samo.**

**–Zamierzasz uciec moim samochodem?**

**Głos Gunnara dobiegał przez okno. Przejrzana na wylot próbowała zachować spokój.**

**–Chciałam ci zrobić niespodziankę i kupić coś na śniadanie. Gunnar nie wydawał się zagniewany, raczej rozbawiony Oparty łokciami o parapet, prezentował nagi tors i wypoczętą twarz. Jego błękitne oczy patrzyły bacznie i zarazem czule.**

**–Jechałabyś trzydzieści kilometrów tylko po to, żeby wieźć mi ciepłe croissanty? Wykrzywiła się w cynicznym uśmiechu. – Oczywiście, najdroższy.**

**–No to chyba będziesz musiała wybrać się po nie na piechotę. Zostałaś bez samochodu. Selene machnęła kluczykami, puszczając do niego oko. Mam jeszcze twój. Mój samochód? Selene uśmiechnęła się przymilnie. – Powiesz mi, gdzie zaparkowałeś? – Za tamtą sosną. Widzisz tę kupę żelastwa? Selene przetarła oczy z niedowierzaniem. – Też spalony?**

**–Trochę mnie to kosztowało, ale dałem radę. Selene poczuła, że oblewa się zimnym potem. – Co ty zrobiłeś?**

**–To samo, co kiedyś konkwistadorzy, którzy palili skręty, żeby uniemożliwić dezercję.**

**–Zupełnie zwariowałeś!**

**–Nie bardziej niż Cortes czy Pizarro.**

**Selene załamała ręce. Jak on mógł?! Co za bałwan!**

**–I co teraz?**

**–Pójdziemy przez góry. – Jak?**

**–Normalnie. Piechotą. Razem. We dwoje. Chyba że będziesz się upierać, abym cię ścigał kilka metrów z tyłu kontynuując w ten sposób naszą dotychczasową bitwę. Selene miała serdecznie dosyć zabaw i pościgów. W ogóle miała dosyć.**

**–Spaliłeś samochody, bo mi nie ufasz.**

**Gunnar zaśmiał się serdecznie. Ostatecznie przyłapał ją z kluczykami w rękę, gotową zostawić go na pastwę losu w środku gór.**

**–Przestań rzeć.**

**–Przepraszam, Selene, ale jesteś taka zabawna. Selene zdawała sobie sprawę z absurdalności swoich słów,**

**co tylko potęgowało jej złość. Gunnar traktował ją jak głupią dziewczynkę. A ona, jak kretynka, wpadała w zastawione przez niego pułapki. Postanowiła jednak wziąć go łagodnością**

**–W porządku. Jesteś górą. Nie mam żadnej orientacji w terenie. Sama nie dotrę do Urt.**

**–Wiedziałem.**

**–Wiedziałaś? – zdziwiła się Selene.**

**–Już kilka lat się znamy. Westchnęła. Na razie przegrywała. Przyszła pora wyłożyć karty na stół.**

**–Anaid jest w Urt, tak? – spytała z niejaką obawą.**

**–Tak.**

**Jego szczerość ją rozbroiła. Nie przypuszczała, że tak prędko zdradzi miejsce pobytu córki.**

**–Nie wyczuwam jej. A ona nie odbiera moich telefonów**

**–Chowa się przed tobą.**

**–A berło? Też jest w Urt?**

**–Też.**

**–Miałeś w ostatnich dniach jakieś wieści od Anaid?**

**–Nie. Nie kryła zdziwienia.**

**–Zostawiłeś piętnastolatkę samą, pozbawiona opieki i mówisz ze spokojem, że nie masz od niej wieści?**

**–Nie jest sama. Ani pozbawiona opieki.**

**–Nie?**

**–Ma przecież rodzinę.**

**–Nieprawda. Moje przyjaciółki mogą o nią zadbać, ale... Nagle zrozumiała.**

**–Nie zostawiłeś jej chyba z Białą Damą?**

**–To moja matka.**

**–To Odish! – krzyknęła Selene, tracąc nad sobą panowanie. Gunnar bynajmniej się nie ugiął**

**–To jej babka. Tylko ona potrafiła pokonać Baalat. I tylko ona umie ochronić Anaid przed złością innych Odish. Selene nie ustępowała.**

**–A kto ją z kolei uchroni przed nią samą? Przed jej własną ambicją? Zresztą Cristinę też pragnie berła. Ponad wszystko w świecie.**



**–Moja matka pozwoli Anaid zdecydować samodzielnie. Ale wcześniej musi nauczyć ją wielu rzeczy – odparł twardo Gunnar. Selene nerwowo wykręcała dłonie.**

**–Ukradłeś mi dziecko, żeby oddać je w cudze ręce. Chciałeś to zrobić już przed piętnastu laty i teraz wreszcie Ci się udało.**

**–Nieprawda. Ale Selene nie słuchała. Wyciągnęła wnioski bez niczyjej pomocy.**

**–To ją wyczułam wczoraj wieczorem. Cristinę. To ona omal mnie nie wykończyła. Gunnar milczał. Selene szerzej otworzyła oczy, zdumiona własną domyślnością.**

**–To ona cię tu sprowadziła i kazała ci spalić samochody. Prawda? Ona?**

**–Niepotrzebnie zapędziłem się w stronę Somport – bez przekonania bronił się Gunnar. – Oszukałaś mnie, a Cristinę tylko pomogła mi się zorientować i tu dostać. Pomysł i samochodami był mój.**

**–Chciałeś, żebym się utopiła?**

**–Przeciwnie! Myślałem, że wyskoczysz z jeziora, żeby gasić ogień. I gdy zobaczyłem, że nie wypływasz, okropnie się przestraszyłem.**

**Selen wciąż nie mogła otrząsnąć się z szoku.**

**–A więc Cristinę tu była, próbowała mnie zabić.**

**–Nic podobnego. Selene popatrzyła mu prosto w oczy.**

**–Czułam to wyraźnie. Nie dosięgła mnie tylko dlatego, że zanurkowałam.**

**–Nie zamierzała cię skrzywdzić...**

**–Nie wierzę ci. Nie mogę. Wysługujesz się jej we wszystkim, czego zażąda.**

**Mówiąc to, wciąż wpatrzona w Gunnara, wolno wsunęła dłoń do torby. Jej palce wymacały dębową różdżkę i zacisnęły się na niej mocno.**

**–Muszę odnaleźć Anaid. Gunnar poruszył się gwałtownie.**

**–Odnajdziemy ją razem.**

**–Nie. Ty nie – powstrzymała go Selene.**

**–Jak mi przeszkodzisz? Selene nagłym gestem wyjęła różdżkę z torby, wycelowała i rzuciła kilka słów. Gunnar padł na ziemię jak rażony gromem.**

**Westchnęła. Właśnie użyła zakazanego zaklęcia, dopuszczanego jedynie w skrajnych wypadkach. Pograżało one człowieka w podobnym do śmierci letargu, a jeśli ratunek nie nadszedł w odpowiednim czasie, nieszczęśnik umierał naprawdę.**

**Weszła z powrotem do chatki i ujęła Gunnara pod pachy. Z trudem przeciągnęła go na łóżko, wciąż jeszcze ciepłe wygniecione w kształt dwóch przytulonych ciał. Teraz Gunnar miał spać sam, zdany na łut szczęścia.**

**Nie wolno jej było się rozklejać. Ułożyła go jako tako, przykryła kocem, zamknęła okiennice. Przy odrobinie szczęścia już wkrótce mógł go znaleźć jakiś wycieczkowiec. Wystarczyło dotknięcie, a nawet dźwięk ludzkiego głosu, by z powrotem pobudzić zatrzymane funkcje życiowe. Pocieszała się, że Gunnar schudnie, straci dużo sił, ale pewnie przeżyje. Zakładała, że jego silny organizm jest w stanie wytrzymać wiele tygodni. Uklękła i wciągnęła zapach jego ciała. Potem pocałowała go w usta i szeptem poprosiła o wybaczenie.**

**Wreszcie wyszła z chatki, zamknęła drzwi, popatrzyła w dal i ustaliła przybliżone położenie Urt.**

**By w ogóle ruszyć w drogę, musiała zebrać całą odwagę. Samotna przeprawa przez góry przerażała ją do głębi. Ale nie powinna trwać dłużej niż parę dni.**

## **Rozdział XVI**

**Nie będziesz tracić ducha w obliczu śmierci**

**Śnieg i lód nadawały zamkowi Cachtice ponury, fantasmagoryczny wygląd. Ale prawdziwa groza kryła się w środku, w głębokich lochach.**

**Pochodnie, które wskazywały palatynowi i reszcie zbrojnych drogę przez wąskie, ociekające wilgocią korytarze zdawały się wydobywać na jaw zupełnie nowe oblicze strachu. Przybysze wciąż natykali się na kolejne cele z umarłymi, umierającymi, okaleczonymi, obłąkanymi lub tylko wycieńczonymi dziewczętami. Znajdowali wkute w ściany obręcze, gliniane naczynia z zaschlą krwią, klatki z ludzkimi szczątkami, narzędzia tortur w postaci szczypiec nożyc i noży zaprojektowanych specjalnie do zadawania bólu... Patrzyli na to wszystko i nie wierzyli własnym oczom. Sami doliczyli się trzystu ofiar, lecz służący, którym po wielu latach niemego przypatrywania się temu, koszmarowi rozwiązały się wreszcie języki, twierdzili, że było ich znacznie więcej. Opowiadali, że ciała grzebano również w innych posiadłościach hrabiny, a czasem nawet w okolicznych lasach i przy drogach, albo też topiono w jeziorach Całe Węgry spłynęły niewinną krwią. Krwawa hrabina zgładziwszy sześćset pięćdziesiąt dziewcząt, w pełni zasługiwała na swój tytuł.**

**Podczas gdy Thurzó sądził Elżbietę Batory, skazując ją na śmierć w zamurowanej komnacie, targana wyrzutami sumienia Anaid czekała na okazję do działania.**

Musiała zaatakować w czasie między ostatnim popełnionym przez hrabinę zabójstwem a jej zniknięciem. I tak zbyt już namieszała w przeszłości, choć nie pozwoliło jej to nawet ocalić biednej Dorizki.

Dlaczego trafiła w niewłaściwy moment? Czy rzeczywiście był to przypadek, czy owa pomyłka służyła czyimś skrytym celom?

Bezskutecznie starała się zapomnieć o losie małej Omar. W białej jedwabnej sukience, z utrefionymi włosami Dorizki wyglądała tak uroczo... Jak panna młoda. Krwawo zaślubiona śmierci.

Czy to nie ona, Anaid, popchnęła ją w ramiona kostuchy, wybierając na swą towarzyszkę i pomocnicę? Czy to nie ona ostatecznie pociągnęła za niewłaściwy sznurek?

Co więcej, Dacii, odprowadzana bezradnym spojrzeniem Urszuli, też coraz bardziej zagłębiała się w królestwo cieni.

Anaid nie umiała jej pomóc. Choć jej własne rany zabiłżniły się natychmiast bez śladu, pozostawała w mocy hrabiny i kiedy Elżbieta zaciskała palce na amulecie, ona

traciła siły i przytomność. Mówiono, że uwięziona spaceruje niekiedy po komnacie, niby lew zamknięty w klatce i obłąkańczo się śmieje. W takich chwilach, wyczuwając moc talizmanu, Anaid miała wrażenie, że umiera.

Musiała zniszczyć ten amulet. Po to cofnęła się w czasie, po to ryzykowała życie Dacii, Dorizki i swoje własne.

Tylko jak miała się dostać do zamurowywanej powoli komnaty, w której dumna Odish zaśmiewała się z ludzkiej głupoty, wiedząc, że już wkrótce zniknie, na zawsze otoczona nimbem tajemnicy? Pogrążona w tych rozmyślaniach, Anaid usłyszała nagle krzyk hrabiny:

–Szczury! Murarze nie zwrócili na to najmniejszej uwagi.

–Tu są szczury! Straszne bestie – powtórzyła Elżbieta Batory, zirytowana okazanym jej lekceważeniem.

–Z bestii to widzę tu tylko jedną – mruknął któryś z pilnujących hrabiny hajduków.

Elżbieta zamilkła. Anaid tymczasem wpadła na pewien pomysł.

Bez trudu nawiązała porozumienie ze szczurami i wywiedziała się od nich o drogę do komnaty. Wprawdzie nie przepadała za tymi gryzoniami, brzydziła się ich wyglądem i zwyczajami, ale nie miała wyboru. Dlatego przycupnąć wśród nich w

ciemnym korytarzyku, gdzie panowały niepodzielnie, zdjęła suknię i skupiła się na zaklęciu transformacji. Gdy jej ciało się skurczyło, a twarz przybrała kształt pyszczka z mocnymi zębami, Anaid chwyciła w krzesiwo i hubkę oraz należącą jeszcze niedawno do Doili różdżkę.

Była teraz szczurem kanałowym, obrzydliwym, ale silnym, zdolnym wbrew pozorom stawić czoło znacznie większemu zwierzęciu. Bez dalszej

zwłoki pospieszyła za swymi nowymi przewodnikami i przyjaciółmi przez kręte zaułki.

Elżbieta nie od razu wyczuła jej obecność. Była zbyt zajęta przebieraniem wśród swoich klejnotów. Przez lata zgromadziła wspaniałą kolekcję, którą postanowiła zabrać ze sobą do grobu, na wzór egipskich faraonów, i teraz w gęstniejącej ciemności, z absurdalną kokieterią przymierzała co piękniejsze egzemplarze.

Anaid w postaci gryzonia, widziała wyraźnie mimo mroku. Uważnie rozejrzała się po komnacie. Była to surowa i zimna sypialnia połączona łukowatym przejściem z arem. Przeznaczona niegdyś dla gości, nie miała wielu mebli i udogodnień.

Anaid przycupnęła w kącie najbardziej odległym od miejsca, w którym znajdowała się hrabina i zaczęła z powrotem przemieniać się w dziewczynkę. Hrabina zwietrzyła jej obecność – czy też w ogóle czyjąkolwiek obecność -dopiero gdy transformacja dobiegała niemal końca i Anaid, otrząsając się, stała już na własnych nogach, gotowa do starcia.

Błyskawicznie wymierzyła atame Dorizki, dla zmylenia Elżbiety potroiła swój obraz i pewnym zaklęciem przecięła łańcuszek, na którym wisiał talizman, po czym złapała go, zanim spadł na ziemię. Wszystko to stało się tak szybko, że hrabina nie zdążyła nawet mrugnąć powieką.

Kiedy odzyskała inicjatywę, było już za późno. Wyciągnięta dłoń nie znalazła wsparcia amuletu.

Anaid, nie zwlekając, skrzesała ogień. Wiedziała, że to najtrudniejsza część zadania, albowiem zajęta hubką i krzesiwem nie mogła odpiierać ewentualnych ataków Elżbiety. Przewidziawszy to jednak, wyczarowała między sobą a hrabiną magiczną przegrodę, która wszakże runęła w tej samej chwili, w której talizman zapłonął. Nieprzytomna z wściekłości hrabina jednym susem pokonała odległość dzielącą ją od Anaid i wymierzyła różdżkę w jej plecy.

Anaid przyjęła cios, nie zdając sobie sprawy z głębokości odniesionej rany. Atame hrabiny utkwiał bowiem w jej plecach na wysokości nerek, wbity aż po rękojęść. Jednakże Anaid nie poddała się ani nie zemdląca. Przeciwnie, bez wahania stanęła do dalszej walki. Talizman dopiero się dopalał i nie zamierzała oddać Elżbiecie nawet

jego resztek Dlatego przywołała całą swoją magiczną moc, jakże potrzebną w tej strasznej walce.

Chciała jedynie zyskać na czasie. Świadoma tego hrabina, wciąż zręczna i potężna, atakowała z rozpaczliwą furją. Mury dygotały od wyzwalonej przez obie czarownice energii, dwa ciała raz po raz uderzały o ściany.

Wreszcie Elżbieta przemieniła się w gigantycznego rysia i w takiej postaci runęła na Anaid, zwinnie unikając jej ciosów. Dziewczyna poczuła ból w ramieniu i zadrżała o swoje życie, gdy gorący oddech zwierzęcia owiał jej szyję.

Nie spuszczając z oka talizmanu, wypowiedziała zaklęcie za sprawą którego jej skóra zgrubiała i stwardniała, upodabniając się do skóry nosorożca.

Hrabina zorientowała się zbyt późno, że jej pazury już nie robią wybrance większej szkody. Anaid tymczasem wyczarowała magiczną sieć, która oplótła rysia, przy każdym jego ruchu zaciskając się mocniej.

Komnata wibrowała od napięcia. Elżbieta, wróciwszy do ludzkiego kształtu, wydała z siebie krzyk tak straszny, że popękały wszystkie szkła w zamku, a przerażona służba pozatykała uszy. Z talizmanu niewiele już zostało i hrabina zbierała ostatnie siły.

Nad Cachtice nadciągnęła znieenacka potworna burza. Chmury znad całych Karpat, gęste i groźne, zebrały się pospiesznie nad zamkiem, zamieniając popołudnie w głęboką noc. Lodowaty deszcz lunął strumieniami, błyskawice i grzmoty następowały jedno po drugim. Wezbrane potoki rozsadziły skuwający je dotąd lód i wystąpiły z brzegów, unosząc ze sobą wszystko, co znalazło się na ich drodze. Jeszcze wiele lat później okoliczni chłopcy wspominali ten kataklizm, który wielu pozbawił dachu nad głową i całego dobytku.

A Elżbieta Batory wciąż nie potrafiła poradzić sobie z Anaid.

–Nieeee! Nieeee! – ryczała, miotając się wściekle.

Bo oto jej moc ulatniała się jak dym z dogasających resztek talizmanu. Anaid wytrzymała ból w plecach, dopóki po medalionie nie został sam popiół.

Dopiero wtedy wyrwała z ciała różdżkę hrabiny, stwierdzając z przerażeniem, że została naprawdę ciężko ramiona. Ale rozdarta tkanka zrosła się w mgnieniu oka. Zdumiona hrabina złapała się za głowę.

–O, nie! Anaid nie bardzo rozumiała, co się dzieje.

–Jak mogłam dać ci się napić z zakazanego pucharu?! – zawodziła Elżbieta, doskonale znając źródło regeneracyjnych możliwości wybranki.

Anaid, nie zwracając na te słowa większej uwagi, uznała że pora dokończyć dzieła, i jednym zaklęciem unieruchomiła hrabinę na dobre. Sama zdumiała się własną potęgą. Pozbawiona talizmanu Elżbieta Batory nie mogła się z nią równać.

–Wracaj do Mrocznego Świata, gdzie twoje miejsce! Skazuję cię na uwięzienie w tym strasznym królestwie do czasu, aż sama tam zstąpię, by pokonać cię powtórnie!

Te słowa sprawiły, że hrabina po prostu się rozplynęła. Anaid chętnie kazałaby jej drożej okupić wszystkie popełnione okrucieństwa, ale mimo szczyrych chęci nie

miała odwagi zbyt ingerować w przeszłość. Musiała zadowolić się tym, że otworzyła sobie furtkę do uwolnienia Criseldy i Eleny. A także do odzyskania berła.

Mogła być z siebie zadowolona, a jednak wcale nie była. Mogła gratulować sobie zwycięstwa, a jednak zamiast słodczy triumfu smakowała gorycz porażki.

Zmęczona i smutna przysiadła u boku Dacii. Urszuli wystarczyło jedno spojrzenie, by zrozumieć, że talizman przestał istnieć. Podniosła się, nieśmiało musnęła dłonią włosy Anaid, a następnie przyklękła przed nią i z wdzięcznością ucałowała jej dłonie, powtarzając słowa podziękowań tak wiele razy, że Anaid zakręciło się w głowie. Potem dźwignęła się na nogi, ujęła jej rękę i przesunęła ją po zranionej piersi Dacii. I ku zdumieniu Anaid rana zamknęła się i natychmiast zabiłżniła. Chwilę później policzki Dacii poróżowiały, dziewczynka otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

Przepiękny motyl jej uśmiechu sprawił, że Anaid odczuła wielką ulgę.

–Czy ja ją ożywiłam? – spytała jednak z niepokojem.

–Nie, tylko uzdrowiłaś. Nie była martwa.

Dacil objęła ją chudymi ramionkami i ucałowała.

–Och, Anaid, jak to dobrze, że żyjesz...

–Pewnie, że żyję. Dzięki tobie zresztą. Masz kamień? Okazało się, że Dacii ukryła go na wszelki wypadek w starej kuchni. Natychmiast wysiały tam posługacza, Urszula zaś podała im posiłek.

–Pochodzicie z daleka? – odważyła się wreszcie zapytać.

–Z przyszłości odległej o czterysta lat – odparła Anaid.

–Przykro mi z powodu twojej córki. Naprawdę nic nie mogłam zrobić – dodała,

**spuszczając powieki. – Urszula wzięła ją za rękę.**

**–Nie zadręczaj się tak. Los Dorizki przypieczętowany był od dawna. Miała lekką śmierć, nawet nie zauważyła, że umiera. Sama się o to postarałam. Nic więcej nie dało się uczynić.**

**Anaid poczuła, że zalewa ją fala współczucia, i po raz pierwszy spojrzała Urszuli w oczy. I to był błąd. Dłoń Omar stężała i odsunęła się gwałtownie. Urszula zerwała się nogi i zapytała ze zgrozą: – Piłś z pucharu, który podała ci hrabina? Anaid zwlekała z odpowiedzią.**

**–Piłś? Chciała zaprzeczyć, ale nie potrafiła.**

**–Nic wiedziałam, co w nim jest... – wybełkotała. Urszula zaszlochała, rwąc włosy z głowy.**

**–Nie! Nie! Dlaczego? Spełniło się przekleństwo Odi! Anaid zmartwiała.**

**–Przekleństwo Odi? Urszula odskoczyła od niej jak od trędowatej.**

**–Anaid, ty, wybranka, jesteś odtąd przeklęta.**

**Młoda Inuitka przerwała pracę, upuściła skrobaczkę do wyprawiania skór i podniosła ręce do piersi, zupełnie jakby niewidoczny sztylet wbił się jej między żebra.**

**Ból stopniowo łagodniał, aż ustąpił zupełnie. To musiał być sygnał, na który czekała. Pojęła to, gdy podniosła wzrok i w oddali, na horyzoncie, dostrzegła sylwetkę niedźwiedzicy.**

**Tej nocy, w swoim igloo, rozpostarła na podłodze skórę wydry i rzuciła kośćmi wieloryba, które zawsze nosiła w skórzanym woreczku należącym kiedyś do jej babki, wielkiej czarownicy Sarmik. Po niej właśnie odziedziczyła imię, moc i ten niewielki woreczek z magicznymi kośćmi pozwalającymi odgadnąć przyszłość.**

**Matka, Kaalat, stała obok w milczeniu. Choć wiedziała, że oto nadszedł moment pożegnania, pragnęła go jeszcze w miarę możliwości odwlec. Żadna chwila nie była dobra, by pozwolić odejść ukochanej córce.**

**Kości wszakże potwierdziły wyrok. Sarmik miała przed sobą długą podróż.**

**Kaalat ze spuszczoną głową przygotowała paski solonej ryby i wędzonego mięsa i starannie ułożyła je w niewielkiej torbie córki.**

**Inuici nigdy nie brali ze sobą dużo bagażu. Lotni jak wiatr, w kilka minut potrafili rozpocząć podróż, która miała im zająć tygodnie, a nawet miesiące. Często za cały**

ekwipunek starczał im harpun, strzelba i sieć na ryby.

Husky zawył, bardziej zresztą jak wilk niż jak pies, co pozwoliło Kaalat domyślić się obecności niedźwiedzicy.

–Matka niedźwiedzica już na ciebie czeka. Rzeczywiście. Mała niegdyś Helga przemieniła się w prawdziwą królową niegościnnej Arktyki, gdzie ośmielała się mieszkać tylko garstka Inuitów.

–Helga poprowadzi cię aż do granic obszaru zamieszkiwanego przez nasz klan. Dalej, na Alasce, będziesz musiała prosić o pomoc kobiety z klanów Foki i Wydry. Sarmik czuła, że serce pęka jej na kawałki.

–Mamo, tak mi przykro – wymamrotała, przytulając się do niej z całej siły, świadoma, że zostawiają samą w środku pustki.

–Nie martw się o mnie. Udam się do obozu letniego i zaczekam na ciebie wraz z resztą plemienia.

–Nie wiem, kiedy wrócę.

–Najważniejsze, żebyś spełniła swoją misję. Sarmik miała wątpliwości.

–Czy zawsze będę wiedziała, co powinnam robić?

–Zostałaś odpowiednio przygotowana. Diana, wybranka, i ty jesteście przecież mlecznymi siostrami. Złączonymi na dobre i na złe. Zależnymi jedna od drugiej. Ona poprowadzi ciebie, a ty ją. Słuchaj wewnętrznego głosu, ignorując fałszywe wezwania.

–Jak mam poznać, że są fałszywe? – spytała Sarmik, odnosząc wrażenie, że ugina się pod brzemieniem odpowiedzialności.

Kaalat poszperała wśród swych nielicznych skarbów i wyjęła dwa niezwykle cenne, zachowywane specjalnie na tę okazję przedmioty. Ze wzruszeniem pokazała córce piękny, ostry ulu – należący niegdyś do babki Sarmik nóż o kościanej rękojeści.

–To dla ciebie, córeczko. Używaj go właściwie, tylko do obrony, nigdy nie atakuj bez powodu. I broń życia wybranki, choćbyś musiała ryzykować własne.

Sarmik wzięła go w drżące dłonie. A chwilę później wydała okrzyk. Kaalat trzymała bowiem w rękach wspaniały naszyjnik, niepokalany w swej bieli i pulsujący mocą – potężny amulet z zębów matki niedźwiedzicy.



**Dziewczyna pochyliła się, by Kaalat mogła założyć go jej na szyję. Wyglądał olśniewająco i groźnie.**

**–Matka niedźwiedzica będzie cię chronić i osłoni przed złem. Nigdy, pod żadnym pozorem nie zdejmuj tego naszyjnika. Obiecujesz?**

**Sarmik skinęła głową, czując, jak pod wpływem dotykającego jej skóry amuletu ogarnia ją wielki spokój.**

## **Rozdział VIII**

**Nie będziesz rozpaczać Nad odrzuceniem**

**Powrót do terażniejszości okazał się prosty. Anaid i Dacii z pomocą Urszuli ułożyły magiczny krąg na polanie w karpackim lesie i oczyszczone dymem, odprowadzane kantyczkami wyśpiewywanymi przez matriarchinię Klanu Kuny, złapały zielony kamień i wskoczyły do zaklętego koła.**

**Tym razem trafiły dokładnie w to miejsce, w które chciały trafić: na ową polanę w dąbrowie, skąd wyruszyły w przeszłość żegnane przez Białą Damę. Wyczerpane i nagie dowlokły się do jaskini, gdzie Cristinę zaopiekowała się nim troskliwie – ubrała je, nakarmiła i przygotowała im miękkie łóżka, na które padły z westchnieniem ulgi, by spać przez długie godziny.**

**Po przebudzeniu stwierdziły, że są w zaczarowanym pałacu same. Olśniona Dacii biegała po pięknych komnatach, dotykając wszystkiego i wydając okrzyki zachwytu.**

**Jej zaraźliwa radość sprawiła, że również Anaid zaczęła patrzeć w przyszłość z optymizmem. Jednakże nieobecność Cristine dawała do myślenia. Czyżby babcia ją opuściła? Co z berłem? A co z Eleną i Criseldą?**

**Dacil, mimo swej uroczej spontaniczności, a może właśnie przez nią, była poniekąd zawadą. Anaid, nie chcąc, by jej przyjaciółka wypaplała Białej Damie każdy szczegół ich przygód, ubłagała ją, by zaczekała na nią w domu, pozwalając jej załatwić kilka zaległych spraw. Nie wdawała się wyjaśnienia na temat Cristinę, a Dacii nie wnikała w detale. Przyjmowała wyjątkowe okoliczności naturalnie, jak dziecko. Anaid podejrzewała, że gdyby przedstawiła jej goryla, utrzymując, że to jej babcia, Dacii ucałowałaby go, poczęstowała bananem i życzyła mu dobrej nocy. Bo doprawdy trudno było nie zadawać pytań na temat pałacu Białej Damy jego lśniących posadzek i wysadzanych klejnotami ścian. A Dacii nie pytała. Może uznała, że wybrance słusznie się należy tak wspaniała siedziba. Oraz tajemnicza babcia.**

**Anaid darzyła teraz swą pomocnicę szczególną sympatią. Dacil była taka młodzieńcza i naiwna, a do tego jednak całkiem ładna. Miała niezwykle piękną,**

smukłą, śniadą i gładką szyję. Zanim się pożegnały, Anaid osobiście zaplotła przyjaciółce warkocze.

–Mając taką łabędzią szyję, powinnaś jak najczęściej ją odsłaniać.

Dacii nie należała do osób próżnych, ale nie posiadała się z radości, że ktoś ją czesze i obdarza komplementami, tym bardziej że tym kimś była Anaid, wybranka.

Cristinę wróciła wkrótce potem i nie zdziwiła się, zastając wnuczkę samą. Miała skaleczoną rękę, nieco brudne pogniecione ubranie i dziwny błysk w oku.

–Gdzie byłaś? – spytała z niepokojem Anaid, z góry znając odpowiedź.

Cristinę jednak postanowiła najwyraźniej potrzymać ją w niepewności.

–Zacznijmy od ciebie, skarbie. Ty masz chyba więcej do opowiedzenia.

Chcę wiedzieć absolutnie wszystko, od początku do końca.

Zasiadły więc obie i Anaid zaczęła mówić. Dopiero teraz docierało do niej, jak wiele przeszła i z jakich niebezpieczeństw udało jej się wyjść obronną ręką.

Cristinę słuchała uważnie, z lekko zmarszczonym czołem, a na koniec uśmiechnęła się i uściskała wnuczkę.

–Jesteś bardzo dzielna, kochanie, dzięki tobie wygrałyśmy.

W tym momencie Anaid upewniła się w mniemaniu, że jej babka zstąpiła do Mrocznego Świata i zmierzyła się z hrabiną.

–Walczyłaś z nią? Cristinę zaśmiała się.

–Raczej z tym, co z niej zostało. A zostało niewiele. Anaid przypomniała sobie mroczną twarz Elżbiety Batory, ponure piękno

Karpat. Nie śmiała zadać najważniejszego pytania, ale Cristinę czytała jej w myślach. I – Sprawa skończona. Już po krwawej hrabinie i po jej królestwie. Nie wymagało to zresztą ode mnie żadnego wysiłku: Elżbieta była bardzo osłabiona, po prostu rozsypała się w proch.

Anaid podskoczyła z radości, – A więc Elena i ciotka Criselda są wolne!

–Wróciły do domu Eleny. Nawet nie wiedzą, co się stało. Anaid poczuła nagłą

trwogę.

–A berło?

–Ma je Elena. – Roc? – Zdrowy.

Zapytała najpierw o berło. Po raz pierwszy jej niepokój o nie okazał się silniejszy niż miłość do Roca.

–Pójdę tam. Muszę... – zamilkła zawstydzona. Bo musiała przede wszystkim odzyskać berło. Cristinę zatrzymała ją słowami:

–Anaid, poczekaj. Lepiej na razie nie idź.

–Dlaczego?

–Z wielu powodów.

Jej głos brzmiał wyjątkowo poważnie i Anaid uznała, że

babcia coś przed nią ukrywa. Ale nie chciała wiedzieć co. Nie chciała się znowu zamartwiać. Wycierpiała niemało walczyła dzielnie i spełniła swoje zadanie. Nie życzyła sobie, by coś teraz zepsuło jej radość. Pragnęła berła, pragnęła Roca

–pragnęła wreszcie być szczęśliwa.

–Musisz jak najszybciej wyruszyć na Ścieżkę Om.

Anaid poczuła gniew. Nie była gotowa, nie miała ochoty zstępować między umarłych.

–Dlaczego? Cristinę próbowała nadać głosowi jak najbardziej przekonujący ton.

–Kochanie, Baalat już zebrała siły, wkrótce znów się objawi. Jeśli jeszcze tego nie uczyniła. Pora się z nią zmierzyć.

–Nie teraz.

–Przykro mi, ale jednak teraz. Baalat również pożąda berła, niedługo zechce cię zniszczyć i zagarnąć twoją własność.

Anaid zatkała uszy. Jeszcze nawet nie odzyskała berła, a już jej grożono jego ponowną utratą.

–Zostaw mnie. Najpierw muszę je dostać z powrotem

**–Na Ścieżce Om nie będzie ci potrzebne. Co więcej, nie możesz go tam zabrać. Anaid wyrwała się próbującej ją przytrzymać Cristine gryząc ją w rękę i zwijając się jak wąż.**

**–Nic nie robisz bezinteresownie! Próbujesz mnie wykorzystać! Odwalam za ciebie brudną robotę! Może nie? Na twarzy Cristine pojawił się grymas niedowierzania.**

**–Jak mogłaś tak choćby pomyśleć? Przecież ja cię kocham.**

**–W takim razie daj mi spokój.**

**–One cię odrzuca. Poczujesz się zraniona.**

**–Kto mnie odrzuci?**

**–Anaid, w czasie podróży, którą odbyłaś, zdarzyło się coś nieodwracalnego.**

**–Co?**

**–Zmieniłaś się, już nie jesteś tą samą osobą.**

**–Wiem. – Anaid spuściła głowę. Z każdą chwilą jej niepokój wzrastał, czuła się coraz bardziej**

**niezadowolona z siebie, a zarazem ze swego losu, który zastawiał na nią kolejne pułapki.**

**–Już nie jesteś jedną z Omar. Zauważą to i odsuną się od ciebie, wykluczą cię ze wspólnoty. Anaid wyprostowała się nagle.**

**–Jesteś o nie po prostu zazdrosna! Chciałabyś mnie mieć tylko dla siebie! Żebym działała wyłącznie pod twoje dyktando! Skłóciłaś mnie z Eleną, z Rokiem, z mamą! Nawet tata mnie przez ciebie opuścił!**

**Z tymi słowy wypadła na zewnątrz, nie zważając na wyraz bólu, który ściągnął rysy Cristine.**

**–Poczekaj, Anaid, poczekaj! Nie jesteś gotów!**

**Biegła, jakby ścigał ją sam diabeł. Pragnienie, by jak najprędzej dotrzeć na miejsce, dodawało jej skrzydeł. Ani razu nie przystanęła dla zaczerpnięcia oddechu, bojąc się, że gdy trochę odpocznie, znów poczuje ten ostry ból, który przeszywał ją jak nożem. Powtarzała sobie, że chce prosić Elenę o wybaczenie, zobaczyć Roca i uściskać ciotkę Criseldę, ale w głębi duszy wiedziała, że jej niecierpliwość wynika z narastającej potrzeby dotknięcia berła. Wcześniej, gdy było daleko, nie odczuwała tego tak ostro, tak gwałtownie. Teraz – owszem. Ledwie nad sobą panowała.**

Stanęła przed domem Eleny, zziębnięta. Zapukała mocno raz i drugi, aż wreszcie drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich niewysoka, okrągła kobieta o białych włosach i dobrej, zdumionej w tym momencie twarzy.

–Ciocia Criselda! – wykrzyknęła Anaid, chwytając ją w objęcia i unosząc do góry.

–Anaid, dziecko – wykrztusiła Criselda, dusząc się w tym kurczowym uścisku.

–Niech ci się przyjrzę. – Odsunęła się, by lepiej widzieć.

–Prawdziwa już z ciebie kobieta.

Chwilę później jednak jej uśmiech zamarł na ustach, a źrenice rozszerzyły się ze strachu.

–To ty, Anaid?

–Jasne. A któż by inny? Zza Criseldy wyjrzała Elena. Nie okazała radości, wręcz przeciwnie. Jej

chłód ostatecznie położył kres hałaśliwym powitaniom.

–Wejdz – powiedziała tylko, po czym zamknęła za Anaid drzwi, które kłapnęły

jak żarłoczna paszcza. Tak przynajmniej odebrała to Anaid. Odnosiła wrażenie,

że jest powoli pożerana przez własny klan.

Elena bezzwłocznie poddała ją przesłuchaniu, traktując jak więźnia wojennego albo – gorzej – szpiega. Nie zadowalała jej żadna odpowiedź. Marszczyła brwi i chrząkała znacząco, wymieniając spojrzenia z ciotką Criselda, które wyraźnie nie wierzyła własnym uszom.

Anaid znosiła to fatalnie. Czuła się potraktowana nie sprawiedliwie, z góry odsądzona od czci i wiary. Choć nie mogła zaprzeczyć, że Elena, z którą starła się o berło i Roca, miała powody do gniewu. Ostatecznie ona, Anaid, skazała ją na pobyt w Mrocznym Świecie i naraziła na śmiertelne niebezpieczeństwo jej syna.

Ta nieprzyjemna scena trwała już od dłuższej chwili, gdy Anaid zorientowała się, że Criselda i Elena wciąż spoglądają ku oknu, jakby się czegoś lub kogoś spodziewały.

–Czekacie na kogoś? – spytała.

Nieświadomie zaczęła mówić impertynenckim tonem, Nieprzychylność

innych wyzwalała w niej agresję. Elena wykręcała nerwowo dłonie.

**–Owszem, czekamy na kogoś, kto postanowi, co powinniśmy z tobą zrobić.**

**Zabrzmiało to bardzo surowo, w głosie Eleny była Wrogość. Anaid zareagowała impulsywnie.**

**–Nie wiem, czy do was dotarło, że właśnie pokonałam hrabinę, cofając się o czterysta lat w przeszłość i niszcząc krwawy talizman. Tylko dzięki temu przestał istnieć Mroczny Świat. Tylko dzięki temu odzyskałyście wolność.**

**Odpowiedziało jej bezlitosne milczenie.**

**Anaid poczuła się jak mała dziewczynka, którą dorośli karcą wzrokiem za jakąś psotę. A spodziewała się przyjaznego uśmiechu, czulego gestu, dawnej, ciepłej atmosfery.**

**–Dlaczego traktujecie mnie jak przestępczynię? – jęknęła. Elena bynajmniej nie zmiękła.**

**–Bo w pewnym sensie nią jesteś. Złamałaś nasze prawa i popełniłaś straszliwy błąd. – Nie zamierzałam cię wysłać do Mrocznego Świata! Nie chciałam! To była pomyłka. Elena westchnęła.**

**–Wiem. Nie o tym mówię.**

**–A o czym? Elena spojrzała na nią bez krzty współczucia.**

**–Zwróciłaś się przeciw Omar, stając po stronie Odish.**

**–Nieprawda. Odish, o którą ci chodzi, to moja babcia! Ona mnie kocha! Elena spuściła wzrok. Criselda otarła łzę.**

**–Pewnie tak. Kocha cię. Pod warunkiem, że zachowujesz się jak jedna z nich. Anaid zerwała się na równe nogi.**

**Roc instynktownie zrobił krok do tyłu.**

**–Nie obrażaj się, ale kiedy cię zobaczyłem... Anaid zaczynała się niepokoić. Co chciał jej powiedzieć? Jak ją pamiętał?**

**–Kiedy mnie zobaczyłeś...?**

**–Dużo o tobie myślałem, a teraz... Podniósł oczy i Anaid dostrzegła w nich dystans.**

**–Roc? Patrz na mnie. To ja, Anaid. Daj mi rękę. Roc znowu się cofnął, unikając jej**

dotyku.

–Przykro mi, Anaid, nie wiem, co się ze mną dzieje... Czuję... jakbyś to nie była ty. To głupota, wiem...

Anaid miała ochotę się rozplakać. Gdy próbowała się do niego zbliżyć, on za każdym razem odskakiwał do tyłu.

–Nie, nie zbliżaj się, proszę. Anaid obejrzała swoje ręce i ubranie.

–O co chodzi? Stałam się trędowata?

–Nie wiem, nie umiem się opanować... Boję się ciebie wyznał w końcu, czerwony ze wstydu.

Anaid wrosła w ziemię. Ból szybko zamieniał się w złość, potężną furię, która ogarniała ją jak płomień.

–Boisz się mnie? – wychrypiała, wpatrując się w Roca płonącym spojrzeniem.

Na niebie nie wiadomo skąd pojawiły się czarne chmury, które błyskawicznie przysłoniły słońce.

–Anaid, daj spokój, błagam...

–Teraz to się dopiero przestraszysz. Patrz! Rzeczywiście, wyglądała strasznie. Wiatr rozwiewał jej włosy, jej stalowe

oczy patrzyły zimno i bezlitośnie, podobne do dwóch błękitnawych sztyletów. Uniosła ramiona, a wtedy rozpętała się burza i lunął deszcz. Błyskawice i grzmoty następowały po sobie z zawrotną szybkością.

Roc z otwartymi ustami obserwował ten niepotrzebny siły, Anaid zaś śmiała się jak szalona. A potem wypowiedziała formułę przyzywającą berło:

–Soramar noicalupirt ne litasm.

Powtórzyła ją raz i drugi. Na próżno. Berło się nie zjawiało.

Zapomniała o Rocu, burzy i całym świecie. Jak wichur pomknęła do domu Eleny, zdecydowana odebrać swoją własność. Elena przytrzymała ją tuż za progiem kuchni.

–Ani mi się waż. Zaklęłam je.

–Gdzie ono jest? Ciotka Criselda mimowolnie przeniosła wzrok na przeszkloną szafkę.

**Wyraźnie zdenerwowana Elena uczyniła to samo. Anaid już wiedziała.**

**–W szafce. Elena wyjęła różdżkę.**

**–Nie podchodź tam. Nic nie wskórasz.**

**–Ciekawe, jak mnie powstrzymasz – prychnęła Anaid z bezczelnością rzadko spotykaną u młodych Omar. Ciotka Criselda wtrąciła się łagodnie, ale stanowczo.**

**–Nie będzie musiała cię powstrzymywać, prawda kochanie? Jesteś przecież posłuszną dziewczynką, sama cię wychowywałam. Znasz prawa Omar i uszanujesz je.**

**Mówiła tak przekonująco i spokojnie, że Anaid zawahała się przez moment. Ale przemożne pragnienie drażyło ją jak czerw.**

**–Berło jest moje i zabieram je ze sobą – rzuciła w końcu robiąc krok w stronę szafki.**

**–Anaid, proszę, posłuchaj – znowu odezwała się biedna Criselda, usiłując zapobiec najgorszemu. – Nie zmuszaj nas do użycia siły.**

**Anaid jednak nie słuchała. Ledwie dostrzegalnym ruchem wyciągnęła własną różdżkę i wypowiedziała zaklęcie.**

**–Macie obie pozostać nieme, głuche i ślepe, dopóki nie rozkażę inaczej.**

**W tej samej chwili Elena i Criselda straciły mowę, słuch i wzrok i zaczęły krążyć po omacku niczym wielkie bezbronne gąsienice.**

**Anaid zdecydowanie podeszła do szafki, ale gdy wyciągnęła ku niej rękę, powstrzymał ją znajomy głos:**

**–Nie rób tego, Anaid, nie rób tego.**

**Zastygła wstrząśnięta. Bo ów głos nie należał do Eleny ani do Criseldy. Trudno było w to uwierzyć, ale należał do... Obróciła się i oto miała ją przed sobą: tę, na którą czekały.**

**Miała przed sobą swoją matkę, rozczochraną, w podartym ubraniu i zabłoconych butach, z brudną twarzą. Dłonie Selene były zaciśnięte w pięści, oczy twarde. W pojedynkę przebyła góry, gubiąc się niezliczoną ilość razy Wspięła się na skały, zsuwała po zboczach, pokonywała strumienie i doliny, prac bez wytchnienia do**



przodu, niebaczna na strach i zmęczenie. Nocami bała się jeszcze bardziej i leżała bezsennie, błagając Demeter o opiekę, marząc mimo woli o ciepłych ramionach Gunnara i o swojej małej córeczce, którą mogłaby usypiać w rytm kołysanki.

Zaledwie przed kilkoma godzinami skontaktowała się z nią Elena, by przekazać jej straszną wiadomość. Anaid była zgubiona. Selene czuła tylko jedno: bezradną rozpacz. Zawiodła swoją córkę.

Otworzył jej przerażony Roc, który teraz trzymał się kilka kroków z tyłu.

–Selene! – wykrzyknęła Anaid, rozdarta między radością a wyrzutami sumienia, niepewna, czy może się przytulić, czy też zostanie odrzucona.

Spróbowała jednak, a Selene przyciągnęła ją i z całej siły objęła. Tę krótką chwilę szczęścia zakłócił wszakże Roc, który ze zdumieniem podszedł do Eleny.

–Mamo? – spytał, obserwując jej niepewne i absurdalne ruchy. – Mamo?

Słyszysz mnie?

Było oczywiste, że Elena nie słyszy go ani nie widzi, lecz Roc, chwytając ją za rękę, powtarzał:

–Odpowiedz, mamo! Proszę, odezwij się!

Anaid poczuła w żołądku próżnię, która zdawała się wsysać resztki spokoju.

–Co ona ci zrobiła?! – krzyknął Roc, wpatrując się w puste oczy Eleny.

Selene odsunęła Anaid i zerknęła na Elenę i Criseldę. Potem Anaid

poczuła na sobie jej oskarżycielskie spojrzenie i zaczęła się usprawiedliwiać.

–Chciały mnie zaatakować, zniszczyć, musiałam się bronić! Roc, omijając ją wzrokiem, zwrócił się do jej matki.

–Zrób coś, Selene, błagam. Zrób coś z Anaid. Ona nie jest już sobą. Nie jest sobą.

Selene wolno pokiwała głową.

–Wiem. Nie martw się. Musisz teraz odpocząć.

I Roc, pod wpływem tego zaklęcia, po prostu ułożył się na dywanie i zasnął. Anaid popatrzyła na matkę wyzywająco.

**–Co to ma znaczyć? Dlaczego niby nie jestem już sobą? Ty też się mnie boisz? Selene spuściła powieki.**

**–One nie miały odwagi ci tego powiedzieć.**

**–Czego?**

**–Ten obowiązek spoczywa na mnie jako na twojej matce.**

**–Mówisz tak, jakby chodziło o wyrok śmierci. Selene podniosła oczy. Na tym polegała wyższość bycia matką: matka mogła patrzeć córce w oczy i kochać ją mimo strasznej prawdy.**

**–Już nie jesteś Omar... Anaid zbladła.**

**–To kim jestem? Jakimś potworem? Selene załamującym się głosem odparła:**

**–Napiałś się z zakazanego pucharu i spadło na ciebie przekleństwo Odi.**

**Anaid poczuła, że drżą jej nogi, zupełnie jakby zaczynało się właśnie**

**trzęsienie ziemi. Nie chciała wiedzieć nic więcej, mimo to cichutko spytała:**

**–Kim w takim razie jestem?**

**–Jesteś nieśmiertelną Odish. Naszym wrogiem.**

**Krzyk Anaid przebił się przez ciszę spowijającą uszy Criseldy i Eleny. Zakłęcie przestało działać.**

**Obie kobiety rozejrzały się z niedowierzaniem, a ich usta odzyskały zdolność artykułowania dźwięków.**

**–Już wie? – zapytała Elena, wstrząsając się lekko. Anaid jednak nie zamierzała się pogodzić z tym, co usłyszała.**

**–To nieprawda. To nieprawda, co mówicie. Selene wyciągnęła ku niej rękę, ale nawet ona uczyniła to z wyraźnym trudem.**

**–Tchórz! – rzuciła jej w twarz Anaid.**

**Po czym całą mocą skoncentrowanej w sobie magii otworzyła szafkę, chcąc odzyskać wreszcie berło. Lecz szafka, ku jej zdumieniu, okazała się pusta. Elena zmieniła się na twarzy. Berła nie było.**

**–Okłamałaś mnie! – syknęła Anaid do Eleny.**

**–Nie. To niemożliwe. Zostawiłam je tutaj. Jeszcze niedawno tu było. Criselda z rozpaczą zajrzała do szafki.**

**–Też je widziałam. Sama pomagałam rzucić ochronne zaklęcie. Potem nagle wyjęła z szafki pogniecioną kartkę, zapisaną dziwnymi znakami.**

**–Skąd to się wzięło?**

**Kredowobiła Elena wyrwała jej papier z rąk. – To znaki fenickie. Selene znała je doskonale. Przed piętnastu laty natknęła się na ten sam krwawy podpis. Podniosła dłoń do ust.**

**–Baalat. To podpis Baalat.**

**Anaid straciła głowę. Baalat miała jej berło, a ona sama stała się Odish.**

**Odrzucona przez klan była wyrzutkiem. Nie przynależała już nigdzie. Matka się jej bała, podobnie jak Roc i Criselda, Elena jej nienawidziła, Cristine ją wykorzystywała.**

**Nie potrafiąc nad sobą zapanować, osłoniła się magiczną barierą i rzuciła biegiem w stronę lasu, do swojej jaskini.**

**W połowie drogi przysiadła na jakimś kamieniu i wybuchła rozpaczliwym łkaniem, wywołując przestraszenie małych łasic, które w norze obok czekały na matkę. Ta zaś, nie mając odwagi się zbliżyć, przycupnęła za pobliskim krzakiem. Anaid poczuła się wielkoduszna.**

**–Nie zrobię ci krzywdy – powiedziała w języku łasic. Zdumiona łasica milczała.**

**–No, rusz się, uspokój jakoś te małe. Straszne z nich beksy. Łasica pospiesznie spełniła polecenie. Wylizała swoje dzieci, nakarmiła je**

**i uśpiła, a następnie odważnie wróciła do Anaid.**

**–Dziękuję. Anaid wciąż bezsilnie siedziała na kamieniu.**

**–Pomożesz mi? Pobiegnij do Białej Damy i powiedz, że tu jestem i jej potrzebuję. Łasica zadygotała.**

**–To niemożliwe.**

**–Dlaczego?**

**–Bo Biała Dama opuściła okolicę.**

**–Pewnie niedługo wróci...**

**–Nie, raczej nie. Słyszając to, Anaid wpadła w prawdziwą rozpacz.**

**Łasica miała rację. Jaskinia nie przypominała już zakłętego pałacu -wróciła do dawnej postaci. Znow była ciemna, zimna i ponura. Anaid wzdrygała się raz po raz, wlokąc się przez wilgotne korytarze. Nic pojmowała, jak mogła uważać miejsce za swoją kryjówkę, i to przez wiele lat, od czasów gdy jako dziecko trafiła tu dzięki Demeter.**

**Znalazła jednak swoje klejnoty. Czekwały na nią jak pożegnalny podarunek od babci. Wyjęła z kuferka szafirowy naszyjnik, bransoletę z turkusami i ametystową broszę. Założyła je i poczuła się cudownie bezpieczna. To złudne wrażenie nie trwało jednak długo. Gdy żadna widoku swojego berła zapytała o nie jezioro, na nieruchomej powierzchni ukazał się jedynie obraz ciemnej, ukrytej nie wiadomo gdzie skrzyni.**

**Po raz pierwszy zrozumiała, czym jest prawdziwa samotność. Bo była absolutnie i nieodwołalnie sama, odgradzona od własnej społeczności nieprzebytą barierą. I miała przed sobą samotną, choć pełną chwały ścieżkę. Taka była cena potęgi. Pobierana w walucie obowiązującej w królestwie wybranki.**

**Po zmroku do jaskini wślizgnął się giętki cień. Anaid, która czuwała z atame w dłoni, gotowa się bronić, natychmiast chwyciła intruza za włosy i przyparła do ściany.**

**–Nie, Anaid, nie! Proszę!**

**Była to Dacii.**

**Z jej szyi, draśniętej przez atame, sączyła się krew.**

**–Przykro mi – szepnęła Dacii. – Nie chciałam cię przestraszyć, tylko pocieszyć.**

**–Już wiesz? Wiesz, kim jestem? Albo czym? – wybuchnęła Anaid. Dacil wzruszyła ramionami.**

**–Podglądałam was i wiem wszystko. Ale nie boję się ciebie. Ja cię kocham.**

**I mocno się do niej przytuliła. Anaid uspokajała z wolna. Zamyślona,**

**palcem wskazującym łagodnie otarła czerwoną kroplę, która spływała po szyi Dacii. Była to gęsta, świeża krew, bardzo apetyczna i odżywcza.**

**Anaid popatrzyła uważnie na młodą Omar, na jej piękny, nieco niepewny uśmiech. Potem mocno ją do siebie przycisnęła, czując ciepło jej kruchego ciała, pulsowanie jej krwi... Krwi... Krwi Omar... Ona, Anaid, łaknęła tej krwi.**

**–Idź stąd! Idź! – krzyknęła przerażona, odpychając Dacil. – Wynoś się, nie chcę**

**cię nigdy więcej widzieć!**

**Własnymi rękami odpychała jedyną osobę, która z własnej woli trwała przy jej boku. Jedyną osobę, która bezwarunkowo ją podziwiała i umiała ją kochać bez zastrzeżeń. I Dacii, ze złamanym sercem, wybiegła z jaskini, by zniknąć w ciemnościach.**

**Czując, że sięgnęła dna, Anaid zapragnęła umrzeć. Dlatego z wdzięcznością powitała obecność ciemnego węża o śliskim ciele i rozdwojonym języku. Dlatego z pogodną melancholią przyjęła krótkie i bolesne ukąszenie. I czekała na śmierć. Daremnie.**

**Rana zaczęła ropieć, zatruta krew rozeszła się po organizmie, ten jednak szybko wyprodukował antidotum zwalczył jad i zregenerował siły.**

**Anaid z niedowierzaniem poruszyła ramieniem, jeszcze przed chwilą napuchniętym i zdrętwiałym, i stwierdziła, że ma się całkiem dobrze.**

**Wiedziała, że wężem była Baalat, a zaaplikowana przez nią dawka trucizny zabiłaby konia. Tyle że Baalat nie wiedziała, że ona, Anaid, nie jest już zwykłą, śmiertelną. Omar.**

**Że została przeklęta przez Odi.**

**Że dała się opętać berłu, popełniła dwa z wymienionych w proroctwie błędów i zamieniła się w Odish. Że stała się nieśmiertelna.**

**Dwaj mężczyźni czekali na nią na drodze. Już z daleka usłyszeli warkot skutera, uśmiechnęli się do siebie i wymienili ustalony sygnał. Młodszy,**

**niepełna dwudziestoletni, wyciągnął się na ziemi koło sań. Drugi rzucił na śnieg część ekwipunku, po czym znieruchomiał, udając nieprzytomnego. Zamykając oczy, zacisnął palce na strzelbie.**

**Sarmik sprawnie prowadziła swój skuter śnieżny. O tej porze, gdy nad Arktykę zstępował magiczny zmierzch, a biel i lęk mąciły rozum wędrowcom, niebo połyskiwało tysiącem odcieni fioletu. Dziewczynie towarzyszył tylko piękny husky o inteligentnych błękitnych oczach.**

**Najpierw sądziła, że sanie przed nią jadą po prostu bardzo wolno. Wkrótce jednak zorientowała się, że coś się siało. I rzeczywiście, gdy się zbliżyła, ujrzała leżącego na ziemi mężczyznę i rozsypane wokół pakunki. Wypadek? Psy zaprzęgowe czekały, ale nie wyglądały na wygłodniałe czy specjalnie przestraszone.**

**Mimo obaw zatrzymała skuter. Mieszkańcy Arktyki nie zostawiają ранego na drodze – to bardziej kwestia przetrwania niż moralności. Nie zwróciła uwagi na**

drugiego z mężczyzn, leżącego w saniach, na wpół ukrytego wśród skór.

Gdy uklękała nad leżącym chłopakiem, ten szybkim gestem ręki unieruchomił jej ramię. W tej samej chwili otworzył oczy i zawołał. Po szczęku broni gdzieś za plecami Sarmik poznała, że ktoś do niej mierzy.

–Nie ruszaj się.

Zaniemówiła, rozumiejąc już, że wpadła w pułapkę. Bandyci często nabierali w ten sposób nieostrożnych podróżnych. Tych dwóch jednak zapomniało o psie. Husky skoczył na tego, który przytrzymał Sarmik. Jedno ugryzienie starczyło, by ją puścił. W tej samej chwili huknął strzał i kula przeleciała tuż koło psiej głowy.

–Spokój, Teo, spokój!

Teo był wnukiem Lei, pięknym trzyletnim psem, potomkiem jej syna Victora. Sarmik sama wychowała swego ulubieńca. Towarzyszył jej wszędzie niczym cień, strzegąc jej jak kiedyś babka i ojciec. Złapała go teraz mocno za obroź i zamknęła dłoń na wyszczerzonym niebezpiecznie pysku.

–Nic wam nie zrobi, nie zabijajcie go, proszę – powiedziała.

–Przywiąż go! – rozkazał ten ze strzelbą, chyba szef. Usłuchała, drżąc o życie Tea, a potem z rękami w górze podeszła do mężczyzn.

–Weźcie pieniądze, jeśli chcecie, ale zostawcie mi jedzenie. Podróżuję sama. Zaśmiali się.

–Ładny skuter – pochwalił młodszy, głaszcząc miękkie siodełko.

–Nie trzeba go karmić rybami – dodał drugi.

–I jest bardzo aerodynamiczny. Sarmik zadrżała.

–Chętnie bym go wam podarowała, tyle że muszę jak najszybciej przejechać Alaskę.

–Narzeczony czeka, co, mała?

Sarmik cofnęła się trochę. Nie podobał jej się ten ton.

–Nie dotykaj mnie.

Teo zawarczał i szarpnął się wściekle, kiedy młodszy z bandytów uniósł dłoń i zerwał naszyjnik zdobiący szyję Sarmik.

–Piękna rzecz. To prawdziwe niedźwiedzie zęby? Dostałaś od chłopaka? Drugi

zarechotał.

–Jasne, dlatego tak się spieszy, żeby go znowu zobaczyć.

Gdy jednak oderwali wzrok od naszyjnika, obaj wydali mimowolny okrzyk przestachu. Zależniona jeszcze przed chwilą dziewczyna zmieniła się nie do poznania. Jej oczy o rozszerzonych źrenicach patrzyły, nie widząc, usta wykrzywiały okrutny grymas, a od całej postaci biła niezłomna siła, determinacja nieskończenie przewyższająca ich własną. Sarmik pewnym głosem wypowiedziała dziwne słowa:

–Orre ertecr saralufom.

I broń w rękach jednego z napastników zamieniła się nagle w wijącego się węża. Mężczyzna odrzucił go ze wstrętem. Wąż upadł między psy, które zaszczekały szaleńczo i rzuciły się na swą ofiarę, rozszarpując ją i walcząc polykane bez gryzienia kawałki.

Potem z rosnącą zgrozą bandyci ujrzeli, że ich psy przyjmują postać węży o psich głowach, zwinnie wysuwają się z uprzęży i atakują swych panów.

Ogarnięci paniką mężczyźni rzucili się do chaotycznej ucieczki. Jednak coraz to nowe psy-węże zastępowały im drogę, zmuszając ich do odwrotu. Po dłuższej chwili, zziębnięci, musieli uznać, że zostali otoczeni.

Monstra zacieśniały krąg. Z ich pysków dobywał się ogień, który osmalił włosy i brwi przerażonych bandytów. Psy-węże łakomie kłapały zębami, ich połyskliwe ciała zaczynały oplatać nogi skamieniałych ze strachu nieszczęśliwców, pojmujących stopniowo, że oto przyjdzie im zginąć w paszczach potworów stworzonych przez śmiercionośne zaklęcie.

–Litości, litości! – zawołał młodszy z bandytów.

–Zmiłuj się nad nami! – zaszlochał starszy.

–Oddamy wszystko, co ukradliśmy, tylko zachowaj nas przy życiu – obiecał ten pierwszy, który wciąż zaciskał place na naszyjniku z oprawnych w srebro zębów niedźwiedzicy.

Wszystko na próżno. W skośnych i ciemnych oczach Sarmik migotał bezosobowy gniew, nieludzkie, zimne pragnienie zemsty. Nie było tam miejsca na współczucie.

–Proszę, oto twój naszyjnik – zawołał chłopak, ciskając kosztowną ozdobę w kierunku Sarmik.

I to go ocaliło. Bo w chwili gdy Sarmik wzięła do rąk swą odzyskaną własność, koszmarne węże przemieniły się z powrotem w skomlące pokornie psy zaprzęgowe.

Sarmik założyła naszyjnik, tak jak kilka dni wcześniej uczyniła to za nią Kaalat. Zbawienny wpływ matki niedźwiedzicy zadziałał natychmiast.

Sarmik odzyskała kontrolę nad swoim umysłem i dobre instynkty. Nie pamiętała nic z tego, co zaszło.

Współczując rozdygotanym biedakom, ofiarował im nawet nieco jedzenia. Ich reakcja bardzo ją zaskoczyła. Odmawiając przyjęcia poczęstunku, dwaj mężczyźni puścili się pędem przed siebie, niepomi na swoje psy, sanie i resztę dobytku. Biegli tak, jakby ujrzeli samego diabła albo coś jeszcze gorszego.

Zdumiona Sarmik westchnęła, pogłaskała swojego przyjaciela Tea i wskoczyła na skuter.

Dziwna sprawa, myślała. Bandyti napadają ją na pustkowiu, a potem, zamiast ją obrabować, zostawiają jej sanie z całym ekwipunkiem – prezent skądinąd przydatny.

I tak jechała, nieświadoma, że jej drugie ja przyczało się i tylko czeka na okazję, by zawładnąć jej ciałem i wolą.

## Rozdział XVIII

### Nie będziesz wypowiadać zaklęcia życia

Zimną ciemność jaskini rozjaśnił blask pomarańczowy i miękki jak dojrzała brzoskwinia. Anaid zdrętwiała na całym ciele. Jej ubranie przesiąkło wilgocią bijącą ze stalaktytów i wapiennych ścian. Przeciągając się, czuła, że boli ją wszystko, nie wyłączając duszy. O ile, rzecz jasna, Odish w ogóle miały dusze.

Z dreszczem wspomniała swój koszmar. Był niezwykle plastyczny, niemal realny. Śniła jej się Dacii, biedna, wychowana bez matki chudzina, biegnąca przez dąbrowę, coraz dalej od magicznej jaskini, i zagłębiająca się w niebezpieczny gąszcz. Mchy głuzyły jej płacz, czerwone owoce jarzębiny przysłaniały jej drobną postać niczym teatralna kurtyna. Dacii przemykała się wśród cieni, aż w końcu upadła pod trującym cisem. Dygotała z zimna, strachu i samotności. Kilka razy krzyknęła: „Anaid! Anaid!” Ale Anaid, która wcześniej odtrąciła ją od swego boku, nie chciała słyszeć jej błagań. Zatykała uszy. Potem, po wielu godzinach wypełnionych słabym pochlipywaniem, do Dacii podkraść się wąż.

Przypominając to sobie, Anaid zadrżała. Baalat oplotła ciało Dacii, sięgnęła do jej delikatnej szyi i zatopiła długie, żółtawe zęby w różowej skórze. Dacii przyjęła śmierć z rezygnacją, bez walki, blednąc stopniowo jak biedna Dorizca. Życie uchodziło z niej



bezpownotnie.

Anaid dygotła z przerażenia.

Ale przecież to był tylko sen.

Niestety, jakiś wewnętrzny głos uparcie temu przeczył i mógł mieć słuszność.

Wstała na chwiejnych nogach i wyszła na zewnątrz Południowe słońce złociło korony dębów. Śpiew wróbli i kosów rozpraszał troski, lot białoskrzydłych przepiórek uspokajał. Dzień był piękny, pogodny, tchnący nadzieją i Anaid, wbrew zdrowemu rozsądkowi, próbowała sobie wmówić, że wszystko jest w porządku. Ale oto zięby podniosły żałobny lament. Orłosep szybował majestatycznie i złowróźnie, dając swoim drapieżnym braciom sygnał, że oto skryta pod cisem leży łatwa ofiara. Krogulec widział martwą dziewczynkę z góry i oplakiwał jej zgon, wspominając, jak lekko stawiała stopy. Czerwonogłowy dzięcioł pamiętał jej wesoly śpiew i zasmucił się, że już go nie usłyszy.

Anaid ruszyła przed siebie spieszonym krokiem. Spytała o Dacii świstaka, lecz on, przestraszony, umknął bez odpowiedzi. Coraz bardziej niespokojna spytała więc kreta i żabę. Z tym samym skutkiem. Wreszcie natknęła się na ryjówkę, która, widząc jej lęk, wskazała właściwe miejsce.

Przedzierając się przez gęste poszycie ku fatalnemu cisowi, Anaid podrapała sobie ręce i nogi. Na koniec uklękła, odgarnęła liście i przycisnęła rękę do piersi. Przed nią, biała i bezwładna, leżała Dacii. Nie żyła.

Na jej spuchniętej, sinawej szyi odznaczały się ślady po ukąszeniu Baalat.

Anaid objęła przyjaciółkę, z całej siły przyciskając do siebie jej zimne ciało.

I zrozumiała, że nawet Odish miewają chwile rozpacz. Bo czuła rozpacz. Rozpacz, wyrzuty sumienia albo trwogę.

Nie została przygotowana na zetknięcie ze śmiercią, zwłaszcza ze śmiercią kogoś tak niewinnego jak Dacii. Jednakże uczucia, jakich doznawała, napełniały ją zarazem dziwną dumą. Wiedziała, co to smutek, umiała płakać nad bliskimi, a więc nie była zła, okrutna ani niewrażliwa.

Stopniowo popadała w uniesienie. Dacii umarła przez nią, choć zasługiwała na lepszy los. A ona, Anaid, wybranka, którą zapowiadały proroctwa, przed którą drżały Omar i Odish pospołu, nieśmiertelna i wszechmocna, mogła przywrócić jej życie. Bo pulsowało w niej jak w przyszłych matkach, w pęczniących ziarnach, jak w samej naturze.

Podniosła wzrok i ujrzała dolinę porośniętą kosaćcami, narcyzami, orchideami i goryczką – wspaniały barwny spektakl, którego Dacii miała już nigdy nie zobaczyć. To nie było sprawiedliwe. Nie należało do tego dopuścić.

Bez trucię wzięła leciutką Dacii na rękę i podniosła ją ku słońcu, zaklinając je, by swą mocą rozgrzało krew zmarłej i na powrót rozbudziło oddech w jej piersi.

–Adir evelvu alle – powiedziała w starym języku, a gdy mówiła, głos jej schrypnął i zmatowiał.

Zamilkły kosy, kozice znieruchomiały na graniach. Góry zadrżały, gałęzie drzew zatrzeszczały, stokami ruszyły lawiny kamieni. Głuchy pomruk dobył się z gardła ziemi i zwierzęta w popłochu rzuciły się do ucieczki. Anaid podniosła ciało Dacii jeszcze wyżej i całe stworzenie ujrzało, jak słońce zniża się i muska

promieniem nieruchome oczy zmarłej. Czas się zatrzymał, serca przestały bić, soki płynąć, a motyle – machać skrzydełkami. Aż powieki Dacii zadrżały.

Jej nogi wierzgnęły w powietrzu jak nogi noworodka. Usta otworzyły się i zachłannie zaczerpnęły powietrza, pierś poruszyła się w życiodajnym oddechu, a krew jęła na nowo krążyć w żyłach, zabarwiając policzki lekkim różem.

Cud się dopełniał.

Palce zadrgały jak meduzy i zgięły się niezdarnie jeden po drugim, znów ciepłe i gotowe badać świat dotykiem, Dacii żyła. Anaid, wybranka, przywróciła ją życiu. Dziewczyna otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niej.

–Anaid... – szepnęła.

Nie zdążyła dodać nic więcej. Ziemia zatrzęsała się tak gwałtownie, że Anaid upadła, a Dacii zemdląca.

Świat dygotał w posadach i wszystko, co żyło, miało już na zawsze zapamiętać te minuty, gdy furia żywiołu ścinała stuletnie jodły, potężne buki i twarde leszczyny. Las jęczał, ziemia pękała, światło pochłonęły ciemności.

Anaid, nie wstając, przyciągnęła do siebie Dacii, która wciąż nie odzyskała przytomności, ale żyła. To wystarczało.

Mrok gęstniał, oszalałe ptaki zerwały się do lotu, zderzając się ze sobą.

Anaid wiedziała, że to wszystko przez nią. Zakłóciła porządek rzeczy i teraz natura przypominała jej o swoich prawach. Ale ona, Anaid, była przecież wybranką.

Potem w ciszy rozległo się przejmujące, złowróźbna wycie i przed Anaid stanęła szara, majestatyczna wilczyca – Demeter.

–Co ty narobiłaś, szalona dziewczyno?

–Dacii nie zasługiwała na śmierć – rzuciła Anaid, dygocąc.

–Nie tobie o tym decydować – warknęła wilczyca.

–Jestem wybranką z proroctwa – zaprotestowała Anaid, wiedząc jednak w głębi duszy, że nic jej nie usprawiedliwia.

–Wypowiedziałaś zakazane wśród Omar zaklęcie życia.

–Wiem.

–Złamałaś prawa swego klanu.

–Wiem.

–Sprzeciwiłaś się matriarchiniom.

–Wiem.

–Dlaczego?

Anaid szukała słów wyjaśnienia. Chciała powiedzieć, że kocha Dacii, że naraziła ją na śmierć, choć miała wobec

niej dług wdzięczności, albowiem dzięki jej pomocy wyszła cało z zamku Elżbiety Batory. Zaraz jednak pomyślała o wszystkich tych Omar, które patrzyły na agonie swoich córek, sióstr, kuzynek... Wszystkie one pragnęły zapewne użyć zakazanego zaklęcia. Każda z łatwością znalazłaby powód, by się do niego

ucieć. A jednak żadna tego nie uczyniła. Bo było to świętokradztwo. I ona, Anaid, właśnie się go dopuściła.

–Uległam impulsowi. Proszę, babciu, wybacz mi. Wilczyca stanęła na tylnych łapach, przednie opierając

na ramionach Anaid. Szorstkim językiem polizała policzek wnuczki.

–Nie potrafię ci pomóc, dziecko, mogę ci jedynie współczuć. Anaid poczuła, że spada jej kamień z serca.

**–Dziękuję. To był koszmar, ale na szczęście już po wszystkim.**

**Wilczyca popatrzyła na nią ponuro.**

**–Nie, Anaid. Mylisz się. Jesteś wybranką. I zostałam przeklęta przez Odi. Robiąc to, co właśnie zrobiłaś, wypełniłaś przepowiednię. Serce podeszło Anaid do gardła.**

**–Co to właściwie znaczy?**

**–To znaczy, że Omar podejmą walkę, by cię zniszczyć, a Odish zechcą cię uczynić królową, by następnie odebrać ci berło. Anaid przestawała cokolwiek rozumieć.**

**–I co się stanie?**

**–Umrzesz – rzekła po chwili milczenia Demeter. Pod Anaid ugięły się nogi.**

**–Ale przecież... jestem nieśmiertelna.**

**–A jednak Odi wyraźnie zapowiedziała twoją śmierć.**

**–Więc nie ma dla mnie ratunku? – jęknęła Anaid.**

**–Nie. Anaid najchętniej by się rozplakała, ale jakoś nie mogła. Czuła strach, a zarazem niedowierzanie, podobnie jak wtedy, gdy rozmawiała na ten sam temat z Cristinę.**

**–Czyli... Bez względu na to, co zrobię, i tak umrę?**

**–Patrzysz na to ze złej perspektywy – skarciła ją Demeter. – Pamiętaj, że wciąż możesz pomóc Omar.**

**–Przecież jestem Odish.**

**–Niewykluczone.**

**–Jak to?**

**–Sama musisz zdecydować, kim jesteś.**

**–W jaki sposób?**

**–Przede wszystkim staraj się odróżniać rzeczy ważne od mniej ważnych. Do tej pory nie bardzo ci to wychodziło.**

**–Nikt mnie tego nie nauczył.**

**–Uczymy się przede wszystkim sami. Na własnych błędach.**

**–Gdybym miała berło... ono rozjaśniłoby mi w głowie.**

**–Jesteś pewna?**

**–Muszę pokonać osobę, która je ma. Czyli Baalat.**

**–Jesteś pewna?**

**Nie, Anaid nie była już pewna niczego. Ale próbowała myśleć rozsądnie. Po pierwsze, należało wyeliminować Baalat, najgorszą, najniebezpieczniejszą nieprzyjaciółkę, która wyrządziła jej dotąd najwięcej zła i która prędzej czy**

**później mogła zniszczyć ją samą i resztę Omar. Po drugie, Baalat miała jej berło. Albo może odwrotnie: po pierwsze, miała jej berło, a dopiero po drugie... wszystko inne.**

**Widząc, że Demeter zaczyna się oddalać, Anaid pobiegła za nią, zostawiając wciąż zemdloną Dacii na ziemi.**

**–Poczekaj, Demeter, nie opuszczaj mnie! Czy mam zniszczyć Baalat? Tak?**

**Mam zstąpić na Ścieżkę Om? Powiedz!**

**Kiedy jednak położyła dłoń na szarym grzbiecie wilczycy, ta ją ugryzła. Niezbyt mocno, to było tylko ostrzeżenie. Anaid cofnęła rękę, zdumiona. Z małej ranki wypłynęła kropla krwi. Potem wilczyca znikła wśród drzew. Anaid została sama.**

**Nikt jej nie bronił, nikt się o nią nie troszczył, nikt nie mógł nią pokierować. Rozpłakała się.**

**Od kogo miała spodziewać się rady? Pomocy w rozróżnianiu zła od dobra, tego, co ważne, od tego, co mniej ważne? Czy nikt nie pamiętał, że jest zaledwie piętnastolatką? Której w dodatku grozi rychła śmierć.**

**Co ciekawe, pewność, że wkrótce umrze, przerażała ją znacznie mniej niż świadomość popełnionych błędów. Zapewne dlatego, że w swej kondycji śmiertelniczki nie różniła się od innych ludzi. Nie mogła sobie natomiast darować, że z własnej winy została wykluczona z grona Omar, odepchnęła matkę i straciła ojca. Odwróciły się od niej nawet babcie.**

**–Anaid, musisz się zdobyć na odwagę. Masz w sobie siłę niedźwiedzicy i wilczycy.**

Ten głos rozbrzmiewał gdzieś w jej wnętrzu. Zimny, dochodzący z bardzo daleka. Z lodowatej bieli.

–Nie jesteś sama. Ja cię wesprę. Nie poddawaj się. Anaid otarła łzy i rozpostarła ramiona, które natychmiast zamieniły się w potężne skrzydła, zdolne przenieść ją ponad Półwyspem Iberyjskim i oceanem aż na Wyspy Szczęśliwe.

–Otóż to, Anaid. Powinnaś teraz zstąpić na Ścieżkę Om. Pokonamy Baalat. Wzbudzimy litość umarłych – szeptał głos.

Anaid machnęła więc skrzydłami i wzbiła się w niebo, żegnając znaną od dzieciństwa piękną górzystą krainę.

Dobiegło ją jeszcze czyjeś wołanie, ale je zignorowała. Kierowała się na południe. Ku magicznym wyspom Guan czów. Ku Teide, wulkanowi, którego krater stanowił bramę do królestwa umarłych. Selene nie potrafiła jej zatrzymać.

–Anaid, nie! Wracaj! – błagała.

Daremnie. Anaid była coraz dalej. Jej piękne włosy powiewały na wietrze. Zamierzała lecieć bez wytchnienia bez zatrzymywania się choćby na posiłki. Tak jak kiedyś leciała z Sycylii do Urt.

–Nie! Anaid! To pułapka! – krzyczała Selene, biegnąc, dopóki nie potknęła się i nie skręciła kostki.

Sama już nie wiedziała, co boli ją bardziej: noga czy myśl o córce.

–Anaid, nie będąc Omar, z ciężącym na tobie przekleństwem Odi, nie dasz rady przebyć Ścieżki Om! – wyszeptała już tylko do siebie, po czym legła na ziemi, całkowicie wyczerpana.

Wszystko wyszło jak najgorzej. Nie potrafiła kontrolować kierunku swego życia. Nie potrafiła zapobiec temu, by jej córka nie zboczyła z właściwej drogi.

–Anaid, lecisz w złą stronę – powtarzała, sądząc, że nikt jej nie słyszy.

–A ty? Czy zawsze leciałaś w dobrą? Zaskoczona Selene stwierdziła, że ma przed sobą matkę,

Demeter, w postaci wilczycy.

–Dzieci prędzej czy później ruszają w swoją stronę i nic nie można na to poradzić.

**–Och, mamó! Zawróć ją, bo pobłądziła!**

**–Tak już musi być. To jej życie, jej droga.**

**–A jeśli ta droga wiedzie ku śmierci? Wiesz, że jeśli Anaid zstąpi teraz do świata umarłych, już nigdy stamtąd nie wyjdzie. Nie wypuszczą jej. Jest przeklęta – rozpaczła Selene.**

**–Czego właściwie ode mnie oczekujesz? – spytała Demeter. Selene chwyciła się za głowę.**

**–Miałabym ochotę zostawić ją na pastwę losu. Zasłużyła sobie. Ale nie umiem.**

**–A więc? Selene pokręciła głową. – Nie mogę pozwolić jej umrzeć. Nie mogę.**

**–To twoja córka. Zawsze nią będzie, żywa czy martwa, Umarłych też da się kochać.**

**Selene zaszlochała rozpaczliwie.**

**–Proszę, ochroń ją jakoś. Chętnie oddam za nią życie... Powiedz to umarłym.**

**Ona jeszcze za krótko żyła, jest zbyt młoda...**

**Wilczyca zlizwała łzy z jej twarzy. – Będzie wiedziała, że może na ciebie liczyć.**

**To wystarczy.**

**Selene popatrzyła na nią uważnie.**

**–Ty bardzo przeze mnie cierpiełaś, prawda?**

**–Nigdy cię nie opuściłam.**

**Demeter mówiła prawdę. Selene zawsze czuła jej wsparcie, nawet wtedy, gdy najokrutniej ją odrzucała. Tyle, że sama nie miała tyle siły. Albo może tak jej się tylko zdawało.**

## **Rozdział XIX**

**Nie będziesz ufać czarownicy**

**Głos kobiety o bladej cerze i długiej szyi brzmiał ujmująco. Słuchaczki, zgromadzone w sali konferencyjnej eleganckiego hotelu w Veracruz, spijały mówczyń słowa z ust.**

**Ona zaś zwracała się do swego audytorium tak, jakby wszystkie siedziały właśnie**

przy kawiarnianym stoliku. Jej ton, ciepły i zachęcający, skracał dystans.

–Popocatepetl był walecznym wojownikiem, do szaleństwa zakochanym w Iztaccihuatl. Jej ojciec, zazdrosny o uczucia córki, wysłał go na wojnę do Oaxaki. Wkrótce potem piękna Iztaccihuatl otrzymała wiadomość, że ukochany poległ w bitwie. I umarła z rozpacz. Popocatepetl wcale jednak nie zginął; dopiero po powrocie, nie zastawszy Iztaccihuatl przy życiu, poszedł w jej ślady. Bogowie, poruszeni tą tragedią zamienili ich w góry pokryte śniegiem. I tak trwają do dziś. Śpiąca kobieta i męczyzna ziejący dymem.

Słuchaczki wstrzymały oddech. Mówczyni kontynuowała.

–Znajdujemy się niedaleko Popocatepetla, chciałam więc zapoznać was z tą ludzką legendą, która nam wszystkim, jak sądzę, musi się wydawać podniosłą bzdurą. Cóż bowiem cenniejszego nad życie? To jedyne, co do nas należy. Możemy zmienić pochodzenie, imię, siedzibę, a nawet kolor oczu. Tylko życie pozostaje niezmiennie, tylko ono się liczy. I zależy wyłącznie od naszej woli przetrwania. Zawsze zaskakuje mnie słabość ludzi, gotowych nim pogardzać, trawić je na błahostkach albo oddawać w służbę szlachetnych, sentymentalnych, z góry przegranych i w sumie absurdalnych spraw. Nie wątpliwie mamy szczęście. Nie jesteśmy zależne od uczuć czy namiętności. Już dawno zrezygnowaliśmy z macierzyństwa i miłości, wybierając nieśmiertelność. Dlatego tak zaciekle walczymy z czułościowymi Omar. I zwyciężamy. Dziś, gdy wybiła godzina prawdy, zgromadziłam was tutaj, by usłyszeć z waszych ust, czy jesteście ze mną, czy przeciw mnie.

Najpierw odezwały się pojedyncze głosy, a potem narastający szmer, układający się w słowa: – Z tobą...



**–Jesteśmy z tobą. – Tyś naszą królową!**

**Kobiety powstawały z miejsc, bijąc brawo. Prelegentka wciąż jednak nie była usatysfakcjonowana, uciszyła je więc gestem i zapytała:**

**–A zatem jesteście gotowe na wszystko?**

**–Na wszystko!**

**–Poszłybyście za mną na wojnę?**

**–Poszłybyśmy!**

**–Aż do końca? Bez wahania?**

**–Aż do końca!**

**–Bez wahania!**

**–Nie zamierzamy umierać!**

**–Nie znamy uczuć! Piękna dama powiodła spojrzeniem po ich twarzach: ciemnoskórych,**

**skośnookich, najróżniejszych...**

**–Przybyłyście ze wszystkich stron świata. Przybyłyście, aby ponowić swój hołd albo raczej oddać mi go po raz pierwszy. Koniec rządów hrabiny. Sama z nią skończyłam. Chcę usłyszeć**

**z waszych ust deklarację lojalności – powiedziała, patrząc ze szczególną uporczywością w stronę jednej z grup.**

**Siedziały tam akolitki hrabiny. Jedna z nich, smukłą Uriel, odpowiedziała w imieniu wszystkich.**

**–O Biała Damo, Lodowa Damo, przybyłyśmy przysiąc ci wierność, jak tego żądałaś w zamian za rozpoczęcie nowej ery w naszych dziejach. Przekonałaś nas, usłuchałyśmy, ale teraz pytamy: jaki sekret przed nami kryjesz? Co konkretnie ofiarujesz nam za nasze posłuszeństwo?**

**–Ofiaruję wam początek ery berła. Zapanowało ogólne poruszenie.**

**–Gdzie jest berło?! – wykrzyknęła wytatuowana Odisli.**

**–Gdzie Baalat?! – zawołała inna, o hebanowej skórze.**

**–Czy to prawda, że wybranką jest Ornar i że to w jej rękach znajduje się berło? – dopytywała się kolejna, malutka jak laleczka, o wschodnich rysach i okrutnym spojrzeniu, Biała Dama poprosiła o spokój.**

**–Proszę, uciszcie się. I zaufajcie mi. Wszystko jest pod kontrolą. Znowu odezwała się Uriel.**

**–Ufamy ci, wierzymy w twoje słowa, ale zrozum, że brak nam faktów. Wiesz, jak obawiamy się Baalat, która nie waha się atakować własnych sióstr. Myślimy tylko o berle, zastanawiając się bezustannie, gdzie się podziało i jak wpłynie na nasze losy. Nadejście wybranki zostało zapowiedziane. Hrabina i Baalat sprzymierzyły się, by ją zniszczyć, ale z tego, co mówisz, wynika, że się im nie udało. Czy to znaczy, że chronisz wybrankę? Wybacz moją śmiałość, ale nie możemy dłużej żyć w niepewności.**

**Biała Dama uśmiechnęła się, ukazując śnieżnobiałe zęby, i jej opanowanie udzieliło się pozostałym.**

**–Obiecuję wam, że Baalat zostanie zniszczona już wkrótce. I na zawsze.**

**–Skąd ta pewność?**

**Biała Dama uniosła dłoń i ku powszechnemu zdumieniu Pepocatepetl zagrzmiął gniewnie.**

**–Słyszycie? On potwierdza.**

**–A co z wybranką? Potoczyła po nich błękitnym spojrzeniem.**

**–Wybranką jest jedna z nas. To młoda Odish, tak mi wierna, że użyje berła wedle moich zaleceń.**

**–A jeśli nie? Biała Dama westchnęła.**

**–Dobrze znacie mój bezwzględny charakter. Moja sława mnie poprzedza. Nigdy nie puściłam płazem żadnej obelgi. Nigdy nie wybaczyłam złamania obietnicy. Sądzicie, że ulegnę młodej dziewczynie? Odpowiedziała jej wymowna cisza.**

**–A berło? – spytała z łakomym błyskiem w oku Odish o wschodnich rysach.**

**–Kto ma berło, ten rządzi. Cristine popatrzyła w jej stronę.**

**–Uszanujesz je więc? Tamta spuściła głowę. Cristinę zwróciła się do pozostałych.**

**–Czy te, które wciąż mi nie wierzą, uszanują berło? Rozległ się potwierdzający pomruk.**

**Cristine wyprostowała się z dumą właściwą tym, którzy panują nad innymi, i uroczyście pokazała zgromadzonym berło władzy. – Proszę. Jej głos wibrował mocą i Odish schyliły głowy w bezgranicznym oddaniu.**

**–Mówię wam, że wszystkie Odish z całej ziemi ulegną jego potędze, służąc jego pani. Razem wygramy ostatnią bitwę. I całą wojnę.**

**Zebrane w sali czarownicy wstały z miejsc, by uczcić owacją swą nową władczynię. Królową Odish.**

**Dla niej jednak zwycięstwo miało gorzki smak. Nadchodziły mroczne, trudne czasy.**

# Część trzecia

WOJNA

## PROROCTWO ODI

*Od wszystkich odmienna, lecz trwa ponad wszystkich,*

*w królową się zmieni, swe żądze*

*poskromi.*

*Przypadnie jej berto – jak*

*przepowiedziano,*

*dla Odish zniszczeniem,*

*dla Omar zmrocznieniem.*

*Zew serca wybranki powiedzie ku*

*prawdzie.*

*I wszystko przemoże, i wszystkich*

*pokona.*

*A triumf na zawsze jej będzie udziałem.*

### Rozdział XX Ostrzeżenia

Ciepła sobotnia noc nad morzem, u podnóża Etny, sprzyjała zabawie. W pełnym glicynii ogrodzie, pod pergolą porośniętą wesołymi bugenwillami zgromadziła się grupka spragnionych muzyki i tańca młodych ludzi.

Piętnastoletnia, śniada i śliczna Clodia wirowała pośród nich jak fryga, skacząc w rytmie rocka, akcentowanym od czasu do czasu śmiechami przyjaciół, i wyczuwając popychające ją lekko dłonie. Na koniec, gdy zakręciło jej się w głowie od słodkawego, jaśminowego zapachu, przystanęła.

**–Starczy, proszę, dosyć.**

**Dłonie odsunęły się i Clodia teatralnie opadła na trawnik, udając omdlenie, świadoma, że jej ruchy, śledzone przez wiele par oczu, powinny być w miarę możliwości eleganckie.**

**Zadanie miała utrudnione, ponieważ nic nie widziała. Jej oczy zakrywała białoczerwona opaska – rekwizyt niezbędny przy tej odmianie ciuciubabki, która stała się ostatnio bardzo modna na sycylijskich imprezach urodzinowych. Teraz dopiero gra wchodziła w najzabawniejszą, wyczekiwaną przez wszystkich fazę.**

**–Gotowa? – dobiegło do uszu Clodii. Nerwowo zwilżyła językiem wargi. Była gotowa, ba, drżała z niecierpliwości.**

**–No to już!**

**Clodia rozchyliła usta, modląc się, żeby zaczął Mauro. Wtedy mogłaby się pomylić, a potem znowu i znowu, i tak przez całą noc. Poczula na twarzy przyspieszony oddech i w następnej chwili jej warg dotknęły czyjeś wąskie, zimne usta. Usta niedoświadczone, niezgrabne i nijakie. Z zawodu i wściekłości omal nie ugryzła ich właściciela. Powstrzymała się jednak w porę.**

**–Romano.**

**Rozległy się śmiechy i oklaski. Zgadła. Bez większego zresztą trudu. Tak źle całować mógł tylko ten dzieciuch, który ćwiczył co najwyżej z ekranem play station. Zupełnie zielony.**

**Chwila przerwy.**

**Teraz miała przed sobą próbę z lodami, a później znowu wyczekiwanie na swoją kolejkę. Skąd taki pech? Dlaczego ani razu nie trafiła na Maura? Przyszła na tę imprezę tylko po to, i proszę – wymieniła już zarazki z połową miejscowych nastolatków, a pociągających ust Maura nawet nie musnęła.**

**Co za nudziarstwo z tymi lodami. Zawsze zgadywała, jaki to smak, czy chodziło o melonowy, *pomodoro*, bananowy czy o stracciatellę. Była prawdziwą lodową kiperką. Wysunęła język i po jednym liźnięciu już wiedziała.**

**–Kawa i orzechy laskowe.**

**Znowu aplauz. Najwyraźniej została prawdziwą specjalistką od lodów i niewprawnych całusów. Jakiś koszmar. Już chciała wstawać, kiedy głos Maura dosłownie wbił ją w ziemię. Nie starczyło jej nawet sił, by zdjąć z oczu opaskę;**

**–Poczekaj – szepnął jej Mauro do ucha. – Zobaczmy czy teraz ci się uda.**

**Zastygła, dochodząc do wniosku, że Mauro musi klęczeć obok. Oczywiście**

**wyobraźni widziała całą scenę: ona, leżąca bez ruchu, niczym Śpiąca Królowna, i on, pochylony nad nią książę z bajki. Pochylony coraz niżej, coraz niżej, niewiarygodnie już nisko...**

**W zachwycie poczuła, jak jej warg dotykają miękkie, ale natarczywe wargi, jak zachłanny język szuka jej języka...**

**Teraz dopiero naprawdę zakręciło jej się w głowie, Śródziemnomorska noc zahuczała od dźwięku perkusji, a Mauro całował i całował, aż odezwały się okrzyki zachwytu. Clodia, niebaczna na to, że obserwuje ją wiele par zdumionych oczu, objęła Maura za szyję, oddała mu pocałunek, zaczerpnęła powietrza i zaczęła znowu. Po dłuższej chwili rozdzieliła ich jakaś zazdrośnica, harcerka z powołania.**

**–No, starczy już, starczy, bo zaraz się nawzajem podusicie. Clodia**

**oblizła usta i wciąż nie zdejmując opaski, szepnęła: – Nie zdążyłam**

**rozpoznać tego smaku... Chyba muszę spróbować jeszcze raz.**

**Anaid powiedziałyby zapewne, że tupetu jej nie brakuje.**

**I miałyby słuszność. Ale ona, Clodia, odparłaby, że trzeba kuć żelazo, póki gorące. *Carpe diem* - tak brzmiało credo, któremu pozostawała wierna. I to jeszcze jak!**

**Jej wypowiedź wywołała falę gwizdów i śmiechów. Nikt nie zamierzał dopuścić do powtórki, zwłaszcza dziewczyny, w większości zapatrzone w Maura jak w obrazek.**

**Ale Clodia jednym szarpnięciem zerwała opaskę i wstała, przytrzymując się dłoni Maura. Następnie popatrzyła na niego przeciągle, pożerając go oczyma, po czym spuściła powieki w sposób, który zawsze działał bez pudła.**

**–A ty co powiesz? Dostanę drugą szansę? Mauro był wyraźnie skłonny**

**dać jej tyle szans, ile chciała. Może zresztą przyszedł na tę imprezę z tych**

**samych powodów co ona? Tym lepiej, w ten sposób mogli uniknąć**

**nieporozumień i gry na zwłokę.**

**Schronili się za lodówką z lodami, by tam w spokoju kontynuować swoją**

**degustację. Odcinając się od reszty ryzykowali, że długo nikt ich nie zaprosi na**

żadną imprezę lecz Clodia czuła, że to jej wielki moment. Zdobyła Maura, najprzystojniejszego, najsympatyczniejszego, najbardziej seksownego chłopaka w szkole. Już nie musiała się martwić, z kim spędzi najbliższe miesiące. Poprzednio chodziła z Brunem, ale między tymi dwoma nie było nawet porównania. Mauro bił Bruna na głowę... *Tanto bello... Bellissimo...*

–Mmm – mruknęła ze smakiem. – Mieszanina słodczy i goryczy...

Śmietanka i orzechy...

Mauro pocałował ją znowu.

–Jest jeszcze coś.

Clodia z zapalem zabrała się do ustalania, co to takiego, lecz to przyjemne

zajęcie przerwał jej huk. Odległy, ale wyraźny jak smak śmietanki, orzechów i jabłek, który miała jeszcze w ustach. A jednak wyglądało na to, że nikt poza nią niczego nie usłyszał.

–Co się dzieje? – spytał Mauro, widząc, że Clodia odsuwa się od niego, cała spięta.

–Nie słyszysz?

–Czego?

–Etny. Mauro bardzo się zdziwił. Miał doskonały słuch.

–To Bryan Ferry. Clodia potrząsnęła głową.

–Mówię ci, że to Etna, nasz wulkan. Mauro uśmiechnął się.

–Słyszę cię, ale nie słucham. I znowu ją pocałował. Clodia odepchnęła go zdecydowanie.

–Poczekaj. Wysła mi wiadomość. Mauro popatrzył na nią jak na Marsjanę.

Clodia z należeniem upatrywała się W Etnę, nasłuchując. Żeby lepiej słyszeć, osłoniła stuloną dłonią ucho. Rzeczywiście, dźwięk był uporządkowany, rytmiczny. Wulkan mówił. Próbowwała go zrozumieć, w czym jednak znowu przeszkodził jej Mauro, tym razem przesuwając językiem po jej karku. Clodia bez namysłu wymierzyła mu policzek, i natychmiast tego pożałowała. Mauro skrzywił się i podniósł dłoń do twarzy.

**–Milutka jesteś, nie ma co.**

**–Prawda? Zawsze policzkuję chłopaków, którzy bardzo mi się podobają. – Clodia uśmiechnęła się, próbując obrócić całą sprawę w żart. Mauro wyglądał na zbitego z tropu. Postanowił jednak skupić się na pozytywach.**

**–Czyli ci się podobam.**

**Clodia nie zwykła tracić takich okazji.**

**–Bardzo. Tylko to wszystko dzieje się tak nagle... Tyle smaków naraz...**

**Może wrócimy do tematu jutro?**

**Mauro nie był zachwycony tym pomysłem.**

**–Nie pójdziesz sobie chyba i nie zostawisz mnie tu jak idioty? –**

**zaprotestował.**

**Dlaczego wszystko zawsze musi się tak komplikować, pomyślała Clodia.**

**–Za to będę o tobie śniła całą noc.**

**–Moglibyśmy śnić razem... Zaczynała przypuszczać, że ma do czynienia ze zbyt łatwą zdobyczą. Przywykła do twardzieli, a przynajmniej do takich, którzy zgrywali twardzieli.**

**–Chrapiesz? Mauro poskrobał się po głowie.**

**–Chyba nie.**

**–To sprawdź. Nagraj się. Jutro pogadamy.**

**Ta zawołana obietnica zawsze wywierała piorunujący efekt Mauro**

**został więc, pogrążony w niespokojnych myślach o swoim ewentualnym chrapaniu i na wpół tylko zjedzonych lodach, które zaczynały mu się rozpuszczać w rękę.**

**Clodia zaś wyszła dystyngowanie za bramę, by tam ruszyć pędem przed siebie, byle dalej od imprezowego zgiełku. Potem przystanęła, skoncentrowała się i wreszcie usłyszała wiadomość. Tak wyraźnie, że dostała gęziej skórki**

**–Anaid jest w niebezpieczeństwie, mamó – oświadczyła bez wstępów Valerii, która czytała w łóżku.**



**–Proszę?**

**–Etna przemówiła. Nie słyszałaś? Valeria zawahała się. Clodia była zbyt inteligentna, żeby ją oszukiwać. Należało jednak spróbować.**

**–Słyszałam huk, ale się w niego nie wsłuchiwałam. Byłam zajęta. Clodia zaśmiała się.**

**–Ja też, wyobraź sobie... Och, gdybym ci powiedziała...**

**–Nie, nie, lepiej nic mi nie mów. Wolę nie wiedzieć – przerwała jej ze zgrozą Valeria, przekonana, że gdyby wiedziała wszystko o wybrykach Clodii, musiałyby ją karcić jak konwencjonalna matka, a ta rola zupełnie jej nie pociągała.**

**Ich relacja opierała się na dyskrecji. Odkąd Clodia przeszła inicjację i tym samym przestało jej grozić największe niebezpieczeństwo ze strony Odish, Valeria zostawiała jej prawie pełną, choć nie całkiem pozbawioną kontroli swobodę.**

**Clodia natychmiast wróciła do głównego wątku.**

**–Aż trudno uwierzyć, że nie słuchałaś. Przecież jako matrchini Klanu Delfinicy masz obowiązek przekazywać wiadomości.**

**–Valeria zamknęła książkę.**

**–No dobra. Wszystko słyszałam. Clodia wzięła się pod boki.**

**–I...?**

**–I nic.**

**–Jak to nic? Etna ostrzega, że Anaid znalazła się w niebezpieczeństwie. Próbowalam się z nią skontaktować, ale nie odpowiada na moje telepatyczne wezwania. Jej dom stoi pusty.**

**–Etna sygnalizowała niebezpieczeństwo. O Anaid nie wspominała.**

**–Nieprawda – upierała się Clodia. – Zinterpretowałam jej wiadomość według twoich wskazówek.**

**–Musiałaś się pomylić. Clodia zaczynała się irytować. Była pewna, że racja jest po jej stronie.**

**Chcąc uniemożliwić matce powrót do lektury, krążyła nerwowo po pokoju.**

**–Więc nie zamierzasz nic zrobić?**

**–A co miałabym twoim zdaniem zrobić?**

**–To chyba oczywiste. Skontaktować się z Klanem Wilczycy. Z Selene,**

**Eleną, Karen, wszystko jedno. Zresztą ty znasz je lepiej. Ostatecznie to nie ja**

**ciągle przesiaduję na konwentach.**

**Zniecierpliwiona Valeria wstała z łóżka. Była bardzo wysportowana i opalona. W odróżnieniu od Clodii, która lubiła taniec i dyskoteki, jej matka najlepiej odpoczywała, uprawiając sport. Wy pływała łodzią daleko w morze, żeby pływać, nurkować i bawić się z ulubionymi delfinami.**

**Przeciągnęła się i na bosaka skierowała do kuchni. Lubiała chodzić boso po domu.**

**–Sama tego chciałaś: idę po królika.**

**–Teraz? – zdumiała się Clodia.**

**–Jasne. Pozbądźmy się wątpliwości od razu. Tym bardziej że jutro rano lecę na Kretę. Przez Ateny.**

**–Znowu konwent? – jęknęła Clodia.**

**–Są kłopoty. Ty też powinnaś być ostrożniejsza. Clodia posłusznie poszła za matką. Dzięki składanej o północy rytualnej**

**ofierze obie potrafiły odgadywać przyszłość oraz rozpraszać swoje i cudze wahania.**

**Valeria wróciła z królikiem i położyła go na stole. Clodia wzięła nóż i jednym ruchem poderżnęła mu gardło. Zebrały krew do srebrnego naczynia i przez chwilę uważnie ją obserwowały.**

**–Niebezpieczeństwo jest oczywiste – stwierdziła Clodia.**

**–Owszem, kochanie. Ale nadal nie wiadomo, kogo dotyczy**

**–zauważyła Valeria. – Czasy nadchodzą trudne, wiele Omar ma kłopoty. Przyjrzyjmy się jeszcze organom wewnętrznym. Gdy rozpostarły je na stole, Clodia poczuła przyływ wątpliwości.**

**Nigdzie nie widziała Anaid: ani w wątrobie, ani w śledzionie, ani w płucach, ani w sercu. Wyrocznia milczała na temat wybranki. Przesłanie było niejasne, dziwne.**

**Valeria posprzątała kuchnię, zmyła krew i schowała resztki królika do lodówki.**

**–Masz obiad na kilka dni.**

**W normalnych warunkach Clodia skakałaby z radości. Właśnie poderwała**

**chłopaka, który podobał jej się od dawna. W dodatku matka wyjeżdżała, zostawiając jej do dyspozycji dom i królika, z którego można było przyrządzić pyszną kolację dla dwojga. A jednak niepokój nie pozwalał jej się cieszyć ani snuć planów korzystania z chwilowej wolności. Dlatego Mauro wcale jej się nie przyśnił, choć gdy obudziła się o świcie, czuła w spieczonych ustach smak wczorajszych lodów.**

**Pożegnawszy się z Valeria, poszła pod prysznic. Wciąż odnosiła wrażenie, że coś jest nie w porządku. Anaid nadał nie odpowiadała na telepatyczne wezwania, w jej domu nikt nie odbierał telefonu, a Valeria nie**

**chciała nawet sprawdzić co się z nią dzieje. Co więcej, wyrocznia przyznawała jej rację. Chyba że matka specjalnie wybrała kotną samicę...**

**Podejrzenie wykiełkowało błyskawicznie. Clodia wypadła z łazienki i pognąła do kuchni, ochlapując wszystko po drodze wodą. Złapała nóż i uważnie obejrzała królika. Miała rację. To była kotna samica. Matka ją oszukała, wróżba się nie liczyła.**

**Komórka Valerii była wyłączona, jak zawsze podczas podróży. Ale Clodia i tak wolała wyjaśnić z matką wszystko Twarzą w twarz. Ubrała się pospiesznie i złapała taksówkę. Na lotnisko w Katanii dotarła niemal równocześnie z Valeria, która nie zdążyła nawet jeszcze nadać bagażu.**

**–Clodia! Co tu robisz?**

**–Okłamałaś mnie. Walizka wysunęła się Valerii z rąk.**

**–No dobrze. Okłamałam cię.**

**–Czemu? Twarz Valerii nie wróżyła niczego dobrego.**

**–Bo Anaid nie jest w niebezpieczeństwie. To ona jest niebezpieczeństwem.**

**–Nie rozumiem.**

**–Przestała być Omar.**

**–I kim się stała? Małpą?**

**–Wypełniło się przekleństwo Odi. Clodia z niedowierzaniem pokręciła głową.**

**–Niemożliwe.**

**–A jednak prawdziwe. Anaid to teraz nieśmiertelna Odish. Napila się krwi Omar, zdradziła swój klan i zdobyła berło władzy. Jest bardzo niebezpieczna.**

**–Ale przecież Etna...**

**–Etna ostrzegła nas przed Anaid. Opacznie odczytałaś wiadomość, kochanie.**

**–Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wczoraj wieczorem?**

**–Próbowałam ci oszczędzić zmartwienia. Clodia nie wierzyła własnym uszom.**

**–Anaid to moja przyjaciółka, nie mogę jej opuścić.**

**–Tamtej Anaid już nie ma. Ta nowa wygląda tak samo, ale jest kimś innym. Zapomnij o niej.**

**–Nie mogę. Jest dla mnie jak siostra.**

**–A dla mnie jak córka, ale zobowiązania wobec klanu...**

**–Mam gdzieś zobowiązania wobec klanu!**

**–Uspokój się. Zaraz się spóźnię na samolot.**

**–W takim razie daj mi pieniądze na powrót – powiedziała ze smutkiem**

**Clodia.**

**Valeria oczywiście nie miała gotówki, więc dała córce kartę kredytową.**

**–Nie zgub jej i nie daj się okraść. No, buziak. I bez głupstw.**

**Chwilę później Clodia stała na środku hali odlotów, z kartą kredytową i z wyrzutami sumienia.**

**Dzięki przypadkowi i Valerii zyskała niespodziewaną szansę.**

***Carpe diem.***

**Pomysł był szalony jak ona sama, ale stosunkowo prosty. Zamiast skierować się ku wyjściu, odczekała przezornie, aż samolot matki wystartuje, po czym ruszyła w stronę najbliższego biura podróży z zamiarem nabycia biletu lotniczego do Madrytu i autobusowego do Urt. Miała nadzieję, że starczy jej jeszcze czasu na konieczne zakupy.**

**Nagle zadzwoniła komórka.**

**–Halo?**

**–Nie chrapię. Clodia wpatrywała się przez chwilę w aparat, jakby właśnie usłyszała głos**

**ufołudka.**

**–A niech to! – syknęła. Ale zaraz potem swoim najbardziej beztroskim tonem rzuciła: – Mauro? To ty? Taka okazja! Chłopak, który całował jak anioł, dzwonił zaraz następnego dnia i... nie chrapał. Cud natury.**

**–Jesteś pewien?**

**–Całkowicie. To co? Dziś wieczorem? Miała wielką ochotę zrezygnować z podróży. Chociaż entuzjazm Maura**

**trochę ją przerażał. Czy Mauro nie należał aby do tych, co to natychmiast chcą się żenić, a potem zamykają żonę w domu, kupiwszy jej przedtem czarną chustkę?**

**Należało zachować ostrożność.**

**–Tyle że ja jadę na ślub przyjaciółki.**

**–Kiedy?**

**–Teraz.**

**–Wczoraj nic mi nie mówiłaś.**

**–Bo nie wiedziałam. Zadzwoniła do mnie rano i jestem już na lotnisku, niedługo mam samolot do Hiszpanii.**

**–Tak nagle postanowiła wyjść za mąż?**

**–Wyższa konieczność, rozumiesz. Clodia zaczęła obgryzać paznokcie.**

**–Czy ty przypadkiem nie kopiesz?**

**–Słucham?**

**–Nocami, w łóżku.**

**–No... Nie wiem.**

**–Masz psa?**

**–Nie.**

**–Kota?**

**–Moja mama ma.**

**–Weź go kiedyś do łóżka, a jeśli ucieknie, znaczy, że kopiesz.**

**Zapadła długa cisza i Clodia zaczęła się obawiać, że to już koniec – Mauro zaraz skasuje jej numer. Ale nie.**

**–Słuchaj, naprawdę ogromnie mi się podobasz... Oniemiała.**

**–Bo mam świra?**

**–Bo mi niczego nie ułatwiasz.**

**–Aha.**

**–Miła odmiana.**

**Odetchnęła z ulgą. Czyli masochista. Tym lepiej.**

**–Jeszcze ci nie powiedziałam najgorszego. Nie wiem, kiedy wrócę.**

**–Skąd?**

**–Z tego ślubu.**

**–Zaczekasz od razu na chrzciny?**

**–Niewykluczone.**

**–Clodia, proszę...**

**Wyczuła w jego tonie jakąś przesadnie słodką, drżącą jak budyń nutę. Zaraz jej wyzna miłość! Koszmar. Tylko nie to.**

**–Przykro mi, ale bateria siada. *Ciao!***

**I rozłączyła się z uśmiechem na ustach.**

**Proszę, proszę. Mauro lubił, żeby mu niczego nie ułatwiać. Doskonale trafił. Już ona tak mu wszystko utrudni, że padnie.**

**Niedługo będzie w Urt.**

**Najpierw przyjaźń, potem reszta.**

**W tym momencie wyraźnie odczuwalny wstrząs sprawił że w hali odlotów wybuchła panika.**

**Trzęsienie ziemi.**

**Zadrżała również chatka, zafalowały wody jeziora, zadygotały topole. Ściany chatki wytrzymały, ale na podłogę posypały się kawałki drewna i tynku. Jeden z nich spadł wprost na leżącego w łóżku mężczyznę, uderzając go w skroń.**

**Mężczyzna krzyknął, otworzył oczy i natychmiast poczuł ostry ból. Potarł trafione miejsce, a przesuwając dłonią po twarzy, stwierdził, że urosła mu broda. Mimo zawrotów głowy próbował się dźwignąć, ale zaraz opadł z sił i zrezygnował. Popatrzył na sufit i przez nowo powstałą dziurę zobaczył światło zmierzchu. Wpadający tamtędy wietrzyk przyjemnie muskał czoło, odświeżając zatęchłe wnętrze chatki. Słysząc też było świergot przestraszonych wstrząsem i fruujących wokół ptaków.**

**Słońce stało już nisko, intensywny czerwony blask świadczył o pięknym zachodzie, jednym z tych, które tak wspaniale jest obserwować wysoko w górach. Wraz z tą myślą wróciły inne. Zmysły leżącego wyostrzyły się nagle.**

**Ujrzał włos Selene, poczuł jej zapach unoszący się wszędzie dookoła. Wspomnienia jak przyływ zalały jego wysuszony umysł.**

**Nazywał się Gunnar, ścigał Selene, chronił Anaid i spalił samochody. Gdzie się podziała Selene? Znowu chciał wstać, ale natychmiast zrozumiał, że osłabione mięśnie prawie go nie słuchają. Mimo to podniósł się powoli i usiadł, opierając głowę o zamknięte okno. Otworzył je stopniowo i uchylił okiennice, wpuszczając więcej światła. Przy okazji zauważył, jak wychudłe jest jego ramię. Pomacał się po żebrach. Bardzo stracił na wadze i ta broda... To znaczyło, że przebywa tu już od wielu dni. Albo może nawet tygodni.**

**Wtedy za prostym, drewnianym stołem zobaczył chłopaka. Nieznajomy miał na sobie kurtkę przeciwdeszczową, polar, buty trekkingowe oraz termodynamiczne spodnie i podkoszulek.**

**–Dzień dobry – przywitał się zdziwiony Gunnar.**

**–No, wreszcie się obudziłeś.**

**–Od dawna tak leżę?**

**–Ze dwa tygodnie. Gunnar poczuł, że opanowuje go przerażenie.**

**–Żeby się nie odwodnił. Daj mi pić.**

**–Nie mogę – mruknął przepaszająco tamten. – Nawet obudzić cię nie mogłem.**

**Gunnar zrozumiał. Miał przed sobą ducha. Wstał z trudem i sięgnął po swój termos. Napił się i ożywczy płyn zwilżył mu wyschnięte gardło. Z każdym kolejnym łykiem jego organizm wracał do życia.**

**–Powiedz, przysyła cię moja matka?**

**–Owszem. Dbała o ciebie przez cały ten czas. Gunnar zerknął na swoje kościste ciało.**

**–To widać.**

**–Selene rzuciła na ciebie zaklęcie. Gunnar zaśmiał się.**

**–Selene jest genialna. Zaczął przygotowywać zupę grzybową, czując na sobie krytyczne**

**spojrzenie ducha.**

**–Bardziej odżywcza byłaby wiejska.**

**–Wolę grzybową.**

**–To zjedz kilka łyżek cukru, parę garści suszonych owoców i trochę czekolady. Od razu dodadzą ci energii Gunnar zignorował tę uwagę i mieszając zupę, rzucił**

**–Wyglądasz jak z reklamy sklepu turystycznego. W jaki sposób ktoś tak przygotowany mógł zginąć w górach? Zapomniałeś zabrać ze sobą instrukcji obsługi? Tamten milczał.**

**–Milczenie jest wyrazem potwierdzenia.**

**–Zatrujęm się w czasie wyprawy survivalowej – przyznał się niechętnie duch.**

**Gunnar zachował powagę.**

**–Pewnie grzybami?**

**–Skąd wiesz? – zdziwił się chłopak. i**



**–Poznałem po twojej niechęci do grzybów. Tamten tylko westchnął.**

**–Przeze mnie zatruł się też mój przewodnik.**

**–I to on cię przeklął?**

**–Nie. Jego syn.**

**–Syn?**

**–Miał obiecać, że po powrocie ojca dostanie nową grę komputerową. Gunnar przelał zupę do miski i zaczął studzić, mieszając. Pachniała tak**

**ładnie, że nie potrafił się oprzeć i spróbował, ryzykując poparzenie języka.**

**–Zaczynam czuć się lepiej. Jaką wiadomość przesyła mi matka?**

**–Czeka na ciebie w Veracruz.**

**–A dlaczego sądzi, że tam pojedę?**

**–Ma berło. Twarz Gunnara wyraziła zdziwienie.**

**–Co z Anaid?**

**–Podąża za berłem.**

**–Selene ją odnalazła? – spytał Gunnar.**

**–Anaid znowu jej uciekła.**

**–Nie planowała zstąpić na Ścieżkę Om? – Omar jej na to nie pozwolił. Gunnar wzruszył ramionami.**

**–Nie rozumiem, czego Cristinę ode mnie oczekuje. Nie mam wobec niej żadnych zobowiązań.**

**–Cristinę cię potrzebuje – zaprotestował duch. Gunnar dokończył zupę.**

**–Przeznacz mojej matce, że może ją odwiedzę, ale że na jej miejscu nie ufałbym swojemu synowi, to znaczy mnie, bo nie zamierzam dalej stawać między Selene a Anaid. – Przekaż jej też, żeby przypadkiem nie próbowała znowu atakować Selene. A, i że berło należy do wybranki, nie do niej. Mam dosyć jej podstępów i manipulacji, od tej pory umyłam od nich ręce. Duch uniósł dłoń, jakby prosząc o przerwę.**

**–Mógłbyś powtórzyć? Gunnar sięgnął po brzoskwinie w syropie.**

**–Najlepiej sam jej to wszystko powiem. Duch odetchnął z wyraźną ulgą. Napiwszy się jeszcze kawy, Gunnar wyszedł przed chatkę, zaczerpnął**

**świeżego wieczornego powietrza i rozejrzał się wokół, zatrzymując wzrok na resztkach swego samochodu. Nie potrafił sobie darować, że okazał się takim głupim romantykiem.**

# Rozdział XXI

## W półmroku krateru

Anaíd frunęła nad Wyspami Kanaryjskimi, które w starożytności i później, do hiszpańskiego podboju, określali mianem Szczęśliwych. Te siedem górzystych wysp chodzenia wulkanicznego, rozrzuconych jak kości po Atlantyku u gorących wybrzeży Afryki, lecz obfitujących w bogactwa w postaci żyznej ziemi, dzikiej przyrody i kolorowego ptactwa, łagodnego klimatu i źródeł krystalicznie czystej wody – stanowiło obowiązkowy przystanek dla podróżnych zmierzających do Ameryki i ładujących tu na statki bydło oraz beczułki z wodą i winem.

Podziwiała z góry gigantyczne smocze drzewa, egzotyczne palmy, fantazyjne formacje z ciemnej lawy, wiecznie zieloną roślinność i czarne plaże. Najpiękniejszy jednak był ośnieżony stożek wielkiego, liczącego niemal cztery tysiące metrów wulkanu Teide, stanowiącego wyzwanie dla praw umiaru i równowagi, emanującego siłą i zuchwale liżącego chmury. Białogłowy olbrzym górował nad poprzecinaną wąwozami okolicą. Zafascynowana Anaíd chciała się do niego zbliżyć, lecz gdy zaczęła tracić wysokość, zrozumiała, że nie jest w stanie dłużej utrzymać kierunku. Gwałtownie trzepotała skrzydłami. Na próżno. Przestała kontrolować swój lot. Potężny wulkan zdawał się ją od siebie odpychać niczym działający na odwrót magnes.

Na domiar złego na dole ogarnęła ją gęsta, biała mgła, bezkształtna, przyprawiająca o zawrót głowy pustka. Świat niknął, nasączone wilgocią ubranie utrudniało ruchy, mokre skrzydła poruszały się z coraz większym trudem. Anaíd czuła się ciężka i niezdolna do walki z tym białym żywiołem, gęstniejącym do konsystencji melasy. Nie mogła dalej lecieć. Pokonana telluryczną mocą góry, uznała, że nie ma sensu walczyć i najrozsądniej będzie zdać się na prądy powietrzne. A wtedy łagodny wiatr poniósł ją jak piórko daleko od wulkanu i mgły.

Ulegała mu, dopóki ze zgrozą nie odkryła, że pcha ją wprost do oceanu. Zaszamotała się rozpaczliwie, walcząc z nieuniknionym, ale zmęczenie zrobiło swoje i wkrótce zrezygnowała, zamknęła oczy i zemdląła, opadając coraz niżej.

Nie wiedziała, ile czasu minęło od jej upadku. Poczwała czyjeś obmacujące ją ręce i usłyszała pełne niedowierzania okrzyki. a było się czemu dziwić: ostatecznie zamiast ramion miała dwoje wielkich skrzydeł, które jednak zaczynały już zniknąć. Transformacja trwała tym razem dłużej niż zazwyczaj, ale po pewnym czasie Anaíd odzyskała zwykły wygląd, choć może była po podróży szczuplejsza, bardziej opalona, a jej włosy zeszywniały od soli i wiatru.

Wciąż nie miała siły otworzyć oczu. w pobliżu zabrzmiał przenikliwy gwizd. Z trudem

uchyliła powieki i niedaleko, wśród drzew wilgotnego, pełnego

mchów i porostów lasu, ujrzała stojącego tyłem śniadego chłopaka, który gwizdał w ciekawy sposób, przykładając stulone dłonie do ust. Jego gwizd bardziej przypominał śpiew, tak był harmonijny i zróżnicowany. Nagle chłopak urwał i zaczął nasłuchiwać. Skądś z daleka dobiegło inne gwizdanie, jak gdyby odpowiedź. Anaíd też je usłyszała. Najwyraźniej tak się tu komunikowano, bo śniady chłopak chyba pojął znaczenie przekazu i ze swobodą, z jaką inni utrzymują konwersację znów zagwizdał, tym razem inaczej. Anaíd zwróciła jednak, uwagę na kilka powtarzających się dźwięków i doszła do wniosku, że chodzi o rodzaj kodu, takiego jak język, alfabet Morse'a czy znaki migowe.

–Rozmawiasz z kimś? Chłopak odwrócił się błyskawicznie.

–Ty żyjesz! – wykrzyknął zdumiony. – I... masz ramiona.

–Jasne, przecież jestem zwyczajnym człowiekiem.

–Co to, to nie. Wcześniej miałaś skrzydła. Anaíd uśmiechnęła się, że bardzo ją to rozśmieszyło.

–Skrzydła? Dziewczyny nie mają skrzydeł.

–Ale czarownice owszem. Poczula niepokój.

–Nie sądzisz chyba, że jestem czarownicą?

–Widziałem, jak leciałaś w powietrzu i jak spadałaś, a potem, kiedy

przybiegłem, zamiast ramion miałaś skrzydła. Popatrz na swoje ubranie, całe porwane przez wiatr. Przyfrunęłaś tu, mnie nie oszukasz.

Próbowała zebrać myśli.

–Jak się nazywasz?

–Unihepe.

–Ciekawe imię.

–Oznacza tego, kto gwizdże w wąwozach. Mój dziadek i mój ojciec byli gwizdaczami i mnie też nauczyli tej sztuki.

Anaíd zrozumiała.

**–A więc... przed chwilą z kimś rozmawiałeś?**

**–Tak, z Amushaicą, przyjaciółką. Anaíd była coraz bardziej zaniepokojona.**

**–Nie mówiłeś jej o mnie, prawda?**

**–Oczywiście, że mówiłem, specjalnie ją tu wezwałem.**

**Anaíd wstała z wysiłkiem, przyjmując pozycję obronną, 'ii dawna nieużywane nogi dygotały jej mocno.**

**–Unihepe, musisz mi pomóc.**

**–Amushaica już tu biegnie, ona będzie wiedziała, co robić.**

**–Muszę tylko zorientować się, gdzie jestem, i trochę dojsć do siebie, czyli sprawdzić, czy mam wszystkie kości całe, zjeść coś i wypić.**

**–Jasne. Dlatego kazałem Amushaice zawiadomić Aretogę. Anaíd do reszty straciła cierpliwość.**

**–No nie! Postawiłeś na nogi całą wyspę?**

**–Tyko te osoby, które według mnie mogą ci pomóc.**

**–Doprawdy? Czy mam się spodziewać karetki? Zaraz tu będą lekarze?**

**Policjanci? Reporterzy?**

**–Czarownice.**

**Anaíd otworzyła ze zdumienia usta i klapnęła na ziemię. Musiała się zastanowić.**

**–Czyli uznałeś, że czarownice najlepiej poznają, co ze mnie za monstrum.**

**–Jesteś jedną z nich. Ale nie uważam was za monstra, kobiety takie jak wy istniały zawsze. Od dzieciństwa widuję, jak tańczą na leśnych polanach, zbierają zioła, leczą chorych. Czasem też latają, chociaż bez skrzydeł.**

**–Doprawdy? – powtórzyła Anaíd, żeby zyskać na czasie.**

**Chłopak mówił najwyraźniej o jakiejś społeczności Omar. A ona nie mogła ufać Omar. Była pewna, że ją odtrąca.**

**–A skąd właściwie wiesz tyle o czarownicach?**

**–Mieszkam w lesie. Anaíd znów się zdumiała.**

**–A z czego żyjesz? Polujesz? Łowisz ryby? Ścinasz drzewa?**

**–Oprowadzam turystów – pochwalił się Unihepe.**

**Anaíd rozejrzała się dokoła. Gęsty wilgotny las nie pozwalał sięgnąć wzrokiem daleko, ale dostrzegła w zboczu wzgórza otwierał się głęboki, niemal pionowy jar.**

**–Oprowadzasz ich po...? Gdzie my właściwie jesteśmy?**

**–W masywie Garajonay. Na Gomerze. Widzisz te drzewa? Takie same rosły tu już przez tysiącami lat. Podobnie jak w całej Europie w trzeciorzędzie, przed zlodowaceniami. To *laurisilva*, las wawrzynowo-jałowcowy, wilgotny, gęsty,**

**obfitujący w mchy, porosty i paprocie. Pełen gatunków endemicznych, choćby jaszczurek. Turyści to uwielbiają, bo nigdy nie widzieli niczego podobnego.**

**Anaíd była pod wrażeniem. I już rozumiała, co się stało. Nie spadła w tym miejscu przez przypadek. Odwieczny las uratował ją ze szponów oceanu.**

**–Pomóż mi wstać.**

**–Nie ruszaj się. Zaraz się tu zjawi Aremoga. Ona cię wyleczy.**

**Anaíd nie zamierzała ryzykować. Aremoga z pewnością rozpozna w niej Odish, przeklętą wybrankę, i zechce jej przeszkodzić w wypełnieniu misji. Zrobiła tajemniczą minę.**

**–Unihepe, potrafisz dochować sekretu?**

**–Jakiego sekretu?**

**–Nie mogę się spotkać z Aremoga. Jeśli dojdzie do te spotkania, jedna z nas umrze.**

**–Dlaczego?**

**–Nasze rodziny są skłócone.**

**Unihepe pokiwał ze zrozumieniem głową.**

**–Co się stało?**

**Trzeba było improwizować.**

**–Bo widzisz, łączyło nas kiedyś braterstwo krwi. Co znaczyło, że miałyśmy sobie**

**nawzajem pomagać.**

**–My, Guanczowie, też zawieraliśmy tego rodzaju przymierza przed przybyciem Hiszpanów.**

**Anaíd odetchnęła z ulgą. Trafiła do niego.**

**–Tyle że rodzina Aremogi nie dotrzymała obietnicy Kiedy moja babka poprosiła o pomoc, nie otrzymała jej. I dlatego zginęła.**

**Unihepe wyglądał na przejętego.**

**–Zerwanie przymierza krwi należy krwawo pomścić.**

**–Właśnie. Trochę to wszystko zagmatwane, ale tak już jest.**

**Unihepe najwyraźniej rozumiał ją doskonale.**

**–Za coś takiego mieszkańcy Gomery przed sześciuset laty skazali na śmierć hrabiego Hernana Perazę.**

**–I wykonali wyrok?**

**–Pewnie! Stary Hupalupa, strażnik przymierza, zlecił to Hautacuperchemu, wybrańcowi bogów, który zabił hrabiego. niedaleko stąd, w jaskini Guahedum, gdzie zdrajca przebywał akurat ze swoją kochanką lballą z wrogiego klanu.**

**Anaíd poczuła, że silne ramiona pomagają jej wstać i przytrzymują w pasie. Gdy jednak spróbowała przejść kilka kroków, krzyknęła z bólu. Prawa noga. Była złamana. jak to się stało, że do tej pory nic nie zauważyli? Unihepe pokręcił głową.**

**–Nie wygląda to dobrze.**

**Ale Anaíd nie mogła zwlekać.**

**–Wyszukaj mi prostą gałąź, usztywnimy to jakoś i samo nie zrośnie.**

**Chłopak, choć sceptyczny, usłuchał. Gdy tylko zniknął w zaroślach, Anaíd mocno potarła uszkodzoną nogę i poczuła, że kość natychmiast się zrasta. Przed Unihepe, który wrócił po chwili z gałęzią, udała jednak, że bardzo ją boli.**

**–Dobra, przywiąż mi to teraz i idziemy.**

**–Twarda jesteś.**

**Poradził sobie bardzo sprawnie, okręcając jej nogę jakimś sznurkiem. Potem podał Anaíd kij, żeby miała się na czym oprzeć. Kuśtykała przekonująco.**

**–Dasz radę?**

**–Spróbuję.**

**–Znam skrót. Dalej w jarze mam domek.**

**Złoty chłopak, doprawdy.**

**Zaczęli wolno schodzić. Nie chcąc się zdradzić. Anaíd próbowała nie stawiać prawej nogi na ziemi i dlatego i chwilę się potykała.**

**–A co właściwie zrobił ten Hernan Peraza, że go skazali?**

**–Hernan Peraza był tyranem, który się bogacił wyzyskując miejscowych. Ale szczególnie wzburzyło starszych złamanie przezeń braterstwa krwi, które zawarł z nimi jeszcze jego dziadek.**

**–W jaki sposób zawierało się taki pakt?**

**–Piło się mleko z tego samego naczynia.**

**–No tak, mleczne rodzeństwo...**

**–Tyle że Peraza został kochankiem pięknej Iballi, swojej mlecznej siostry, popełniając tym samym kazirodztwo.**

**Anaíd wzdrygnęła się. Ona również miała mleczną siostrę, bardzo, bardzo daleko, ale jednak. Czuła ją w sobie. Słyszała jej głos. Były jednością.**

**–To niezwykle stary zwyczaj... – szepnęła.**

**–A młody Hernan Peraza go nie uszanował. Sam ul prosił o śmierć i przez niego doszło potem do rzezi.**

**–Jak to?**

**–Mieszkańcy Gomery wszczęli nieudane powstanie. Na hasło „W Guahedum pękł puchar braterstwa” cała wyspa zerwała się do walki. Beatriz de Bobadilla, żona Perazy, została oblężona w Hrabiońskiej Wieży, a że była wyjątkowo zawzięta, poprosiła o pomoc Pedra de Vera i zemścili się krwawo.**



**Anaíd nie miała ochoty słuchać dalej tej historii, ale Unihepe nie dał sobie przerwać.**

**–Zabili wtedy wszystkich mężczyzn powyżej piętnastego tego roku życia, wszystkich, chłopców i starców też, bez różnicy, a kobiety i dzieci sprzedali w niewolę za grube pieniądze.**

**Anaíd pomyślała, że okrucieństwo człowieka nie ma sobie równego w całej przyrodzie.**

**Podtrzymywana przez Unihepe i zajęta opowiadaną przez niego historią, zapomniała chwilowo o swojej sytuacji. Nagle jednak stało się coś, co przywołało ją do rzeczywistości.**

**W wąwozie rozległ się gwizd.**

**Unihepe wyraźnie się zdenerwował. Zwolnił, ale nie odpowiedział. Anaíd poczuła, jak napinają się jego mięśnie. Potem gwizd się powtórzył, natarczywie, kilka razy.**

**–To one? – spytała z przestraszeniem Anaíd.**

**–Tak. Amushaica pyta, gdzie jesteśmy. Anaíd rozumiała jego niepokój. Pomagając jej, narażał się na podejrzenia.**

**–Powiedz im, że ze mną kiepsko i że potrzebuję lekarza. Zawahał się.**

**–Jeśli zagwizdzą, ocenią dystans i kierunek, a potem łatwo nas znajdą.**

**Chociaż trudno im będzie nas dogonić, bo Amushaica ma kłopoty z chodzeniem.**

**Anaíd zdziwiła się trochę, bo sama nie potrafiłaby stwierdzić, skąd dokładnie dobiega gwizd.**

**–W takim razie musisz odejść w bok, żeby je zmylić. Skieruj je w złą stronę.**

**Unihepe uśmiechnął się, uznając widać, że to dobry pomysł.**

**Odbiegłszy spory kawałek, zaczął gwizdać. Po chwili usłyszeli odpowiedź. Unihepe wrócił do Anaíd i przetłumaczył:**

**–Przekazałem im, że złamałaś nogę, że jesteśmy w drodze do szpitala i że**

**zobaczymy się w mieście.**

**–Świetnie. Wielkie dzięki. Jednakże Unihepe nie lubił kłamać.**

**–Tylko co będzie, jak mnie tam nie znajdą? Wyglądał na zdenerwowanego. Musiała go uspokoić.**

**–Tak czy owak dobrze, że im odpowiedziałeś. Kobiety są bardzo podejrzliwe, szczególnie cisza wzbudza w nich nieufność.**

**–Ale przecież skłamałem.**

**–Lepiej skłamać niż milczeć. Milczenie jest przerażające. Zawsze możesz im powiedzieć, że cię oszukałam i zaczarowałam.**

**Unihepe znów się uśmiechnął.**

**–Tak zrobię.**

**W ten sposób, uniknąwszy spotkania z miejscowymi Omar, Anaíd schroniła się w ciepłej i gościnnej chatce nowego przyjaciela, zakazując sobie chwilowo wszelki, rozmyślań. Zjadła trochę pysznego koziego sera, kilka kromek chleba posmarowanych wyśmienitą pikantną pastą nazywaną przez Unihepe *almagrote* oraz niezwykle smacznym palmowym miodem, po czym poszła spać. Obudziła się już po kilku godzinach i wykąpała w rzece. Unihepe pożyczył jej swoje ubrania, nieco za duże, ale wygodne. Anaíd czuła, że błyskawicznie odzyskuje siły. W chatce mieszkało się bardzo wygodnie, ale musiała ruszać dalej. Wracając znad rzeki, postanowiła powiedzieć o tym Unihepe, lecz gdy tylko weszła do chatki, zrozumiała swój błąd. Było jednak zbyt późno, by uciec. Ktoś wymierzył mocny cios w głowę i natychmiast wpadła w czarną studnię.**

**Gdy się ocknęła, nie miała żadnych wątpliwości. Obserwująca ją kobieta o zakrzywionym nosie i przenikliwy, oczach musiała być Aremogą. Anaíd próbowała udawać, że wciąż jest nieprzytomna, ale tamta nie dała się zwieść,**

**–Amushaica! Amushaica, chodź tu! Odzyskała przytomność!**

**Amushaica wpadła do chatki. Anaíd w pierwszej w chwili myślała, że to chłopak – śniady, miodowooki, ubrany bardzo prosto, w luźną koszulę, szorty koloru khaki oraz mocne buty, i – co uderzało najbardziej – ogolony na zero. Gładka, opalona czaszka połyskiwała w słońcu. Twarz jednak należała z pewnością do dziewczyny, tak ładnej, że jej uroda rozświetlała wnętrze chatki. Anaíd zauważyła, że Amushaica kuleje. Za nią nieśmiało wślizgnął się do wnętrza Unihepe, wzięty w dwa ognie i wyraźnie przestraszony.**

**–Cieszę się, że przyszłaś do siebie – wymamrotał. – Potem wróćę – dorzucił**

**i skierował się z powrotem do wyjścia, nie udzielając żadnych dalszych**

**wyjaśnień, zupełnie jakby Anaíd uderzyła się w głowę sama, a nie została powalona podstępny ciosem.**

**–Poczekaj, Unihepe, nie idź jeszcze.**

**–Mam coś do zrobienia – mruknął przepraszająco, spoglądając na nią**

**wymownie, co miało chyba znaczyć, że nic przeciw Aremodze nic nie wskóra.**

**Kiedy zniknął za drzwiami, Anaíd z rezygnacją przymknęła oczy, czekając, aż obezwładni ją jakieś zaklęcie. była przekonana, że Omar z Gomery skontaktowały się już z Selene, Eleną albo innymi czarownicami z Klanu Wilczycy, i że jej los, tak samo jak los Hernana Perazy, został ostatecznie przypieczętowany. Tymczasem, ku jej wielkiemu zaskoczeniu, Aremoga skłoniła pokornie głowę i odezwała się drżącym głosem:**

**–Jestem Aremoga Aythamy, córka Hermigui i wnuczka Amulagui,**

**matriarchini guanczowskiego Klanu Gołębicy.**

**Amushaica, przyzwyczajona chyba do posłuchu, nienawykła natomiast do rozmów z obcymi, uklękła obok babki i wyszeptała:**

**–Jestem Amushaica Aythamy, córka Alsagi i wnuczka Aremogi,**

**z guanczowskiego Klanu Gołębicy.**

**Anaíd przełknęła ślinę i również się przedstawiła. Ostatecznie i tak na pewno wiedziały, z kim mają do czynienia.**

**–Jestem Anaíd Tsinoulis, córka Selene i wnuczka Demeter, ze scytyjskiego**

**Klanu Wilczycy.**

**Aremoga sprawiała wrażenie rozdygotanej.**

**–Wybacz, dziecko, że cię uderzyliśmy. To niewybaczalny błąd. Bardzo nam**

**przykro.**

**Amushaica spuściła głowę i Anaíd, której wzrok spoczął na szyi dziewczyny, poczuła straszliwe pragnienie.**

**–Wszystko przeze mnie – przeproszała Amusha – Walnęłam za mocno, zawsze wszystko robię nie Pewnie dlatego, że nie chodziłam do szkoły...**

**Wyglądało na to, że wstydzi się samej siebie jak ktoś, kto wychował się z dala od ludzi i czuje się wśród nich nie na miejscu. Przywodziła na myśl leśne zwierzątko, słuchające jedynie głosu Aremogi, dzikie i niezgrabne, ale oszałamiająco piękne.**

**Anaíd nic nie rozumiała. Aremoga ujęła jej dłoń, ucałowała ją z szacunkiem i wyjaśniła:**

**–Znak wielkiej matki niedźwiedzicy. Sygnał, że masz do spełnienia ważną misję i wszystkie Omar winne są cię chronić, pomagać ci i służyć. Dotychczas widywałam taki jedynie w książkach.**

**Znak? Jaki znak? Co się działo? Anaíd przyjrzała się swojej dłoni i rzeczywiście, spostrzegła ślad wilczych zębów. Więc dlatego Demeter ją ugryzła? Żeby dać jej coś w rodzaju paszportu? Pomóc jej zataić swoją przynależność do Odish? Czy te dwie nie wyczuwały jej zapachu, nie widziały błysku nieśmiertelności w jej oczach? Te rozmyślenia przerwała jej Aremoga.**

**–W czym możemy ci pomóc, dziecko?**

**Anaíd zirytowała się nagle. Nie była żadnym dzieckiem. Dlatego, właściwie wbrew swojej woli, rzuciła wyniośle.**

**–Przede wszystkim musimy sobie coś wyjaśnić. Moja misja jest niezwykle ważna, więc nie będę odpowiadać niedyskretne pytania. Zrozumiano?**

**Na twarzy Aremogi nie drgnął żaden mięsień.**

**–Zrozumiano, dziecko.**

**Anaíd wolałaby otwarty sprzeciw. Chętnie wypróbowałaby swoją siłę. Chciała też, żeby Amushaica podniosła wreszcie powieki i popatrzyła na nią tymi swoimi pięknymi oczami barwy miodu, żeby popatrzyła na nią z oddaniem i zachwytem, jak Dácil. Aremoga, wykazując się mądrością przynoszącą zaszczyt jej imieniu, nie zrobiła jednak nic, co mogłoby podsycić gniew dziewczyny ze znakiem matki wilczycy na dłoni.**

**–Słucham cię, kochanie.**

**–Muszę jak najszybciej dotrzeć do jaskiń na Teide. Czeka tam na mnie Ariminda,**

znacie ją?

Aremoga przytaknęła.

–Naturalnie, to matriarchini Klanu Kozy. Służka wulkanu. Anaíd pokiwała głową.

–Potrzebuję jedzenia, wody i jakichś ubrań.

Aremoga skinęła na Amushaicę. Ta wszakże nie zwróciła na nią tym razem uwagi, zaprzątnięta pewną kwestią.

–Naprawdę przyleciałaś tu na skrzydłach? – wypaliła.

Anaíd wyczula w tym pytaniu tyle podziwu, że doznała dawno niedoświadczonej błogości.

–Tak, przyfrunęłam z daleka, z Pirenejów.

–Bez postojów?

–Bez. Po drodze nic nie jadłam ani nie piłam. Dlatego byłam wycieńczona.

–Unihepe mówił, że złamałaś nogę. Którą?

Anaíd, z przyjemnością udowadniając potęgę swej magii, zademonstrowała, że obie dolne kończyny ma w pełni sprawne. Amushaica zakryła usta dłonią, tłumiąc okrzyk zdumienia i podziwu.

–Wszystko z nimi dobrze!

–Wyleczyłam się sama.

–Czyli – wybełkotała Amushaica – posiadasz dar?

Aremoga uznała, że pora się wtrącić. Rozmowność jej zazwyczaj milkliwej wnuczki przekraczała wszelkie granice.

–Dość, Amushaico, daj jej spokój.

Jednakże Anaíd zignorowała ją, uśmiechając się do dziewczynki, w której oczach dostrzegła naiwne uwielbienie.

–Tak. Posiadam dar.

A wtedy Amushaica, dostatecznie wybadawszy teren, zadała pytanie, z którym nosiła się od początku.

**–To może potrafiłabyś mnie wyleczyć? Znow interweniowała zaniepokojona Aremoga.**

**–Amushaico, przestań męczyć naszego gościa. Ale Anaíd ponownie przeszła nad jej uwagą do porządku dziennego.**

**–A co ci się stało?**

**Dopiero teraz zauważyła, że Amushaica ma pod oczami głębokie cienie -rzecz nietypową u tak młodej osoby.**

**–Sama już nie wiem, co robić. Aremoga powtarza mi, żebym cierpliwie uczyła się żyć ze swoim nieszczęściem, ale ja chciałabym znowu biegać i skakać jak przed chorobą.**

**–Jaką chorobą?**

**Aremoga spiorunowała wnuczkę wzrokiem.**

**–Amushaica cierpi na nieuleczalną chorobę krwi i kości. Umiemy sprawić, by nie cierpiała, dlatego od dzieciństwa mieszka w lesie, a ja osobiście dostarczam jej lekarstw. Ale ona domaga się cudu.**

**Na jej twarzy malował się sceptycyzm mocno kontrastujący ze ślepą wiarą Amushaiki. Anaíd poczuła kolejny przyływ gniewu. Matriarchini Klanu Gołębicy najwyraźniej uważała ją za niezdolną do uzdrowienia tej biedaczki. Czy naprawdę nie zauważyła bijącej od niej mocy?**

**–Pokaż.**

**Amushaica posłusznie zdjęła but i skarpetkę, odsłaniając zdeformowaną stopę z poczerniałym paznokciem u dużego palca. Nie wyglądało to dobrze.**

**–Bardzo boli. Czasem nie mogę zmrużyć oka przez całą noc.**

**Anaíd uklękła przed nią i położyła dłonie na jej chorej nodze. Wyszepiała kilka słów w starym języku i zacisnęła palce, a płynąca przez nie energia sprawiła, że się stopa i paznokieć natychmiast przybrały zwyczajny wygląd. Gdy Anaíd cofnęła ręce, Amushaica krzyknęła:**

**–Wyleczyłaś mnie! Masz cudowną moc! Wiedziałam!**

**Mądra Aremoga, zgodnie ze swoją ostrożną naturą, milczała.**

**Anaíd, która spodziewała się z jej strony większego entuzjazmu, doszła do wniosku, że jeszcze jej nie przekonała.**

**–To powierzchowna zmiana. Podejź. Teraz uzdrowię twoją krew.**

**Przesunęła dłońmi po ciele Amushaiki, trochę zbyt długo zatrzymując się na jej szyi. Raz i drugi ucisnęła pulsującą tętnicę. Powodowana przemożnym pragnieniem, miała chęć natychmiast przytknąć usta do tej śniadej skóry, ale czując na sobie przenikliwy wzrok Aremogi, opamiętała się w ostatniej chwili. Gdy dotarła z powrotem do stóp, Amushaica zaczęła skakać z radości.**

**–Nic mnie nie boli, nie jestem zmęczona, czuję się świetnie!**

**Aremoga, która z uwagą śledziła ruchy Anaíd, otrząsnęła się z wrażenia i chwyciła ją za ramię.**

**–Moje dziecko, nie wiem, jakiej użyłaś metody, i obawiam się, żeby**

**Amushaica nie narobiła sobie płonnych nadziei.**

**–Amushaica jest zdrowa – oświadczyła Anaíd.**

**Aremoga zmarszczyła brwi.**

**–W takim razie... nie może chodzić o dobre czary Omar. Jesteś pewna, że twoja matriarchini pozwala ci dokonywać i tego typu uzdrowień?**

**Gniew ogarnął Anaíd jak płomień. Oto okazała niespotykaną wielkoduszność, uzdrowiła chorą dziewczynkę, ujawniła swą moc, oddając ją w służbę dobrej sprawy, a ta zgorzkniała starucha ośmielała się kwestionować jej metody? W pierwszym odruchu chciała potraktować impertynentkę różdżką, ale coś ją przed tym powstrzymali. Uniósł więc tylko dłoń naznaczoną przez wilcze kły,**

**–Nie pamiętasz, kto mnie chroni? Zamiast zadawać pytania, lepiej skoncentrowałabyś się na tym, w jaki sposób mi pomóc.**

**Aremoga spuściła wzrok.**

**–Jak każesz, wilczyco.**

**To wystarczyło. Anaíd nie zamierzała przecież wdać się w konflikt, nie mogła też jednak dać się zastraszyć. Ostatecznie była wybranką, nawet jeśli z ostrożności**

**musiała trzymać to w sekrecie.**

**Amushaica zbliżyła się i pokornie ucałowała jej dłoń,**

**–Anaíd, jestem do twojej dyspozycji. Co mam zrobić? A wtedy Anaíd poczuła nagle, nieprzewyciężone pragnienie.**

**–Chcę zobaczyć jaskinię Guahedum.**

**–Zgubę Perazy? – zdumiała się Amushaica.**

**–Unihepe opowiedział mi tę historię, jestem ciekawa jak wygląda to miejsce.**

**Aremoga wykonała dziwny gest, na co Amushaica podniosła rękę do ust i wydała z siebie przeciągły gwizd. Anaíd poczuła się zdradzona.**

**–Kogo wzywasz?**

**–Unihepe. On lepiej ode mnie zna leśne ścieżki. Szybko cię zaprowadzi.**

**–Nie – zaprotestowała Anaíd. – Wolę iść z tobą. Po drodze opowiesz mi więcej o lballi.**

**–Ale... – zająknęła się Amushaica. – Ja muszę się przecież zająć zorganizowaniem twojej podróży na Chinol. Potrzebujesz jedzenia, ubrań...**

**–Podróż może poczekać – ucięła Anaíd.**

**Amushaica popatrzyła pytająco na Aremogę, ta zaś uśmiechnęła się łagodnie.**

**–Idź. Unihepe was poprowadzi, a jaskinię pokażesz sama.**

**Anaíd rozluźniła się. Wkrótce potem wyraźny i harmonijny gwizd obwieścił przybycie Unihepe, który wszedł do chatki ze spuszczonej oczyma, jakby wciąż błagając Anaíd o wybaczenie tego, co zaszło wcześniej. Amushaica powitała go radośnie, pokazując mu swoją zdrową stopę, on jednak wciąż zerkał niepewnie w stronę Anaíd, wyraźnie obawiając się jej magii. Anaíd uspokoiła go wreszcie.**

**–Już zgoda.**

**Biedak odetchnął z ulgą.**

**–Mówiłem wam! – zawołał. – Mówiłem wam, że to potężna czarownica,**



**najpotężniejsza, jaką kiedykolwiek widziałem.**

**Anaíd przyjęła jego słowa z zadowoleniem. Aremoga natomiast, gdy tylko została sama, przestała się uśmiechać. Miała bardzo mało czasu, a życiu jej wnuczki zagrażało niebezpieczeństwo.**

**Anaíd czuła się pewnie i napawając się szczerym podziwem Unihepe i Amushaiki, nie zwróciła uwagi na żaden z sygnałów, które mogły ją powiadomić o niebezpieczeństwie. Gdyby tylko posłuchała krakania kruków albo niespokojnego popiskiwanego rudzików i zięb, od razu zrozumiałaby swój błąd. Ale nawet ostrzeżona przez leniwą jaszczurkę, w swoim zadufaniu nie dałaby wiary jej słowom.**

**Gdy dotarli na miejsce, bezceremonialnie odprawiła Unihepe, zupełnie jakby przez całe życie tylko wydawała rozkazy.**

**–Teraz możesz zostawić nas same. Amushaica mnie uprowadzi, prawda?**

**Amushaica wydawała się zachwycona tak odpowiedzialną funkcją, choć obecność potężnej czarownicy nieco ją peszyła.**

**Powoli zapadał zmierzch. Słońce, zmęczone swoją wędrówką, tęsknie ciążyło ku morzu, chcąc widać ochłodzić swe palące promienie. Światło gasło i Anaíd czuła się z każdą chwilą lepiej. Ostatnio zauważyła bowiem, nadmiar jasności coraz bardziej jej przeszkadza, rażąc wrażliwe niebieskie oczy. Amushaica zaczynała przejawiać nerwowość.**

**–Za bardzo nie wiem, co bym ci mogła opowie o tej jaskini, nigdy zresztą**

**nie byłam dobra w gadaniu, Unihepe lepiej to wychodzi, turyści uwielbiają jego historie.**

**Anaíd przepuściła ją przodem.**

**–Na pewno doskonale sobie poradzisz.**

**Amushaica zaczerpnęła powietrza. Anaíd pomyślała, że Aremoga pewnie wciąż ją ruga. Pewnie to ona każe jej się ubierać tak prosto i golić rytualnie głowę. Stąd u biedaczki ten brak pewności siebie. Przypomniała sobie, kim ona sama była przed rokiem. Małą, zakompleksioną dziewczynką, wiecznie przestraszoną, że się ośmieszy, ciągle zawstydzoną wyzywającym zachowaniem matki. Bardzo od tamtej pory zmieniła. Berło dało jej siłę. Berło i babcia Cristine, która traktowała ją z czułością i szacunkiem pozwalając jej uwierzyć w siebie. Dopóki ona, Anaíd wszystkiego nie zepsuła swoją porywcznością.**

**Amushaica odważyła się przerwać milczenie. W ciemności pstryknęła zapalniczką, oświetlając nagie, zimne ściany jaskini.**

**–Podobno duch Iballi wciąż tu mieszka. Iballa chodziła z Ipalan i według legendy odznaczała się niezwykłą urodą. Niektórzy twierdzą, że była córką Hupalupy, inni że wyrosła pod opieką matki, kobiety starszej już i przebiegłej, Ale pewne jest tylko to, że została kochanką Hernana Perazy i że tamtego dnia obydwójce znajdowali się w tej jaskini.**

**–Tutaj zginął hrabia?**

**–Tak, Hautacuperche, wyznaczony do tego zadania czekał na niego w ukryciu przez wiele godzin, aż w końcu niczego niepodejrzewający Peraza**

**przybył na spotkanie z kochanką. Był uzbrojony, ale nie zdążył nawet sięgnąć po miecz ani wycelować plującego ogniem arkebuza. Hautacuperche zręcznie przeszył go włócznią. Podobno wbił mu ją pod zbroję. Hrabia od razu padł martwy, dokładnie w tym miejscu, gdzie teraz stoimy. Jego zabójca wykrzyknął: „W Guahedum pękł puchar braterstwa” na znak, że wyrok został wykonany.**

**Zapalniczka zgasła, głos opowiadającej brzmiał coraz ciszej, przerwy między zdaniami robiły się coraz dłuższe. Amushaica ziewała raz za razem, aż wreszcie bezwiednie uparła się o ścianę, a potem osunęła na ziemię, z zamkniętymi oczyma i rozluźnionym ciałem.**

**Anaíd podeszła ostrożnie i upewniła się, że tamta śpi. Zaklęcie zadziałało. Amushaica była do jej dyspozycji, całkiem bezbronna. Choć Anaíd powtarzała sobie, że wcale nie zamierza zrobić jej krzywdy, że po prostu chce poznać jej smak. Tylko tyle. Pochyliła się nad jej szyją, gdy nagle ogarnął ją dobrze znany niepokój, taki sam jak wtedy, gdy wyczuwała w pobliżu berło władzy.**

**–Tylko nie krew, błagam.**

**Anaíd podniosła głowę. Długowłosa dziewczyna w dziwnej sukni przypatrywała jej się ze zgrozą.**

**–Kim jesteś? – warknęła Anaíd. Nieznajoma przyłożyła rękę do piersi i schyliła się w głębokim ukłonie.**

**–O pani, jestem Iballa, przeklęta mieszkanka tej splamionej krwią jaskini.**

**–A wiesz, kim ja jestem, Iballo? Duch wzdrygnął się gwałtownie.**

**–O, tak, pani. Tyś wybranka, zapowiedziana przez wyrocznie Odish.**

**–Jestem Omar! – krzyknęła Anaíd, owładnięta nagłą wściekłością.**

**–Niemożliwe, pani.**

**–Dlaczego? Moja matka jest Omar, matka mojej matki też nią była.**

**–To dlaczego Omar pragną waszej zguby?**

**–Skąd wiesz? Iballa szeroko otworzyła oczy.**

**–Bo czyhają u wejścia do jaskini, by pochwycić was tak, jak kiedyś uczyniono to z Hernanem.**

**Anaíd zaśmiała się.**

**–Próbujesz odwrócić moją uwagę od tej dziewczynki, co? Żeby nie mogła nasycić pragnienia jej krwią?**

**–Omar nie piją krwi!**

**–Ja też nie! – zawołała groźnie Anaíd.**

**–Ale przecież... – zaczęła przerażona Iballa. – Zamierzałaś...**

**–Kłamstwo! Zaraz ci pokażę, co zamierzałam!**

**Anaíd znów pochyliła się nad Amushaicą, ale nie zdołała przytknąć ust do jej szyi. Coś ją powstrzymało. Coś podobnego do lepkiej sieci, która opadła jej na głowę zsuwając się w dół ciała i krępując ruchy. Anaíd próbowali się odwrócić, lecz nie dała rady. Chciała podnieść rękę – z tym samym skutkiem. Nie była w stanie sięgnąć po *atame* ani w ogóle się bronić. Szarpnęła się wściekle, osiągnęła wszakże jedynie tyle, że niewidoczna sieć zacisnęła się jeszcze mocniej, unieruchamiając ją całkowicie. Wszystko było jasne. Omar zarzuciły na nią magiczną sieć, identyczną jak ta, którą ona sama posłużyła się kiedyś w walce z hrabiną. Upolowały ją jak muchę.**

**Wyszeptala przeciwzakłęcie, zablokowane jednak natychmiast przez kilka innych.**

**Poczuła krótkie ukłucie. Celną strzałą wbiła się w jej ramię, wprowadzając do organizmu substancję paraliżującą.**

**Anaíd usiłowała się opierać, ale było już za późno, Omar zastosowały strategię pająka – bardzo stary sposób walki zbiorowej, pozwalający się bronić przed Odish. Najpierw prowadzono taką czarownicę w odpowiednie miejsce, podsuwając jej przynętę, a kiedy traciła czujność, zajęta wyłącznie swą ofiarą, zarzucano na nią sieć**

i skrępowawszy ją w ten sposób, obezwładniano trucizną. a potem sprawiano, że znikła.

Anaíd jęknęła. Omar był tchórzliwe. Użyły strategii pająka zalewie kilka razy w historii. Wolały się kryć niż walczyć. Skąd więc teraz ta niespodziewana ofensywa?

Do jaskini weszła Aremoga i nie zwracając uwagi na Anaíd, wzięła na ręce i przytuliła Amushaicę.

–Zdażyłyśmy. Ariminda miała słuszność. Wybranka jest bardzo potężna, ale udało nam się wyrwać z jej szponów to biedactwo.

–A skąd Ariminda wiedziała o jej przybyciu?

–Od swojej uczennicy Dácil, która uprzedziła ją o nadzwyczajnych mocach wybranki i błagała, żeby ją zatrzymać.

Anaíd miała ochotę krzyczeć, ale nie mogła. Dácil ją zdradziła? Co właściwie powiedziała tym Omar?

–Tylko co teraz? Nie damy rady poskramiać jej zbyt długo.

–Przetransportujemy ją do jaskini na Teide – oświadczyła uspokajająco

Aremoga. – Ariminda obiecała jej pilnować, dopóki rada matriarchiń Zachodu nie postanowi, co z nią uczynić.

Kilka Omar otoczyło Anaíd kręgiem. Jedna z nich, zdziwiona, wskazała ją palcem, pytając:

–To jest wybranka?

–Inaczej ją sobie wyobrażałam – dodała druga.

–Myślałam, że ma rude włosy.

–Wygląda na miłe dziecko. Aremoga ucięła:

–Odkąd została Odish, nie jest już naszą wybranką.

Anaíd próbowała protestować, lecz nie była w stanie poruszyć językiem. Ani żadną inną częścią ciała. Chciała wymyślić naprędce jakiś plan, czuła jednak, że zanika w niej wola.

**Aremoga przyklęła przy niej i wyciągnęła swą dębową różdżkę.**

**–Wilczyce usunęły ją z klanu. Wyparły się jej wszystkie Omar. Żądam – poruszyła różdżką, wprawiając ją w hipnotyczne krążenie – by znikła na mocy uratowanego od zapomnienia przez wilczycę Elenę zaklęcia kameleona.**

**Anaíd usiłowała jeszcze się bronić, ale zupełnie rozbita zdała sobie sprawę, że nie ma już ciała.**

**Bo właśnie znikła.**

## **Rozdział XXII**

### **Spór o Minotaura**

**W położonej na południe od Chanii, nad samym morzem, spokojnej zazwyczaj, bo trudno dostępnej wiosce Hora Sfakion panowało niezwykle ożywienie. Od dwóch dni małymi grupkami zjeżdżały się tu kobiety ze wszystkich stron świata, defilując z walizkami po wąskich, stromych uliczkach. Najciekawsze zaś było to, że żadna z nich nie zwracała uwagi na wielkie szyldy miejscowych hotelików pensjonatów. Wszystkie, co do jednej – podobne do siebie, bo długowłose i zatroskane – pukały do drzwi biało-niebieskiego domu należącego do sędziwej Amari, uchodzącej za czarownicę znachorki ze starej kreteńskiej rodziny rybaków.**

**Amari nie udzielała żadnych wyjaśnień, a pytania – nieliczne zresztą -zbywała milczeniem. Kupiła ogromną ilość jedzenia, pospuszczała żaluzje i okadziła schody wejściowe tymiankiem.**

**Mieszkańcy miasteczka domyślali się, że przybyłe są czarownicami, nikt jednak nie przywiązywał do tego większej wagi. Miejscowi rybacy przywykli już do podobnych zgromadzeń u Amari.**

**Dlatego szybko oswoili się z nowiną x przesiadując w tawernie Giorgia nad raki i warcabami, wrócili do swych zwykłych rozmów o pogodzie i przewidywanej liczbie turystów, którzy w nadchodzącym sezonie pokonają szesnasto kilometrowy wąwóz Samaria.**

**Selene siedziała ze spuszczoną głową, rozgorączkowana mimo przyjemnego chłodu panującego na pobielonym patiu ocienionym przez pergole. Obok, trzymając ją za rękę, przycupnęła Karen. W ten sposób przypominała, że można na nią liczyć, że jest tu, aby pomagać przyjaciółce. Selene osobiście wybrała miejsce spotkania – rodzinne strony Tsinoulisów, w samym centrum terytoriów zajmowanych przez plemię scytyjskie – ale niezależnie od dobrej energii którą usiłowała przekazać jej**

Karen, od miłego sercu śródziemnomorskiego pejzażu i więzów braterstwa, łączących niegdyś Amari z Demeter, wciąż czuła na sobie wrogie spojrzenia. Omar przysłane przez klany Zachodu na to nagłe spotkanie na Krecie milcząco oskarżały matkę wybranki, że nie sprostала zadaniu i sama zgotowała sobie tragiczny, beznadziejny los.

Za stołem prezydialnym zasiadały matriarchinie: piękna Lil z Klanu Żurawicy, słynna pisarka; wiecznie zaganiana Ingrid z Klanu Salamandry, uczona i matka licznej rodziny; Valerlia z Klanu Delfinicy, zapalony biolog; odważna, choć młodziotka Aurelia z Klanu Wężycy, przedstawicielka rodu Lampedu sów, która niedawno zastąpiła na czele klanu swą zmarłą babkę Lucreię; i wreszcie, na środku, dyskretnie odsunięto jedna od drugiej, siedziały ostro jak brzytwa Ludmiła z karpackiego Klanu Kozy oraz dobrotliwie wyglądająca Giselda, po śmierci Demeter przewodząca Klanowi Wilczycy.

Matriarchinie były wyraźnie podzielone na dwie frakcje, a jedna z nich wykazywała szczególną zaciętość względem rodu Tsinoulis. Na jej czele stała Ludmiła, która w czasie nieobecności uwięzionej w Mrocznym Świecie Criseldy przejściowo pełniła funkcję przewodniczącej rady. Fanatycznie konserwatywna, trzymała czarownice twardą ręką, mając bezwarunkowe poparcie Lii i Ingrid.

Druga frakcja, kierowana przez Valerie, składała się z łagodnej, jakby nieobecnej duchem Criseldy i młodej, niedoświadczonej Aurelii, w związku z czym Valeria nie bardzo czuła się na siłach, by przekonać wysłanniczki klanów do zajęcia bardziej pojednawczej postawy wobec Selene i wybranki.

Selene doskonale zdawała sobie sprawę z wrogości Lii, Ingrid i Ludmiły. Konflikt zaczął się przed wielu laty, jeszcze przed urodzeniem Anaid, podczas pierwszego spotkania w pewnej wiosce na Bukowinie. Dobrze chociaż, że Valeria emanowała niewzruszonym spokojem, a wnuczka wielkiej Lucrecii, Aurelia, słała Selene podnoszące na duchu uśmiechy. Jej młodość i buntownicze usposobienie, wyrażające się w obciętych krótko włosach i obcisłej koszulce odsłaniającej muskularne ramiona, działały pokrzepiająco. To ona kiedyś

wprowadzała Anaid w arkana sztuk walki. Tyle że jej głos, jako nowicjuszek w radzie matriarchiń, liczył się tylko w ograniczonym Stopniu.

Ciotka Criselda, jedyna w tym zgromadzeniu krewna Selene, absolutne przeciwieństwo swej charyzmatycznej siostry Demeter, wydawała się tu całkiem nie na miejscu. Jakby lekko nieprzytomna, bez przerwy rozglądała się dokoła, uśmiechając się do wszystkich bez wyjątku. Ze swoją okrągłą twarzą i szarymi, ciepłymi oczami wyglądała rozczulająco. Selene poważnie obawiała się o jej zdrowie psychiczne – długi pobyt w królestwie hrabiny musiał nadszarpnąć jej siły. Raz oderwana od rzeczywistości, najwyraźniej nie potrafiła do niej wrócić.

Selene spróbowała się skupić na słowach prześlizgniętej Lil która właśnie otwierała posiedzenie, przyjmując, zgodnie z oczekiwaniami, ton tragiczny. – Co się stanie z nami, Omar, jeśli wybranka zdradził i służąc interesom Odish, sięgnie po niszczycielskie berło? Co się stanie z naszymi córkami i wnuczkami? Jaka czeka je przyszłość? Jak przetrwają, pozbawione nadziei? Od pokoleń wiara w przyjście wybranki dodawała nam sił w trudnych chwilach, pozwalała nam wspólnie zwalczać przeciwności i wytrzymywać ból po stracie najbliższych. Skoro jednak wybranka nie została odpowiednio przygotowana do swojej świętej misji, skoro poczuła się na tyle zagubiona, że wybrała mylną ścieżkę przygotowaną przez Odi, nasz koniec, koniec Omar, jest bliski. Na nic się zdały nauki przekazywane przez Omar z pokolenia na pokolenie, wskazówki dotyczące właściwego postępowania i wierności plemieniu. Na nic się zdały studia naszych uczonych siostr, które odwołując się do astronomii, matematyki, językoznawstwa i innych nauk, opracowywały wykładnie przepowiedni...

Nie chciała słuchać dalej. Zresztą słyszała głównie szum w uszach. Choć lii mówiła ogólnie, nie ulegało wątpliwości, że za całą sytuację wini tylko ją. I Selene czuła się napiętnowana, oskarżona. Bo do kogo, jeśli nie do niej odnosiły się słowa o braku „odpowiedniego przygotowania” wybranki, która, niewłaściwie kierowana, nie potrafiła odróżnić dobra od zła?

Rozległy się oklaski, do których się, rzecz jasna, nie przyłączyła. Przyszła kolej Ludmiły. O ile jej przedmówczyni była chociaż dyskretna, o tyle ona nie kryła nawet, że zamierza żywcem obedrzeć Selene ze skóry. Sformułowała oskarżenie wyraźnie i zdecydowanie. – Obecna wśród nas Selene Tsinoulis, matka wybranki niesforna przedstawicielka Klanu Wilczycy, która przez swe nierozważne zachowanie ściągnęła nam na głowę Baalat, co swego czasu ze względu na pamięć czcigodnej Demeter wspaniałomyślnie jej wybaczyliśmy, po raz kolejny stała się przyczyną naszych nieszczęść. Nie potrafiła wpoić córce szacunku dla autorytetów, którego sama nigdy nie miała. Nie potrafiła nauczyć jej troski o klan, który sama kiedyś opuściła. Nie potrafiła wykrzesać z siebie dość siły, by stawić czoło pokusom, z którymi mierzyła się młoda Anaid, i wreszcie nie potrafiła zawrócić jej ze złej drogi i naprowadzić na ścieżkę prawdy.

Karen zauważyła, że ciało Selene tężeje i pokrywa się zimnym potem. Oskarżycielski wzrok dziesiątków par oczu, poczucie winy i ból po stracie córki tłumaczyły tę reakcję aż nadto dobrze.

Karen cierpiała wraz z przyjaciółką. Bolało ją każde z oskarżeń Ludmiły. Po co ujmować w słowa to, co wszystkie i tak wiedziały? Owszem, Selene nie stanęła na wysokości zadania, nie umiała wcielić się w rolę mentorki, mimo że wybranka, którą miała wychowywać, była jej córką. A może właśnie dlatego. Ale czy trzeba było ją zaraz publicznie linczować? Czy właśnie po to się zebrały? Słowa Valerii, która zdawała się czytać jej w myślach, zabrzmiały jak ich echo.

**–A ja się zastanawiam: czy przybyliśmy tutaj, żeby znęcać się nad doskonale nam wszystkim znaną Selene? Czy dlatego się tu zebrałyśmy? Każda z nas porzuciła w pośpiechu to, czym się akurat zajmowała, żeby zastanowić się wspólnie z innymi, jakie należy podjąć środki zaradcze. Wybranka jest przeklęta, berło wpadło w ręce Odish. Hrabina została zniszczona, ale za to powróciła Baalat. Wojna trwa, a my nie mamy wytyczonej linii działania. Co powinniśmy robić? Nie możemy się teraz rozpraszać ani tracić czasu na sążenie matki za to, że źle wychowała córkę. Tu wtrąciła się Lii.**

**–Zostawmy więc na później ustalenie, jaką przykładową karę musi ponieść Selene. Skoncentrujmy się na tym, co najważniejsze. Los przeklętej wybranki jest w naszych rękach. Zagłosujemy, a matriarchinie klanu, który ją pojmał, wykonają naszą wolę. Ja głosuję za eliminacją. Ciało przeklętej powinno zostać zniszczone. Selene zerwała się z miejsca, poczuła, że uginają się pod nią nogi, i**

**krzyknęła tylko:**

**–Nieeee!**

**Cała sala zamilkła. Ból matki zawsze wzbudza szacunek. Criselda, uśmiechając się dobrotliwie, skinęła na Selene,**

**–Podejdź tu, dziecko. Jeszcze nie głosowałyśmy, nie podjęłyśmy żadnej decyzji. Lii po prostu przedstawiła swoje zdanie. Oddaję ci głos, abys wytłumaczyła nam swoje motywy, bo na razie o tobie i twojej córce słyszymy tylko z ust osób postronnych.**

**Selene ruszyła przed siebie jak automat, ze spuszczonej oczyma i białą jak kreda twarzą. Potem oparła drżące dłonie o stół i zwróciła się do audytorium:**

**–Opowiem wam historię, którą wiele z was zna. Zdarzyło się to niedaleko stąd, w pałacu w Knossos. Podobno król Minos kazał architektowi Dedalowi zbudować labirynt, aby ukryć w nim potwora poczętego przez królową z białym bykiem. Minotaur, pół człowiek, pół byk, żywił się ludzkim mięsem i Minos wymógł na mieszkańcach Aten, by co siedem lat przeznaczali siedem dziewcząt i siedmiu chłopców monstrum na pożarcie.**



**Ateńczycy zgodzili się na tę potworność ze strachu. Kwiat ateńskiej młodzieży dwukrotnie skończył w paszczy potwora. Aż heros Tezeusz postanowił położyć temu kres i z pomocą Ariadny, posługując się otrzymanym od niej czarodziejskim mieczem oraz nicią, pokonał Minotaura, zdołał wydostać się z labiryntu i uwolnił Ateny od konieczności płacenia krwawego trybutu. Omar wyglądały na nieco zaskoczone tym dziwnym wstępem.**

**Większość nie wiedziała, o co chodzi. A Selene podniosła głowę i śmiało popatrzyła na słuchaczki. Jej oczy Inów błyszczały.**

**–Oto stoję przed wami, będąc podobnie jak wy odpowiedzialna za to, że swoją biernością dawałam milczące przyzwolenie na śmierć *naszych* dziewcząt. Jak mieszkańcy Alen zgadzali się, by ich dzieci padały ofiarą Minotaura, tak my przez wieki beczynn timer przypatrywałyśmy się niecnym praktykom krwiożerczych Odish. Sama byłam świadkiem, jak z ich rąk zginęły moja kuzynka i moja matka. Mimo stosunkowo młodego wieku zgromadziłam więcej doświadczeń niż wiele z was i teraz, stojąc w obliczu ewentualnej śmierci własnej córki, pod wpływem tych doświadczeń odkrywam pewne prawdy. I w jedno nie wątpię: my, Omar, jesteśmy tchórzliwe. Nic, tylko kryjemy się po kątach. Czekaliśmy na wybrankę, licząc na to, że może ona wybawi nas od naszego Minotaura, bo same nie potrafimy się zjednoczyć i stanąć do walki z prawdziwym wrogiem. Zamiast walczyć z Odish, zajmowałyśmy się dotąd obserwowaniem, jak giną nasze córki, tępieniem wszelkiego wobec tej bierności sprzeciwu i wpajaniem ofiarom ślepego posłuszeństwa. Co przedsięwzięłyśmy wobec ostatniej ofensywy naszych przeciwniczek? Na czym polega nasz plan, nasz kontratak, nasza odpowiedź?**

**Powiodła wzrokiem po milczącym i wyraźnie poruszonej audytorium.**

**–Zamierzamy poświęcić swoją wybrankę. Tylko na to potrafimy się zdobyć.**

**Na chwilę zagłuszył ją szmer zaskoczenia. Valeria siedziała z otwartymi ustami.**

**–Pamiętajcie: moja córka Anaid, mając zaledwie piętnaście lat, bardzo niewielkie doświadczenie i problemy właściwe wiekowi dojrzewania, zdobyła się jednak na to, by samotnie stawić czoło najpotężniejszej Odish naziemi, i uwolniła was od okrutnej Salmy oraz wszechmocnej jej hrabiny. Ktoś zaprzeczy?**

**Selene wbiła swoje zielone, wściekłe i wyzywające w tej chwili oczy w resztę czarownic, które zdawały się kurczy wobec potęgi jej gniewu.**

**–To, że ich już nie ma, nie jest ani moją, ani waszą zasługą. To zasługa Anaid i tylko Anaid. Przyjmując na siebie rolę, którą jej narzuciłyśmy, by kryć się za jej plecami, moja córka wzięła na swoje barki więcej, niż potrafiła udźwignąć. Wzięła na siebie nasze lęki i niepewności, wszystko to, czego same nie miałyśmy odwagi zrobić. Wzięła na siebie**

**odpowiedzialność za nas, wierząc że to jej pisane. Odważna, gotowa wiele ryzykować Omar przeciw straszliwemu światu potężnych Odish. Piętnaście lat przeciw tysiącleciom. Jak mogłyśmy do tego dopuścić? Kto będzie miał chęć sądzić ją albo mnie, albo tych, którzy w jakikolwiek sposób pomagali jej w tym niemożliwym przedsięwzięciu? Jakim prawem ty, Ludmiło, która patrzyłaś na śmierć tak wielu i odziedziczyłaś od wieczny strach narzucony twojej krainie przez hrabinę, ty która nigdy nie zmierzyłaś się z żadną Odish i nie obroniłaś choćby jednej ze swoich akolitek, jakim prawem domagasz się teraz, byśmy poświęciły tę jedyną mającą dość odwagi, by walczyć i zwyciężać? Tym razem szmer przeszedł w pochwalne okrzyki.**

**–Powtarzam; wojna czarownic trwa. Berło władzy istnieje i dostało się w ręce Odish. Ale ich jest ze trzy tuziny, a nas są tysiące. Czy chcemy dalej ulegać strachowi?**

**Na sali zapanował straszliwy hałas, aż w końcu nad ogólny gwar wybił się jeden szczególnie potężny głos należący do pewnej Brytyjki:**

**–Jestem Kroona Salysbury, córka Katesh i wnuczka Iny, z Klanu Klaczy.**

**Kim ty jesteś, Selene, żeby dyktować nam, kiedy i jak mamy stawić czoło**

**Odish? Co takiego zrobiłaś, żeby zasłużyć na nasz szacunek, poza**

**nieustannym sprzeciwianiem się matriarchiniom? Dlaczego miałybyśmy**

**dać ci się przekonać? Selene była nieustępliwa.**

**–Jestem Selene Tsinoulis, córka Demeter i wnuczka Gai, z Klanu Wilczycy. Co takiego zrobiłam? Na przykład walczyłam z Baalat, uczyłam się przynależnych Odish sztuk walki od Lodowej Damy, byłam więziona przez Salmę i hrabinę w Mrocznym Świecie. Zeszłam też na Ścieżkę Om, by błagać umarłych o życie dla swojej córki i uwolnienie Baalat. Wszystko to zrobiłam SAMA. Tak jak moja córka SAMA zniszczyła hrabinę i Salmę. Jeśli dwie samotne wilczyce mogły stanąć do walki z przerażającymi Odish i pokonać je... co by się stało, gdybyśmy zaatakowały wspólnie? Co by było, gdyby nasze nie-przyjaciółki spotkały się nagle z oporem setek niedźwiedzi, lwic i orlic, żeby wymienić tylko najbardziej wojownicze klany? Czy dałyby radę?**

**Erudytką Ingrid poprawiła okulary na nosie i zaprotestowała.**

**–Mam tu przed sobą streszczenie drobiazgowego studium McLowera na**

**temat wszystkich odnotowanych dotychczas w historii ataków Odish na**

**klany Omar. To analizy ponad dwunastu tysięcy pięciuset bitew i**

**potyczek. Ze wszystkich wynika niezbie, że Odish są nie do pokonania.**

**Dlatego jedyną możliwą strategią jest ta, którą zawsze stosowałyśmy:**

**ucieczka i próba wtopienia się w tło. Tę mądrość zaczerpnęłyśmy od**

**zwierząt, które są naszymi totemami. Postępujemy tak od z górą trzech**

**tysięcy lat: chowamy się w kryjówkach. I przeżyłyśmy, prawda? A zatem**

**teraz uczynimy to samo. Znikniemy na jakiś okres, każda zmieni**

**tożsamość i w ten sposób doczekamy lepszych czasów. Z Odish nie da się**

**walczyć.**

**Na to zerwała się z krzesła młoda Aurelia.**

**–Kłamstwo! Ja, Aurelia, córka Servilii i wnuczka Lucrecii, z Klanu Wężycy, mówię wam, że się da, pod waru warunkiem że ma się odpowiednią broń i wyszkolenie. Nasze matki nauczyły nas, że walka to tabu, ale ja, po tym, jak musiałam bezradnie patrzeć na śmierć siostry, postanowiłam to tabu złamać. I moja babka, wielka Lucrecia, pozwoliła mi na to. Wszystkie ją znałyście. Oplakiwałam jej odejście tej zimy. Przy swoich stu trzech latach była dalekowzroczną, nowoczesną kobietą. To ona kazała mi uczyć wybrankę sztuk walki. To ona wskazała mi drogę. Czasy, gdy my, Omar, chroniliśmy się w kryjówkach, błagałyśmy o litość i potulnie płakałyśmy po zmarłych, dobiegają końca. Ja też mam dość, tak jak Selene. Wiele młodych Omar obcięło włosy, ćwiczy walkę i chce żyć bez lęku, nie chowając się za totemami.**

**W tym momencie Criselda odebrała nagłą sygnal od Amari i dyskretnie**

**wstała od stołu. Aurelia zebrała głośnie brawa od najmłodszych uczestniczek zjazdu. Wahając się szalę przeważyła Valeria, mówiąc:**

**–Przyznaję, że miałam wątpliwości, ale znam Selene od zbyt dawna. Zawsze była niepokorna, buntownicza i wierna swoim przekonaniom. Odwaga Anaid nie wzięła się znikąd. Nie wyrosłaby na glebie odwiecznego strachu przed Odish. Która z waszych córek, wzrastających w cnotach pokory i posłuszeństwa regułom Omar, rzuciłaby się, mimo zakazów matriarchiń, uzbrojona jedynie w słoneczny promień, do walki z Mrocznym Światem i Salma? Która zdobyłaby się na wyprawę do krwawego królestwa hrabiny, żeby zniszczyć jej talizman? Zaległa wymowna cisza.**

**–Selene przekazała córce własną siłę i waleczność. Wychowała ją z miłością i pasją, mądrze, pokazując jej, czym jest odwaga i tak, czemu nie... wolność. Na to podniosły się protesty co bardziej konserwatywnych czarownic.**

**–Ale ostatecznie poniosła klęskę! – Wybranka zdradziła! Valeria uciszyła je gestem dłoni.**

**–Anaid zamierzała zstąpić na Ścieżkę Om, aby uwolnić nas od Baalat. Takie miała plany. To nazywacie zdradą? Tyle że została uwięziona przez strażniczki Teide, które czekają na naszą decyzję, Tu wtrąciła się Selene.**

**–Jeśli żądacie śmierci Anaid, wiedzcie, że wszystkie u mrzemy razem z nią.**

**Stronnictwo Ludmiły postanowiło przystąpić do kontrataku. Młode, rewolucyjnie nastawione czarownice zyskiwały zbyt wielki posłuch.**

**–Wybranka musi umrzeć!**

**–Nie ma już nadziei!**

**–Nie możemy ufać Anaid!**

**Przez ogólny gwar przebił się krzyk Selene:**

**–Ja ją kocham! Kocham ją i ocalę choćby za cenę własnego życia!**

**Większość delegatek nagrodziła ją za to owacją na stojąco. Jedna z nich, jasnowłosa i czarnooka, przemówiła w imieniu reszty:**

**–Ja, Estela Serna, córka Teresy, wnuczka Claudiny, z kantabryjskiego Klanu Niedźwiedzicy, oświadczam, że ufam Selene bez zastrzeżeń. Ale matka wybranki może liczyć nie tylko na moje wsparcie i mój głos. Może liczyć również na moje ręce i *atame*. Stanę do walki u jej boku i wezwę swoje siostry i siostrzenice, by uczyniły to samo. Wspólnie pokonamy zło, które od wieków trzyma nas w szachu: własny strach.**

**Kiedy jednak Valeria zarządziła głosowanie nad planem ratowania wybranki i podjęciem walki przeciwko Odish, głos niespodziewanie zabrała zmieniona na twarzy Criselda.**

**–Właśnie otrzymałam niezwykle istotną informację Posłuchajcie,**

**Podobno Anaid wymknęła się strażniczkom Teide i zstąpiła w półmrok krateru. Jeśli któraś z was nie rozumie, co to znaczy, wyjaśnię. – Tu**

rzuciła pełne smutku spojrzenie w stronę Selene. – Anaid zeszła na prowadzącą do świata umarłych Ścieżkę Om. Jeśli wierzyć przekleństwu Odi, nie zdoła wyjść stamtąd żywa. Wybranka, czy nas zdradziła, czy nie, i tak jest skazana na śmierć.

Selene, mimo starań Karen, która usiłowała ją pod trzymać, osunęła się zemdłona na podłogę.

**Rozdział 23**

# Ścieżka Om

Anaíd drżała jak liść osiki. Ledwie mogła uwierzyć, że oto znajduje się w kraterze wulkanu, u wejścia na Ścieżkę Om, i że nie może się już cofnąć z tej strasznej drogi do świata umarłych.

Zaledwie kilka godzin wcześniej leżała w jaskini na zboczu Teide, uważnie pilnowana przez Arimindę. Jej ciało, które za sprawą zaklęcia Aremogi znikło na Gomerze, zmaterializowało się znowu na wyspie Chinet, w pieczarze od wieków przygotowywanej na jej przybycie.

Tyle że zamiast gościem Arimindy, była jej więźniem.

Ariminda, matriarchini, która czekała na tę chwilę przez całe życie i osobiście uczyła Dácil, jak najlepiej służyć wybrance, bynajmniej nie potraktowała jej z szacunkiem. Nie poczęstowała winem ani bananami z miodem, nie obmyła stóp, nie przygotowała wygodnego posłania, nie zabawiała jej też rozmową ani nie pocieszała. Po prostu siedziała przy niej, cicha i nieruchoma, kamienną twarzą oczekując wyroku matriarchiń

zgrupowanych na Krecie i debatujących nad tym, czy Anaíd powinna umrzeć, czy nie.

Aż przybycie Amushaiki całkowicie zmieniło bieg wydarzeń. Wnuczka Aremogi przybiegła bardzo zdenerwowana, z wieścią, że jej babka zna już decyzję kreteńskiej rady i pilnie wzywa Arimindę na Gomerę.

Anaíd zadygotała. Czuła, że reszta matriarchiń będzie tak samo nieubłagana jak Ariminda i Elena, a ich werdykt -równie okrutny jak zdrada Dácil, dokuczająca jej bardziej niż więzy na kostkach i nadgarstkach.

Ariminda powierzyła Amushaice pilnowanie Anniil i udzieliła jej ścisłych instrukcji.

–Pod żadnym pozorem z nią nie rozmawiaj i nie gódź się na nic, o co cię

poprosi.

Amushaica spuściła głowę i uśmiechnęła się lekko do Anaíd, która widząc to, przeklęła ją w duchu za dwulicowość.

A jednak, gdy tylko Ariminda dostatecznie się oddaliła, Amushaica wyjęła atame, przecięła więzy i kładąc palec ustach, ujęła Anaíd za rękę, by poprowadzić ją do krateru.

**Anaíd poczuła, że zalewa ją potężna fala radości. Była uratowana. Wciąż miała przyjaciół. Nie miała natomiast sił, dlatego zanim ruszyły, poprosiła:**

**Daj mi coś do jedzenia i picia.**

**Amushaica pokręciła głową.**

**–Żeby przejść Ścieżkę Om, musisz być na czczo. Poza tym powinnaś dopełnić rytuałów oczyszczających i napić się świętej wody. Przyniosłam wszystko, czego potrzebujesz. Nie jestem strażniczką Teide, jednak spróbuję ci pomóc się przygotować. Wiem, że mnie za to ukarzą, ale inaczej nie zaznałabym spokoju.**

**Anaíd popatrzyła na nią z podziwem. To się nazywa odwaga! Nie zwlekając dłużej, pospieszyła za swą przewodniczką, która wspinała się po skałach jak młoda kozica.**

**–Dlaczego mi pomagasz? – spytała Anaíd, gdy dysząc ciężko dotarły na szczyt.**

**Amushaica już zapalała kadzidło i układała amulety konieczne do rytuału przejścia. Słyszając pytanie Anaíd, przerwała na chwilę i szeroko otworzyła swoje wielkie, złociste oczy.**

**–Ty mi pomogłaś. Dałaś mi to, czego najbardziej pragnęłam: zdrowie.**

**Dzięki tobie jestem szczęśliwa.**

**Anaíd zatrzymała spojrzenie na jej kształtnej głowie porosłej teraz króciutkimi brązowymi włosami. Prawdopodobnie, łamiąc zakaz babki, Amushaica zamierzała je wreszcie zapuścić.**

**Uroczyście rozebrała Anaíd, po czym odiała ją w białą tunikę, pozwalając jej jednak zachować klejnoty: naszyjnik z szafirów, turkusową bransoletę i broszę z ametystem, którą wpięła jej we włosy jak spinkę. Następnie okadziła ją i od stóp do głów. Oczyszczona fizycznie, Anaíd zapragnęła oczyścić również swoje sumienie.**

**–Amushaico, muszę ci się przyznać do czegoś strasznego szepnęła zawstydzona. – Wtedy, w jaskini lballi, omal nie napiłam się twojej krwi.**

**Amushaica tylko się uśmiechnęła.**



**–Chętnie bym cię poczęstowała i teraz, ale, niestety, tywoja misja wymaga, żebyś była na czczo.**

**Z tymi słowami podała jej puchar ze świętą wodą, która miała pomóc wybrance wznieść się ponad siebie samą.**

**Anaíd wypła wolno, a potem, czekając na efekt, zapragnęła z całego serca podziękować Amushaice. Nie zbliżyła się do niej jednak, nie uścisnęła jej ani nie pocałowała, żeby nie było wątpliwości co do jej intencji. Powiedziała jedynie:**

**–Jesteś niesamowita. Życzę ci szczęścia.**

**Przemiana nastąpiła nagle. Ciało Anaíd stało się lotne i nieważkie, a u jej stóp otworzyła się szczelina prowadząca na kraniec znanego świata. Nie mówiąc już nic więcej, Anaíd zamknęła oczy i pozwoliła się pochłonąć woli umarłych.**

**Wkrótce odkryła, że jest w stanie przeciskać się przez najwęższe szczeliny i z zawrotną prędkością zsuwać się przez wyłożone lawą tunele ku wnętrzu ziemi. Spadała i spadała, aż w końcu wszystko zniemacka się skończyło. Gdyby nie była nieważka, z pewnością zrobiłaby sobie krzywdę, uderzając z całej siły o podłoże.**

**Przerażona, oparta się o kamienną ścianę i rozejrzała dookoła. Przed nią, w absolutnej ciemności, ziała zgłębiona przepaść. Niemożliwe. To jakaś pułapka, niosła wzrok. w oddali, po drugiej stronie tej czarnej pustki, wznosiła się góra emanująca delikatnym światłem. Intuicja podpowiadała, że tam właśnie zaczyna się właściwa ścieżka. Tylko jak tam dotrzeć?**

**Wtedy zauważyła linę, zaledwie błysk. Schyliła się, by dotknąć, ale natychmiast cofnęła skaleczony palec: to, co wzięta za linę, miało ostre krawędzie. Czy tędy miała iść dalej? Czy straszliwą czeluść dzielącą świat żywych od świata umarłych można było pokonać jedynie w ten sposób?**

**Wyglądało na to, że nie ma wyboru i pokonując zawroty głowy, musi przedostać się na drugą stronę po lym wiszącym moście. Postąpiła krok i od**

**razu odskoczyli z tyłu. Jej stopa krwawiła. Nie, nie dało się stanąć na tym czymś, co uginało się pod nogą, wrzynając się przy tym w skórę niczym nóż. A co dopiero mówić o utrzymaniu równowagi. Żaden człowiek nie potrafiłby tego dokonać.**

**Żaden żywy człowiek. No jasne! Ostatecznie była to ścieżka umarłych. Co więc robić?**

**Może powinna spróbować nie myśleć, tylko po prostu opanować ból siłą woli. Słyszała, że to możliwe. A pragnienie podjęcia wędrówki było w niej silniejsze niż**

**strach.**

**Zebrała się w sobie i zdecydowanie ruszyła po lśniącym ostrzu. Jeden krok, drugi, trzeci. Dawała radę. Oddaliła się już kawałek od brzegu przepaści. Ze wzrokiem utkwionym przed siebie przystanęła na moment, a wtedy lina zakolysała się gwałtownie i Anaíd poczuła, że ogarnia ją panika. Miała jeszcze tyle do przejścia. Przygryzła wargi, mimo woli spoglądając w dół, i ledwo utrzymała się na nogach.**

**Ból był okropny, ale strach jeszcze gorszy. Krępował jej i uchy, hipnotyzując i ściągając w dół, zmuszał ją do patrzenia w czarną, przyprawiającą o zawrót głowy pustkę pod stopami. Nie wątpiła, że zaraz spadnie i zniknie, wchłonięta przez nicość, kołysana przez nią w nieskończoność. Strach ją paraliżował. Nie uda się jej. Spadnie. Ta myśl zaczynała się wydawać wręcz kusząca. Kolana uginały się same, w głowie wirowało. Z tego wszystkiego zapomniała, że musi kontrolować ból, i w tej chwili przypomniały jej o sobie poranione stopy. a to był przecież dopiero początek. Nigdy nie zdoła dotrzeć do końca.**

**Chwiała się, nogi nie chciały jej dłużej utrzymać w pionie, pragnęła się czegoś złapać, ale wokół rozciągała się jedynie przerażająca pustka. Zamachała bezsilnie rękami, trzepocząc się jak wyjęta z wody ryba. Przy okazji jej palce uafiły na naszyjnik z szafirem, kamieniem pomagającym pokonywać przeciwności. I zrozumiała: potrzebowała równowagi, zarówno fizycznej, jak i psychicznej. Tylko dzięki niej mogła zignorować ból i otwierając się w dole przepaść, Uczepiła się tego, zdecydowana zapanować nad swoim życiem, choćby i niewiele go jej zostało.**

**A wtedy usłyszała zimny, spokojny głos przemawiający do niej z jej własnego wnętrza. Głos mlecznej siostry, Sarmik.**

**–Naprzód, Anaíd, naprzód. Uda ci się. Nie myśl o niczym, patrz przed siebie. Niech twój umysł stanie się białą plamą. Uwolnij się od świata. Zapomnij o nim.**

**Posłuszna tym słowom, ruszyła dalej po ostrej krawędzi, łączącej dwie rzeczywistości.**

**Nie wiedziała, ile trwa ta przeprawa – kilka minut czy kilka dni. Nie wiedziała, czy krwawią jej stopy i czy pustka w dole wciąż ją przyzywa. Szła, głucha i ślepa na wszystko, poza koniecznością utrzymania równowagi. Szła, zdecydowanie stawiając kolejne kroki, aż w końcu poczuła zakrwawionymi stopami ziemię. Dopiero wtedy pozwoliła sobie upaść, popatrzyła w tył i z jej gardła wyrwał okrzyk przełazenia.**

**Ciemna pustka aż wibrowała od przenikliwych głosów domagających się swojej ofiary. Czyli jej.**

**Anaíd zacisnęła dłoń na szafirze i w duchu podziękowała Cristine za ten bezcenny podarunek.**

Teraz naprawdę nie mogła się cofnąć. Była w królestwie umarłych. Popatrzyła wokół, dopiero teraz zdając sobie sprawę z tego, że świat stracił kolory, zapachy, cienie, trójwymiarowość i inne postrzegane zmysłowo właściwości. Co więcej, ona sama przestała odczuwać zwykle ludzkie potrzeby. Nie czuła zimna, pragnienia, głodu ani senności. Czy umarła? Wiedziała, że nie.

Wstała i pozostawiając za sobą granicę dwóch rzeczywistości, weszła do znajdującej się tuż obok pieczary. Nie było żadnej innej drogi. Tylko ta jedna. A zatem ta właśnie musiała prowadzić na Ścieżkę Om. Anaíd wędrowała na swoich krwawiących stopach, aż w końcu stanęła przed jakimiś drzwiami. Rozejrzała się, ale wyglądało na to, że musi przejść przez owe drzwi. Uchyliła je więc powoli, ostrożnie, obawiając się tego, co znajdzie za nimi. Zobaczyła go natychmiast. Wielki, ponad dwumetrowy tygrys czyhał kilka kroków dalej, gotów rzucić się na każdego, kto by się zapuścił na jego teren.

Anaíd szybko zatrzęsnęła drzwiami i oparła się o nie swoim nieistniejącym ciężarem, dysząc ciężko i modląc się, by bestia nie zechciała zaatakować. Ale jeśli tak było pisane, nic nie mogło temu zapobiec. Tygrys jednym machnięciem łapy wyrwałby drzwi z zawiasów. Nic takiego się jednak nie stało i Anaíd zaczęła się z wolna uspokajać.

Na tym polegała jej pierwsza próba. Nie było wyjścia. Musiała stawić czoło potworowi, a jako czarownica powinna się chyba uciec do magii. Na swą ludzką siłę czy zręczność nie miała co liczyć. Przypomniała sobie zaklęcie unieruchamiające. Tylko czy w zmienionych warunkach działało tak samo? Postanowiła to sprawdzić.

Poruszyła palcami prawej stopy i wypowiedziała formułę.

*–Etendet orp azelnarut.*

Poskutkowało od razu. Palce znieruchomiały, sparaliżowane. Świetnie. A więc istniał sposób. Nie była bezbronna.

*–Otrab soritir torgi.*

Palce odzyskały zdolność ruchu. Wiedziała już, co trzeba robić. Zaczepnęła powietrza, otworzyła drzwi, wpiła wzrok w bestię i wyszeptała:

*–Etendet orp azelnarut.*

Tygrys nie zdążył nawet zaryczeć. Padł jak długi na ziemię, całkowicie bezbronny. Anaíd ruszyła przed siebie, ostrożnie, nie spuszczając go z oka. Minęła go, obawiając się jakiejś niespodzianki, na przykład tego, że zwierze zerwie się nagle na równe nogi. Nic takiego się jednak nie wydarzyło, więc podjęła wędrówkę. Tyle że kawałek dalej, ku swojemu zdumieniu, napotkała kolejne drzwi, dokładnie takie same jak te, które

otworzyła przed chwilą. Z identyczną rysą na klamce i plamą z lewej strony.

Pchnęła je delikatnie i zaraz zamknęła. Za tymi drzwiami było dokładnie to samo co za tamtymi. Czyli tygrys, znów w doskonałej formie, a za nim pusta przestrzeń, której nie zdążyła się przyjrzeć. Nie, chyba jej się przywidziało. Zebrała się na odwagę, otworzyła zdecydowanie drzwi i zaczęła, aż potwór zaryczy. Kiedy sprężył się do skoku, wymruczała zakłęcie.

*–Etendet orp azelnarut.*

Tygrys zastygł w dziwacznej pozycji i Anaíd pogratulowała sobie refleksu. Minęła bestię, z podziwem przypatrując się jej napiętym mięśniom. Odnosiła wrażenie, że to wypchany okaz w muzeum. W końcu zostawiła zwierze plecami, żywiąc nadzieję, że więcej go już nie zobaczy.

Nadzieję płonną. Tym razem przeszła wprawdzie kilka kroków więcej niż poprzednio, ale w końcu ponownie natrafiła na te same drzwi. Odetchnęła głęboko, dla pewności zajrzała przez szparę i nerwowo zatrzasnęła drzwi z powrotem.

Za nimi czekał na nią ten sam tygrys, a dalej, niewykluczone, znowu te same drzwi. Co to miało znaczyć? Czy znalazła się w pętli czasu, skazana na powtarzanie tych samych czynności aż do zupełnego wyczerpania? Istnieje wiele rodzajów śmierci i ten napełniał ją jeszcze więcej zgrozą niż pozostałe.

Spróbowała znowu. Pchnęła drzwi i popatrzyła na tygrysa. Ten sam. Nie było mowy o pomyłce, ale dla pewności postanowiła zapamiętać pasiasty wzór na jego sierści. Wiedząc już, że zakłęcie zadziała, wstrzymała się z jego wypowiedzeniem aż do chwili, gdy potwór skoczył – dopiero wtedy unieruchomiła go w powietrzu. Zawisł nad jej głową, a ona okrążyła go, uważnie przypatrując się tej idealnej kopii dwóch wcześniejszych. Czy tak wyglądała nieskończoność?

Szła dalej, ale stopniowo podupadała na duchu. Każdy jej ruch świadczył o utracie nadziei. Lada moment spodziewali się ujrzeć przed sobą te same drzwi z czyhającą za nimi samą bestią.

Tak się jednak nie stało. A raczej stało się, lecz znacznie później, niż oczekiwała. Nie liczyła kroków, ale i tak wiedziała, że tym razem udało jej się przejść o wiele dłuższy odcinek. Drzwi były identyczne, bez dwóch zdań. Otworzyła je i spokojnym wzrokiem zmierzyła gotującego się do skoku tygrysa. Paski na sierści się zgadzały. Wszystko to samo, to samo, to samo. W przypiływie rozpacz zapagnęła skończyć z tym koszmarem i dać się pożreć. Zakłęcie wypowiedziała w ostatniej chwili.

Znużona powtarzalnością tej sceny, za każdym razem coraz bardziej traciła ochotę do życia. Zaczęła się jednak zastanawiać, dlaczego odcinki między kolejnymi drzwiami robią się coraz dłuższe.

W jakimś zakamarku jej umysłu powoli formowała się odpowiedź na to pytanie. Z bełzadu myśli wyłaniała się pewna hipoteza. Anaíd podniosła rękę i wśród splecionych włosów wyczuła gładkość wpiętych w nie ametystów. Cristine mówiła, że ametyst to kamień przenikliwości, trzecie oko, sięgające tam, gdzie wzrok ludzki nie sięga. Anaíd pogładziła klejnot i nagle wszystko zrozumiała.

Odległość między drzwiami nie była przypadkowa. Zależała od tego, jak bardzo przekraczającej je osobie zależało jeszcze na życiu. Im mniej jej zależało, tym dalej mogła się zagłębić w świat zmarłych. Czy to znaczyło, że aby na dobre wejść na Ścieżkę Om, należało umrzeć? Anaíd zadrzała.

Nie. Nie była gotowa na śmierć. Jeszcze nie. Jakiś głos podpowiadał jej jednak, że nie chodzi o śmierć prawdziwą, tylko metaforyczną. Po prostu musiała pogodzić się z ewenualnością utraty życia. Anaíd w duchu poprosiła o pomoc swą mleczną siostrę. Wezwała ją i otrzymała odpowiedź.

–Twoje ciało to jedynie bezużyteczne opakowanie. Przestań się nim przejmować. Inaczej zmarli nie wpuszczą cię do swojej siedziby.

Anaíd wiedziała, że nie ma wyboru. Dlatego nie zastanawiając się dłużej, otworzyła drzwi i z rezygnacją przygotowała się na atak tygrysa. Czekala, błagając, by uderzenie ostrych pazurów spadło na nią jak najprędzej, jednakże cios nie nastąpił. Tygrys skoczył, zaryczał ogłuszająco, lecz w chwili gdy jego zęby miały się wbić w szyję Anaíd, zniknął. Nie pożałował jej, nawet nie musnął. Nie istniał. Był czystą iluzją. A sekretne drzwi śmierci stały przed Anaíd otworem.

Ziemia zadygotała pod jej stopami, Anaíd straciła równowagę i upadła. W pierwszej chwili myślała, że to trzesienie ziemi i że zaraz pochłonie ją któraś z otwierających wokół szczelin, ale potem zdała sobie sprawę, że otaczająca ją przestrzeń niespodziewanie przyjęła kształt mrocznej groty z wyciętymi w kamieniu i wiodącymi w dół schodami.

Tam zaczynała się Ścieżka Om.

Anaíd odetchnęła z ulgą i bez wahania ruszyła w głąb sądząc, że przeszła już wszystkie próby i teraz pozostaje jej tylko zmierzyć się z umarłymi. Myliła się.

Najpierw pojawił się Golfo. Wyskoczył nie wiadomo skąd, poszczekując i machając ogonem, przyjacielski zawsze. Przysiadł na tylnych łapach, wystawił język i wyraźnie oczekiwał pieszczoty, ale kiedy zaskoczona Anaíd wyciągnęła rękę, by go pogłaskać, rozpląnął się w powietrzu.

Wizja była tak rzeczywista, że Anaíd stała przez chwilę jak wryta. Od wielu lat nie wspominała tego zabawnego, psotnego pieska, którego Selene podarowała jej kiedyś mimo sprzeciwu Demeter. Anaíd uwielbiała go, ale pewnego zimowego poranka

**przejechał go samochód odśnieżający drogę.**

**Czując ściskanie w gardle, ruszyła powoli dalej.**

**–Hi, Anaíd. How are you?**

**Podniosła wzrok i krzyknęła. Miała przed sobą Carmelę, cudowną korepetytorkę-poliglotkę, która w dzieciństwie uczyła ją niemieckiego, angielskiego, francuskiego, węgierskiego i rosyjskiego. Poza tym wspaniale grała na fortepianie i tańczyła. Sadzała sobie Anaíd na kolanach i opowiadała jej**

**o Petersburgu, Berlinie, Liverpoolu, Budapeszcie i Lyonie, lecz pewnego dnia, zgodnie ze swoją naturą, po prostu spakowała walizki i wyjechała.**

**Carmela! wzruszona Anaíd.**

**I w tej samej chwili, jakby spłoszona jej krzykiem, Carmela czy też jej zjawa znikła bez śladu.**

**Anaíd poczuła się mała i bezbronna, przypominając sobie nagle długie zimowe wieczory w Urt, spędzane z matką i babką przy ogniu na śpiewaniu starych pieśni i opowiadaniu historii.**

**–Anaíd, chodź tu do mnie, opowiem ci o Orfeuszu. Pamiętasz, kto to taki?**

**Łzy napłynęły Anaíd do oczu. Tuż obok niej stała Demeter, dokładnie taka, jaką ją zapamiętała: z siwym warkoczem, surowa i opiekuńcza, zawsze gotowa przywołać jakąś budującą anegdotę.**

**Anaíd nie poruszyła się, nie wyciągnęła ręki, zalewana falami smutku na myśl o tym wszystkim, co minęło i już nigdy nie miało powrócić. Później zrobiła krok do przodu, i wtedy Demeter rozviała się jak dym.**

Na następnym stopniu czekał malutki Roc, chcący popisać się skokiem na główkę do sadzawki.

–Patrz, Anaíd, patrz, jak skaczę!

Elena skarciła go, zdejmując z nogi sandał. Plusk wody zabrzmiał tak wyraźnie, że Anaíd poczuła krople na twarzy.

Ale nie, to nie były krople wody z sadzawki, lecz łzy, którą spływały jej po policzkach na dekolt.

W miarę jak schodziła, coraz bardziej poddawała się melancholii. Wszystko, co jak sądziła, popadło w niepamięć, ożywało teraz, napełniając ją żalem.

Oto Apollo, kot, który towarzyszył jej do Mrocznego Świata. Kuzynka Leto, z nieprzytomnym wzrokiem i spuchniętymi stopami, przemierzająca świat, by zapomnieć o zmarłym synu. Ainhoa, z którą Anaíd spędziła kiedyś wakacje, malutka Omar, zabita potem przez Odish. Gisela, malarka uganiająca się po pirenejskich dolinach w daremnym poszukiwaniu szczególnego rodzaju światła, swego czasu ucząca Anaíd posługiwać się pędzlem i mieszać kolory. Wszystkie te postaci przemykały przed jej oczyma, wywołując chaos w głowie i tęsknotę za utraconym rajem dzieciństwa. Ale nie chodziło o zmarłych, lecz o wspomnienia.

One właśnie wyczerpywały ją najbardziej. Ledwie powłóczyła nogami, które ciążyły jej jak z ołowiu. I z każdym obrazem było coraz gorzej. Pojawiła się śpiewająca kołysankę Selene, potem zamieniony w berserka Gunnar walczący z Baalat, Karen, która podawała Anaíd syrop i kazała jej się zważyć... Za dużo tego. Wreszcie jej oczom ukazała się wizja, która sprawiła, że serce omal nie wyskoczyło jej z piersi: tuż obok, w półmroku, stał Roc, błyskając rozżarzonymi oczami.

–Pocałuj mnie, Anaíd, tylko raz, proszę.

Tak ją błagał...

Krzyknęła rozpaczliwie i upadła, zamykając oczy i zatykając sobie uszy. Nie chciała widzieć nikogo więcej, nikogo więcej nie słyszeć. Odnosiła wrażenie, że zaraz zwariuje z tęsknoty.

Kiedy jednak podniosła rękę, by otrzeć łzy, i usłyszała pobrzękiwanie bransoletki z turkusami, wspomniała słowa babki Cristine. Turkusy uwalniały od przeszłości.

Otóż to. Potrzebowała pozbyć się obciążeń, zostawić za sobą przywiązanie nie tylko do życia i ciała, ale również do przeszłości. Taka była wola umarłych.

Chcąc zapomnieć o tym, co minęło, i swobodnie spojrzeć w przyszłość, pogładziła

niebieskie kamienie i już po chwili zaczęła odczuwać ich dobroczynny wpływ. Wspomnienia opuszczały jej umysł. Znikały obrazy najbliższych, rozplywały się pragnienia i smutki, zacierają magiczne momenty. Spokój rozlał się po jej ciele jak przyjemne ciepło. Była wolna.

Ruszyła dalej i w tym momencie schody, którymi pdażała, zakręciły nagle i urwały się. Ścieżka Om przyjęła nową formę. Anaíd znajdowała się teraz w ogromnej grocie.

Zdezorientowana, obracała się wokół własnej osi, aż ujrzała w oddali światelko. Poszła w tę stronę i w miarę jak się zbliżała, zaczynała pojmować, że to naturalnie ukształtowany łuk wiodący na zewnątrz. Stamtąd właśnie dochodził blask. Nieufna, ostrożnie stawiając kroki, pokonała ostatni odcinek i stanęła u wyjścia z jaskini. Przywitało ją tam coś w rodzaju chłodnego powiewu.

Była w innym świecie, w innej rzeczywistości.

Wszystko wyglądało tu inaczej: rozproszone światło, gładkie, ale matowe kamienie, drzewa o powykręcanych gałęziach i kolczastych liściach. Anaíd zorientowała się, jest na zboczu wielkiej góry. Pod nią otwierała się dolina, do której prowadziła wąska ścieżka.

Anaíd nie wahała się ani chwili. Wiedziała, co robić, i znowu śmiało spoglądała przed siebie. Szła długo. Nic miała pojęcia, jak długo, ponieważ nie czuła zmęczenia, pragnienia, głodu ani żadnej innej ludzkiej potrzeby. Liczyła jednak kroki, w ten sposób starając się mierzyć upływ czasu. Jej wędrówka trwała kilka dni.

Albo kilka tygodni.

A może miesięcy?

W końcu dolina rozszerzyła się i zamieniła w wielką równinę. Wąziutka dotąd ścieżka przeszła w szeroką, pylistą drogę, obsadzoną po obu stronach stuletnimi albo tysiącletnimi drzewami o grubych konarach, ogromnych koronach i liściach, które trochę przypominały liście kasztanowców.

Zaskoczona tą zmianą, Anaíd zauważyła też, że ziemię pokrywają ludzkie ślady. A więc nie była jedyna. Szlak wydawał się uczęszczany. Miała towarzystwo.

Gdy dostrzegła w oddali ludzką sylwetkę, w pierwszej chwili bardzo się przestraszyła, tak odwykła od widoku człowieka. Potem jednak przyspieszyła, by nieznajomego dogonić. Okazało się, że to drepczący powoli staruszek., Podeszła do niego i pozdrowiła. Rozpaczliwie potrzebowała rozmowy. Odpowiedzi na pytanie, dokąd prowadzi ta droga i czy dużo jeszcze zostało do

przejścia. Staruszek wszakże nie zareagował na dźwięk jej głosu. Nie odezwał się do



niej, nawet jej nie zauważył, tylko powoli włókł się dalej.

Krew zastygła Anaíd w żyłach.

To był umarły.

Umarły, który podobnie jak ona zmierzał do miejsca, w którym nieuchronnie kończyli umarli. Anaíd czym prędzej się od niego oddaliła. Wkrótce jednak spotkała następnego, potem jeszcze jednego i jeszcze... Byli w różnym wieku, różnego wzrostu i pochodzenia. Anaíd wymijała ich i starała się na nich nie patrzeć. Daremnie. Mieli mętne oczy i równy krok, stanowili widma samych siebie, widma pozbawione woli, pragnień czy wspomnień. Nie czuli strachu ani bólu, brakowało im motywów do działania. Brakowało im życia.

Wzdrygnęła się i natychmiast ucieszyła, że potrafi się jeszcze wzdrygnąć.

Im dalej, tym przybywało umarłych i w końcu na drodze zrobił się wielki ścisk. Długi ogonek spokojnych, obojętnych duchów czekał na swoją kolej.

Na swoją kolej do czego? A może mieli tak stać przez całą wieczność? Anaíd, z trudem opanowując niepokój, postanowiła naśladować zachowanie innych – czyli czekać. Próbowwała, ale nie bardzo jej wychodziło. Co chwila rozglądała się, czy gdzieś coś aby nie drgnęło. w przeciwieństwie do innych, którzy trwali nieruchomo, najwyraźniej niczego się nie spodziewając, niczym się nie interesując. Dla nich przyszłość nie istniała.

W końcu Anaíd się zniecierpliwiła. Ale może chodziło właśnie o to, by pokonała swoją niecierpliwość, swoją ciekawość? Może dopiero wtedy mogła zostać przyjęta przez społeczność umarłych? Czy na tym polegała ostatnia próba?

Rozluźniła się, skupiła na teraźniejszości, przekonując samą siebie, że w tym dziwnym świecie nie ma nic poza dookolną rzeczywistością, w związku z czym nic nie posiada znaczenia. I jak wcześniej wyzbyła się przeszłości, tak teraz odrzuciła przyszłość.

Minęło wiele czasu, ale wreszcie kolejka drgnęła. Anaíd poczuła przyływ nadziei, którą natychmiast zdusiła w zarodku. Obawiała się jednak, czy zdoła na dłuższą metę tłumić takie emocje. A przecież nie mogła stanąć przed zmarłymi pełna oczekiwań. Oczekiwania, marzenia i nadzieje przynależały do świata ludzi.

Ale w jaki sposób, tracąc wizję przyszłości, miała przeprowadzić swój plan?

Namyślała się długo.

Na koniec doszła do wniosku, że tkwiła dotąd w błędzie. Bez nadziei na dotarcie do

celu nie mogła się posuwać do przodu. Bez woli osiągnięcia celu, nie była w stanie zrealizować misji, przez co jej podróż traciła sens. Wszyscy wokół zachowywali się jak bezwolne roboty, ona jednak miała przecież skończyć z Baalat i w tym celu – zwrócić się o pomoc do umarłych, a może

nawet stanąć do bezpośredniej walki. Czyli... Powinna postępować jak umarła czy jak żywa? Tym razem nie musiała szukać odpowiedzi u swojej mlecznej siostry ani odwoływać się do magicznych kamieni. W gruncie rzeczy wiedziała. Umarłym było wszystko jedno. Jej nie. Umarli na nic nie czekali. Ona owszem. Umarli niczego nie pragnęli. Ona tak – ze wszystkich sił chciała zrealizować rnisję, by wrócić do świata żywych.

Zaczęła się więc przepychać do przodu, a potem zeszła na bok, gdzie łatwiej było iść. Nikt z tych, których mijala, nie podniósł na nią wzroku. Nikt nie zaprotestował. A ona szła i szła, aż w oddali ujrzała to, na co wszyscy czekali. Nieco w dole połyskiwała rzeka, po której w tę i z powmirm pływała jedna jedyna łódź. Na drugim brzegu wznosiła się ogromna forteca.

Oto było prawdziwe królestwo umarłych.

Anaíd przyspieszyła kroku. Cel znajdował się na wyciągnięcie ręki. Widziała go. Wkrótce dotarła do przystani i ustawiła się na początku kolejki, tuż obok kilku szczęśliwców, którzy po latach doczekali się wreszcie na swoją kolej. Tym razem czas nie dłużył się Anaíd jak poprzednio. Była już tak blisko!

Kiedy przewoźnik rzucił linę i przycumował łódź do przystani, gotów przyjąć na pokład nową grupę podróżnych, Anaíd zdała sobie sprawę, że wszyscy wokół trzymają w dłoni jakieś monety. Miedziane, cynkowe, srebrne, złote – najrozmaitsze. Ona nie miała żadnej. Cofnęła się nieco, by popatrzeć, co się stanie, i ujrzała, że umarli jeden po drugim wręczają swoje monety przewoźnikowi, nieprzyjemnemu indywiduum w łachmanach i kapeluszu z szerokim rondem. Najwyraźniej opłata stanowiła nader istotną kwestię.

Anaíd zebrała wszystkie siły i ruszyła śmiało ku łodzi, wiedząc już, że za chwilę przewoźnik ją zatrzyma. Tak też się stało. Przeprosiła gestem. Bezradnym gestem zdumienia, który mówił: nikt mnie nie uprzedził, że powinnam mieć ze sobą pieniądze.

Przewoźnik patrzył wyczekująco.

–Moneta – zażądał twardo. Anaíd zadrżała lekko.

–Zapomniałam – odparła. Odepchnął ją na bok.

–W takim razie cię nie wpuszczę.

**Anaíd patrzyła wstrząśnięta, jak stojący wcześniej za nią umarli kolejno mijają ją w milczeniu. Nie, nie mogła tu zostać. a na łodzi było coraz mniej miejsca. Spróbowała się przemknąć, ale przewoźnik odepchnął ją z całej siły.**

**–Nie wolno.**

**Popatrzyła tęsknie na pokład. Dotarła tak daleko, a teraz ta niespodziewana przeszkoda. Czy to koniec? Czy względu na brak monety utknie tu na zawsze?**

**–Muszę się z wami zabrać. Czekają na mnie. Przewoźnik utkwiał w niej badawcze spojrzenie.**

**–Zapłacisz, popłyniesz.**

**–Ale skąd mam wziąć tę przeklętą monetę?**

**–Popytaj, może ktoś ma dwie i jedną ci odda.**

**Anaíd rozejrzała się niespokojnie. Wszyscy wokół niej mieli po jednym pieniążku.**

**–A jeśli nie?**

**–Będziesz musiała zostać z tamtymi – wskazał punkt za jej plecami.**

**Anaíd odwróciła się i ujrzała, że nad rzeką siedzi spokojnie cała rzesza umarłych. Ci, którzy nie wzięli sobą monety, czekali tu na kogoś z rodziny albo przyjadól, licząc na ich pomoc. Wkrótce miała do nich dołączyć.**

**–Ale ja nie mogę tak tracić czasu! Nie mogę!**

**Było już jednak za późno. Przewoźnik zdjął cumy i tódl j odbiła od brzegu.**

**Anaíd przycupnęła na ziemi i odprowadzała barkę wzrokiem. Co powinna zrobić? Rzucić się w pław? Usiłować przechytrzyć upartego dziadygę? Błagać wszystkich dokoła o pożyczkę, licząc na to, że któryś z tysięcy jej towarzyszy niedoli w końcu się zlituje? A może próbować zapłacić za przeprawę inaczej?**

**Właśnie! Miała przecież klejnoty. Kosztowności są zawsze w cenie, przewoźnik na pewno się skusi.**

**Podjąwszy decyzję, niecierpliwie czekała na jego powrót, znowu pierwsza w kolejce.**

**–Moneta – zażądał ponownie przewoźnik.**

**Anaíd uśmiechnęła się najładniej, jak umiała, i sięgnęła po naszyjnik z szafirami.**

**–Weź to.**

**Przewoźnik pokręcił jednak głową i skinął na kolejną osobę. Przed oczyma Anaíd znów zaczęły się przesuwac szare twarze i wychudłe ciała umarłych. Podjęła jeszcze próbę.**

**–Proszę, oto moja bransoleta z turkusami. Nic z tego. Czowała, że ogarnia ją rozpacz. Łódź się zapełniała.**

**–Popatrz na tę ametystową broszę. Spójrz, jaka piękna, jak błyszczący.**

**–Odsuń się. Zrozpaczona Anaíd ani drgnęła.**

**–To może rubinowe kolczyki? – jęknęła. W tym momencie poczuła na ramieniu dotyk czyjejś lodowatej dłoni.**

**–Kupię je od ciebie.**

**Odwróciła się i zobaczyła piękną kobietę, która z zachwytem przyglądała się kolczykom, w wyciągniętej dłoni trzymając monetę – klucz do świata rozciągającego się na drugim brzegu. Anaíd poczuła jednak coś w rodzaju wyrzutów sumienia, które nie pozwoliły jej natychmiast dobić targu.**

**–A ty? Jak się przedostaniesz? Nieznajoma musnęła palcem kolczyki.**

**–Chcę je mieć. Anaíd przełknęła ślinę.**

**–Masz drugą monetę?**

**–Nie – odpowiedziała obojętnie kobieta.**

**–W takim razie zostaniesz tu na zawsze. Tamta pokiwała głową, nie odrywając wzroku od rubinów.**

**–Owszem – powiedziała i zabrzmiało to bardzo odważnie.**

**Anaíd nie wiedziała, co robić. Z uwagi na powodzenie swojej misji powinna przyjąć propozycję nieznajomej, ale powstrzymywały ją od tego względy zwykłej ludzkiej przyzwoitości.**

**–Na całą wieczność, rozumiesz? Na całą wieczność na tym brzegu. Wtedy kobieta obróciła się i wskazała drobną, nieruchomą figurkę.**

**–Tak. Razem z moją córką. Ona też nie ma czym zapłacić.**

**I Anaíd zrozumiała. Zdjęła kolczyki i wręczyła je nieznajomej. Następnie wzięła od**

niej monetę i nie oglądając się więcej za siebie, podała ją przewoźnikowi, po czym weszła na łódź. Tamta dzielna kobieta wolała spędzić wieczność u boku córki niż zaznać spokoju w królestwie umarłych. Wolała też pozbyć się monety, żeby przypadkiem kiedyś nie ulec pokusie. I w tym swoim pragnieniu, dzielić los z córką, w jakimś stopniu pozostawała żywa. Anaíd przysięgła w duchu, że jeśli będzie umierał ktoś z jej znajomych, uprosi go, by wziął na drogę dwie dodatkowe monety i przekazał je, komu trzeba.

–Jak się nazywasz? – krzyknęła do nieznajomej, przyminając sobie, że nie zna nawet jej imienia.

–Manuela Sagarra, córka Manueli i wnuczka Manurli z Klanu Orlicy. Powodzenia, Anaíd, wybranko!

Anaíd poczuła wzruszenie. Oto została rozpoznana i wsparta przez dumną Omar. Zaraz jednak opanowały ją czysto ludzkie emocje i rzuciła się do wioseł. Na znak przewoźnika umarli pochylili się nad grubymi kłodami i wprawiając je wspólnym wysiłkiem w ruch, skierowali łódź ku drugiemu brzegowi.

Cel był blisko, bardzo blisko. Przewoźnik kazał rzucić wiosła i już cumowali do przystani. Anaíd odetchnę z ulgą, podniosła powieki i wtedy go zobaczyła.

Potworny strażnik królestwa umarłych wbił w nią swoje sześć oczu i z uwagą śledził każde jej poruszenie. Czyli próby jeszcze się nie skończyły. Ostatecznie ona, Anaíd, była żywa, a Cerber, trójgłowy pies o węzowym ogonie, strzegł, by przez jego bramę nie przemknął do fortecy zaden podszywający się pod nieboszczyka intruz. Tacy śmiałkowie kończyli pożarci.

Anaíd poczuła, że cała krew odpływa jej z twarzy, a ręce i nogi dygocą. Nie ulękła się jednak. Pomyślała nawet, że nagła bladość jej sprzyja, upodabniając ją do duchów. Starając się naśladować mechaniczny, znużony krok pozostałych i oddychać płycej, utkwiała wzrok w jednym punkcie i usiłowała wyglądać na spokojniejszą, niż w rzeczywistości była.

Pasażerowie łodzi wysiadali jeden po drugim i kolejno mijali trójgiowe monstrum. Cerber obwąchiwał ich ręce, lizał je i wpuszczał nowo przybyłych do środka. Umarli nie bali się, nie pocili, nie wydzielali żadnego zapachu i nie drżeli. Każdy taki, choćby najslabszy, znak życia zostałby natychmiast wykryty. Płonące ogniem oczy psa, skupione na obserwacji przechodzących, przestały się w nią wpatrywać, lecz obserwując jego groźne kły w pełnych śliny paszczach, Anaíd nie wątpiła ani przez chwilę, że potwór od razu ją zdemaskuje i nie pozwoli jej przedostać się do środka.

Jak udało się to Selene? Matka nigdy jej o tym nie opowiadała. Zresztą może nawet i chciała, ale ona, Anaíd, odrzucała przecież jej rady, ba, zwyczajnie od niej uciekła. A

teraz było zbyt późno. Od straszliwego psa dzieliły ją już tylko dwie osoby. I właśnie wtedy przypomniała sobie Selene, taką, jaką widziała ją ostatnio na schodach prowadzących w głąb ziemi, śpiewającą kołysankę. Wiedziona skojarzeniem, pomyślała też o Demeter, która kiedyś, przy ogniu, opowiadała jej mit o Orfeuszu zdolnym oszukać Cerbera swą muzyką. Otóż to. Selene i Demeter podpowiadały jej wspólnie, jak wyjść cało z opresji. Dzięki muzyce.

Gdy idąca przodem umarła minęła strażnika, a ten zwrócił ku Anaíd pierwszą ze swych głów, dziewczyna zaczęła śpiewać tę samą delikatną kołysankę, którą usypiała ją niegdyś Selene, magiczną piosenkę działającą cuda. I Ceber zakołysał się w takt, ziewnął przeraźliwie swymi trzema paszczami, a jego płonące ogniem oczy znikły za zasłoną powiek. Oddalając się od niego,

wciąż ze śpiewem ustach, Anaíd słyszała jego rozgłośnie chrapanie. A za nią postępował orszak obojętnych na wszystko umarłych.

W ten sposób przekroczyła bramę wielkiego obwarowanego miasta i zagłębiła się w świat zazwyczaj niedostępny śmiertelnikom.

Jej obecność nie przeszła niezauważona. Anaíd musiała nawet pytać o drogę. Po chwili ogarnęło ją dziwne, krępujące ruchy światło i dał się słyszeć łagodny, stanowczy głos.

–Twoja śmiałość godna jest podziwu. Bezpiecznie dotarłaś aż tutaj, lecz żywa nie możesz pozostać wśród nas. Zabraniają tego nasze prawa.

Anaíd dygotała, przerażona. Nie dostrzegała nikogo. Nie mogła nawet odwrócić głowy, sparaliżowana przez świetlistą energię.

–Chciałabym stanąć przed Radą Umarłych. Z niecierpiącą zwłoki sprawą.

Odpowiedzi nie było, co uświadomiło Anaíd, że dopełniła wymogów protokołu. Uklękła więc i ucałowała ziemię, wyszeptała:

–Jestem Anaíd Tsinoulis, śmiertelniczka, która pogwałciła wasze prawa, a teraz pokornie błaga was o wybaczenie i audiencję u rady.

Na to głos zadał wyraźnie złośliwe pytanie:

–Czy naprawdę uważasz się za osobę pokorną, Anaíd Tsinoulis?

–Owszem. I na dowód tego nisko kłaniam się umarłym.

–A więc dobrze. Oto nasze stopy. Obetnij nam paznokcie.

Ku swojemu zdumieniu Anaíd ujrzała przed sobą długi szereg białych stóp z długimi paznokciami, a w jej ręku pojawiły się nożyczki. Pomna na słowa Selene, która radziła okazywać umarłym posłuszeństwo nawet kosztem własnej dumy – przyklęła.

Wykonując dziwne zadanie, starała się każdym ruchem wyrażać pokorę, której od niej wymagano. Ale przychodziło jej to z coraz większym trudem. Po pewnym czasie, znużona powtarzaniem wciąż tej samej czynności, z obolałą od nieustannego pochylania się szyją i zdrętwiałymi dłońmi, zaczęła marzyć, by to się wreszcie skończyło. Co ciekawe, odzyskała zdolność odczuwania bólu, zmęczenia i innych dręczących istoty ludzkie przypadłości. Nie poddała się jednak, nie podniosła głowy, nie dała po sobie poznać zmęczenia. Nie wiedziała tylko, na jak długo jeszcze starczy jej sił. Zastanawiała się przy tym, czy w ramach kary za swoją dumę nie będzie aby zmuszona spędzić w ten sposób wieczności.

Na szczęście głos pozwolił jej w końcu przerwać monotonną czynność.

–W porządku, Anaíd Tsinoulis. Rada Umarłych cię słucha. Mów.

Zauważyła, że krąg światła rozszerzył się, pewnie po to, by pomieścić wszystkich członków rady. Wszędzie wokół walały się obcięte paznokcie. Anaíd wpatrywała się w nie, pamiętając, że pod żadnym pozorem nie wolno jej patrzeć umarłym w oczy ani w ogóle podnosić powiek czy w jakikolwiek inny sposób okazywać samowoli. Mogła jedynie błagać.

–O mędrzy, pamiętacie zapewne, że przed piętnastu laty moja matka Selene zagłębiła się w te czeluście, chcąc was prosić, byście zatrzymali u siebie Baalat, nekromantkę, która złamała wasze zasady i za pomocą niecznych sztuczek okpiła śmierć. Teraz Baalat wróciła pośród żywych i sieje spustoszenie. Przybyłam tu z nową prośbą: zechcicie sprawić, by już nigdy więcej nie mogła opuścić świata umarłych.

–A co proponujesz nam w zamian, Anaíd?

Nie spodziewała się takiego obrotu spraw, dlatego odpowiedziała może zbyt szybko:

–Niestety, nic nie mam.

–Wręcz przeciwnie.

Zrobiła w myślach przegląd.

–No tak, są przecież klejnoty. Jeśli sobie tego życzy należą do was. Nic więcej nie posiadam.

**–Nie, Anaíd. Bardziej interesuje nas coś innego.**

**Westchnęła. Niczego nie dało się przed nimi ukryć. Kłamstwo nie wchodziło w grę. Ze złości przygryzła wargi, ale spytała:**

**–Chodzi wam o berło, które ukradła mi Baalat? To je chcecie?**

**Formułowanie tych słów sprawiało jej taką trudność, że zabrzmiały wręcz agresywnie.**

**Usiłowała się poprawić, ale na samą myśl o berle traciła nad sobą panowanie. Czy na tym polegał brak pokory? Nieumiejętność poddania się?**

**–Weźcie jednak pod uwagę, że jeśli oddam wam berło, nie będę w stanie spełnić swojej misji. Wybranka powinna wszak z jego pomocą sprawiedliwie rządzić.**

**Umarli znowu zamilkli, więc w końcu przez zaciśnięte zęby wyrzuciła z siebie deklarację, której wyraźnie oczekiwali:**

**–Wręcę wam je z ochotą, skoro taka jest wasza wola.**

**Wydusiła to z siebie. Wcale nie chciała rezygnować z berła, ale znalazłszy się w mocy umarłych, nie miała wyboru. Wtedy spokojny głos oświadczył:**

**–To nie Baalat je ma.**

**–Nie? – zdumiała się Anaíd. – A kto?**

**–Cristine.**

**Anaíd poczuła, że uginają się pod nią nogi.**

**–Chcecie powiedzieć, że moja babka zabrała mi berło, udając, że uczynił to ktoś inny?**

**–Tak.**

**To była naprawdę straszna wiadomość.**

**–Okłamała mnie. Oszukała.**

**–Zaiste – potwierdzili umarli.**



**–Dlaczego?**

**–Na to pytanie sama sobie odpowiedz. A teraz pomyśl, co jeszcze mogłabyś nam ofiarować. Bo nie o berło nam chodzi.**

**Te ostatnie słowa sprawiły, że mimo rozpaczy, poczuła też nagłą radość.**

**–Więc o co? Dam wam wszystko, czego zażądacie.**

**Jej głowy dotknęło coś zimnego. Wzdrygnęła się, pojmując, że umarli głaszczą ją z upodobaniem po włosach.**

**–Żądamy twojego życia, Anaíd – szepnął któryś z nich. Anaíd omal nie poderwała głowy, lecz nie pozwoliła jej na to lodowata dłoń.**

**–Twojego życia – powtórzył łagodnie inny.**

**Za tą łagodnością kryła się jednak niezłomna wola. Nie było rady.**

**–Życie wybranki należy do nas.**

**–Dlaczego? – szepnęła Anaíd.**

**–To cena za życie Dácil. Wskrzeszając ją, pogwałciłaś nasze prawa.**

**–Nie chciałam – jęknęła.**

**–To nieistotne – uciął jakiś nowy głos.**

**–Błagam, wybaczcie mi.**

**–Życie i śmierć nie mają nic wspólnego z wybaczeniem. Jesteś tu, wśród nas, i już stąd nie odejdziesz. Zjawiłaś się z własnej woli i musisz pozostać.**

**–W ten sposób spłacisz dług, tak jak przewiduje przekleństwo Odi.**

**Światło wokół stawało się coraz bardziej intensywne, zdawało się lizać jej dłonie i stopy jak ogień. Wiedziała, co to znaczy.**

**I wtedy z jej wciąż żywego gardła wydobył się rozpaczliwy krzyk:**

**–Nie chcę umierać!**

**–Nie chcę umierać! – krzyczała młoda Inuitka, wijąc na koi w kajucie pielęgniarskiej.**

**–Przytrzymajcie ją! – rozkazał zirytowany Ismael Morales, kapitan frachtowca.**

**Gdy tydzień wcześniej znalazł dziewczynę w ładowni, gdzie podróżowała na gapę razem ze swoim psem, jej błagalne spojrzenie przypomniało mu siostrzenicę. Zlitował się więc, przymknął oko na regulamin i pozwolił dodatkowej pasażerce płynąć do Veracruz. Teraz jednak ta podyktowana nadmiernym sentymentalizmem decyzja mogła ściągnąć mu na głowę policję.**

**Wkrótce po zawinięciu do portu, zanim pozwolono im zejść na ląd, dziewczyna zaczęła bowiem szaleć i wydzierać się jak opętana, tak że nie potrafili nad nią zapanować nawet dwaj rośli marynarze. W końcu wezwano go, by sam się przekonał o jej niezwykłej sile. Lekarz pokładowy, Anglik z Yorkshire, przyzwyczajony raczej do opatrywnin ran i leczenia kaca niż do kojenia dziewczęcych hysterii, okazał się bezradny. Nie był w stanie zrobić zwariowanej Inuitce nawet zastrzyku. I kto im kazał pakować się w takie bagno?**

**–Nie chcę umierać!!! – darła się dziewczyna, trzymała się za szyję, jakby chciała poluznić duszący ją sznur.**

**–Trzymajcie ją, mówię! – powtórzył kapitan Morales.**

**Nie dało się wykluczyć, że lekarz zdążył już od rana wypić o jedną szklaneczkę brandy za dużo, bo wyraźnie nie radził sobie z igłą i zamiast wbić ją w białe ramię dziewczyny, skaleczył się o zdobiący jej szyję naszyjnik z niedźwiedzich zębów.**

**–Zdejmijcie jej to! – ryknął.**

**Kapitan Morales skinął na Mulata z Santo Domingo, miłośnika salsy, który po wywodzącej się z Puebli babce odziedziczył kult Najświętszej Panienki z Guadalupe. Chłopak wyciągnął rękę, ale dotknąwszy naszyjnika, cofnął się i pokręcił głową.**

**–Nie mogę, kapitanie. Rzuciła na mnie urok.**

**–Nie opowiadaj mi tu bredni – fuknął lekarz.**

**–To czarownica – szepnął z przerażeniem chłopak.**

**Anglik ledwo nad sobą panował.**

**–Powtarzam po raz ostatni: albo jej to natychmiast dejmiecie, albo postaram się, żebyście zawiśli na głównym maszcie!**

**Drugi z obecnych przy tej scenie marynarzy, Koreańczyk, również nie wykazywał ochoty do działania. Najwyraźniej podzielał zdanie Mulata.**

**–Złe duchy – mruknął.**

Ismael Morales postanowił wkroczyć do akcji. Mając pięćdziesiąt sześć lat, przekonał się już wielokrotnie, że marynarze bywają uparci i straszliwie przesądni, dlatego czasem lepiej nie przeciągać struny. Podszedł więc do koi i zdecydowanie sięgnął po piękny naszyjnik, lecz gdy jego palce zacisnęły się na niedźwiedzych zębach, poczuł potężny skurcz. Podniósłszy wzrok, napotkał wpijające się w niego z ukosa nieludzkie, rozkazujące spojrzenie Inuitki. Nigdy by się do tego nie przyznał, ale w tym momencie rzeczywiście się przestraszył.

–Kapitanie! Kapitanie! – Do kajuty wpadł zdyszany majtek. – Celnicy! Chcą się z panem widzieć!

Wspaniała wymówka, pomyślał Ismael Morales, wracając się od dziewczyny.

–Zaraz będę z powrotem – wymamrotał zawstydzony i nie oglądając się za siebie, wyszedł z kajuty.

Usprawiedliwiał się tym, że w przeciwieństwie do lekarza nie miał obowiązku wiedzieć, jak obchodzić z szaleńcami.

Wrócił na pokład kilka godzin później, w dość dobrym zresztą humorze. Czas upłynął mu na pogawędkach z celnikami, którzy za sprawą dobrych cygar, koniaku i kilku upominków zgodzili się nie robić specjalnych trudności przy wyładunku. O incydencie z Inuitką zdążył już zapomnieć toteż nie był przygotowany na to, co zastał na swoim statku.

W kajucie pielęgniarskiej wały się porozrzucane i połamane meble, na ścianach widniały ślady zaschniętej krwi, na koi zaś leżały zwłoki doktora z Yorkshire.

Zbliżywszy się, kapitan Morales zdał sobie sprawę, że lekarz jednak oddycha, a w jego przedramieniu strzykawka. Najwyraźniej został usypiony.

W tym momencie dał się słyszeć jakiś jęk.

Kapitan dopiero teraz zauważył drugie ciało. Mulał Pablo kulił się w kącie, osłaniając głowę i kołysząc się w przód i w tył.

–Pablo. Pablo! Co się stało?

Kapitan potrząsnął go za ramiona, kiedy jednak nim jego głowę, wydał okrzyk przestachu. Chłopak miał twarz całą we krwi, a w jego oczach malowała się zgroza, potrafił wydusić z siebie rozsądnej odpowiedzi na żadne pytanie.

–Co z dziewczyną? Słyszając te słowa, Pablo zaczął płakać, powtarzając:

–Diabeł, diabeł, diabeł.

O Koreańczyku nikt nigdy więcej nie słyszał.

## Rozdział XXIV Zaklęcie Przyjaźni

Ściemniło się już i wiał północny wiatr. Clodia dostała od niego gęsiej skórki – klimat Pirenejów nie bardzo jej odpowiadał. Szła brukowanymi uliczkami, starając się nie rzucać w oczy, co nie było łatwe, gdy miało się na plecach nabyty na lotnisku dzięki karcie kredytowej Valerii plecak, na głowie zaś – śliczny pilśniowy kapelusz o barwie turkus, z szerokim, zakrywającym pół twarzy rondem. Zachwycił ją, więc natychmiast go sobie kupiła. Czemu nie? Tak samo pozwoliła sobie przedtem na Maura, na zjedzoną zaraz po wylądowaniu w Hiszpanii kanapkę z *chorizo* i luksusowy madrycki hotel, w którym spędziła noc i zjadła śniadanie. *Carpe diem*. Cóż znaczył jeden kilogram więcej, jedno euro mniej, jeden pocałunek w tę lub w tamtą stronę? Najważniejsze było to, by korzystać z życia i niczego nie odkładać na później.

Teraz jednak, w tej zimnej, wietrznej i pustej – jeśli nie liczyć szczekających bez przerwy psów – mieścinie, życie zdawało się nie mieć za wiele do zaoferowania. Zwłaszcza gdy wyszło na jaw, że dom Anaid stoi opuszczony. Drzwi i okna były zamknięte na głucho, rolety pospuszczane, światła pogaszone. Nie należało się ludzić, że mieszkanki wyszły jedynie na pizzę i wkrótce wrócą. Martwa cisza mówiła sama za siebie. Clodia przyłożyła ucho do ściany i przywołała swe magiczne moce. Nie słyszała żadnego kroku, żadnego śmiechu, żadnego... O, jednak coś się jakby poruszyło.

A może nie? A jeśli naprawdę wewnątrz nie było nikogo? Każda podejmowana naprędce decyzja pociąga za sobą ryzyko. W tym konkretnym przypadku sprowadzało się ono do ewentualności, że ona, Clodia, będzie zmuszona wrócić do Taorminy z pustymi rękami i całkowicie wykorzystanym kredytem matki. Czyli właściwie ryzykowała podwójnie, bo groziła jej nie tylko porażka, ale i gniew Valerii. Albo i potrójnie – pozostawał przecież jeszcze Mauro.

Uznała, że chwilowo lepiej się nad tym wszystkim nie zastanawiać. Wiedziała przecież, że jeśli chce, potrafi mnożyć nie tylko wspaniałe pomysły, lecz także problemy. To po prostu leżało w jej skłonnej do przesady naturze.

Spokojnie przyjrzała się domowi. Skoro odbyła już taką długą podróż, głupotą byłoby nawet nie wejść do środka Dlatego postanowiła to zrobić, nie oglądając się na klucze, Ruszyła po omacku. Dopiero znalazłszy się w środku, wyczarowała latarkę. Szła krok za krokiem, modląc się, żeby nie wpaść w jakąś pajęczynę, bo w takim przypadku jej wrzask usłyszano by chyba w Warszawie. Najbardziej ze wszystkiego na świecie przerażały ją wstrętne, włochate górskie pająki, z mnóstwem nóg, odstającymi oczkami i otworami gębowymi pełnymi lepkiej substancji oraz

tajemniczych a okropnych narzędzi do rozczłonkowania ofiar. I żeby to chociaż były owady! Ale nie, wiedziała o

tym doskonale, albowiem nauczyciel biologii w podstawówce strasznie ją kiedyś zrugał za nazwanie pająki owadem. Chodziło o liczbę odnóży. U jednych sześciu, u drugich ośmiu. Tylko jakie znaczenie miała liczba odnóży u podobnego paskudztwa? Dość, że na pierwszy rzut oka było ich mnóstwo. A czy ich właściciel należał do owadów, pajęczaków czy innych diabłów – wszystko jedno.

Wtedy go zobaczyła. Siedział w kącie i czekał na nią. Gigantyczny. Tak była tego pewna, że nawet przez myśl jej nie przeszło, czy aby nie wpada w lekką paranoję. Miała przed sobą wielki cień o długich, licznych – nie zamierzała ich, rzecz jasna, rachować – odnóżach. Tak właśnie wyglądają pająki.

Nie krzyknęła. Nie zemdląła ani nie rzuciła się do ucieczki. Wspominając odwagę swych sycylijskich przodków, którzy nie zawahali się stawić czoła Rzymianom, cisnęła w domniemanego pająka latarką.

I natychmiast uświadomiła sobie dwie rzeczy.

Po pierwsze – że pająki nie krzyczą, i po drugie – że sama wcale nie jest tak tchórzliwa, jak dotąd sądziła.

Podniosła latarkę z podłogi i poświeciła na swą ofiarę, która okazała się ni mniej, ni więcej, tylko chudą dłonią o pięciu palcach. Dłonią należącą do przerażonej dziewczynki.

–Przepraszam – rzekła ze skruchą Clodia. – Myślałam, że jesteś pająkiem.

Gdy tylko to powiedziała, dotarło do niej, że bardziej absurdalne przeprosiny trudno by sobie wyobrazić. Jednakże dziewczynka pod ścianą uśmiechnęła się szeroko. Jej uśmiech przywodził na myśl roztańczonego motyla, tak był promienny i piękny. Clodia wyciągnęła rękę i pomogła jej wstać.

Od razu przypadły sobie z Dacii do gustu i już po kilku minutach były najlepszymi przyjaciółkami. Każda na swój sposób martwiła się o to samo: o los Anaid. Dlatego bez słów porozumiały się co do tego, że należy spróbować jej pomóc.

Tyle że Dacil okazała się znacznie lepiej poinformowana O wszystkim opowiedziała Clodii w kuchni, podczas gdy pałaszowały przepyszne spaghetti carbonara, wyczarowane zabronionym zaklęciem. Clodia zaczynała pojmować rozmiary problemu.

**–A więc Anaid podała Rocowi eliksir miłości, napiła się z zakazanego pucharu i wypowiedziała zaklęcie życia? Dacii natychmiast stanęła w obronie swej idolki.**

**–Wszystko przez hrabinę. No i chodziło o to, żeby ratować mi życie.**

**–Koszmar.**

**–Anaid nie chciała...**

**–Ale to zrobiła – stwierdziła rzeczowo Clodia. Dacii wzdrygnęła się gwałtownie.**

**–A teraz jest przeklęta i umrze.**

**–Jako Odish nie może umrzeć – zaprotestowała Clodia.**

**–Przecież słyszałam, co mówiła Selene – upierała się Dacii. – Przekleństwo Odi skazuje Anaid na śmierć.**

**Clodia aż się zakrztusiła. Zabić królika – to jedno, a rozmawiać o śmierci przyjaciółki – zupełnie coś innego.**

**–Kiedy? Jak? Gdzie?**

**–Na Ścieżce Om, w królestwie umarłych. Jeśli tam wejdzie, już jej nie wypuszczą. Clodia dopiero teraz przeraziła się nie na żarty.**

**–Chcesz powiedzieć że Anaid miała się tam wybrać? Sama?**

**Dacii pokiwała głową. Od dzieciństwa przywykała do tej myśli, wzmianka o Ścieżce Om nie robiła na niej takiego wrażenia, rozumiała jednak, że większości śmiertelników mrozi krew w żyłach.**

**–Miała. Ale tego nie uczyni.**

**–Skąd ta pewność?**

**–Ariminda jej nie puści.**

**–Kim jest Ariminda?**

**–To moja mistrzyni, zobowiązana otworzyć przed wybranką bramy do świata umarłych.**

**Tym razem wzdrygnęła się Clodia.**

**–W takim razie dlaczego uważasz, że jej nie puści?**

**–Bo ją o to prosiłam, powiadamiając o zaistniałej sytuacji. Clodia uspokoiła się nieco. – Skoro Anaid nie zstąpi na Ścieżkę, to co zrobi? Dacil wzruszyła ramionami.**

**–Prawdopodobnie zacznie szukać berła. Bardzo jej na mim zależy.**

**Clodia zatarła ręce. Przynajmniej w tej kwestii mogła się na coś przydać.**

**Popatrzyła na Dacii z namysłem.**

**–Czy w tym miasteczku są jakieś króliki? Albo kury? Dacii wytrzeszczyła oczy.**

**–Nie najadłaś się jeszcze?**

**Śmiech Clodii usłyszano zapewne w Warszawie. Był tak szczery i serdeczny, że stanowił wspaniałą wróżbę, podobnie jak fakt, że Dacil, choć nie bez trudu, zdobyła jednak kurę.**

**Tym razem Clodia nie miała kłopotów z interpretacją wyglądu wnętrzości, ale choć próbowała wprowadzić nową przyjaciółkę w tajniki tej sztuki, Dacii nie dostrzegała nic prócz zakrwawionej wątroby, nerek, płuc i serca, a poczynania wieszczki obserwowała z wyraźnym wstrętem.**

**–Widzisz ten strumyczek krwi? Symbolizuje dym. Ta plama tutaj to woda, a ta żyłka to ogień. A więc musi chodzić o wulkan, czynny wulkan nad brzegiem morza. Dacii zasłoniła usta ręką.**

**–Teide!**

**–Albo Etna. Albo Wezuwiusz, albo Snaefellsjokull. Wiele wulkanów znajduje się na wyspach lub na wybrzeżu. Ale serce podpowiada nam coś innego.**

**Widzisz tę głęboką bruzdę? To symbol broni. A to tutaj wygląda jak ręka, znak wojownika. Dalej mamy łagodny łuk, czyli kobietę, a I Tak, to może oznaczać nudę... Clodia zaczęła snuć hipotezy.**

**–Znudzony wojownik i kobieta. Znudzenie wojną kobiet. Wojna znudzonych kobiet. Znudzeni mężczyźni walczący pod okiem swoich kobiet... Ukołysana tą wyliczanką, Dacii zapadała powoli w sen Clodia potrząsnęła ją za ramiona.**

**–Pomóż mi! Myśl! Dacii ziewnęła i oparła głowę o stół.**

**–Przykro mi, ale kiedy napada mnie senność... Clodia klasnęła w dłonie.**

**–Senność! Właśnie! Senność, znużenie, nuda. To wyrazy bliskoznaczne.**

**–Śpiący wojownik? – zdumiała się Dacii.**

**–Albo sen wojownika.**

**Niestety, żadne z tych sformułowań nic im nie mówiło, Clodia wszakże nie rezygnowała.**

**–Drzemiący wojownik.**

**–Czyli jednak śpiący. Ale dlaczego ciągle wojownik? Przecież wspominałaś też coś o jakiejś kobiecie. Clodia zawstydziała się swojej mizoginii.**

**–Jasne! – przytaknęła. – Uśpiona kobieta! Już wiem! – ucieszyła się nagle.**

**–Czyli w takim razie wojownik łączy się z dymem?**

**–Wszystko się zgadza! Wojownik trzymający pochodnię, czuwający nad snem ukochanej. Uśpionej, zmarłej.**

**–Powiesz mi wreszcie, co to znaczy?**

**–Chodzi o Popocatepetla i Iztaccihuatl. Tak tłumaczą się te symbole. Umilkły. Dacii potarła oczy, zupełnie przebudzona.**

**–Gdzie są te wulkany?**

**–W Meksyku. W Ameryce. Dacii rozpromieniła się niespodziewanie.**

**–W Ameryce mieszka moja mama. Dokładnie w Nowym Jorku.**

**–Wiesz, która może tam być godzina?**

**–Jakieś siedem godzin wcześniej niż tu. Clodia głęboko się nad czymś zastanawiała.**

**–No to złapiemy je z rana. Czy w tym domu jest Internet?**

**Oczywiście, że był, a gdyby nawet nie było, to coś by wymyśliły.**

**Clodia sprawnie poruszała się po sieci. Dzięki koleżankom z Klanów Wężycy, Jaguarzycy i Kolibrzycy bez trudu dostała się na ich portale społecznościowe i za pomocą kilku właściwie dobranych słów wywołała wśród azteckich plemion niemałe poruszenie. Natychmiast zaczęły napływać niepokojące informacje. Na przykład**



**jakaś młoda czarownica z Klanu Wężycy, dająca pokazy cumbii, zauważyła w hotelu w Catemaco na południe od Veracruz kilka kobiet, które mogły być Odish.**

**Sprawdzenie tego zajęło Clodii kilka godzin, ale w końcu, wspólnie z Dacii, która służyła jej – tyle że czasami zawodną – pomocą językową, ustaliły tożsamość zameldowanych w owym hotelu kobiet. A wszystko dzięki pewnej**

**pokojówce z Klanu Kolibrzycy, malutkiej i zwinnej, jak wskazywał jej totem, która zajrzała tam, gdzie nie powinna, i przesłała im fachową dokumentację: listę nazwisk, a nawet fotografie. Dacii natychmiast rozpoznała nazwisko, na które zrobione zostały rezerwacje: Cristinę Olav. Jak donosiła uczynna Omar, pani Olav miała w swoim pokoju sejf, w którym trzymała pilnie strzeżoną skrzyneczkę. Co ciekawe, za każdym razem zabierała ją na kolejne spotkania z koleżankami.**

**–To jej babcia – oświadczyła Dacii.**

**–Ta Odish? – zdziwiła się Clodia, do tej pory nieświadoma pochodzenia przyjaciółki.**

**–Tak. Przez jakiś czas mieszkały razem w jaskini w lesie. To Cristinę przygotowała eliksir, który Anaid podała potem Rocowi. To ona pomogła jej przenieść się w przeszłość. A następnego dnia po naszym powrocie z zamku hrabiny nagle znikła.**

**–A berło? Kiedy przepadło berło? Dacii zamyśliła się głęboko.**

**–Anafd dostała wtedy szału. To też było już po powrocie z przeszłości. Tak, następnego dnia. Anafd sądziła, że to sprawka Baalat.**

**–Czyli Cristinę znikła w tym samym czasie co berło, Dacii nie zwróciła dotąd uwagi na ten zbieg okoliczności.**

**–To prawda. Clodia nie miała wątpliwości.**

**–A zatem ukradła je Cristinę, nie Baalat.**

**–I co my teraz zrobimy? Clodia wyłączyła komputer i ziewnęła szeroko.**

**–Najpierw się prześpimy.**

**Dacii uznała, że to świetny pomysł. Zasnęły więc równie ochoczo, jak jeszcze przed chwilą prowadziły swoje śledztwo.**

**Obudziło je dopiero burczenie w brzuchach, uświadamiając im, że śpią już od wielu godzin. Gdy połączyły się z Internetem, stwierdziły, że skrzynka jest całkowicie zapchana mailami od czarownic ze wszystkich zakątków Meksyku, gdzie złot Odish wywołał poważne zaniepokojenie.**

Nie bez powodu. Dacii i Clodia z przerażeniem czytały o kolejnych popełnianych przez nie okrucieństwach. Dziewczynki Omar znów zaczęły ginąć na wielką skalę. Najbardziej jednak zaniepokoiła Clodię przesłana z Krety wiadomość od Valerii: „Zostańcie, gdzie jesteście. Przyjeżdżamy.”

Clodia wywnioskowała z tego, że zgromadzone na konwencji czarownice w jakiś sposób dowiedziały się o prowadzonym przez nią dochodzeniu i zlokalizowały zarówno ją, jak i Dacii. Nabrała też przekonania, że matka jest na nią wściekła, choć fakt, że ani razu nie napomknęła o pieniądzach, świadczył o tym, że po prostu zapomniała o wręczonej córce na lotnisku karcie kredytowej. A to znaczyło, że jej nie unieważniła, dzięki czemu miały z Dacil za co podróżować dalej.

–W porządku, Dacil, posłuchaj mnie. Musimy lecieć do Meksyku, żeby odebrać Odish berło i poczekać tam z nim na Anaid. Jesteśmy kluczem do jej ocalenia.

–My? Dlaczego?

–Bo nam na niej zależy. Mimo wszystko. Tak czy nie?

Dacil skinęła głową. Jeśli była czegoś pewna, to właśnie swojego przywiązania do Anaid. Nie tylko dlatego, że zawdzięczała jej życie. Clodia zaczęła szperać wśród książek Anaid.

–Znasz Księżę Rosebuth i jej teorie dotyczące ocalenia przeklętej wybranki? Dacii pokręciła bezradnie głową.

–Nie bardzo.

Nie znajdując tego, czego szukała, Clodia wyrecytowała z pamięci: *Sekret miłości znany jest niewielu. Poczuj w sobie odwieczne pragnienie, poczuj w sobie głód nieunikniony, ale się w końcu przyjdzie jej przekonać, że miłość wszystko rozkruszy, roztopi, i skrzepi. I ze zaspokoi zło, które skryte, w głębi serca drzemie. Serce wybranki nie jest odeń wolne.*

Sceptycyzm malujący się na twarzy Dacil sprawił, że Clodia wyjaśniła z pewną wyniosłością:

–Anaid wierzyła w Księżę Rosebuth. Kiedy jeszcze myślała, że to Selene jest wybranką, powiedziała mi, że uratuje ją dzięki swojej miłości. Miłość to klucz. Dacil wciąż nie wyglądała na przekonaną.

–Ale przecież nie tylko my kochamy Anaid.

–Doprawdy?

**–Selene też ją kocha, nawet jeśli musi słuchać innych Omar. Clodia przypomniała sobie nieustępliwość swojej matki.**

**–Na Selene liczyć nie możemy. Należy do klanu i klan ją zniszczy, a ona zniszczy Anaid, bez względu na swoje uczucia. Nasze matki są nieczułe, nie mają serca.**

**Ddcil siedziała z otwartymi ustami. Nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, że oddanie klanowi może zabijać emocje.**

**–No a ojciec Anaid?**

**Clodia nie. kryła zdumienia. To dopiero szczęściara! Niewiele Omar znało swoich ojców.**

**–Wiesz, kto to jest?**

**–Jasne. Dzięki niemu udało mi się wreszcie spotkać Anaid. Ma na imię Gunnar i pochodzi z Północy. Jest cudowny, miły i przystojny. Clodia była w kropce.**

**–No tak, ale przecież mówiłaś, że babka Anaid to Odish.**

**–Faktycznie – przyznała Dacil.**

**–Czyli Gunnarowi też nie można ufać. Wtedy Dacii coś sobie przypomniała.**

**–Jest jeszcze ktoś, ktoś bardzo ważny, ważniejszy niż my obie. Clodia natychmiast pojęła, o kogo chodzi.**

**–Roc!**

**–To jej wielka miłość.**

**Clodia zagryzła wargi, przypominając sobie na moment Maura. Anaid, w przeciwieństwie do niej, była upartą romantyczką. Nie ulegało wątpliwości, że naprawdę się zakochała i że w sprzyjających warunkach zostałaby z Rokiem na całe życie, aby budzić się co rano z przekonaniem, że oto ma obok siebie jedyne wartego uwagi przedstawiciela płci męskiej na całym świecie. Tak postępowały osoby poważne. Nie takie jak ona.**

**Dacil podjęła się mediacji. – Przyprowadzę go tutaj. Elena na mój widok mniej się zdziwi. Clodia westchnęła.**

**–Tylko co powie Roc, kiedy zaproponujemy mu coś tak szalonego?**

**–Mamy bilety?**

To właśnie powiedział, gdy Clodia i Dacii zamilkły, udzieliwszy mu wyczerpujących i skomplikowanych wyjaśnień.

Clodia zagapiła się na niego z otwartymi ustami.

–To znaczy...

–Ze nie ma na co czekać. Anaid jest w niebezpieczeństwie. Nie możemy tu siedzieć z założonymi rękami i dywagować.

Clodia nie wierzyła własnym uszom. Roc wydawał się facetem na serio. Zdecydowanym postępować, jak należy. Nie zniechęciły go ani cokolwiek niejasne opowieści o zagrożeniach, na jakie wystawiona była Anaid, ani jej przynależność do dziwnej kobiecej społeczności, ani jej nadprzyrodzona moc.

–Zrozumiałeś wszystko, co ci tłumaczyliśmy? Teraz Roc zdumiał ją jeszcze bardziej.

–Szczерze mówiąc, ani trochę. Ale mam jasność w dwóch kwestiach: po pierwsze, Anaid może umrzeć, jeśli jej nie pomożemy, i po drugie, muszę w związku z tym coś zrobić.

Clodia zerknęła z wyrzutem na Ddcil, jakby chciała jej wypomnieć brak talentów narracyjnych, i napotkała z jej strony takie samo spojrzenie. Może zresztą żadna z nich nie ponosiła tu winy. Bo jak właściwie wyjaśnić zwyczajnemu chłopakowi, że jego dziewczyna jest czarownicą. Ba, nie tylko czarownicą, ale również zapowiadana od wieków przez wyrocznie wybranką, która padła ofiarą przekleństwa i przeszła na złą stronę. I uzależniła się od berła władzy. I została skazana na śmierć, od której wybawić ją moim tylko w jeden, wspomniany przez pewną starą księgę sposób.

Zagłębianie się we wszystkie te szczegóły mogłoby, że wpłynąć na kogoś tak pragmatycznego i energicznego jak Roc. Nawet jeśli ten ktoś był synem czarownicy.

Jedno wszakże należało ustalić. Chociaż zadanie śmiertelnie poważnego pytania na temat, który zwykle zbywała wzruszeniem ramion, przyszło Clodii z trudem.

–Kochasz ją?

Roc milczał, Dacil zamrugła niespokojnie.

–Musisz nam powiedzieć prawdę, to bardzo ważne, Jesteś zakochany w Anafd czy nie? Roc popatrywał to na jedną z nich, to na drugą.

**–A ona? Dacii wypaliła natychmiast:**

**–Myśli tylko o tobie, zupełnie oszalała na twoim punkcie. Roc się zachnął.**

**–To dlaczego zachowywała się tak dziwnie? Dlaczego przestała odpowiadać na moje e-maile? A jak chciałem ją pocałować, to... Widząc jego zmieszanie, Clodia wtrąciła pojednawczo:**

**–Takie tam kobiece sztuczki. Na pewno doszła do wniosku, że nie powinna ci niczego ułatwiać.**

**–To dlatego tak mnie przestraszyła ostatnim razem?**

**–Wtedy już nie była sobą.**

**–A wcześniej?**

**–Ja myślę, że to z nieśmiałości – oświadczyła Dacii. Roc pomilczał jeszcze chwilę, a potem spuścił głowę i mruknął:**

**–No dobra, bardzo mi na niej zależy.**

**–Ja też ją kocham – szepnęła Dacii.**

**–Świetnie, ja tam sentymentalna nie jestem, ale za to funduję bilety – dorzuciła Clodia, jakby próbowała ich na swój sposób przebić w jakiejś licytacji. W tym momencie zadzwonił jej telefon.**

**–Halo?**

**–Podobało mu się.**

**–Co i komu?**

**–Kotu mojej matki. Spanie ze mną. Teraz nie odstępuje mnie na krok. liże mi buty. Mój koteczek, miauu, miauu. To był Mauro. Ten czubek Mauro.**

**–Czyli nie kopiesz przez sen.**

**–Na to wychodzi. Kiedy wracasz, żeby to sprawdzić?**

**–No... Jest problem.**

**–Wesele się przeciąga?**

**–Właśnie. Do tego stopnia, że teraz przenosimy się z imprezą do Veracruz.**

**–Do Meksyku?**

**–Świetne miejsce.**

**–A dziecko?**

**–O, już się urodziło. Zabieramy je ze sobą. Po drugiej stronie dał się słyszeć dziwny odgłos. Clodia nie była w stanie ocenić, czy Mauro się śmieje, spadł z krzesła czy wyrzucił aparat przez okno.**

**–Nic, tylko pijesz, co? – rzucił wreszcie Mauro.**

**–Skąd. Wciąż myślę. Inni piją i tańczą, a ja myślę.**

**–O mnie?**

**–Pewnie.**

**–I co wymyśliłaś?**

**–Zastanawiałam się, czy nie jesteś aby lunatykiem.**

**–Lunatykiem?**

**–A nie jesteś? Bo wiesz, lunatyków to się trochę boję. Cisza.**

**–Mauro?**

**–Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia.**

**–To sprawdź.**

**–Jak?**

**–Rozsyp na podłodze mąkę, a jeśli rano znajdziesz ślady, znaczy, że łazisz po nocach.**

**Znowu cisza. Clodia chętnie by przewinęła taśmę do tyłu, ale to akurat nie było możliwe. Z Taorminy dobiegło westchnienie, a potem wreszcie głos Maura.**

**–Twardy z ciebie orzech. Uf. Clodia odetchnęła z ulgą.**

**–Ilekcóż zechcesz sobie trochę utrudnić życie, możesz na mnie Uczyć.**

**–Naprawdę o mnie myślisz?**

**–Oczywiście.**

**–Ile razy na dzień?**

**Clodii znów się włączyło czerwone światełko.**

**–Co spojrzę w lustro i zobaczę swoje usta.**

**–To zupełnie tak jak ja... Wiesz, ja...**

**–Przestaję cię słyszeć, chyba nie mam zasięgu...**

**–Ja cię słyszę doskonale.**

**–Halo? Halo? *Ciao!* Rozłączyła się i puściła oko do Roca i Dacii, którzy stali już gotowi do wyjścia.**

**–To mój chłopak. Nie lubi, żeby mu cokolwiek ułatwić.**

**Selene drżącymi rękami otworzyła drzwi swojego domu i zaczęła węszyć jak wilczyca. W przedpokoju pachniało młodymi ludźmi. Zostawiła klucz w zamku, wiedząc, że za nią idzie Karen, a wkrótce zjawi się też Valeria. – Clodia! Dacii!**

**Tak nawołując, obiegła wszystkie pokoje. Karen zastała ją zrozpaczoną i zadyszaną.**

**–Nie ma ich. Wyjechały – jęknęła Selene. – Chyba nawet niedawno, komputer jeszcze się nie wyłączył. Karen zmusiła ją do kłapnięcia na kanapę.**

**–Oddychaj i uspokój się, bo inaczej znów ci zaaplikuję pigułki.**

**–Do diabła z twoimi pigułkami.**

**–Nie zamierzam pozwolić, żebyś mi tu znowu zemdląła.**

**–A czemu nie? Właśnie straciłam córkę, więc jakie znaczenie ma moje zdrowie?**

**–Możesz stracić również to drugie dziecko.**

**–Nie chcę żadnego drugiego dziecka! Chcę Anaid! – krzyknęła Selene, wybuchając płaczem.**

**Karen próbowała ją pocieszyć w jedyny możliwy sposób. Obejmując ją.**

**–No, już, już. Nikt by cię teraz nie rozpoznał. A przecież udało ci się wyrwać Omar z marazmu i zmusić je do walki. Wszystkie klany przygotowują się do konfrontacji z Odish. Potrzebują cię. Nie możesz ich opuścić.**

**–Oczywiście, że mogę – szlochała Selene. – Muszę iść za Anaid.**

**–Anaid musi poradzić sobie sama. I wciąż ma szansę. Po prostu zeszła na Ścieżkę Om – przekonywała Karen. Selene utkwiała w niej płonące spojrzenie.**

**–Ja tam byłam. Wiem doskonale, że umarli nigdy nie wybaczą. Nie zlitują się też nad moją córką. Anaid nie wyjdzie stamtąd żywa.**

**Karen umilkła. Pewnym doświadczeniem nie sposób przeciwstawić zdroworozsądkowych argumentów. Selene lepiej niż ona wiedziała, o czym mówi.**

**–Nie zamierzasz chyba schodzić tam znowu? Selene rozpaczliwie obgryzała paznokcie.**

**–Ty nie wiesz, co to znaczy znaleźć się wśród umarłych i czuć, jak powoli gaśnie w tobie życie. Nie wiesz, co to samotność, strach, rozpacz i szaleństwo. Nie pozwolę, by Anaid przechodziła przez to sama. Nie pozwolę, by umarła. Pójdę jej pomóc. Karen złapała ją za rękę.**

**–Selene, zastanów się! Już za późno! Teraz musisz zadbać o siebie, jesteś w ciąży! Pomyśl trochę o tym dziecku. To prawdziwe zrzędzenie losu. Selene natychmiast przestała płakać i spiorunowała przyjaciółkę wzrokiem.**

**–Próbujesz mi powiedzieć, że doskonale się składa, bo wprawdzie straciłam córkę, ale natura usiłuje mi to wynagrodzić?**

**Karen, zawstydzona, spuściła oczy. Bo to właśnie próbowała powiedzieć. Podzielała opinię większości, która w nowym życiu zawsze widzi coś w rodzaju rekompensaty. Cięża Selene, choć zupełnie zaskakująca, jawiła się w tym kontekście jako akt sprawiedliwości.**

**–A twoim zdaniem co powinnam zrobić? – spytała po chwili Selene.**

**–Musimy jechać do Meksyku i odebrać Cristinę berło. Selene pokręciła głową.**

**–To zadanie wybranki.**

**–Anaid nie da rady go wypełnić!**

**–Pomożemy jej. Ja, Clodia i Dacii. Kochamy ją i wstawimy się za nią.**

**–Jak? Wszystkie trzy zejdziecie na Ścieżkę Om? Selene milczała. Rzeczywiście coś takiego chodziło jej po głowie.**

**–Zabiorę je ze sobą – rzekła wreszcie. – Obie zawdzięczają Anaid życie.**



**Ofiarujemy siebie za nią, niech umarli wybiorą.**

**Karen wyglądała na wstrząśniętą.**

**–I co powiesz Valerii? Że zamierzasz poświęcić jej córkę za swoją? Selene nie panowała już nad sobą.**

**–Anaid to wybranka! Nie może umrzeć!**

**Karen jednak, z racji swego zawodu obyta ze sprawami życia i śmierci, widziała sprawy właściwie.**

**–Nie wolno ci szafować cudzym życiem! Uspokój się wreszcie i zacznij myśleć.**

**Poskutkowało. Selene opamiętała się nagle. Rzeczywiście, w rozpacz chwytała się każdego, nawet najbardziej bezsensownego pomysłu, jeśli dawał on cień nadziei na ocalenie Anaid.**

**W tym momencie dołączyła do nich Valeria, która natychmiast rzuciła się do komputera.**

**–Trzeba sprawdzić, jakie strony odwiedzały przed wyjściem.**

**I już po chwili wiedziała dwie rzeczy. Że, po pierwsze, ma całkowicie wykorzystany kredyt, i że, po drugie, Clodia, Dacii i Roc są w drodze do Meksyku.**

**Selene, w której oszalałym umyśle zaświtała nowa myśl, zerwała się na równe nogi.**

**–Szybko, jedziemy.**

**–Do Meksyku? – zdziwiła się Valeria.**

**–Jasne. Tam są przecież Odish. Razem z berłem. Jeśli odbierzemy je Cristinę, to w tak licznej grupie będziemy naprawdę potężne. Karen pokiwała głową. Selene wreszcie mówiła do rzeczy.**

**–A ja oddam berło Anaid i w ten sposób ją uratuję dodała Selene. Karen westchnęła.**

**–Selene, nie zaczynaj od nowa – powiedziała, próbując sprowadzić ją na ziemię.**

**–Nie jesteś w stanie w żaden sposób wpłynąć na los Anaid. Selene zacisnęła pięści.**

**–Oczywiście, że jestem w stanie. I zrobię to.**

Po czym, ku zdumieniu Karen i Valerii, uklękła na zimnej, wykładanej terakotą podłodze w przedpokoju, dotknęła jej ustami i zaczęła mamrotać:

**–Władcy śmierci, którzy panujecie też nad żywymi, zwracam się do was znowu, ja, Selene Tsinoulis. W swojej nieskończonej dobroci wysłuchaliście mnie przed laty i wydaliście wówczas sprawiedliwy wyrok.**

**Słuchali jej. Była tego pewna. Kontynuowała więc:**

**–Potężni władcy, ja, śmiertelna, błagam was pokornie o darowanie win mojej córce Anaid, której życie wam przecież zawdzięczam.**

Umilkła i w przedpokoju zaległa cisza. Selene wiedziała jednak, że musi coś dodać. Wiedziała, jaka jest cena, na którą mogliby przystać umarli.

**–W zamian ofiarowuję wam swoje życie, wspaniałomyślni władcy podziemi.**

**Jeśli Anaid wróci do świata żywych, by objąć w posiadanie berło i wypełnić swą misję, ja dobrowolnie udam się do waszego królestwa.**

Ziemia zadrżała, a w oddali rozbrzmiało wycie wilczycy, Nawet odważna Valeria poczuła dreszcz zgrozy.

**–Demeter, błagam, wstaw się za mną i za moją córką, pomóż mi ocalić jej życie.**

Valeria i Karen zadygotały, gdy po ich twarzach przesunęło się coś na kształt lodowatej dłoni. Selene poczuła, że ta sama dłoń ściska jej rękę. Czyżby umarli przyjęli jej ofiarę?

## **Rozdział XXV**

### **Sprawiedliwość Umarłych**

Światło, które spowijało Anaid i zdawało się grozić jej unicestwieniem, zamigotało delikatnie, a z rozciągającej się poza nim ciemności dobiegły słowa:

Poczekajcie, proszę. Blask osłabł i wypuścił Anaid ze swego kręgu. Umarli przychyłili się do prośby. Anaid zaś rozpoznała głos swojej babci Demeter.

**Poczekajcie i posłuchajcie mnie. Jestem Demeter Tsinoulis. Moja córka Selene i wnuczka Anaid, krew z mojej krwi i kość z mojej kości, błagały was już o posłuchanie. Teraz i ja chciałam się do was zwrócić.**

**–Słuchamy cię, wielka Demeter. Anaid wstrzymała oddech.**

**–Anaid, wybranka, złamała prawa umarłych, odebrała wam kogoś, kto już należał do was, swoją przyjaciółkę Dacil. Ale choć uczyniła tak opętana przez przekleństwo Odi i macie prawo zażądać od niej właściwej ceny za ów postępek, to jednak zstąpiła do waszego królestwa, by zabiegać u was o sprawiedliwość i wymierzenie kary nekromantce Baalat. Nie możecie zignorować sprawy, z którą przyszła. Zaklinam was na waszą dobroć, zniszczcie Baalat.**

**W ciszy, która zapadła, rozległy się szepty i w końcu ktoś z Rady Umarłych odpowiedział Demeter w te słowa:**

**–Słusznie mówisz. Anaid ma przed śmiercią prawo wiedzieć, czy jej błaganie zostanie spełnione. Zastanówmy się zatem.**

**Demeter dodała:**

**–Zaklinam was również, byście zastanowili się także nad jej misją, która polega wszak na tym, by pokonując Odish, raz na zawsze przywrócić wasze niepodzielne panowanie nad życiem i śmiercią. By tego dokonać, wybranka musi jednak wrócić do świata żywych i skończyć z kulturowaną przez Odish nieśmiertelnością. Błagam was, członkowie wielkiej Rady Umarłych, o wyrozumiałość i dalekowzroczność, by przepowiednie mogły się wreszcie wypełnić. A za życie Anaid ktoś inny ofiarowuje wam siebie. Przyjmijcie tę ofiarę.**

**Anaid czuła, jak z każdym słowem babki wraca jej utracona nadzieja, a kiedy umarli wycofali się na naradę i wokół znów zapanował mrok, odważyła się odrobinę podnieść głowę.**

**–Babciu? – spytała ostrożnie, wpatrując się w eleganckie szczupłe stopy Demeter.**

**–Anaid, dziecko, wykazałaś się niezwykłą odwagą. Anaid miała wrażenie, że oto wróciła do czasów dzieciństwa.**

**–Babciu, mogę na ciebie spojrzeć?**

**–Oczywiście, kochanie.**

**Widok znanej twarzy działał tak kojąco! Szare oczy długi siwy warkocz, regularne**

**rysy, mocne dłonie... Demeter uśmiechała się, ale w tym uśmiechu była pewną surowość. Tego właśnie Anaid potrzebowała: cierpliwej stanowczości, odpowiedzialnego uczucia.**

**Wyciągnęła ku Demeter dłonie. Ręce babki emanowały chłodem, lecz zarazem i siłą.**

**–Przytul mnie, babciu, proszę.**

**I ramiona Demeter otoczyły Anaid, napełniając spokojem. Już nie była sama. Jej oddech wyrównał się stopniowo, chaotyczne myśli nabrały klarowności.**

**–Babciu, ja nie chciałam być Odish, nie chciałam stać się jedną z nich.**

**–Przecież wiem – szepnęła pocieszająco Demeter.**

**–Nie chciałam czuć tej strasznej żądzy krwi ani władzy.**

**–Wiem, dziecko.**

**–Może... Może byłoby jednak lepiej, żebym umarła.**

**–Nie, Anaid.**

**–A jeśli po powrocie do świata żywych pod wpływem jakiegoś dzikiego impulsu zaatakuję Omar? Chyba bym zwariowała.**

**–Teraz, gdy jesteś świadoma tego, co się z tobą dzieje, potrafisz już z tym walczyć.**

**–Jak?**

**–Panując nad sobą. Wciąż pamiętając, jak wiele osób cię kocha. Anaid westchnęła.**

**–Wszyscy mnie nienawidzą: Elena, Karen, Criselda, Selene, Roc... Wszyscy. Nawet Dacii mnie zdradziła.**

**To nieprawda – zaprzeczyła stanowczo Demeter. – Dacii próbowała po prostu zapobiec twojej wyprawie do świata umarłych, pewna, że stąd nie wrócisz. Tylko dlatego uprzedziła Arimindę o twoim przybyciu, błagając ją, by cię ratowała.**

**Ta niespodziewana wiadomość dodała Anaid ducha.**

**–Dacii się o mnie martwiła?**

**–I Selene też. Na dźwięk tego imienia Anaid poczuła ciepło wokół serca. I Selene też?**

**–Ofiarowała swoje życie w zamian za twoje. Anaid zmartwiała.**

**–Niemożliwe.**

**–Możliwe. Prawie każda matka zrobiłaby to dla swojego dziecka. Anaid odnosiła wrażenie, że zaraz się udusi.**

**–Więc Selene aż tak mnie kocha?**

**–Bezgranicznie.**

**–A Gunnar? Demeter milczała przez dłuższą chwilę, potem zaś rzekła:**

**–Wielka Rada Umarłych jest już z powrotem. Rzeczywiście, krąg oślepiającego światła ponownie zagarnął Anaid, rażąc jej oczy. Anaid natychmiast spuściła głowę i z rezygnacją czekała na wyrok.**

**–Wielka Demeter, Rada Umarłych rozważyła twoje prośby. Co do łamiącej nieustannie nasze prawa nekromantki Baalat, postanowiliśmy, że musi umrzeć. Odmawiamy jej łaski kolejnych wcieleń, by nie mogła już dłużej grać z życiem, odbierając je innym.**

**Anaid odetchnęła z ulgą. Spełniła swą misję. Los Baalat był przesądzony. Uśmiechnęłyby się, gdyby nie to, że właśnie ważyły się także i jej losy.**

**–Co zaś do obecnej tu Anaid Tsinoulis, wybranki przyznajemy, że według wyroczni odpowiada ona za przyszłość czarownic i winna wobec tego sięgnąć po berło. Zgadamy się więc, by wróciła do świata żywych, pod warunkiem że już teraz rzeknie się nieśmiertelności a wykonawszy swe zadanie, bez zwłoki odda się w nasze ręce Anaid zdrząła. Oto zawisł nad nią miecz Damoklesa Demeter zapytała:**

**–Może jednak przyjmiecie w zamian życie kogoś, kto ją kocha?**

**–Owszem, jeśli byłby to ktoś tej samej krwi... – zawyrokowali po chwili namysłu umarli.**

**–Nie!!! – krzyknęła Anaid. – To niesprawiedliwe. Demeter upomniała ją ostro:**

**–Anaid, proś umarłych o wybaczenie, ich decyzje zawsze są sprawiedliwe. Anaid przyjęła poprzednią, pokorną postawę.**

**–Wielcy mędracy z Rady Umarłych, błagam, byście nie godzili się na żadną zamianę. Gdy wypełnię swą misję, wrócę tu do was i pozostanę w waszym królestwie na zawsze. Odpowiedziała jej grobowa cisza. Znów wtrąciła się Demeter.**

**–Nie zwracajcie na nią uwagi. Jest zbyt młoda i zbyt impulsywna. Ponieważ, jak**

widzimy, nie umiecie dojść do zgody w kwestii, czyje życie nam ofiarować – orzekli umarli przyjmujemy to, które zostanie nam oddane pierwsze.

Anaid nie mogła powiedzieć, by ją to całkowicie uspokoiło, ale bała się dalej protestować, by nie wystawiać na szwank cierpliwości umarłych. Ostatecznie tylko ona wiedziała o tym układzie i nie zamierzała pozwolić, by ktokolwiek ją zastępował.

–Dziękuję wam za waszą dobroć.

Wówczas umarli otoczyli ją ciaśniejszym kołem i zaintonowali pieśń, od której cała jej istota skręciła się z bólu. Anaid nie wydała jednak ani jęku. Potem jej ciało zaczęło wirować jak oszalały bączek, aż skurczyło się do embriona i znikło. Na koniec embrion uformował się znowu, urósł błyskawicznie i przyjął formę piętnastoletniej dziewczyny. Wszystko to działo się w czasie bez czasu.

W ten sposób Anaid narodziła się znowu, mając jedno życie, jak wszyscy. Jej zmęczenie nie miało granic, ale kondycja istoty śmiertelnej napełniła ją niespodziewaną satysfakcją.

Zmarła, by się odrodzić. Czy tak oto wypełniało się proroctwo Odi? Umarli wydali polecenia:

–Ty, Demeter, powiesz swoją wnuczkę Anaid przez labirynty naszego królestwa i osobiście wyznaczysz przewodnika, który poprowadzi ją dalej, aż do krateru. Odpowiadasz przed nami za jej powrót do nas, gdy już wszystko się skończy.

–Dziękujemy, wielcy i szczodrzy królowie podziemi – skłoniła się Demeter. Anaid nie wiedziała, czy powinna pozostać na klęczkach, lecz gdy poczuła na ramieniu dłoń babki, uznała, że chyba wolno jej wstać.

–Szybko – szepnęła jej Demeter na ucho. Wtedy w obrębie murów twierdzy dał się słyszeć potężny krzyk:

–Nie! Zostawcie mnie! Jestem Baalat! Puszczajcie, mówię!

Ten głos sprawił, że pod Anaid ugięły się nogi. Okrucieństwo Baalat wiele kosztowało wszystkie Omar, a rodzinę Tsinoulis w szczególności. Sprawiedliwości stało się wreszcie zadość.

–Nie możecie mnie skazać na wieczną śmierć! Nie możecie!

Jednakże od wyroków Rady Umarłych nie było odwołania, co w tym akurat przypadku bardzo Anaid cieszyło.

Rozpaczliwe wrzaski Baalat cichły, w miarę jak Anaid i Demeter zbliżały się do murów. Najprawdopodobniej krępowano ją właśnie sznurami zapomnienia.

–Chodźmy stąd, zanim obryzga nas jej złość – mruknęła Demeter, otwierając drzwi wiodące na zewnątrz.

Wtedy głos Baalat zamilkł. Umarli zakneblowali ją wieczną ciszą. Anaid żałowała, że wszystko to nie zdarzyło się wcześniej, bo w takim razie Elena wciąż miałaby swą córeczkę Dianę i wiele innych Omar nie musiałoby oglądać śmierci swoich sióstr i córek.

Umarli w swej mądrości skazali Baalat na uwięzienie wśród cieni, nie pozwalając jej jednak zapomnieć, jak bardzo chciała na zawsze pozostać w królestwie żywych. To była dla niej najsroższa, w pełni zresztą zasłużona kara. Anaid westchnęła, wciąż podążając za babką. Demeter prowadziła ją teraz wąskim chodnikiem, który stopniowo schodził pod ziemię, zamieniając się w wydrążony wśród skał tunel.

–Nie będziemy musiały przepłynąć rzeki? – zdziwiła się Anaid.

–Przedostaniemy się pod nią.

–Dlaczego?

–Według praw obowiązujących w królestwie umarłych nikt żywy nie może go opuścić. Cerber pilnuje, by nikt nie złamał tego zakazu, i umarli szcycą się skrupulatnym przestrzeganiem przepisów.

Opuszczały więc to miejsce, do którego Anaid zobowiązała się wrócić, zupełnie inną drogą. Nie musiały pokonywać wielkiej równiny ani górskich dolin. Najwyraźniej Umarli znali liczne skróty.

Anaid na samą myśl o piętrzących się przed nią wcześniej przeszkodach, czuła przemożne zmęczenie. Następnym razem miała się tu zjawić martwa. I dobrze. Życie było tu jak kula u nogi.

–Posłuchaj mnie, Anaid, bo niewiele zostało nam czasu, a sprawa jest ważna. Poręczyłam za ciebie i zdobyłam ci przepustkę do świata żywych. Teraz jednak ty musisz przejąć całą odpowiedzialność.

–Co mam zrobić?

–Zniszczyć Cristinę O1av, Lodową Damę. Anaid odniosła wrażenie, że coś w niej

**pęka. Ale...**

**–To ona przywłaszczyła sobie berło władzy. Ona jest ostatnią podporą Odish. Musisz to zrobić, na tym poległ misja wybranki. Anaid skinęła głową.**

**–A co z moją dwoistą naturą? Czy rezygnując z nieśmiertelności, przestałam być Odish? Demeter westchnęła.**

**–Nie wiem. Ale niewykluczone, że nadal będziesz pragnąć krwi i władzy.**

**–Jak powinnam z tym walczyć?**

**–Nadeszła pora, żebyś zamiast jak do tej pory poddawać się berłu, narzuciła mu swoją wolę.**

**–To prawda, że mu się poddałam – przyznała Anaid. – Sama myśl o nim wystarczała, żebym przestała się kontrolować.**

**–Teraz jesteś mądrzejsza – pocieszyła ją Demeter – ostrożniejsza i lepsza. Zgodziłaś się przecież poświęcić swe jedyne życie staraniom o powszechne szczęście. Nie zapominaj, że na tym polega rządzenie. Mówiąc to, Demeter rozplywała się powoli w powietrzu,**

**–Nie, babciu, nie odchodź, jeszcze nie.**

**–Na tym ostatnim odcinku poprowadzi cię inny, starszy duch.**

**–Obiecuj mi, że nie powiesz Selene o mojej umowie z umarłymi.**

**–Nie mogę ci tego obiecać.**

**–To niech przynajmniej do wyjścia towarzyszy mi Bridget.**

**–Bridget? Czarownica z góry Domen?**

**–Tak, babciu, błagam, to moja ostatnia prośba. Demeter znikła i Anaid znów poczuła na barkach brzemie**

**samotności. Po chwili wszakże z ponurych rozmyślań wyrwał ją poważny, dźwięczny głos:**

**–Wzywałaś mnie?**

**Tuż obok stała piękna kobieta o sięgających pasa złocistych włosach, ubrana w długą suknię.**



**–Ty jesteś Bridget? – spytała zdumiona Anaid. – Ta sama, która przeklęła górę Domen?**

**–A ty jesteś wybranką, tak? – odpowiedziała pytaniem Bridget. – Wybranką z przepowiedni?**

**W tym momencie Anaid zorientowała się, że jej włosy przybrały płomienny, rudy kolor, o jakim mówiło proroctwo.**

**–Tak, jestem Anaid Tsinoulis, wybranka, córka Selene i wnuczka Demeter, z Klanu Wilczycy. I mam do ciebie wielką prośbę, duchu Bridget. A wtedy Bridget, nieujarzmiona Bridget, która nie okazała strachu przed żołnierzami ani ogniem i w chwili śmierci przeklęła wszystkich następnych kochanków z góry Domen, skazując ich na wieczną udrękę, pokornie przyklęła.**

**–Każda twoja prośba jest dla mnie rozkazem.**

**\* \* \***

**Szła przez Veracruz z wiernym psem husky na krótko trzymanej smyczy. Nikt nie zwracał uwagi na jej długie, skołtunione włosy, egzotyczny naszyjnik z niedźwiedzych zębów i niechlujny wygląd. Z odległych nawet stron ściągali do miasta pielgrzymi, by prosić zgromadzone w nim czarownice o radę. Wielu dręczyły ciężkie zmartwienia lub choroby, na które zaradzić mogła jedynie odwieczna magia.**

**0 tej przejściowej porze, kiedy z ulic znikają nocne marki, a rannych ptaszków jeszcze nie widać, rannej ciszy nic rozweselała rytmem *bamby* albo *hnapango* żadna, gitara. Arkady – za dnia osłaniające kawiarniane stoliki i *marachich* stały puste, a na białych, oświetlanych fantasmagorycznym blaskiem świtu fasadach domów nie odbijały się niczyje cienie.**

**Dlatego nikt nie widział dziwnego zachowania dziewczyny, która przyklęła obok psa i ucałowała go czule, by następnie wstać i trzykrotnie okręcić smycz wokół słupa latarni.**

**Potem oddaliła się, zostawiając piękne zwierzę, które zrozumiałwszy, że je opuszcza, zaczęło szarpać się i walczyć, Daremnie.**

**1 podczas gdy sylwetka dziewczyny znikła wśród brudnych uliczek portowego miasta, husky podniósł smutny pysk do bladego już księżyca i zawył długo a**

rozpaczliwie. Pewna czarownica z Klanu Kolibrzycy obudziła się z płytkiego snu wiedząc, że to zły znak, i szybko wypowiedziała zaklęcie.

## Rozdział XXVI

### U stóp Iztaccihualt

Powitało ją wrażenie przyjemności. Czyjeś troskliwe dłonie, nawykłe do przyjmowania na świat dzieci, metodycznie i fachowo ugniatały jej zmęczone mięśnie, zupełnie jakby ciało było miękkim ciastem. Powoli odzyskiwała świadomość i wrażliwość na bodźce. Przypominając sobie przy okazji, że ma łaskotki.

–Nie, proszę, tutaj nie.

Zawsze miała straszne łaskotki na stopach, a magiczne dłonie z uporem masowały ich podbicie, zmuszając ją do śmiechu.

–Nie, już nie mogę, zaraz umrę! Ręce znieruchomiały.

Nie umieraj, kochanie. Dopiero co wróciłaś do życia.

Ten ciepły głos, własny śmiech, łaskotki, ciągnące od ziemi zimno i lekki, ale niewątpliwy głód – wszystko to skłaniało do jednego wniosku: była żywa. Jak cudownie!

Otworzyła oczy i ujrzała imponującą matronę, która tuliła ją teraz do siebie jak dziecko. Osoba ta miała duży biust, skórę o miedzianym odcieniu, indiańskie rysy, a w nosie – specyficzną ozdobę: srebrny półksiężyc.

–Gdzie jestem?

–Witaj w świecie żywych, dziecinko. Jesteś w jaskini Milpuco, w wąwozie Milpuco, obok Rosity.

Anaid nie zrozumiała.

–Masz na imię Rosita?

Sprowokowany przez to pytanie dźwięczny śmiech przekonał ją, że kobieta z pewnością nie należy do grono umarłych.

–Nazywam się Coatlicue Yacametztl, jestem córką Xóchiltl i wnuczką

Cuauhtli, z azteckiego Klanu Wężycy Rosita to nasza góra, biała pani, piękna Iztaccihuatl.

A więc była to Omar. Czy ją rozpoznała?

–A Popocatapetl?

–Don Goyo, rzecz jasna, czuwa nad Rosita, tu, niedaleko. Proszę. Czyli trafiła od razu we właściwe miejsce. Czy

tutejsze Omar spodziewały się jej przybycia? A może to pułapka? Chyba że po prostu się nie zorientowały, z kim mają do czynienia.

Chciała się przedstawić, ale słowa przysychały jej do podniebienia.

–Jestem Ana... noulis...

–Nic nie mów, dziecinko, najpierw się napij i zjedz trochę chleba. Musisz odzyskać siły. A potem poważnie porozmawiamy.

Coatlicue sięgnęła po kubek z białym płynem i przystawiła go do ust dziewczyny. Biały płyn okazał się alkoholem i Anaid zakrztusiła się, ale jej opiekunka nalegała.

–Pij, dziecinko, to *pulque*, sfermentowany sok z agawy. święty napój, który leczy chorych.

Anaid usłuchała i wkrótce ogarnęło ją miłe ciepło.

–A teraz, dziecinko, trochę sobie pogawędzimy. Anaid zamieniła się w słuch.

–Musisz wiedzieć, że wszystkie tutaj powariowały. I jak tylko zobaczyłam na twojej dłoni znak wielkiej matki wilczycy, a potem wyczułam bijącą od ciebie energię, od razu pomyślałam, że skoro jesteś potężna, dziecinko, mogłabyś mi pomóc przywołać je do porządku.

Anaid nie bardzo rozumiała, o co chodzi. – Kogo przywołać?

–Czarownice. Z Klanu Jaguarzycy, Kolibrzycy, Pierzastej Wężycy... Chodzą nastroszone jak koguty, wznoszą wojenne hasła i powtarzają, że zwyciężą Odish.

Anaid nie wierzyła własnym uszom. Czarownice z Klanu Jaguarzycy, Kolibrzycy... Czy to możliwe, żeby Omar naprawdę przygotowywały się do walki? Żeby porzuciły swą dotychczasową bierną postawę? Uśmiechnęła się. Matrona z wielkimi piersiami delikatnie zawinęła w tortillę smażone kawałki czegoś, co miało wielkość i kształt małego palca u ręki, dodała trochę chili, po czym podała kanapkę Anaid.

–Jedz, dziecinko, bo bardzo osłabłaś. Skąd przybywasz? Miałaś długą podróż? Anaid, która z apetytem pałaszowała *pyszną* kanapkę, pokiwała głową, ale jej rozmówczyni nie wydawała się zainteresowana tematem.

–Jak tylko dojdiesz do siebie, pomożesz mi zaprowadzić ład. Wyglądasz na bardzo młodą, ale masz charyzmę i kiedy zobaczą twój znak, to zaraz cię posłuchają. Moja siostrzenica całkiem się już nie liczy z moim zdaniem. Zaczęła się uczyć sztuk walki u jakiejś etruskiej bezwstydnicy, co to obcięła się na krótko, wciąż tylko wymachuje swoim *atame* i skacze jak pchła. – Coatlicue złożyła dłonie w błagalnym geście. – Czyżby mateczka O zupełnie nas opuściła?

–Twoja siostrzenica uczy się u Aurelii? – zdumiała się Anaid.

–Znasz ją?

–Ze słyszenia. To wnuczka Lucrecii. Coatlicue załamała rękę.

–Wielka matriarchini Lucrecia była osobą godną szacunku, ale jej wnuczka jak nic zwariowała.

Anaid czuła, że ogarnia ją ożywienie.

–Aurelia jest tutaj?

–Ba, nie tylko ona, dziecinko. Zjawiły się też inni z Klanów Wężycy, Wilczycy, Żółwicy, Orlicy, Niedźwiedzicy... Zleciały się tysiącami, po wysiadały z samolotów i rozlały po kraju jak plaga.

Dziwne. Ciekawe, ile czasu minęło odkąd ona, Anaid, zstąpiła na Ścieżkę Om.

–Który dziś jest?

–Według waszego kalendarza dwudziesty.

–Jakiego miesiąca?

–Września.

Anaid na chwilę straciła dech. Od chwili gdy przepadła w czeluściach Teide,

upłynęły trzy długie miesiące. Co alf przez ten czas działało? Pochłonęła ostatni kęs wyśmienitej kanapki, popiła *pulque* i oblizwała się ze smakiem. Omar najwyraźniej postanowiły działać, a ta starsza czarownica jej nie poznała. Wzięła ją za kogoś innego. Czyżby jej włosy były tak brudne, że ich ruda barwa nie rzucała się oczy?

–I gdzie są te wszystkie Omar?

–Zasadzają się na nieśmiertelne Odish, córeńko, a ja przyszedłam tutaj, pomedytować z moją mądrą Rosita, która przynajmniej mnie słucha. No i niespodziewanie zjawiałaś się ty. Znalazłam cię półżywą i od razu poznałam, że jesteś znakiem ognia, wysłanniczką Klanu Wilczycy, zdolną opanować ten cały rejwach.

–Ciociu Coatlicue, co tam szepczesz tej wilczycy na ucho?

Anaid popatrzyła ku wejściu, gdzie widoczna pod światło stała śniada, ubrana w dżinsy i polar dziewczyna z takim samym jak Coatlicue półksiężycem w nosie oraz *atame* w garści.

–Nic, o czym same byście nie wiedziały. I schowaj ten *atame*, jak ze mną rozmawiasz, to niegrzecznie wchodzić z bronią do jaskini. Dziewczyna wyraźnie się zdziwiła.

–Skąd wiesz, że mam w ręku *atame*? To w końcu jesteś niewidoma czy zwyczajnie udajesz?

Przerażona Anaid machnęła dłonią przed nieruchomymi oczami siedzącej obok kobiety i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, dlaczego Coatlicue nie zauważyła jej rudych włosów. W pośpiechu rozejrzała się za czymś, czym mogłaby się osłonić, i zobaczyła pięknie haftowaną chustę. Owinęła nią głowę i ramiona, po czym, udając spokój i przygotowując się do odegrania roli, uśmiechnęła się do nowo przybyłej, która mrugała szybko powiekami, próbując przyzwyczaić oczy do panującego w jaskini mroku.

–Widzę, że decyzja o podjęciu walki nie została dobrze przyjęta przez matriarchinię azteckiego Klanu Wężycy.

Śniada dziewczyna schowała *atame* pod polarem.

–Matriarchinię z natury są niechętne wszelkim zmianom.

Anaid wyczuła w jej słowach determinację i coś jeszcze, czego od dawna nie dostrzegła u Omar: odwagę. Żałowała, że nie może się przedstawić swoim prawdziwym imieniem.

–Jestem Diana Dolz, córka Alicii i wnuczka Marty, z Klanu Wilczycy. Tamta podeszła bliżej i przyklękła.

–Metztli Talpallan, córka Itzpapalotl i wnuczka Omecihuatl, z Klanu Wężycy.

Z tymi słowy uściskała ją serdecznie. Anaid od razu poczuła się pewniej. Metztli zajrzała do miski stojącej obok jej ciotki.

Proszę, proszę, cioteczka Coatlicue próbowała kupić twoją lojalność za garść robaków.

To mówiąc, sięgnęła do miski i łakomie włożyła sobie do ust garść tego, co się tam znajdowało.

–Mniam – mlasnęła. – Pychotka. Anaid wzdrygnęła się ze wstrętem, mając jeszcze nadzieję, że „robaki” to nazwa jakiejś potrawy. Ale nie. W misce były prawdziwe robaki, z oczami, pierścieniowete i ohydne. A ona je jadła.' Przez chwilę myślała, że zwymiotuje, lecz powstrzymała się siłą woli. Ostatecznie okazało się całkiem smaczne i na pewno miały masę składników odżywczych. Coatlicue, mrużąc gniewnie, dźwignęła się z kamienia, na którym siedziała, wygrzebała skądś fajkę, nabiła jej tytoniem i zapaliła. Metztli trąciła Anaid łokciem.

–Wścieka się, zawsze się wścieka, jak mowa o walce.

–Więc to prawda? – ucieszyła się Anaid. – Rzeczywiście wypowiemy Odish wojnę?

–Przysięgam na księżyc Metztli, mojego imiennika, który oświeca noc! Jeśli wyjrzysz na zewnątrz i wyteżysz wzrok, na każdym wzgórzu, pod każdym wawrzynem zobaczysz uzbrojoną Ornar czekającą na wielką chwilę. Gardło Anaid zacisnęło się boleśnie.

–Wielką chwilę?

Metztli z wyraźną przyjemnością napiła się *pulque*.

–Wilczyca nas poprowadzi. To ona wymyśliła nam strategię. To mówiąc, podała Anaid naczynie.

–Jaka wilczyca?

Metztli popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

–Selene! Wybranka!

Anaid poczuła, że cała zaczyna się trząść, dlatego pociągnęła łyk *pulque* i dopiero potem zapytała niedowierzająco:

–Wybranka?

–Tak, Selene. Odbierze berło władzy Lodowej Damie i ją zniszczy.

–Lodowa Dama jest tutaj?

–Skąd ty się urwałaś? Oczywiście, że jest tutaj, ze wszystkimi innymi Odish, które przyjechały tu za nią z Veracruz. Jest teraz ich wielką królową. Bo może i tego nie wiesz, ale Baalat została wreszcie unieszkodliwiona.

Anaid postanowiła udawać całkowitą niewiedzę, żeby tym prędzej zorientować się w sytuacji,

–A kto ją unieszkodliwił? – spytała. Metztli nie kryła zdumienia.

–Naturalnie, że wybranka, Selene, wilczyca ze scytyjskiego plemienia z gór północnej Hiszpanii.

–Coś o niej słyszałam. Metztli westchnęła z podziwem.

–Gdybyś ją tylko zobaczyła. Jest wysoka, odważna, ma rude włosy i zawsze nazywa rzeczy po imieniu. Niczego ani nikogo się nie boi i w razie potrzeby dla dobra Omar poświęci własne życie.

Anaid zakręciło się w głowie. Ta wielkość, ta odwaga i prawość, którymi sama chciałaby imponować – wszystko to miała jej matka. Entuzjazm Metztli, zamiast ją cieszyć, napęlił goryczą. Była zazdrosna? Czuła urazę?

–A znacie plany Odish? Metztli skinęła głową.

–Biała Dama i jej krwawe przyjaciółki przygotowują się do wielkiej uroczystości poświęcenia berła władzy w Tetzqualco na Popocatapetlu. O poranku w dzień zrównania dnia z nocą. Po czym, widząc nic nierozumiejące spojrzenie Anaid, wyjaśniła:

–Tetzqualco to świątynia na zboczu wulkanu. Tam w dzień ekwinokcjum pada zawsze pierwszy promień słońca i tam Odish od wieków odprawiają swoje rytuały, składając w ofierze dziewczynki Omar. Anaid wzdrygnęła się.

–Biała Dama poprowadzi tę ceremonię?

–Tak. Ale nie wie, że trzymamy je w okrążeniu.

–Na pewno wie, jest bardzo potężna – mruknęła Anaid. Metztli uśmiechnęła się.

–Stałyśmy się niewidzialne. Po raz pierwszy wykorzystujemy podobne środki. Odish są tak przekonane o swojej wszechmocy, że *niczego się nie* spodziewają. Nawet jeśli coś zauważyły, uznały, że to nic poważnego. Serce Anaid było jak szalone.

–I co zamierzacie jutro zrobić?

–Zaatakujemy, a wybranka weźmie sobie berło, które jej się należy.

–Wybranka? Metztli przytaknęła.

–Czyli Selene. W ten sposób spełni się proroctwo O. Anaid pobladła nagle i omal nie krzyknęła. Niespodziewanie cała jej miłość do Omar wyparowała. Czarownice okazały się podstępne, przyjęły ją gościnne, by pochlebstwami spętać jej wolę, myliły się jednak, jeśli sądziły, że wobec jej długiej nieobecności mogą ją zastąpić kimś innym. Berło należało do niej. Ona była wybranką i nie zamierzała pozwolić, by Selene i Cristinę walczyły o to, do czego tylko ona miała prawo. W tym momencie poczuła palenie dłoni i opanowało ją niepohamowane pragnienie, żeby dotknąć berła – uczucie niskie, mściwe, lecz przemożne. Próbując się pohamować, pomyślała o Demeter, swoim układzie z umarłymi i ostatniej, przedśmiertnej misji. Metztli zauważyła zmianę, która zaszła w jej nowej znajomej.

–Złe się czujesz? Co się stało? Coś nie tak z twoją ręką Wykonała ruch, jakby chciała jej dotknąć, lecz Anaid zareagowała nadspodziewanie gwałtownie.

–Zostaw mnie! – krzyknęła z wściekłością, chowając świecącą teraz dłoń za plecami.

I pobiegła schować się w głębi jaskini. Tam, w kącie, skuliła się przerażona. Co się z nią działo? Skąd ten gniew i to pragnienie zemsty? Dlaczego w chwilach wzburzenia berło zyskiwało nad nią władzę? Czy to dlatego, że nie czuła się kochana? Możliwe. Na samą myśl, że Selene lub Cristinę mogłyby ją zdradzić, wzbierała w niej nienawiść i znikał wszelki ślad skruchy.

W duchu poprosiła o pomoc swoją mleczną siostrę Sarmik. Ale zamiast odpowiedzi na swoje wezwanie usłyszała ogłuszający ryk, który wstrząsnął jaskinią. Ściany zadrżały, Anaid podskoczyła przerażona i pędem wróciła do dwóch pozostałych czarownic, które siedziały teraz na zewnątrz. Coatlicue paliła spokojnie swoją fajkę, wypuszczając kółka białego dymu.

–Przepraszam – powiedziała Anaid. – Czasem mam takie ataki, to ze strachu.

Metztli i Coatlicue pokiwały ze zrozumieniem głowami, ujmując ją za ręce.

Bijąca od nich dobra energia sprawiała ulgę.



Ryk odezwał się znowu. Metztli wskazała na coś głową. Przed nimi, bardzo blisko, podobny do stojącego w płomieniach olbrzyma, wielki wulkan Popocatepetl wyrzucał z siebie kłęby ognia.

–Złości się. Będziemy musiały go przebłagać ofiarą – stwierdziła Coatlicue.

–Złości się od dawna – zauważyła jej siostrzenica. – Właśnie dlatego – upierała się tamta. – Czeka na ofiarę.

–Tamte czasy minęły.

–Są rzeczy, które nigdy się nie zmieniają, Metztli, rzeczy wieczne, i jedną z nich jest głód don Goya. Już ja wiem, czego on żąda.

Metztli umilkła i zamiast się spierać, jak to miała we zwyczaju, popatrzyła na ciotkę z szacunkiem. To strażniczka ognia – powiedziała do Anaid. – Szepcicha.

–Kto?

–Odkąd trafił ją piorun i straciła wzrok, wciąż tylko szepcze z wulkanem. Anaid wzdrygnęła się. Coatlicue wyczuła ten ruch.

–Boisz się, córeńko? Anaid przytaknęła.

–Co mówi Popocatepetl?

–Don Goyo mówi, że wstrzyma się jeszcze jeden dzień, a potem zmarli odbiorą swój dług.

Jeden dzień. Jeden dzień na to, żeby odzyskać berło, zniszczyć Cristine i resztę Odish, a potem wrócić do świata cieni, spełniając obietnicę. Nie było czasu do stracenia.

Gdy tylko nadarzyła się sposobność, wymknęła się i ruszyła w drogę. Nie miała kłopotu z ustaleniem kierunku. Jej płonąca dłoń starczała za kompas.

\* \* \* Błękitnooki husky zdązał uparcie pod górę. Przegryzł smycz, która teraz od czasu do czasu wplątywała się w zarośla, hamując jego bieg. Nie zważał na to. Uwalniał się silnym szarpnięciem i znów ruszał przed siebie. Aż ją dogonił.

Szła ze spuszczoną głową, dysząc ciężko. Była drobna jak porcelanowa laleczka, ale pozory myliły. Nogi miała silne, płuca pojemne, a zęby mocne. Niestety, powietrze się rozrzedzało. Na wysokości niemal pięciu tysięcy metrów nad poziomem morza każdy wysiłek kończył się zawrotami głowy. Do tego dochodził lodowaty wiatr i ostre skały wulkaniczne, które wbijały się w stopy przez podeszwę buta.

**Zbliżała się do krzyżówki, kiedy husky skoczył na nią z rozmachem. Upadli na ziemię jak jedno wielkie, szamoczące się monstrum i poturlali się szczeni w nierównej walce. Krzyk dziewczyny zagłuszyło szczekanie. Silny pies,**

kierując się instynktem odziedziczonym po przodkach wilkach, unieruchomił ją, czterema łapami przypierając do ziemi.

–Nie! – krzyknęła dziewczyna, zanim rozpoznała pochylony nad nią pysk. W tej samej chwili husky zaczął ją lizać swoim szorstkim językiem po twarzy, machając radośnie ogonem.

–Teo, zostaw mnie! Zostaw mnie, mówię – rzuciła Sarmik, daremnie próbując się oswobodzić i stanąć na nogi. – Teo, *uk.* - zawołała zdecydowanie, jakby właśnie powoziła saniami.

Tym razem zareagował, odsunął się i pozwolił jej się podnieść. Sarmik popatrzyła na niego z naganą. Była zła.

–Nieładnie, Teo, nieładnie. Wiedziałeś, że nie powinieneś tu ze mną być.

Wiedziałeś, prawda?

Husky zawył z cicha i schował łeb między przednie łapy. Nie posłuchał swej pani.

–Przywiązałam cię do latarni, żebyś za mną nie biegł, a ty co? Nieładnie. Pies słuchał, wyraźnie skruszony.

–Powinnam cię ukarać...

Teo podniósł oczy i spojrzał na nią tak niewinnie i uczciwie, jak potrafią spoglądać jedynie psy, konie i dzieci. Jego oddanie nie ulegało wątpliwości. Sarmik wyciągnęła dłoń, ale zamiast go uderzyć, pogłaskała czule.

–Teo, Teo, jesteś niemożliwy... Teo polizał jej rękę i znów zamachał ogonem.

–Nie chcę cię narażać na niebezpieczeństwo. Musisz wrócić. Słyszałeś? Słyszał, ale chyba nie zamierzał usłuchać.

–Czeka mnie ostatnia, bardzo trudna próba. Nie wiem, czy jej sprostam, Teo. Teo wpatrywał się w jej oczy. Sarmik pogładziła go po grzbiecie i wskazując swój naszyjnik, powiedziała:

–Strzeże mnie matka niedźwiedzica, z nią jestem bezpieczna. Nie potrzebuję cię.

Teo posmutniał, zupełnie jakby zrozumiał.

**Sarmik rozpięła plecak i wyjęła ostatnie zapasy: kawałek solonej ryby, którą Teo uwielbiał. Pokazała mu, pozwoliła powąchać, a potem rzuciła daleko w dół żlebu.**

**–No, Teo, szukaj, szukaj! Zawahał się, ale ona nalegała.**

**–Szukaj, Teo, szukaj!**

**Posłuszny swemu instynktowi i rozkazowi pani husky rzucił się za zdobyczą. Jednakże po kilku metrach przystanął. Coś głębszego, może miłość, kazało mu zawrócić i znowu pobiec za drobną, oddalającą się w stronę szczytu figurką. Sarmik nie miała siły odprawić ulubieńca po raz drugi.**

## **Rozdział XXVII**

### **Braterstwo Krwi**

**Selene siedziała w pozycji lotosu, z wyprostowanym kręgosłupem, założonymi z tyłu rękami i przymkniętymi oczyma, oddychając rytmicznie. Wydawała się doskonale skoncentrowana na ćwiczeniu, ale w jej głowie kłębiły się myśli. Bez względu na to, jak uparcie próbowała, nie była w stanie odsunąć od siebie składających się na mieszankę wybuchową refleksji i emocji. Przeklęte uczucia znowu triumfowały, pobudzone przez wieści, które otrzymała niedawno od swych akolitek.**

**Kilka godzin wcześniej dowiedziała się, że Anaid wróciła żywa ze Ścieżki Om. Anaid, jej malutka dziecinka, nie umarła. Selene omal nie zemdląca z radości, gdy Metztli opowiedziała jej o młodej czarownicy, która nie wiadomo skąd pojawiła się w jaskini jej ciotki Coatlicue, u stóp Iztaccihuatl. Nieznajoma miała podobno niebieskie jak morze oczy, białą cerę i znak wielkiej matki wilczycy na grzbiecie dłoni. Była wycieńczona po długiej podróży, ale zaraz znikła, jakby się rozplynęła w powietrzu.**

**Selene czekała na nią z niepokojem. Była pewna, że Anaid zwróci się do niej po pomoc. Nie tylko jako do matki, ale teraz również wielkiej matriarchini, którą to funkcję przydzielono jej, gdy stanęła na czele zbrojących się Omar, a nie chcąc pozbawiać ich nadziei, udała, że jest wybranką. Te, które znały prawdę, milczały, widząc, jak wielką moc ma wiara, i obawiając się efektu, jaki wywarłaby wiadomość, że prawdziwa wybranka została przeklęta i przeszła na stronę Odish. Zresztą całe to nieporozumienie było w gruncie rzeczy dziełem przypadku. Pewnego dnia gdy Selene formowała batalion nad jeziorem Nahualac jakaś młoda czarownica z Klanu Wiewiórki, zmylona charyzmą i rudymi włosami przywódczyni, nazwała ją wybranką. Wiele innych podzielało jej przekonanie, nowina zataczała coraz szersze kręgi, toteż matriarchinie poprosiły Selene, by zamiast się wypierać, zgodziła się odegrać If rolę. I stopniowo niemal wszystkie Omar przyjęły do wiadomości, że wybranką z tak ważnego dla nich proroctwa jest właśnie Selene. Od pokoleń słyszały, że wilczyce**

**0 ognistych włosach ujmie kiedyś w dłoń berło władzy**

**1 przeciwstawi się Odish, uwalniając swoje plemiona z tysiącletniej niewoli strachu. I Selene, energicznie mobilizująca klany do walki, spełniała wszystkie ich oczekiwania.**

**Teraz była prawdziwą ikoną, bezdyskusyjną przywódczynią. Ale Anaid się nie zjawiała.**

**Przez te długie miesiące, gdy jej córka przebywała w świecie umarłych, Selene nie przestawała o niej myśleć ani na chwilę. Dzieliła jej lęk, wyobrażała sobie wszystkie czekające ją w podziemnym królestwie próby. Każdego ranka walczyła z rozpaczą, przypominając sobie dotyczące wybranki słowa kuzynki Leto:**

***I żadna to dla mnie pociecha, że ona, wybranka, również będzie musiała przebyć żmudną drogę, skapaną w bólu i we krwi, ten szlak wyrzeczeń, który zamieszkują samotność oraz wyrzuty sumienia.***

***Ona, tak jak i ja, zмагаć się będzie z kurzem wyściełającym trakt, z zimnem i z upałem. Lecz się nie cofnie, nawet na krok.***

***Chciałabym jej życzyć, by ominął ją gorzki smak rozczarowania, jednak uczynić tego nie mogę.***

***Bowiem wybrankę czeka jej własna podróż, a swe stopy porani na przeszkodach, jakie zostaną przygotowane specjalnie dla niej.***

***Nie dam rady wspomóc wybranki, kiedy jej przyjdzie przetykać gorycz, jakiej doświadczy, ani nie zdołam osłodzić jej też jeszcze niewylanych. Bo to jej los. Jej przeznaczenie.***

**Z trudem, ale jednak przekonała samą siebie, że ścieżki Jej i Anaid chwilowo się rozeszły, by potem zbiec się znowu. Dlatego informacja o końcu Baalat natchnęła ją nową nadzieją. Anaid była silna i odważna, wykonała zadanie. Należało się więc spodziewać, że lada chwila wróci do świata żywych. Selene wierzyła bowiem, że umarli przyjęli jej ofiarę. „Moje życie za życie mojej córki”, zaproponowała, a oni to usłyszeli i jakaś zimna, martwa ręka ucisnęła jej dłoń dla przypieczętowania paktu. Zresztą Demeter też na pewno nie dała skrzywdzić wnuczki. Selene błagała ją o to i ufała, że matka spełni jej prośbę. Dlatego co rano, po przebudzeniu, pytała swoją gwardię, czy na zboczu wulkanu nie pojawiła się dziewczyna o bardzo białej cerze i bardzo niebieskich oczach. Potem, przez cały dzień, od czasu do czasu zerkała w stronę, gdzie spodziewała się ją zobaczyć, i często odnosiła wrażenie, że dostrzega ją w oddali. Anaid jednak wciąż nie było, zrównanie dnia z nocą zbliżało się wielkimi krokami i ofensywy nie dało się dłużej odwlekać. Selene wbrew własnej woli musiała przygotować plan ataku.**

**Ona, śmiertelna, zamierzała stanąć do pojedynku z nieśmiertelną Cristiną i**

**spróbować odebrać jej berło. Oczywiście nie była sama. Armia Omar stała u jej boku, gotowa w każdej chwili rzucić się do boju i przełamać linie obronne Odish.**

**Walka zapowiadała się nierówna i istniało ryzyko, że skończy się rzezią, ale nawet śmierć wydawała się lepsze niż życie w niewoli u okrutnych nieprzyjaciółek.**

**I teraz, kilka godzin przed ostateczną rozprawą, Anaid. prawdziwa wybranka, powróciła wreszcie do świata żywych.**

**Ale nie pospieszyła na spotkanie z matką.**

**Czy znaczyło to, że stanęła po przeciwnej stronie barykady?**

**Bo jeśli tak – byłoby tysiąc razy lepiej, gdyby umarli nie wypuścili jej ze swoich włości.**

**Selene denerwowała się więc straszliwie, gubiąc się w domysłach na temat przebiegu nadchodzącego dnia. Kazała swoim przybocznym szukać Anaid, te jednak natknęły się jedynie na młodą Inuitkę z Klanu Niedźwiedzicy zmierzającą wraz z psem na szczyt Popocatapetla, gdzie wiatr i zimno szczególnie dokuczały nienawykłym do takich warunków czarownicom. Inuitka zobowiązała się zatem mieć na wszystko oko i pilnować, by Odish nie zaskoczyły ich od tej strony.**

**Selene ponownie skupiła myśli na wykonywanym ćwiczeniu. Próbowwała wyrównać oddech. Ponoсила odpowiedzialność za powodzenie akcji, nie mogła sobie pozwolić na słabość. Wszystkie Omar na nią właśnie zwracały pełne nadziei spojrzenia. Cokolwiek je czekało, następny dzień musiał przejść do historii. Wcześniej jednak należało przetrwać długą noc.**

**–Och, Selene, wybac, że zakłócam ci spokój, ale zdarzyło się coś istotnego.**

**Selene podniosła wzrok, starając się nie okazywać niepokoju. U wejścia do jaskini stała mocno zbudowana Omar z mandżurskiego Klanu Skorpion i cy, kobieta o jasnej skórze, prostych włosach i skośnych oczach, uzbrojona w *atame* i wyraźnie**

poruszona.

–Znaleźliście tę wilczycę?

–Niezupełnie, Selene. Selene puściły nagle nerwy.

–Zdajesz sobie sprawę, że bitwa jest już jutro, więc wybranka powinna spędzić tę noc w samotności, na rozmyślaniach?

–Tak.

–I mimo to przychodzisz mi przeszkadzać?

–Mam ważną wiadomość.

–No to mów wreszcie, o co chodzi, Shon Li.

Shon Li była mistrzynią wschodnich sztuk walki, wybraną spośród setek innych kandydatek do elitarnej jednostki strzegącej jaskini matriarchiń. Selene ufała jej bezgranicznie.

–Schwytałyśmy mężczyznę. Nie jest archeologiem ani zbłąkanym turystą. Szuka cię i twierdzi, że ma wieści o młodej wilczycy. Selene pobladła i skoczyła na równe nogi.

–Wysoki blondyn o kobaltowych oczach?

–Owszem.

Instynktownie poprawiła włosy, zastanawiając się, jak wygląda. Miała na sobie długą haftowaną tunikę w wesółych kolorach, doskonale ukrywającą niezbyt jeszcze widoczną ciążę. Rozpuszczone rude loki spływały swobodnie na ramiona. A więc Gunnar był obok.

–Niech wejdzie – rozkazała, udając pewność siebie

i powtarzając w duchu, że nie wolno jej się rozklejać.

A jednak gdy go ujrzała, ugięły się pod nią nogi. Musiała też szybko się opanować, by nie podbiec do niego i po prostu się przytulić. W jego ramionach czuła się zawsze tak bezpiecznie. W podobnych chwilach, trzymając głowę przy jego piersi i słysząc bicie jego serca, odnosiła wrażenie, że siła i spokój Gunnara spływają na nią dobroczynną falą. Zdołała wszakże zachować zimną krew.

–Witaj, Gunnarze.

–Witaj, Selene, Zakładam, że dziwi cię moja obecność, w tym miejscu. Selene dziwił

przede wszystkim jego chłód. Gunnar patrzył na nią twardo, nie podszedł do niej, nie próbował jej pocałować, w jego stalowych oczach nie było żadnych uczuć, głos zaś brzmiał zimno, bez cienia czułości, którą zdradzał przy poprzednich spotkaniach.

–Nigdy nie dziwię się niczemu, co robisz. Ostatecznie jesteś synem swojej matki. Gunnar natychmiast się zirytował.

–Nie przyszedłem się z tobą kłócić, Selene. Nie przyszedłem też, by ci się dalej narzucać. Nie bój się, ten etap mamy już za sobą. Jesteś wolna. Selene z trudem przełknęła ślinę. Co się z nią działo? Dlaczego najchętniej zamknęłaby mu usta pocałunkiem? Czemu jego obojętność, zamiast cieszyć, doprowadzała ją do rozpacz? Czy nic dla niego nie znaczyła ta noc, którą spędzili razem w schronisku nad jeziorem? Te słowa, które wtedy padły? Szaleństwo, które nimi owładnęło? No i to dziecko, o którym wprawdzie jeszcze nie wiedział... Najchętniej by go znienawidziła, ale brakowało jej na to sił.

–W porządku. Co to za wiadomość, z którą przyszedłeś? Gunnar starannie dobierał słowa.

–Anaid wróciła ze Ścieżki Om, wbrew przekleństwu. Selene odpowiedziała ostrożnie:

–Wiem.

–Zaraz potem spotkała się z moją matką – podjął powoli Gunnar. Selene poczuła się podwójnie zdradzona. Na stronę Białej Damy przeszedł zarówno Gunnar, jak i Anaid. Udała jednak, że jej nie zaskoczył.

–Tak przypuszczałam. Gunnar spuścił głowę.

–Za parę godzin odbędzie się ekwinokcjalna ceremonia, podczas której berło władzy zostanie przekazane wybrance, czyli Anaid.

–O tej ceremonii wiedziałam już wcześniej – rzuciła sucho Selene.

–Ja z kolei wiem wszystko o twojej strategii. Ale teraz to się nie sprawdzi, Selene zbladła jeszcze bardziej.

–Jak to?

–Bo musiałabyś odebrać berło własnej córce, a nie dasz rady jej wyeliminować. Selene zadrżała.

–To Anaid będzie trzymać berło w chwili, gdy padnie na nie pierwszy promień słońca?



–Tak. Ale Cristinę ją oszukuje. Nie zamierza, nigdy nie zamierzała oddać jej berła. Cała ta ceremonia to tylko przykrywka, przedstawienie obliczone na efekt, który wyrzeze na was, Omar. Bo w takich warunkach nie zaatakujecie. Przynajmniej dopóki ty dowodzisz.

–Chcesz przez to powiedzieć, że Cristinę wie o wszystkim mimo podjętych przez nas środków ostrożności?

Gunnar zaśmiał się sucho.

–Naturalnie. Może Odish nie przejęły się waszą nową postawą tak, jak powinny, ale śledzą wasze posunięcia i znają plany. Wiedziały, kiedy zaatakujecie.

Dlatego przybycie Anaid jest im bardzo na rękę. Selene, matka wybranki, nie podniesie przecież ręki na własne dziecko. Cristinę nie ma co do tego wątpliwości.

Selene przycisnęła dłoń do piersi. Słowa Gunnara układały się w logiczną całość. Jednakże w całej tej szaradzie liczył się przede wszystkim jeden element.

–A Anaid? Jak się miewa?

–Dobrze. Wydaje się spokojna, bardziej dojrzała. Na pewno znosi całą tę sytuację lepiej niż Cristinę, która jej widok naprawdę wstrząsnął. Nigdy nie widziałem jej w takim stanie.

Selene wolałaby uchodzić w jego oczach za osobę dyskretną, ale w końcu ciekawość zwyciężyła.

–Jak to?

Gunnar usiadł na stercie poduszek i nie czekając na zaproszenie, nalał sobie *pulque* z dzbana stojącego obok na tacy. Zaintrygowana Selene przycupnęła w pobliżu.

–Strasznie się wydzierała, zupełnie jak nie ona. Kłóciła się też z innymi Odish, które wyrzucały jej, że Anaid jest półkrwi Ornar. Powiedziała im, że jutro będzie po wszystkim i że szala zwycięstwa przechyli się raz na zawsze we właściwą stronę bez względu na to, co sobie myśli wybranka.

–A więc za plecami Anaid podjęła już decyzję.

–Nie owijała niczego w bawełnę: wybranka ma odegrać rolę figurantki. I tyle.

**–A co potem?**

**Gunnar dolał sobie *pulque*.**

**–To oczywiste. Spośród wszystkich Odish jedynie Cristine jest wystarczająco potężna, by przejąć władzę. Anaid w tym kontekście stanowi drobną zawadę. A moja matka nie miewa skrupułów.**

**Selene zrozumiała.**

**–To znaczy, że posłuży się Anaid jak tarczą przeciw nam, a potem się jej pozbędzie.**

**Gunnar skinął głową.**

**–To nasza córka. Musimy ją ocalić. Selene odetchnęła głęboko.**

**–Wszystko zależy od postawy Anaid.**

**–Owszem.**

**–A... j aka j est j ej p ostawa?**

**Gunnar zwiesił głowę.**

**–Anaid stanęła po stronie Cristinę. Selene poruszyła się niespokojnie.**

**–Możemy ją przekonać. Dałbyś radę ją tu ściągnąć? Gunnar westchnął i pokręcił głową.**

**–Ona kocha Cristinę.**

**Ta rewelacja zabolęła Selene tak bardzo, że aż zabrakło jej tchu i zastygła, martwo wpatrując się w kąt jaskini. Jej córka kochała Odish planującą zniszczenie wszystkich Omar?**

**–Nie wierzę. Gunnar wzruszył ramionami.**

**–Ja też z trudem. Ale to prawda. Selene z przerażeniem stwierdziła, że mówi szczerze.**

**–To nie może być prawda. Anaid na pewno ma jakiś plan, to tylko pozory...**

**–Nie, Selene. Cristinę jest wytrwała i umie manipulować ludźmi. To, co nie udało jej**

się ze mną, osiągnęła z Anaid. Nasza córka ją ubóstwia, spełni każdą jej prośbę, a Cristinę, nie umiejąc kochać, po prostu ją zniszczy. Dlatego tu jestem. Selene zareagowała pragmatycznie.

–Co proponujesz?

–Zjawiłem się tu, żeby zaproponować ci układ. Selene wstrzymała oddech.

–Jaki?

–Pomogę ci skończyć z Cristinę jeszcze przed ceremonią. Potem odzyskamy berło i we dwoje jakoś... wpłyniemy na Anaid.

–Dasz radę zmierzyć się z Białą Damą?

–Wiesz, że jeśli zechcę, wciąż mogę używać magii.

–Ale to twoja matka. Naprawdę to zrobisz?

–Pod jednym warunkiem. Selene wpatrywała się w niego z napięciem.

–Anaid. Moją ceną jest Anaid. Selene wzdrygnęła się gwałtownie.

–Co chcesz z nią zrobić?

–Chcę ją zabrać gdzieś daleko, żeby dorastała wolni od tego rozdarcia między Odish i Omar. Skoro nam się nie udało, może chociaż ona odnajdzie własną ścieżkę i nie będzie nieszczęśliwa.

Selene poczuła się jak w pułapce. Sama przecież marzyła o czymś podobnym dla siebie, gdy uciekała z Gunnarem. To było jednak tak dawno...

–Nie uda ci się. Anaid jest i zawsze już będzie czarownicą.

–Mimo wszystko spróbuję – upierał się Gunnar. Selene rozważyła rozmaite za i przeciw. Gdyby Gunnarowi udało się pokonać Cristinę, tylko on potrafiłby zapewne jakoś poskromić Anaid, która niezależnie od młodego wieku była bardzo potężna, zbyt potężna dla którejkolwiek Omar. No i pozostawała jeszcze sprawa ofiary. Ona, Selene, obiecała umarłym swoje życie w zamian za życie córki. Co czyniło z Anaid sierotę.

–Zgoda – rzuciła, nagle przerażona doniosłością decyzji, jakie raz po raz

przychodziło jej podejmować. Wyciągnęła do Gunnara rękę, żeby

przypieczętować umowę. On ujął jej dłoń i powoli się nad nią nachylił, by na

**koniec z rozmysłem ucałować ją tak delikatnie, jakby spotykał go właśnie najwyższy honor ze strony księżniczki.**

**Selene poczuła, że zaczyna się trząść, i chciała wyrwać mu rękę, ale Gunnar przytrzymał ją, uważnie wpatrując się w oczy jej właścicielki.**

**–Tylko tym razem bez podstępów, moja piękna.**

**Selene odwzajemniła jego spojrzenie, bezskutecznie usiłując zerknąć w głąb jego duszy. Wcześniej jego oczy były przejrzyste, wyraźnie widziała przez nie jego miłość, pożądanie i strach. Teraz jakby zatrzasnęły się jakieś okiennice, a ona tęskniła za tamtym spragnionym wzrokiem, jakim Gunnar obrzucił ją w przyczepie kempingowej, gdy spotkali się pierwszy raz po piętnastu latach.**

**–Żadnych podstępów nie będzie – obiecała spokojnie, spuszczaając powieki. Świadoma, że fakt, iż zataja przed nim swój pakt z umarłymi oraz ciężę, już sam w sobie jest czymś w rodzaju pułapki.**

**–Czy ty aby czegoś przede mną nie ukrywasz? – spytał nieufnie Gunnar. Selene zaśmiała się.**

**–A co, do tej pory wydawało ci się, że wiesz o mnie wszystko? Teraz roześmiał się i Gunnar.**

**–Zawsze te męskie urojenia. Choć przecież nawet najpotężniejsi czarodzieje wiedzą o kobietach niewiele. Selene wbrew woli uśmiechnęła się uwodzicielsko.**

**–Ty akurat wiesz o mnie więcej, niż przypuszczasz... Ale Gunnar spoważniał nagle i wstał.**

**–Nie, Selene, nie zaczynaj znowu. Kiedyś ulegałem twoim urokom, ale to już przeszłość. Nie lubię takich gier. Wychodź sobie za tego swojego Maksa, wszystko mi jedno, ale nie próbuj znowu robić ze mnie idioty. Więcej w ten sposób podejść się nie dam. Czekam na ciebie przed świtem w Tetzacualco na Tlamacas. Masz być sama.**

**Selene poczuła się okropnie. Wcale nie zamierzała prowadzić żadnych gier, nie spodziewała się też ze strony Gunnara równie ostrej reakcji. Dlaczego tak bardzo bolało ją to odrzucenie? Przecież go nienawidziła. Czyż nie uważała go za potwora? Nie usiłowała zapomnieć?**

**Odczekała, aż wyjdzie, i dopiero wtedy zaczęła walić pięścią w ścianę. Była głupia, żałosna i upokorzona. Sprawy osobiste w ogóle nie powinny jej interesować. Wkrótce miała przecież zrezygnować nie tylko z uczuć, ale w ogóle ze świata.**

**–Selene – powiedziała Shon Li. Stała w progu i wydawała się roztrzęsiona.**

**–Co się stało?**

**–Dacii, to dziecko Guanczów, sprzeciwia się twojej woli.**

**–Co takiego zrobiła?**

**–Poszła za tym przystojniakiem. Selene uśmiechnęła się przez łzy. Proszę, proszę, nawet**

**taka Shon Li nie pozostawała obojętna na urodę Gunnara.**

**–Po co?**

**Shon Li zmieszała się, powtarzając słowa buntowniczk**

**–Twierdziła, że on zaprowadzi ją do prawdziwej wybranki. Czyli Anaid. Selene poczuła się zdemaskowana.**

**–Tak powiedziała, bezczelna?**

**–I byli tacy, co ją poparli.**

**–Kto? – spytała przez zaciśnięte zęby Selene, obawiając się rewolty.**

**–Clodia i ten chłopak, który się tu kręci.**

**–Roc?**

**–Tak.**

**Selene przyszło coś do głowy.**

**–Zostawcie ich. Niczego złego nie robią.**

**–Ale tej nocy jest szczególnie ważne, żeby...**

**–Powiedziałam: zostawcie – przerwała jej Selene. I zacznijcie się przygotowywać. Niech nikt nie waży się spać,**

**–Oczywiście.**

**Selene zdawała sobie sprawę z roli przypadku. Kto wie, czy ten nagły wyskok Dacii nie mógł się obrócić na dobrą Ona, Selene, nie wzięła wcześniej pod uwagę takich czynników jak przyjaźń. Albo miłość Roca. Może jeszcze nie wszystko było stracone.**



# Rozdział XVIII

## Wybranka z proroctwa

Do porannej ceremonii wnuczkę przygotowywała Christine. Anaíd paplała bez przerwy, zadając masę pytań i przejawiając dziecinną wręcz ekscytację. Wodziła palcami po złotych i srebrnych niciach, którymi haftowana była jej tunika, oglądała z zachwytem jedwabne pantofelki i tańczyła przed lustrem, ciesząc się, że bransoletki z klejnotami tak pięknie dźwięczą.

Cristine wciąż ją upominała, prosząc, by siedziała spokojnie, dopóki nie będzie gotowy makijaż: czarna kreska nadająca wyrazistości niebieskim, nieco przerażonym oczom, niepokojący cień na powiekach i jaskrawoczerwona szminka na ustach.

–Niewiarygodne, a mnie nigdy nie pozwoliła się umalować – mruknęła

Clodia, zaglądając do środka przez dziurkę od klucza.

Roc natychmiast odepchnął ją na bok.

–Wygląda ślicznie.

Dácil przykucnęła pod ich nogami, zerkając przez szparę w drzwiach.

–Zdradziła nas – szepnęła ze smutkiem.

Clodia i Roc też nie potrafili inaczej wytłumaczyć radości Anaíd, jej zachwytu ceremonialnym strojem i zachowania wobec Białej Damy.

–Aż trudno uwierzyć. Ale przecież nie zostanie chyba królową Odish, co?

Biedna Dácil, w swojej krótkiej spódniczce, kwiecistym sweterku i z rzęsami grubymi od tuszu, rozpląkała się nagle, a po jej policzkach zaczęły spływać czarne strumyczki.

–Tak ją lubiłam! A teraz ona zechce nas zniszczyć i trzeba będzie z nią walczyć!

Oni troje również zdążyli się zarazić od Omar wojowniczością. Clodia starała się zachować spokój.

–Jeszcze z nią nie rozmawialiśmy. Nie widziała nas, nie wie, że tu jesteśmy.

Roc zadygotał. Poczul na plecach czyjś zimny dotyk. Ujął rękę Clodii, by dodać jej

**odwagi.**

**–Nie chciałbym was straszyć, ale chyba jesteśmy otoczeni.**

**Dácil i Clodia odwróciły się równocześnie i nawet nie miały czasu krzyknąć. Czyjeś ręce zatkały im usta i zasłoniły oczy. Roc stracił przytomność, nie wypuszczając dłoni Clodii i zachowując pod powiekami obraz pięknej kobiety o drapieżnym spojrzeniu sokoła spadającego na ofiarę.**

**Cristine osobiście przyglądała niesforne włosy Anaíd i delikatnie ujęła ją pod brodę.**

**–Kochanie, trzymaj się prosto, nie spuszczaaj głowy i patrz przed siebie. Nie**

**musisz się nikogo bać. Pamiętaj: jesteś wybranką i wkrótce dostaniesz do ręki**

**berło.**

**Nagle Anaíd przypomniała sobie o czymś ważnym i Cristine natychmiast zauważyła zmianę na jej twarzy.**

**–Co się dzieje? Potrzebujesz czegoś? Anaíd zawahała się przez chwilę, a potem powiedziała:**

**–Chciałabym mieć przy sobie kilka monet.**

**–W tej chwili?**

**–Tak. Poczulałabym się pewniej.**

**Biała Dama otworzyła kufer pełen monet ze złota i wyjęła z niego wypchaną skórzaną sakiewkę.**

**–Weź tyle, ile potrzebujesz.**

**Anaíd wzięła garść. Wrzuciła pieniądze do niewielkiego woreczka, który zawiesiła na szyi i przycisnęła do piersi. Tak, teraz czuła się dużo pewniej.**

**–Coś jeszcze, kochanie?**

**–Nie, dziękuję, to wszystko.**

**Pełna dystansu troska jak zawsze eleganckiej Cristine sprawiała jej przyjemność. Wyczarowany z niczego wspaniały pałac gwarantował wszelkie wygody, a babcia nie ustawała w zabiegach, by umilić jej pobyt. Po wielu dniach wyrzeczeń Anaíd z radością powitała gorącą kąpiel, smaczne jedzenie i pięknie haftowane ubrania otrzymane w podarku od Białej Damy. Ale zawdzięczała Cristine coś więcej. Życie.**



**Jej niespodziewane przybycie wywołało wielki skandal wśród Odish, gotowych okrzyknąć królową Białą Damę, niechętnych zaś konieczności kłaniania się jakiejś małej i Omar. Na zorganizowanym naprędce spotkaniu większość oskarżyła więc Anaíd o szpiegostwo, a Cristine o zamiar oddania berła zdrajczyni. Mimo to Biała Dama przemogła upór czarownic i jak zawsze postawiła na swoim. Ale Anaíd źle to wszystko zniosła. Tym bardziej że Gunnar, jej ojciec, zasugerował, że może jednak nie jest przygotowana do przejęcia władzy. I najgorsze, że mógł mieć rację.**

**Cristine była przecież jej babcią. Niezależnie od przeszłości dbała o nią i zamierzała jej oddać to, co miała najcenniejszego. A ona, Anaíd, faktycznie ją zdradziła.**

**–Chciałabym, żebyś przed ceremonią spróbowała jeszcze moich pysznych kanapek.**

**Anaíd poczuła się fatalnie. Naprawdę fatalnie. Nie należało przyjmować jedzenia z ręki tego, komu planowało wbić nóż w plecy.**

**–Nie, dziękuję, nie jestem głodna.**

**Demeter kazała jej unicestwić Cristine, ale Demeter nie знаła Białej Damy, nie zwierzała jej się, nie korzystała z jej opieki, nie żywiła do niej ciepłych uczuć. Na domiar złego Sarmik przestała odpowiadać na wezwania, docierały od niej jedynie jakieś niejasne, niepokojące sygnały.**

**Ona, Anaíd, była sama. Całkiem sama.**

**Drzwi się otworzyły i stanęła w nich ciemnoskóra Odish niegdysiejsza akolitka Baalat, a zatem osoba niegodna zaufania.**

**–Cristine – odezwała się bez specjalnego uszanowania. – mamy małe kłopoty.**

**Biała Dama okazała tylko zniecierpliwienie.**

**–Nie teraz, Cloe, mówiłam, żebyście mi nie przeszkadzały.**

**Cloe jednak, nie zważając na tę odprawę, wpuściła do pokoju trzy inne czarownice, które wlokły bezwładne ciało Roca, Dácil i Clodii. Na ich widok Anaíd krzyknęła przeraźliwie.**

**–Nie!!!**

**Cristine pobladła z gniewu. Wiedziała, co się może zaraz stać. Dlatego natychmiast rzuciła:**

–Oni żyją.

Cloe popatrzyła po swoich koleżankach, z których każda służyła niegdyś Baalat.

–Najwyraźniej nasza przyszła królowa ma nader czule serduszko, skłonne przywiązywać się do Omar.

–Cisza! – ucięła Cristine. – Ci tutaj dopomogli Anaíd nas odnaleźć. Tyle że, o czym Anaíd jeszcze nie wie, próbowali potem zorganizować zamach na jej życie.

Anaíd zamarła.

–Jak to?

Cristine pogładziła ją po głowie.

–Tak, kochanie, niestety, Dácil, Clodia i Roc, wykorzystując łączącą was niegdyś przyjaźń, chcieli z tobą skończyć. Zostali tu przysłani przez Omar.

Anaíd wciąż czuła w sobie schizofreniczne rozdwojenie. Z jednej strony nie wierzyła w słowa Białej Damy, z drugiej jednak znała prawa Omar i wiedziała, że nie zawahałyby się wyeliminować wybranki, która zdradziła. Ciotka Criselda miała przecież kiedyś zabić Selene, gdyby potwierdziły się doniesienia o jej zdradzie. Na widok bladej twarzy Roca Anaíd zapomniała jednak o wszystkich tych sprawach i przyklękła nad nim, przerażona.

–Roc? Roc? Powiedz coś do mnie. Cristine wskazała jego dłoń, nadal kurczowo zaciśniętą na palcach Clodii.

–To chyba jest wystarczająco wymowne. Nie czekał na ciebie. Widzisz? Anaíd obserwowała przez chwilę oboje przyjaciół.

–To niemożliwe. Cristine westchnęła.

–Wszystko jest możliwe. Chcesz, żeby sam ci to powiedział?

Pstryknęła palcami. Cała trójka odzyskała przytomność i powoli otworzyła oczy.

–Anaíd? – szepnęła Dácil.

Cristine pomogła jej wstać.

–Ta sama, którą postanowiłaś zabić. Nie tak było? Dácil pokiwała spuszczoną głową.

**–Zdradziła nas. To Odish. Lodowa Dama wpiła spojrzenie w Anaíd, wciąż zwracając się do Dácil.**

**–I dlatego powinna umrzeć? Clodia, nie wypuszczając dłoni Roca, dźwignęła się na nogi i odpowiedziała:**

**–Tak, musi umrzeć. Anaíd ledwie trzymała się na nogach.**

**–A kto miał ją zabić? Ty? Roc popatrzył na Cristine, która do niego skierowała te słowa.**

**–Tak, ja. Po mnie by się tego nie spodziewała. Lodowa Dama spuściła wzrok na jego palce splecione z palcami Clodii.**

**–Nie spodziewała się też, że zakochasz się w jej przyjaciółce.**

**–Tak jakoś wyszło.**

**–Po prostu Roc już nie kocha Anaíd – dodała Clodia.**

**Anaíd, nie dbając o ceremonialny strój, osunęła się na podłogę i zatkała uszy.**

**–Nie chcę tego słuchać! Nie chcę ich więcej widzieć. Zabierz ich stąd! Niech zamilkną, niech znikną!**

**Cristine spojrzała na Cloe, która przyglądała się tej scenie ze sceptycyzmem.**

**–Zniszcz w nich wolę, wymaż ich pragnienia.**

**–Przecież już sama to zrobiłaś – odparła niepokorna Odish. Cristine spiorunowała ją wzrokiem.**

**–Rób, co mówię. I co mówi wybranka.**

**Cloe kolejno przesunęła otwartą dłońią przed oczyma trojga więźniów, którzy zaraz potem posłusznie wymaszerowali za nią z pokoju. Cristine potrzebowała dłuższej chwili, by opanować gniew.**

**Anaíd tymczasem wiała się na podłodze, szlochając rozpaczliwie.**

**–Anaíd, zrozum, nie masz już z Omar nic wspólnego. Zakosztowałaś krwi i władzy, więc dawne przyjaciółki odwracają się od ciebie ze wstrętem.**

**–Ale Roc... – jęknęła Anaíd. – Roc nie należy do Omar.**

**–Czego się właściwie spodziewałaś? Że pozostanie ci wierny? Mężczyźni potrafią tylko zdradzać, dlatego my, Odish, ograniczamy się do**

**wykorzystywania ich według własnych potrzeb. Ta, która złoży swoją przyszłość w ręce mężczyzny, jest zgubiona.**

**–A Clodia...**

**–Clodia słucha matriarchini Klanu Delfinicy, w dodatku jest próżną egoistką. Przyjaźń nie znaczy dla niej zbyt wiele.**

**–No ale Dácil mnie kochała.**

**–Dácil chce przede wszystkim spotkać się z matką, więc robi wszystko, co jej każą, włącznie z zabiciem cię. Nie rozumiesz? Każdy ma swoje sprawy, a ty dla nikogo nie jesteś najważniejsza.**

**Anaíd spazmatycznie zaczerpnęła powietrza.**

**–Dla Selene tak, to moja matka...**

**Cristine zaśmiała się sarkastycznie.**

**–Selene? Przecież to właśnie ona uzurpuje sobie prawa do twojej pozycji.**

**Sądysz, że pragnie twojego powrotu? Pragnie chwały i władzy, dla siebie. Chce być wielką matriarchinią, wybranką z proroctwa.**

**Anaíd, próbując jakoś opanować ból, jaki sprawiały jej te słowa, zaczęła szarpać się za włosy.**

**A Gunnar? Cristine posmutniała.**

**–To mój syn, ale...**

**–Ale co?**

**–I on knuje przeciw tobie. Anaíd nie mogła znieść tego dłużej.**

**–Przeciw mnie?**

**–Spotkał się z Selene. Zmawiają się, żeby odebrać ci berło. Wszystko zaplanowali.**

**Wtedy Anaíd wybuchła.**

**–Nie wierzę ci! Słyszysz? Nie wierzę!**

**Cristine westchnęła cicho, musnęła białymi palcami podtrzymującą wysoki sufit lodową kolumnę i na białawej powierzchni ukazała się scena, która miała miejsce godzinę wcześniej. Seline i Gunnar siedzieli w jaskini, popijali *pulque* i wiodąc cichą rozmowę. Anaíd wstrzymała oddech.**

**–Co proponujesz?**

**–Zjawiłem się tu, żeby zaproponować d układ.**

**–Jaki?**

**–Pomogę ci skończyć z Cristine jeszcze przed ceremonią, Potem odzyskamy berło i we dwoje jakoś... wpłyniemy na Anaíd.**

**–Dasz radę zmierzyć się z Białą Damą?**

**–Wiesz, że jeśli zechcę, wciąż mogę używać magii.**

**–Ale to twoja matka. Naprawdę to zrobisz?**

**–Pod jednym warunkiem. Anaíd. Moją ceną jest Anaíd.**

**–Co chcesz z nią zrobić?**

**Biała Dama pstryknęła palcami i przed oczyma zdumionej Anaíd ukazał się Gunnar. Napelnił dzban, a potem do jednego z trzech kielichów wsypał jakiś proszek. Następnie uzbroił się jak szykujący się do walki berserker.**

**Cristine rzuciła spokojnie:**

**–Przygotowuje się, by nas zniszczyć.**

**Anaíd zatkała usta rękami. Bała się własnych rodziców! Nie mogła ufać nikomu, żadnej żyjącej istocie. A Cristine?**

**–Co Gunnar chce ze mną zrobić? Biała Dama niespiesznie zbliżyła się do wyjścia.**

**–O to zapytamy jego samego.**

**I otworzyła drzwi, zaskakując Gunnara, który stał przed nimi z tacą w rękach. Obrzuciwszy matkę nieufnym spojrzeniem, wszedł do środka i postawił tacę na stole.**

**–Proszę, więc wiedziałaś, że się zjawię.**

**Cristine patrzyła na niego przez chwilę.**

**–Matka zwykle wie niejedno – powiedziała. – Zwłaszcza o synu, który zawsze robi wokół siebie dużo hałasu! – dodała, by uspić jego czujność, i wskazała nabijane ćwiekami buty.**

**Gunnar wyraźnie się rozluźnił. Rzeczywiście, słysząc go było pewnie na kilometr.**

**–Wnieśmy toast za wstąpienie wybranki na tron zaproponował, patrząc na Anaíd. – Bardzo ładnie wyglądasz. Naprawdę.**

**Anaíd nie czuła się na siłach, by cokolwiek odpowiedzieć czy w ogóle odgrywać jakąkolwiek rolę. Była ogłuszona. Ból zawładnął całą jej istotą, dlatego jak marionetka obserwowała rozwój tragedii, która miała się skończyć jej własną śmiercią z rąk rodzzonego ojca.**

**–Co się dzieje? Coś nie tak?**

**Cristine uśmiechnęła się uspokajająco.**

**–Anaíd jest bardzo uczuciowa, będzie musiała nauczyć się kontrolować emocje tak dobrze jak ty czy ja.**

**Po czym, nie czekając na reakcję, skinęła w stronę sąsiedniego pokoju.**

**–Właśnie wyeliminowałyśmy Dácil, Clodię i Roca. Planowali zamach.**

**Osiągnęła spodziewany efekt. Gunnar zbladł i odwrócił się we wskazanym kierunku, spuszczając z oczu tacę z trzema kielichami. Potem przytulił sztywną jak kłoda Anaíd. Był w szoku.**

**–Musiałyście to zrobić? – jęknął.**

**–Wybór wyglądał następująco: albo oni, albo Anaíd – odparła Cristine, która chwilę wcześniej nieznacznym ruchem zmieniła ustawienie kielichów na tacy.**

**–Ale... Ale... To przecież dzieci... – protestował Gunnar.**

**–Niebezpieczne dzieci, uzbrojone i zdecydowane wypełnić rozkaz Selene, która kazała zamordować własną córkę.**

**Anaíd nawet nie drgnęła, natomiast Gunnar nagle stracił nad sobą panowanie.**

**–To nieprawda! Nieprawda!**

**Cristine zaśmiała się lekko.**

**–No, proszę, jeszcze jej bronisz. Sadziłam, że po tym, jak cię tyle razy oszukała i odepchnęła...**

**–Nie chcę o tym rozmawiać.**

**–To wypijmy. W tym celu tu przyszedłeś, prawda?**

**Anaíd patrzyła z niedowierzaniem, jak Gunnar drżącą ręką napelnia kielichy i kolejno je im podaje. Cristine przyjęła swój ze spokojem, Anaíd jednak nie chciała. rozumiała, jak to możliwe: własny ojciec usiłował ją otruć. Gunnar nalegał:**

**–Wypij, dobrze ci zrobi.**

**–Nie, dziękuję – rzuciła przerażona. Cristine, przeciwnie, wesoło wzniosła toast.**

**–Na zdrowie! Za triumf berła i wybranki!**

**Na twarzy Gunnara odmalowało się cierpienie.**

**–Za wybrankę – powiedział.**

**Anaíd wpatrywała się w nich z napięciem. Aż wreszcie stało się to, co stać się musiało.**

**Gunnar niespodziewanie podniósł ręce do szyi, jego twarz spurpurowiała, dostał drgawek. Potem ugięły się pod nim kolana i opadł na ziemię. Powoli zaczynał rozumieć.**

**–Co mi zrobiłaś, mamó? – spytał. Cristine przytuliła Anaíd, zasłaniając jej oczy.**

**–Zmieniłam bieg wydarzeń, ratując moją wnuczkę.**

**Po czym delikatnie poprowadziła Anaíd ku wyjściu. Na zewnątrz panował nocny chłód, lecz Anaíd nie zwróciła na to uwagi, zamknięta w skorupie bólu. Świat stał się jej obojętny i słysząc ryk wygłodniałego Popocatepelta, poczuła wielką ochotę, by rzucić się w płonąca, pełna siarki i popiołu czeluść krateru, skracając w ten sposób swoje cierpienia.**

**–Twoja śmierć niczego nie załatwi. Zaskoczona Anaíd podniosła wzrok na Cristine.**

**–Masz mnie, ja cię nie opuszczę, jestem przy tobie i cię strzegę.**

**Czuły głos babki działał jak balsam. Biała Dama okryła ramiona wnuczki wspaniałym futrem z kuny.**

**–Musisz się podźwignąć, kochane dziecko, musisz być silna. Anaíd otuliła się szczelniej i pozwoliła się kołysać zapewnieniom.**

**–Wkrótce dostaniesz berło. Skup się na tym.**

**Powtarzając te i tym podobne zdania, Cristine prowadziła ją łagodnie pod górę, ku Tetzacualco na Popocatepetlu, w miejsce, gdzie miała się odbyć ceremonia.**

**Za nimi, w stosownej odległości, postępowały Odish przybyłe ze wszystkich stron świata, ubrane w paradne stroje. Te, które zamykały orszak, prowadziły między sobą dwie dziewczyny o nieobecnym spojrzeniu i mechanicznych ruchach osób pozbawionych woli, ubrane w zieleń, z białymi tiarami na głowach – ofiary, spadłe jak z nieba młode Omar: Clodię i Dácil.**

**Kiedy o ustalonej porze czerwonowłosa Selene zjawiała się w Tetzacualco na Tlamacas, po magicznym pałacu Białej Damy nie było już śladu. w miejscu, gdzie wcześniej wznosiła się wspaniała budowla, straszyły ruiny starej świątyni, wśród których, na zimnych kamieniach, spoczywały ciała Gunnara i Roca.**

**Selene od razu wszystko pojęła. Cristine wiedziała o ich planie i przygotowała odpowiedź.**

**Pochylona nad Gunnarem, Selene pogładziła jego policzek. Potem delikatnie pocałowała wciąż jeszcze ciepłe usta i powiedziała:**

**–Kocham cię.**



# Rozdział XXIX

## Wojna czarownic

Świątynia Tetzacualco była miejscem niezwykłym. Położona na wysokości mniej więcej pięciu tysięcy metrów, tuż nad sięgającym jej łakomie jęzorem lodowca i blisko szczytu Popocatepetla, nie rzucała się w oczy tym nielicznym wędrowcom, którzy decydowali się na żmudną wędrówkę na mierzący pięć tysięcy czterysta pięćdziesiąt dwa metry wulkan i wyczerpani, cierpiący na chorobę wysokościową, szli zwykle ze spuszczoneymi głowami, koncentrując się na stawianiu kolejnych kroków.

Tetzacualco na Popocatepetlu wzniesiono dokładnie tam, gdzie w okresie zrównania dnia z nocą padał pierwszy promień słońca – muskał ołtarz, by następnie, kreśląc niewidoczną linię, przesunąć się ku innym Tetzacualcom. Przyczepiona do zbocza góry świątynia zdawała się rzucać wyzwanie prawom fizyki, górując nad obludzoną przepaścią.

Cristine prostym zaklęciem podniosła leżące w gruzach kolumny i naprawiła piękne sklepienie, osłaniające posadzkę z czarnej wulkanicznej skały.

W górze widać było słup dymu dobywającego się z krateru podrażnionego Popocatepetla; w dole – biały pierścień chmur. Na honorowym miejscu, obok Białej Damy, stała okryta futrami, drżąca, ale wyraźnie zdeterminowana Anaíd, z podniesioną głową, prostymi plecami i nieruchomym spojrzeniem – tak jak radziła jej babka.

Cristine, cała w lodowych rozbłyskach, witała nadciągające jedna za drugą Odish. Wszystko odbywało się zgodnie z rytuałem: wygłosiwszy odpowiednią formułę i ucałowawszy wchodzącą, Biała Dama malowała jej powieki czarną surmą, by odegnać złe duchy, po czym napełniała jej srebrny puchar świętym trunkiem.

Następnie piękne czarownice kolejno i z godnością zajmowały swoje miejsca, wyznaczone stosownie do rangi, pochodzenia i wieku.

Niespieszna i monotonna ceremonia dłużyła się Anaíd w nieskończoność. Berło było bardzo blisko. Anaíd poznawała to po ogarniającym ją niepokojem i paleniu na skórze dłoni. Jeszcze tylko chwila i świt wyprze noc, a pierwszy promień słońca uczyni z wybranki jedyną prawdziwą panią berła władzy. Zerknęła z ukosa na szczerozłotą szkatułę pilnowaną przez wierne Odish z syberyjskich pustkowi. Berło znajdowało się w środku.

Zżerana przez niecierpliwość, z trudem znosiła poczynania Cristine, która ani na krok nie odstępując od protokołu, wzniosła teraz swój puchar w stronę dymiącego

szczytu. Reszta Odish poszła w jej ślady.

–Moc świętego, nieśmiertelnego ognia brata się w tym magicznym miejscu z potęgą wiecznych lodów. Połączmy się i my, pijąc wspólnie ze źródła mądrości naszej matki O, która powierzyła żywiołom tajemnicę czasu.

Odish odpowiedziały jednym głóśnym „niech się tak stanie”, schyliły głowy i do dna wypily płyn, który miał wyczulić ich zmysły. Potem zasiadły w eleganckich, wystudiowanych pozach i utkwily oczy w Anaíd.

Dwie mocno zbudowane czarownice złożyły u jej stóp czerwonawy kamień wydrążony na kształt misy.

–Wszystko gotowe do ofiary.

To mówiąc, skierowały spojrzenia ku dwu słabo z dal widocznym postaciom, z rezygnacją czekającym na zewnątrz świątyni. Spętane zaklęciem młode Omar nie były w stanie poruszyć się czy choćby zastanowić. Ubrane w zieleń, na głowach miały wysokie białe tiary. Anaíd jednak nic zwróciła na nie uwagi, nie zadała też sobie pytania, o jakiej ofierze mowa. Była jak nieprzytomna.

Decyzję podjęła Cristine.

–Ofiara może zaczekać.

Słyszając to, dwie Odish przyklęły z szacunkiem i wycofały się na swoje miejsca.

Anaíd czuła, że dostaje gęsiej skórki. Wszystkie te piękno, nieśmiertelne i rozmiłowane we krwi kobiety zebrały się oto przed nią, gotowe jej słuchać, służyć jej i bert Świadomość ta przyprawiała ją o taki sam zawrót głowy jak zerknięcie w głąb przepaści, która ziała u stóp Tetzacualco. Czy na tym polegała władza? Czy tak smakowała? Zawrót głowy potęgował się stopniowo, gdy Cristine otwierała złotą szkatułę z berłem, a kiedy wreszcie oczy Anaíd spoczęły na dawno niewidzianym przyjacielu, z jej ust wyrwał się jęk. Wzruszenie zalało ją jak potężna fala, a dłoń zalśniła i zapiekła z nową mocą. Ale to Biała Dama zanurzyła prawą rękę w szkatule i pewnie ujęła berło, by następnie triumfalnie pokazać je Anaíd i pozostałym.

–Proszę, oto ono. Należące niegdyś do matki O berło władzy, zapowiedziane przez Treborę, przeklęte przez Odi. Wszechmocne i jedyne. Berło

# WYBRANKI.

Słowom tym odpowiedział szmer dezaprobaty. Odish wciąż niechętnym okiem patrzyła na młodziutką Omar w roli królowej.

Anaíd wyciągnęła rękę po swoją własność i światło promieniujące z jej dłoni rozbłysło na całą salę. Nie ulegało wątpliwości, że jest właściwą osobą na właściwym miejscu, mimo to niechęć niektórych Odish nie stanowiła bynajmniej jedynej przeszkody na drodze przeznaczenia.

Cristine, rozdygotana i napięta, wpatrzona w złoty przedmiot, nie wyglądała na kogoś, kto zamierza się z nim rozstać. Nie mogła. Nie miała siły. Czuła, że berło ją wzywa, i nie potrafiła mu się oprzeć.

Anaíd wytrzeszczonymi oczami wpatrywała się w zawieszoną w pół ruchu dłoń Białej Damy. W oddali, złocąc śnieg, zaczynało wschodzić słońce. Wkrótce będzie za późno.

Zapadła śmiertelna cisza, którą przerwało odległe wycie kojota. Dopiero ono wyrwało Cristine z transu.

Anaíd nie mogła zabrać jej berła siłą, nie mogła z nią walczyć, więc tylko chwyciła ją za wolną rękę i mocno ścisnęła.

–Babciu – szepnęła – musisz mi je oddać.

Szmer wśród Odish narastał, a dawne akolitki Baalat zaczęły skandować hasło:

–Berło dla Odish!

Wtedy Cristine zareagowała.

–Cisza! – krzyknęła, wznosząc berło ponad wzburzony tłum czarownic. –

Tylko wybrance daje ono władzę nad życiem i śmiercią. Chcecie, by tę władzę

wykorzystała przeciwko wam? Ukorzcie się!

A potem szybko i bez wahania podała berło wnuczce. Palce Anaíd zacisnęły się na nim zachłannie, rozpaczliwie. Wybranka z zamkniętymi oczami wchłaniała w siebie jego energię i magię, czując, że przenosi się w inny wymiar. Gdy uchyliła powieki, zdała sobie sprawę, że światło jest jakby inne, a dźwięki

zyskały na wyrazistości. Spośród mgły i chmur przebierała odmienna rzeczywistość.

Później Anaíd usłyszała niespodziewanie szepty wielu kobiet i zrozumiała, że Tetzacualco zostało otoczone przez Omar. Pokryte śniegiem skały nie mogły zasłonić ich przed okiem tej, która posiadała berło. Jego nieogarnionej mocy podlegało całe stworzenie.

Anaíd poczuła się niesłychanie potężna. I niesłychanie samotna. A w dodatku podejrzliwa wobec wszystkich i wszystkiego.

Dobrze, że miała berło.

Nie ufały jej ani Odish, ani Omar. Nikt oprócz Cristine jej nie kochał. Tym lepiej, dzięki temu bez skrupułów i zbędnego sentymentalizmu będzie mogła narzucać innym swoją wolę.

Wreszcie wolna od konieczności ulegania cudzej woli. Dyktująca swoje prawa.

Wolna od konieczności spełniania czyichś rozkazów. Wydająca własne.

Wolna od przymusu spowiadania się ze swoich czynów. Chyba że przed sobą.

I wtedy przypomniała sobie złożoną Demeter obietnicę – że zniszczy Cristine. Obietnicy złożonej umarłym nie da się złamać. Chociaż właściwie czemu nie? A gdyby tak pofrunąć ku szczytom obiecywanej przez berło władzy absolutnej?

Krzyk orła zapowiedział rychłe pojawienie się słońca. Anaíd napięła mięśnie, otwierając szeroko ramiona, gotowa na przyjęcie pierwszego promienia. W tej właśnie chwili, gdy czubek berła mierzył już ku wschodowi, pod kolumnami Tetzacualco rozbrzmiało wołanie:

–Anaíd, kocham cię!

To był jasny głos Selene.

Anaíd odniosła wrażenie, że ludzka miłość zaraz rozerwie jej wnętrzności.

–Anaíd, kocham cię! – powtórzył jak echo Gunnar, nabierając w płuca świeżego górskiego powietrza i czując ból pierwszego oddechu.

–Anaíd, kocham cię! – krzyknął Roc, przyciskając rękę do bijącego jak oszalałe serca.

Anaíd zadrżała od stóp do głów, i zawahała się.

Cristine stała nieustraszona, podczas gdy reszta Odish zrywała się z miejsc, by walczyć z tymi, którzy zakłócili ich uroczystość. Wówczas opadły na nie czarodziejskie sieci – Omar uczipione znajdujących się powyżej świątyni skał

również przystępowały do walki. Święte miejsce wypełniły dzikie wrzaski.

I właśnie w tym momencie na berło spłynął pierwszy promień. Anaíd poczuła, jak ciepło słońca rozchodzi się po ciele, dodając jej jeszcze mocy.

Ale wtedy odezwał się głos Clodii, uwolnionej przez Omar od zaklęcia.

–Anaíd, kocham cię!

–Anaíd, kocham cię! – zawołała niemal jednocześnie Dácil, biegnąc ku niej wśród próbujących ją zatrzymać Odish.

Anaíd stała nieruchomo z berłem w dłoni, napełniona jego siłą, z rozkoszą wciągając do płuc czyste powietrze i napawając się swoim nagle doskonałym samopoczuciem. Była wprawdzie straszliwie zmęczona, ale za to mocniej niż kiedykolwiek czuła, że żyje, i w dodatku po raz pierwszy rozumiała, co znaczy posiadać berło, a nie być w jego posiadaniu.

A wszystko dzięki temu, że ktoś ją kochał.

Tak, na tym polegała różnica.

Selene przedarła się przez tłum i stanąwszy obok córki, wydyszała:

–Musisz zniszczyć Białą Damę. Zrób to teraz!

I Anaíd przypomniała sobie, że na tym właśnie polega jej misja, jej los.

Uniosła więc berło, celując w piękną głowę Cristine. A Cristine ani drgnęła, nie broniła się, po prostu stała tam, gdzie wcześniej, wpatrując się w Anaíd tak, jakby chciała ją zapamiętać na zawsze.

Anaíd próbowała posłużyć się swoją mocą, ale coś ją powstrzymywało. Walczyła z samą sobą.

–Zrób to, Anaíd.

–Zniszcz ją, Anaíd.

–To wcielenie zła, Anaíd.

Jednakże Anaíd, jak gdyby zahipnotyzowana przez oczy swej niedoszłej ofiary, a może poddana wpływowi jakiegoś czaru, opuściła drżące ręce i odłożyła berta.

–Nie mogę.

**–Dlaczego nie możesz? – spytała Cristine. Anaíd zalała się łzami.**

**–Bo cię kocham.**

**–Nie poddawaj się, Anaíd! – krzyknęła Selene.**

**I zrozpaczona sama wyciągnęła dłoń po berło, gotowa użyć go przeciw potężnej Odish. Powstrzymała ją jednak czyjaś silna ręka.**

**–Nie, to bardzo niebezpieczne – powiedział Gunnar.**

**Cristine tymczasem, nie zwracając na nich uwagi, tuliła do siebie wnuczkę, ocierając jej mokre policzki.**

**Widząc to, przerażona Selene rzuciła się je rozdzielać, lecz ponownie przeszkodził jej Gunnar.**

**–Nie skrzywdzi jej. Jej nie.**

**Anaíd zaś, spoglądając ku matce, wymamrotała:**

**–Przepraszam, Selene, przepraszam. Przegrałyśmy. Omar przegrały. Przeze mnie. Bo nie potrafię jej zabić.**

**Cristine uśmiechnęła się i sięgnąwszy po berło, podała je wnuczce.**

**–Mylisz się, kochanie. Za miłość nie trzeba przepraszać. Berło jest twoje.**

**Po czym wyprostowała się dumnie i krzyknęła. Jej głos odbił się potężnym echem, zatrzymując orły w locie i powietrzne prądy nad Popocatepetlem, a także biegające po zboczu Omar, które po raz pierwszy w historii walczyły jak lwice. Gdy jednak Cristine przemówiła, wszystko wokół trwało już w bezruchu.**

**–Słuchajcie uważnie – oświadczyła uroczyście Biała Dama. – Oto spełniła się przepowiednia.**

**Zarówno Omar, jak i Odish wstrzymały oddech.**

**–Wojna czarownic skończona. Anaíd, wybranka, zwyciężyła. Zapanowało ogólne zdumienie.**

**–Tym samym skończył się też czas Odish – dodała stanowczo Cristine.**

**Zanim jeszcze przebrzmiały te słowa, jedna z Odish, piegowata blondynka, która**

spoglądała na Białą Damę z rosnącą furią, znikła nagle w gwałtownym rozbłysku. W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą była, pozostała jedynie kupka popiołu. Stojące najbliżej Odish wrzasnęły i odsunęły się gwałtownie.

Cristine mówiła dalej:

–Anaíd, wybranka, swoją szczerą miłością do mnie, swoją niespotykaną lojalnością przemogła siłę zaklęć i oręża.

Ciemnoskóra Odish, dawna akolitka Baalat, rzuciła się na przemawiającą ze swoim *atame*, krzycząc:

–Zdrajczyń!

W tej samej chwili dosięgła jej błyskawica, a gdy blask się rozproszył, czarownice przekonały się na własne oczy, że ciało tamtej jakby wyparowało, podobnie jak jej złość i pragnienie zemsty.

Cristine skinęła głową.

–Tak, to ja przechyliłam szalę. To ja położyłam kres tej bezsensownej, absurdalnej wojnie. Dla nas, Odish, nie ma miejsca w świecie żywych.

Błysków było coraz więcej. Co chwila znikła kolejna Odish. Pozostałe bezskutecznie usiłowały się ratować. Jedna po drugiej padały ofiarą czegoś, czego nie rozumiały.

–Dlatego odejdziemy stąd ostatecznie. Wojna czarownic dobiegła końca. Twarze Omar wyrażały zdumienie, twarze Odish – strach. Anaíd nagle zrozumiała.

–Rytuał z kielichami, święty trunek... Zaplanowałaś własny koniec? Cristine westchnęła.

–Wszystko ma swój koniec.

–Więc sama też wypijaś magiczną truciznę? – przeraziła się Anaíd.

–Jestem jedną z nich. A żyję od tak dawna, że już mnie to zmęczyło. Anaíd przypadła do jej boku.

–Babciu, nie!

–Bardzo cię kochałam, Anaíd, w miarę swoich możliwości. Dzięki tobie

**zrozumiałam sens życia, którego nie sposób pojąć, nie akceptując śmierci.**

**Anaíd, z oczami pełnymi łez, zdążyła tylko wyjąć z sakiewki złote monety i podać je Białej Damie.**

**–Weź je, proszę. To dla Marnieli i jej córki. Dzięki tym monetom uda im się wreszcie przekroczyć rzekę. Trzecia jest dla ciebie.**

**Palce Cristine zacisnęły się na cennym kruszcu i w tej samej chwili spowił ją piękny, czerwony blask. Anaíd zamknęła oczy.**

**Otworzyła je znowu, słysząc ogłuszający ryk Popocatepetla. Westchnęła. Wiedziała, co to znaczy: wulkan domagał się spłaty długu. Wokół panowało straszliwe zamieszanie. Omar świętowały zwycięstwo i zbierały się do odejścia, w swojej radości całkowicie zapominając o wybrance.**

**Ona zaś obserwowała tę scenę ze wzruszeniem, szukając wzrokiem przyjaciół – poranionych, wyczerpanych, ale żywych. Oto Dácil i Clodia szeptały sobie coś na ucho; Gunnar i Selene stali z boku, pogrążeni w wyjaśnianiu nieporozumień, które teraz, dzięki odbytej przez Anaíd rozmowie z Bridget, dało się już wyjaśnić... No i był ktoś jeszcze, kogo Anaíd wypatrywała ze szczególnym utęsknieniem: Roc, taki opalony, taki wysoki, taki przystojny Szedł ku niej, przeciskając się między rozradowanymi czarownicami. Wtedy jednak usłyszała głos:**

**–Anaíd, czekam.**

**To była Sarmik, jej mleczna siostra. Anaíd słyszała ją wyraźnie, jakby z bardzo bliska. Musiała z nią iść.**

**Odwróciła się, ale w tym momencie czyjaś ręka spoczęła na jej ramieniu i zatrzymała ją. Anaíd popatrzyła za siebie i ujrzała Roca, uśmiechniętego od ucha do ucha, z tym swoim uroczym dołeczkiem.**

**–Pocałujesz mnie teraz?**

**Nie wahala się ani chwili. Żegnając się z życiem, powinna zrobić coś niezapomnianego. A gdy znalazła się już w ramionach Roca, poczuła się tak dobrze, że zaczęła się bać, czy da radę spełnić daną umarłym obietnicę.**

**–Opłacało się – stwierdził Roc.**

**–Co się opłacało?**

**–Przejechać pół świata, żeby dostać ten obiecany pocałunek. Anaíd zaśmiała się i**



odsunęła.

–Muszę iść.

–Dokąd? Wskazała krater.

–Obiecałam.

–Pójdę z tobą.

–Nie, muszę iść sama. Wtedy Roc zadał ostatnie pytanie:

–Ale wrócisz szybko?

Anaíd poczuła, że łzy napływają jej do oczu, i nie odpowiadając, nie żegnając się, ruszyła wolno pod górę. Selene i Gunnar również odnajdywali się po długiej rozłące, nie mogąc pojąć, dlaczego ich miłość wróciła nagle z nową mocą, po raz pierwszy od wielu lat wolna od uraz i żalów. Jednakże Selene, pomna swej obietnicy złożonej umarłym, cierpiała, wiedząc, że nie powinna ponownie przywiązywać się do życia.

–Nasze uczucie jest przeklęte. Nie kuśmy losu – wyszeptała, dygocąc w ramionach Gunnara i wbrew swoim słowom marząc, by pozostać tak na zawsze.

–Może już nie jest – powiedział Gunnar.

–Bridget przeklęła górę Domen na wieki, pamiętasz?

–Przekleństwo można cofnąć.

Selene jednak wyrwała mu się w końcu.

–Nie mam czasu. A raczej nie mogę dać ci więcej swojego czasu, bo ten czas nie należy do mnie.

Gunnar spowaźniał.

–Co chcesz przez to powiedzieć?

–Że jestem związana obietnicą.

–Masz na myśli Maksa?

–Nie bądź zazdrosny. Chodzi o coś nieporównanie ważniejszego.

–Chyba nie zobowiązałaś się oddać za coś życia? Selene spuściła oczy. Gunnar

**potrząsnął nią za ramiona.**

**–Nie pozwolę na to. Nigdy.**

**Ale Selene znowu się wyswobodziła.**

**–Zobowiązałam się oddać życie za Anaíd.**

**Dopiero wypowiadając te słowa, zdała sobie sprawę, że nigdzie nie widzi córki. Rozglądała się niespokojnie, aż w końcu ją zobaczyła. Anaíd była już daleko, jej postać majaczyła w górze, tuż pod dymiącym czubkiem wulkanu.**

**–Anaíd! – krzyknęła Selene, odgadując jej zamiar i wskazując ją Gunnarowi.**

**Po czym, nie mówiąc już nic więcej, wypowiedziała zaklęcie i pofrunęła z determinacją kogoś, kto wie, że tylko wytężając wszystkie siły, być może zdoła uratować ukochaną osobę.**

**Jednakże Anaíd była już na szczycie i właśnie uśmiechała się do swojej mlecznej siostry, która czekała tam na nią wraz ze swoim pięknym psem, wpatrując się w głębię krateru.**

**–Sarmik? – spytała Anaíd.**

**Gdy się uściskały, popatrzyły sobie w oczy. Mimo dzielącej je odległości zawsze były bardzo blisko. Sarmik wskazała berło.**

**–Jest piękne.**

**Anaíd podała jej insygnium bez wahania. Wiedziała, że Sarmik będzie umiała się nim posłużyć, stając się dla Omar najlepszą matriarchinią z możliwych. Ona, jej mleczna siostra, jej drugie ja, prawdziwa królowa czarownic.**

**–Należy do ciebie, używaj go dla dobra Omar.**

**Sarmik patrzyła na berło ze wzruszeniem, ale bez chciwości, wolna od pożądania, które jeszcze niedawno spalało Anaíd, zbyt szlachetna, by odczuwać pokusę władzy.**

**Popocatepetl zaryczał znowu, ziemia zadygotała. Dym wokół dwóch stojących nad kraterem dziewczyn zgęstniał.**

**Wulkan ją wzywał i Anaíd, drżąc ze strachu, zacisnęła dłoń na sakiewce z monetami.**

**Sarmik zdjęła swój piękny naszyjnik i założyła go siostrze.**

**–Matka niedźwiedzica cię ochroni.**

**Wzruszona Anaíd przytuliła ją raz jeszcze, szepcząc słowa przepowiedni:**

**–Będiesz naszą królową, która z pomocą matki o pokieruje Omar mądrze i sprawiedliwie.**

**Pożegnały się ze łzami w oczach.**

**–Szkoda, że nie spędzimy ze sobą więcej czasu. Ale cieszę się, że udało mi się spełnić swoją misję – wyszeptała Sarmik.**

**Anaíd czuła podobnie: misja była najważniejsza. Dlatego ona, Anaíd, musiała dotrzymać słowa danego umarłym. Ale kiedy zbierała się w sobie, by skoczyć w dymiącą czeluść, Sarmik jednym ruchem zerwała jej z szyi woreczek z monetami i runęła w dół, z berłem w dłoni. Za nią rzucił się wierny husky.**

**Lecieli oboje wśród siarkowych wyziewów i w końcu znikli w płonącej paszczy krateru.**

**Wstrząśnięta Anaíd omal nie skoczyła za nimi, ale powstrzymała ją dłoń Selene.**

**–Nie!**

**Tymczasem w jaskini Milpuco Coatlicue z Klanu Wężycy zapaliła fajkę i choć była niewidoma, ujrzała, jak nasycony wulkan wyrzuca z siebie kłęb dymu.**

# Rozdział XXX

## Carpe diem

Anaíd pokasływała. Nie była przyzwyczajona do takiego stężenia spalin, jakie panowało na Manhattanie.

–Jesteś pewna, że to tutaj? – spytała rozglądającą się rozpaczliwie na prawo i lewo Dácil.

–Powiedziała, że będzie czekać na tym rogu, obok jakiejś budki z napojami.

Roc, który nie wypuszczał dłoni Anaíd ze swojej ręki, drugą wskazał na budkę. Tyle że nie było przy niej nikogo przypominającego matkę nastolatki. Spacerowała tam jedynie dziewczyna w bardzo krótkiej spódniczce i w butach na zbyt wysokich obcasach, z lalką pod pachą, balonikiem w jednej dłoni

i torebką pełną słodyczy w drugiej. Liżąc loda, bezceremonialnie gapiała się na wszystkich przechodniów z dziećmi.

Zdenerwowana Dácil podeszła do niej ostrożnie.

–Mama? – spytała z niedowierzaniem.

Dziewczyna zastygła w bezruchu, wyraźnie wzruszona, wpatrując się w jej stopy. Potem zaczęła podnosić wzrok, coraz wyżej i wyżej, wstrzymując oddech, aż jej oczy napotkały spojrzenie źrenic znajdujących się na niemal tej samej wysokości co jej własne.

–Niemożliwe! – wykrzyknęła z przerażeniem. – Ty nie możesz być Dácil.

I zamiast przytulić córkę, cofnęła się o krok, przyciskając rękę do piersi. Dácil poczuła ściskanie w gardle i wielką chęć ucieczki. Chciała czym prędzej zapomnieć o tej osobie, która sprowadziła ją na świat, a teraz nawet jej nie poznała.

–To ja, mamó.

–Nie wierzę! – zawołała tamta, upuszczając w swym pomieszaniu lalkę. – Myślałam, że jesteś jeszcze mała...

Wyglądało na to, że Dácil strasznie się wstydzi, i Anaíd zrobiła ruch, jakby zamierzała pobiec i pocieszyć przyjaciółkę, ale zatrzymał ją Roc. To była sprawa między Dácil a jej matką.

Clodia, która stała trochę z tyłu i fotografowała całą scenę swoim telefonem,

uchwyciła moment, gdy matka Dácil nieufnie dotknęła chudego ramienia córki, a potem przeniosła dłoń na jej policzek.

–Nie wierzę, że moja córka jest taka śliczna, taka wysoka, taka... cudna. To nie może być prawda. To na pewno sen, uszczypnij mnie, Dácil, uszczypnij. Moje dziecko, moje najdroższe maleństwo, mój płaczuszek-łakomczuszek...

Dácil otworzyła usta i natychmiast je zamknęła, jak wyjęta z wody ryba. Rozpaczliwie szukała słów, którymi mogłaby odpowiedzieć, lecz ich nie znajdowała. Na szczęście jej matka mówiła za dwie i to w zupełności wystarczało.

–Ale dlaczego ja tak stoję i gapię się na ciebie jak głupia? Chodź, przytul się.

Tyle lat marzyłam o tej chwili, a teraz sterczymy tu obie jak wrośnięte w ziemię.

No, chodź, nie jestem przecież bombą atomową, tylko twoją matką!

Anaíd, patrząc, jak tamte dwie padają sobie w ramiona, zastanawiała się, czy się aby zaraz nie poduszają. Były bardzo podobne w swoich gestach, w swojej spontaniczności i fatalnym guście. I wyglądało na to, że się dogadają.

Clodia wciąż pstrykała zdjęcia. Przestała dopiero wtedy, gdy jej telefon zadzwonił.

–Mauro? – spytała z uśmiechem, puszczając oko do Anaíd i Roca.

–Gdzie jesteś? – odpowiedział pytaniem Mauro.

–W Nowym Jorku. Impreza się wreszcie skończyła i niedługo wracam do domu.

–Niedługo?

–Jeśli mamy śnić razem, możesz już zacząć robić mi miejsce w swoim łóżku.

–Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Bo chyba się nie zmieścisz.

–Masz małe łóżko?

–Za małe na troje.

–Troje?! – ryknęła Clodia. – Ty i ja to dwoje, z matematyką nigdy nie miałam kłopotów.

–Ale jeśli dodasz Julię...

**Clodia zrobiła się fioletowoniebieskozielona.**

**–Julię? Moją przyjaciółkę Julię? Tę samą, która miała ci po prostu dotrzymać towarzystwa?**

**–No i dotrzymywała. I teraz jesteśmy razem.**

**–Jesteście...? – wybełkotała z niedowierzaniem Clodia.**

**–Tak, razem. Wtedy Clodia eksplodowała jak wulkan.**

**–Co ona sobie myśli, ta nędzna kreatura? Co takiego ma w sobie?**

**–Umie pocieszać. Pocieszyła mnie naprawdę skutecznie. Clodia wciąż się piekliła.**

**–Nie mogłeś zaczekać? Wykazać trochę cierpliwości?**

**–Clodia, czekałem całe lato!**

**–Nie chciałeś, żeby ci cokolwiek ułatwiać... – jęknęła, bardziej jednak obrażona niż zraniona i bardziej oszukana niż zakochana.**

**–I jestem ci do zgonnie wdzięczny, że tego nie robiłaś, serio, doskonale się bawiłem, tyle że...**

**–Ciao! – rozłączyła się Clodia.**

**Mimo wszystko lubiła mieć ostatnie słowo, a ciao należało do jej ulubionych ostatnich słów. Anaíd podeszła gotowa ją pocieszać.**

**–Daj spokój, nie lubię litości – ostudziła ją Clodia.**

**–Ale...**

**–Szczególnie ze strony szczęśliwych przyjaciółek, które mają facetów. Takich w ogóle nie cierpię.**

**Zaskoczona Anaíd wrosła w ziemię. Clodia mogła to mówić poważnie. Do tej pory ona, Anaíd, grała rolę nieszczęśliwej przyjaciółki bez faceta. Ale sytuacja się zmieniła. Czy szczęście aż tak widać? Niewykluczone. Bo mimo wszystko, mimo utraty Cristine, Anaíd czuła, że rozpiera ją radość życia.**

**Nawet myśl o Sarmik nie bolała już tak bardzo. Wśród młodych Omar modne stały się koszulki z nadrukiem przedstawiającym ją samą, jej psa oraz berło, z napisem: *Proud of you*. Anaíd naprawdę była dumna, że jest mleczną siostrą bohaterki, która zabrała insygnium matki O do świata umarłych, by stamtąd już zawsze czuwać nad**

łosami czarownic.

Sarmik okazała się prawdziwą królową, Anaíd zaś zamieniła się z powrotem w zwyczajną i szczęśliwą dziewczynę.

Miała teraz oboje rodziców i spodziewała się narodzin siostrzyczki, Rosy. A Roc był tak przystojny, że aż oczy bolały od patrzenia.

Zjawiała się Selene z wielkim brzuchem i torbą pełną dziecięcych ubranek, pogrążona w zażartej kłótni z Gunnarem.

Clodia zmarszczyła się jeszcze bardziej.

–Nie cierpię też szczęśliwych przyszłych matek z facetami przy boku.

–Przestań, nie widziałaś, jak Selene utyla?

–I wypiękniała. Niedobrze mi się robi od cudzego szczęścia.

Anaíd łapała się na tym, że czuje się winna, należąc do tak idealnej i kochającej się rodziny. Dlatego i teraz spróbowała złagodzić oczywistą wymowę faktów.

–Kłóć się od rana do wieczora – rzuciła, wskazując na rodziców. Clodia jęknęła, po czym nagle się rozplakała.

–To znaczy, że się kochają. A mnie nikt nie kocha.

Anaíd zabrakło argumentów, więc zostawiła przyjaciółkę samej sobie, tym bardziej że Selene, przejęta swoją rolą, zawołała córkę, żeby jej pokazać malutki sweterek. Stojący z tyłu Gunnar mruzczał gniewnie.

–Spójrz, Anaíd, tylko spójrz. Czyż nie przepiękny?

–Za duży – zaproponował Gunnar.

–Cicho bądź, ostatni raz miałeś dziecko tysiąc lat temu.

–A Anaíd?

–Jej nigdy nie kupowałeś ubranek.

Anaíd udała, że ich nie słyszy, i wyobraziła sobie Rosę, okrągłutką i krzykliwą, zapakowaną w ten maciupeńki sweterek w zielone i niebieskie paski.

–Ona się w to zmieści? Przecież to wygląda jak dla lalki.

**Tu wtrącił się Roc.**

**–Sweter jest za duży – zawyrokował z powagą. – To rozmiar dla dziecka trzymiesięcznego. A zważywszy na pogodę, jaka będzie w Urt, kiedy Rosa skończy trzy miesiące, coś tak lekkiego na nic się nie przyda.**

**–A nie mówiłem? – prychnął Gunnar.**

**Anaíd i Selene dały za wygraną. Roc był ekspertem, ostatecznie miał siedmiu młodszych braci, a Elena, jego matka, znów zaszła w ciążę.**

**Selene upuściła torbę na chodnik.**

**–Nie nadaję się do tego.**

**–Oczywiście, że się nadajesz, mamó – pocieszała ją Anaíd.**

**–Skąd.**

**–Nadajesz się, nadajesz. A jak zechcesz, ja ci ze wszystkim pomogę.**

**–To by dopiero była katastrofa! Nie, dzieci to nie nasza działka.**

**–Ale ja bym chciała ci pomagać – broniła się Anaíd. Selene uśmiechnęła się przepięknie.**

**–Naprawdę?**

**–Jasne, to będzie zabawne: dziecko w domu.**

**–Mnie możecie mianować oficjalnym doradcą – zaproponował Roc.**

**–No, tylko niech nikt nie próbuje odebrać mi tu pierwszeństwa! Jestem przecież ojcem! – zastrzegł Gunnar.**

**–A mnie przypadnie rola sfrustrowanej i zbzikowanej ciotki, tak? – odezwała się Clodia, która nie potrafiła pozostawać w cieniu dłużej niż przez minutę.**

**–To może wolisz rolę ciotki podrywaczki? – zaproponowała niewinnie Anaíd.**

**Clodia zrobiła minę niesłusznie znieważonej ofiary.**

**–Proszę, na domiar złego świńskie przytyki. Jak ci nie wstyd wyśmiewać biednej, porzuconej dziewczyny?**



**Anaíd zawsze podziwiała jej zdolność do szybkiego podnoszenia się po ciosach.**

**–Może i porzuconej, ale zapewne nie na długo. Wśród siedmiu milionów osób, które cię otaczają, znajdzie się bez wątpienia jakieś sto tysięcy chętnych...**

**Clodia rozejrzała się teatralnie.**

**–Doprawdy? Jakoś żadnego nie widzę.**

**Po czym, kręcąc się wokół własnej osi, wzniosła ramiona ku niebu i zawołała:**

**–Gdzie się podziewa męczyzna moich marzeń?! Czekam! Nie potrzebuję stu tysięcy chętnych, jeden by wystarczył.**

**Anaíd odstąpiła kilka kroków i z cicha wypowiedziała zaklęcie.**

**Znajdująca się pod stopami Clodii kłapa studzienki kanalizacyjnej otworzyła się nagle i dziewczyna z wielkim hałasem znikła w podziemiach wielkiego miasta, krzycząc:**

**–Aaach!**

**I przepadła... jakby za sprawą magii. Gunnar popatrzył z wyrzutem na Selene, ona zaś zerknęła w ten sam sposób na córkę.**

**–I co teraz? Kto ją stamtąd wyciągnie? Zawstydzona Anaíd spuściła oczy.**

**–Chciałam dobrze. Zdumionemu Rocowi opadła szczęka.**

**–Ty to zrobiłaś? Anaíd próbowała skłamać, ale jej nie wyszło.**

**–Troszkę jej tylko... pomogłam.**

**Gunnar klęczał już nad wielkim ciemnym otworern prowadzącym w głąb słynnych nowojorskich kanałów zamieszkiwanych, jak głosiła legenda, przez kajmany, węże boa i gigantyczne szczury.**

**–Clodia! – krzyknął.**

**Dácił i jej matka nadbiegły zaniepokojone. Wszyscy sześcioro pochylili się nad studzienką i już po chwili. wszyscy sześcioro wydali okrzyk zdumienia.**

**Clodia, urodzona aktorka ze śródziemnomorskim, wybuchowym jak wulkan temperamentem, wyłoniła się z poziemych czeluści, niesiona na rękach przez**

przystojnego nowojorskiego strażaka, który wspinał się właśnie po drabince. Powitała zgromadzone nad studzienką towarzystwo skinieniem dłoni godnym przejeżdżającej karocą królowej.

Stanąwszy na nogach, ujęła dłoń swego piegowatego zbawcy o niewątpliwie irlandzkich korzeniach i rzekła:

*–This is Jim, my new boyfriend.*

I ku ogólnej konsternacji przyjaciół pocałowała go, zupełnie bez żenady. Następnie uśmiechnęła się, patrząc na otaczające ją szczęśliwe twarze. Już nie chciało jej się płakać.

*–Carpe diem!*

# Od autorki

## *Podziękowania*

### Początek

Wszystko zaczęło się jakiś czas temu za sprawą mojej córki Julii, która w owym okresie uwielbiała baśnie i śniła o księżniczkach, smokach, wróżkach oraz wiedźmach. Była nienasycona, ja zaś uległam pokusie wymyślenia dla niej opowieści o czarownicach i – przy okazji – włączenia do niej tajemniczej, mrocznej postaci, która zawładnęła moją wyobraźnią w młodości.

Naszpicowałam więc historię wyjątkowej dziewczynki, która, sama o tym nie wiedząc, jest czarownicą, a w dodatku zapowiadana w prorocत्वach rudowłosą wybranką, mającą zakończyć odwieczną waśń. Pomysł zachwycił Julię, ale, jak to czasem bywa, utknął na tym wstępnym etapie i dopiero dziesięć lat później Reina Duarte i Jose Luis Gómez skłonili mnie do odświeżenia go oraz spojrzenia im niego z nowej perspektywy: miało teraz chodzić o mieszczącą się w gatunku fantastyki trylogię dla młodzieży i w ten sposób rozpoczęła się moja trwająca przez ostatnie trzy lata przygoda.

Światem magii zainteresowałam się w trakcie studiów antropologicznych. Ciekawiły mnie procesy inkwizycyjne, a także te praktyki magiczne, które przetrwały do naszych czasów. Stało się dla mnie jasne, że ze wszystkich fantastycznych istot występujących w naszych legendach, czarownice są jedynymi, które istniały naprawdę i miały pełną świadomość własnej wyjątkowości.

Chcąc o nich pisać, zapoznałam się z podaniami ludowymi, przeczytałam sporo książek i przestudiowałam przebieg kilku procesów o czary. Nie chciałam ryzykować popadnięciem w banał poprzez czerpanie wyłącznie z przebogatych zresztą źródeł anglosaskich i skandynawskich. Pragnęłam opowiadać o rodzimych czarownicach, dlatego sięgnęłam do tradycji grecko-łacińskiej, inspirować się mitologią grecką i umieszczając akcję w doskonale mi znanych Pirenejach, gdzie temat czarownic przez wieki pozostawał żywy. Na podstawie zgromadzonych materiałów skonstruowałam pół prawdziwe, pół fikcyjne uniwersum i przystąpiłam do tego, co najbardziej zajmuje pisarzy: do wymyślenia.

Wymyśliłam czarownice z krwi i kości, kobiety blisko związane z naturą, a zorganizowane w plemiona i klany. Aby dać temu światu jakieś podstawy, stworzyłam mit założycielski o matce O, która daje życie dwóm rywalkom, Od i Om. W tym samym celu napisałam prorocтва i traktaty dotyczące nadejścia wybranki.

Uniwersum czarownic zastałam już zresztą w dużej mierze gotowe -brakowało w nim tylko żywych kobiet. Dlatego zaludniłam je czarownicami w różnym wieku:

**matkami, córkami i babkami, żyjącymi w ukryciu wśród nas, tutaj i teraz. Wszystkie te akuszerki, lekarki, bibliotekarki, nauczycielki, uczone, pisarki, rysowniczk, studentki i gospodynie domowe tym tylko różnić się miały od innych, że zazdrośnie strzegły swych nadprzyrodzonych mocy, swojej wiedzy i umiejętności. Natychmiast zdałam sobie sprawę, że kobiety te mogą wziąć na siebie rolę tradycyjnie spełniane w opowieściach przez mężczyzn. Jako czarownice znały sztuki walki, odprawiały uświęcone ceremonie, angażowały się w politykę, pragnęły władzy, poświęcały się dla miłości i znajdowały pocieszenie w przyjaźni, zamieszkując nietypową rzeczywistość, w której władza ustawodawcza, wykonawcza, sądownicza, religijna, kulturowa, a nawet medialna, znajdowała się wyłącznie w rękach kobiet. One wreszcie walczyły między sobą i od wojny między nimi wziął się tytuł trylogii. Czysto kobiecy był jednak również świat prywatnych konfliktów pokoleniowych między córkami a matkami – konfliktów, które napędzały opowieść.**

**I tak, niechcący, powstała kobieca saga, która, co ciekawe, spodobała się wielu mężczyznom.**

# Realizacja

Książka nie znajdzie czytelników, dopóki nie zostanie opublikowana. Nie zdołałabym przeprowadzić swojego zamiaru bez pomocy wydawnictwa Edebe, dzięki któremu nabrałam wiatru w żagle. Edebe od początku uwierzyło w mój projekt i poważnie się w niego zaangażowało, dając mi do dyspozycji wszystko, czego potrzebowałam, a następnie wypuszczając na rynek staranne edycje kolejnych tomów. Jose Luis Gómez i Reina Duarte byli kapitanami tego statku i to oni właśnie zachęcali mnie do rzucenia się w tę ryzykowną przygodę, ale podczas długiej podróży dołączyło do nas wiele innych osób, takich jak Antonio Garrido, Ricardo Mendiola, Marta Muntada, Eva Fontanals czy Georgia Picañol – osób, które kierują wydawnictwem i pracują w nim, prześcigając się w profesjonalizmie i dobroci. Płynąć w tak doborowym towarzystwie było prawdziwym luksusem.

Nie sposób tu przywołać wszystkich niespodzianek, które spotkały mnie przy okazji pisania i publikacji tych trzech książek. Najprzyjemniejsza dla pisarza jest świadomość, że ktoś go czyta, toteż ciepłe przyjęcie, z jakim

spotkała się pierwsza część trylogii, *Klan Wilczycy*, stanowiło oczywiście bezcenną zachętę, by z nie mniejszą ochotą kontynuować dzieło.

Co więcej, wciąż napływały od czytelników maile z wyrazami aprobaty.

*Klan Wilczycy* został uznany przez wpływowy magazyn "CLIJ", a także przez twórców katalogu White Rabens na Międzynarodowych Targach w Bolonii, za jedną z najlepszych książek 2005 roku. Pojawiły się też propozycje tłumaczeń na inne języki: niemiecki, holenderski, angielski, węgierski, szwedzki, włoski, koreański, francuski...

*Lodowa pustynia* powstała więc w atmosferze pozytywnych recenzji, dobrych wyników sprzedaży, przekładów i osobistych opinii czytelników wypowiadających się na specjalnie założonej stronie internetowej – zwłaszcza po tym, jak książka została zgłoszona do Nagrody Bohatera Jove 2006.

Na tym polegała magia związana z pisaniem cyklu. Trylogia zamyka się dopiero wraz z ostatnim zdaniem ostatniego tomu. I zapewniam, że aż do tego momentu brałam pod uwagę sugestie czytelników, internautów, krytyków, specjalistów i uczestników forów. Dlatego mam dług wobec wielu osób: pewnej uczennicy z Teneryfy zawdzięczam na przykład poetycki tytuł jednego z rozdziałów ostatniego tomu, w półmroku krateru; współpracy z jedną ze stacji radiowych w Meksyku – uzasadnione, jak się okazało, przekonanie, że Popocatepetl stanowiłby doskonałą scenerię dla wydarzeń przedstawionych w ostatniej części, i tak dalej. Nie pamiętam wszystkich imion, ale wszystkim wdzięczna jestem za współpracę. Podobnie jak wielu autorom, których nie będę tu wymieniać, a którzy wpłynęli na kształt *Klanu Wilczycy*, *Lodowej*

*pustyni* i *Przekleństwa Odi* oraz na osobowości ich bohaterów. Pisanie trylogii sprzyja zachowaniom interaktywnym. Człowiek słucha komentarzy, rozważa sugestie i w ten sposób wypracowuje ostateczną formę książki.

Dzięki temu kolejne tomy wzbogacają się o nowe wątki, postaci i miejsca. Nie da się wymienić wszystkich, którzy podszeptali mi to lub owo, chciałabym jednak wspomnieć przynajmniej o tych znanych mi z nazwiska i będących ze mną na dobre i na złe.

# Podziękowania

Przede wszystkim dziękuję dwóm mądrym kobietom, matkom i babciom, zapalonym czytelniczkom, które żyły dla innych, uprzyjemniając im egzystencję swoją kuchnią, przejmując się ich kłopotami i nie odstępując ich boku w trudnych momentach.

Mojej mamie, Tere, która walcząc z chorobą, potrafiła zachować pogodę ducha, poświęcać mi czas oraz wspierać mnie miłością i radą.

Claudynie, mojej teściowej, wyjątkowo wielkodusznej osobie, która odeszła i nie będzie mogła przeczytać tego trzeciego tomu, chociaż pewnie by chciała.

Dziękuję swoim pierwszym czytelnikom, którzy pomagali mi, zgłaszając komentarze i spostrzeżenia:

Reinie, motorowi i dobrej wróżce tego przedsięwzięciu, która czuwała nad nim od pierwszego do ostatniego słowa, okazując mi sympatię i cierpliwość oraz oddając mi swoje weekendy; Julii, która wierzyła w tę opowieść przez dwanaście lat, zachęcała mnie do jej pisania, poprawiała wstępne wersje i natchnęła Selene do buntu; Rosie, która stoi za miłością Roca i Anaíd; Annie, która uczyłowieczyła Gunnara; Carli, która udoskonaliła Mroczny Świat; Marce, który wniósł elementy kantabryjskie; Mauriciemu, który okazał się wielkim zwolennikiem używania wyobraźni; Marcie, Elenie, Georgii i Yolandzie, które potrafiły czytać między wierszami, wychwytywać usterki i wytykać błędy; Bernatowi, robiącemu entuzjastyczną reklamę; Martiemu, autorowi najmiłszej recenzji; Alicii, Daniemu i Eloiemu za pomoc w promocji; Teresie i Saliemu za szczerość; Marili, weterance; Esteli, najprawdziwszej czarownicy.

Wszystkim czytelnikom, którzy nadsyłali mi swoje opinie w e-mailach:

Blance, Leili, Yolandzie, Sandrze, Sandrze I.M., Marinie, Isabel, Bei, Miriam (z Argentyny), Marii, Angeli, Silvii, Ximenie, Elisie i Marii (x i y), Victorii, Nandowi, Idrilowi, Ramonowi, Rogerowi, Maribel... i wielu innym.

Zawodowcom, którzy troszczyli się o te książki bardziej, niż tego wymagały ich stanowiska:

- Jose Luisowi za zaufanie, mądry wybór projektów, wiedzę bibliofilską i podróżnicze opowieści uprzyjemniające pyszne posiłki; i jego żonie, zapalonej czytelniczce i towarzyszce przygód;

- Marcie M. za wytrwałe podtrzymywanie kontaktu z prasą i cierpliwość dla mojego ciągłego braku czasu oraz niechęci do zdjęć;

- Georgii za niewątpliwy sukces na polu tłumaczeń, ściśle związany z jej

**umiejętnościami;**

- **Elisendzie, która udostępniła mi swój głos i mądrość;**
- **Evie, która pomogła przy wprowadzaniu moich postaci do Internetu;**
- **Horaciowi, który te postaci narysował;**
- **Marcie P., odpowiedzialnej za wirtualny wizerunek świata czarownic;**
- **Antoniowi za sympatię;**
- **Ricardowi za nieustępliwość i energię;**
- **Carmen za ożywcze idee;**
- **Conchi, która czuwała nad wszystkimi.**

**Tym, których poznałam podczas promowania swoich książek i którzy przyczynili się do wzbogacenia moich doświadczeń:**

- **Evie Luz, która otworzyła mi oczy na piękno kultury azteckiej i przedstawiła mnie Popocatapetlowi;**
- **Manuelowi i jego gościnnej rodzinie, u których czułam się jak w domu;**
- **Moisesowi, wielkiemu szamanowi opowiadaczy, który potrafił mnie przedstawiać jak nikt inny;**
- **Elisabeth – za mariackich;**
- **Javierowi i jego rodzinie, gospodarzom z Retiro, który zrobili mi wiele pięknych zdjęć;**
- **Miriam – za niezłomne oddanie i miłość dla książek oraz ziemi Guanczów;**
- **dziewczynom z Radia Kobiet z Guadalajary – za ich ciepło;**
- **wszystkim specjalistom od promocji i mediów, którzy zainteresowali się moją trylogią i poświęcili swój czas na propagowanie jej wśród młodzieży;**
- **a w szczególności Pep Molist, która wzruszyła mnie swoimi słowami, i Andreu Sotorrze, którego erudycji zawdzięczam tak wiele;**
- **wszystkim studentom, którzy udzielali się na forach, zadając pytania.**



**Kobietom, które podnoszą mnie na duchu, poświęcając mi swój czas i dotrzymując towarzystwa:**

•**Marcie, która odrodziła się z popiołów i na nowo wzbiła do lotu;**

•**Carmeli i Giseli, zawsze gotowych słuchać i pomagać;**

•**Mirei i innym przyjaciółkom, obecnym na co dzień, lojalnym, zabawnym, z krwi i kości;**

•**Isabel, która o mnie dba i której podczas swoich nieobecności oddaję pod opiekę własną rodzinę – czyli to, co mam najcenniejszego.**

**I tym, których najbardziej kocham.**

**Tym, którzy są najbliżej i znoszą ciemniejszą stronę mojej natury. Za ich cierpliwość i pomoc – naprawdę niemałą. Mojej córce Julii, dzięki której zrodził się pomysł tej książki i która czuwała nad jego realizacją, niestrudzenie czytając pierwsze, najbardziej niewdzięczne wersje. Mojemu synowi Maurycemu, który przybliżał mi powieści fantastyczne i science fiction oraz dzielił się ze mną swoimi ulubionymi książkami. i mojemu małemu Victorowi, który wyrażał zdecydowane opinie na temat okładek i kazał sobie streszczać tę trylogię ustnie, co bardzo mi się przydało.**

**I Marce, który czytał, krytykował i gratulował, od początku do końca. Prawdziwe bohaterstwo.**

**Wszystkim, bez względu na płeć, wielkie dzięki.**

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-01-06

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*